


CARLA GRÀCIA MERCADÉ



*Siedem dni*  
ŁASKI

WOJNA, MIŁOŚĆ I ŚMIERĆ  
W BARCELONIE



Carla Gràcia Mercadé  
SIEDEM DNI ŁASKI  
przełożyła Karolina Jaszecka



This book was translated with the help of a grant from the Institut Ramon Lull

Tytuł oryginału: Set dies de Gràcia

Copyright © Carla Gràcia Mercadé

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXV

Copyright © for the Polish translation by Karolina Jaszecka, MMXV

Wydanie I

Warszawa, MMXV

Moim babciom, Vicencie i Lolicie, aby tutaj skończył się ich ból.

Każdy, jakkolwiek by był biedny, ma na tym świecie nie tylko swoją historię, ale też prehistorię.

Víctor Català, Mosaic (III)

Wielu o niej zapomniało. Niektórzy nazwali ją buntem. Ale to była wojna. Wojna siedmiu dni. Bez odpoczynku. Bez pokoju. Bez litości.

I bez odpowiedzi. Mijały lata, wieki i nic się nie zmieniło. Ja, zamknięta w tej dzwonnicy, i ty, szukający odpowiedzi. Jak wszyscy. Odpowiedzi na pytania, których nigdy nie powinno się zadać, bo prowadzą ku przepaści, i jeśli raz zostaną zadane, już nigdy nie można się od nich uwolnić.

Félix twierdził, że istnieją tylko dwa typy ludzi: jedni zabijają, a drudzy pozwalają się zabić. Ja należałam do tych drugich. Chociaż w pewnych sytuacjach wszystko ulega zmianie: podczas wojny albo gdy w grę wchodzi tajemnice.

Sekrety – pełzną po starych murach, które wkrótce runą – potrafią zniszczyć życie i przejść po trupach. Czas nie istnieje; są tylko powtarzające się cykle, obrazy i ta gęsta mgła, która jak sucha krew oblepia i ściąga skórę.

Pani Consol często powtarzała, że więzy krwi są zdradliwe i czynią nas swoimi zakładnikami. „Nie da się poznać wszystkich tajemnic jednej rodziny, Marianno, i nie warto” – dodawała.

Nie miała racji. Wszyscy chcemy obnażać tajemnice, rozwiązywać węzły i podążać po nitce do kłębka. Bez tego nie ma prawdy, a jeśli raz ktoś pozwoli sobie na małe oszustwo, będzie oszukiwał przez całe życie.

Nadszedł czas, abym teraz ja wyjawiała swoją tajemnicę. Naszą tajemnicę. Sekret nas wszystkich, którzy żyliśmy w tamtych latach, szczególnie przez siedem dni. Tych siedem dni. Po to, żebyś o nas nie zapomniał, chociaż już odeszliśmy z tego świata. Abyś uwolnił nas z niesprawiedliwości niepamięci. A co najważniejsze – nie pozwolił sobie na lekkomyślność zapomnienia.

# Dzień pierwszy

Niedziela, 3 kwietnia 1870 roku

Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą,  
błogosławionaś Ty między niewiastami  
i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus.

REGENCJA KRÓLESTWA

MINISTERSTWO WOJNY

ROZPORZĄDZENIE

FRANCISCO SERRANO Y DOMINGUEZ, regent królewski z woli Niezawisłych Korteżów, ogłasza wszem wobec, iż:

Zgromadzenie Ustawodawcze narodu hiszpańskiego w imię suwerenności ustanawia i zatwierdza, co następuje:

[...]

Art. 5. Gdy dobrowolne wezwanie nie wystarczy na pokrycie strat poniesionych przez armię, Kortezy ustalą liczbę mężczyzn, którzy zostaną zwerbowani do służby wojskowej w drodze losowania [...].

[...]

Art. 10. Przewiduje się możliwość wykupienia za gotówkę.

[...]

Dlatego też nakazuję wszystkim sądom, sędziom, dowódcom, gubernatorom, jak też pozostałym organom władzy wojskowej i cywilnej przestrzeganie i egzekwowanie niniejszego rozporządzenia w jego całości.

„Gaceta de Madrid”

środa, 30 marca 1870 roku

EL TELÉGRAFO

W ciągu ostatnich kilku dni rozchodziły się pogłoski o trudnościach związanych z przeprowadzeniem poboru poprzez losowanie. Doszły do nas informacje, że w sąsiednich okręgach Ampurdánu i Tarragony, w których wojsko rozpoczęło werbunek, spotkało się to z ogromnym oburzeniem i wzbudziło niepokój.

Podobne nastroje ogarnęły nasze miasto – wczorajszy dzień upłynął pod znakiem wątpliwości, domysłów i niepewności.

„El Telégrafo”

Barcelona, 3 kwietnia 1870 roku

Bam!

Dzwon na wieży w Gràcii wybił dziewiątą. Było za późno, żeby wyjść. Ale też zbyt wiele zmartwień nie pozwalało pozostać w domu.

Marianna zdjęła fartuch, wzięła oprawioną w skórę Księgę Psalmów i schowała ją pod gorsetem, blisko serca. Włosy zaplecione w warkocz okryła chustą i zapięła znoszony wełniany sweter. Zeszła wąskimi schodami, otworzyła drzwi i osłoniła twarz przed wiatrem, którego nie lubiła.

Szła ulicą Estrella w kierunku placu Constitució. Odgłos jej kroków odbijał się echem od ścian budynków i próbował się wedrzeć przez zamknięte okna. Latarnie rzucały jasne kręgi światła. Nagle usłyszała za plecami głosy. Odwróciła się przestraszona. Mogłaby przysiąc, że jakiś cień zniknął w jednej z bram. Przyspieszyła kroku. Doszła do zamkniętych drzwi Cafè de la Victòria i zapukała dwa razy. Ze środka dochodziły szepty i donośny męski głos:

- Dzisiaj zamknięte!
- To ja, Berenguerze. Zielarka.

Usłyszała skrzypnięcie zasuw. Po chwili w drewnianej bramie otworzyła się furтка.

Marianna weszła do środka.

W pomieszczeniu tłoczyli się ludzie – jedni siedzieli, drudzy stali – i trudno było się przecisnąć. Dym z cygar unosił się aż po sufit, zasłaniając go całkowicie. Za barem stała Victòria. Nerwowymi ruchami wycierała kubki i gderała pod nosem:

– Jeśli ta banda się nie uciszy, to zamkną nam lokal, Berenguerze. Mówiłam ci, że nie powinniśmy się wdawać w te dysputy.

Marianna zdjęła chustę i przepchnęła się do przodu, wyteżając wzrok. Usiadła przy wolnym stoliku przy ścianie. Wszyscy skupili wzrok na Amàlii, znajdującej się w głębi pomieszczenia, która za chwilę miała przemawiać.

– Miarka się przebrała! Niecałe dwa lata temu nadstawialiśmy karku, żeby zdetronizować królową. Wtedy tyle nam naobiecowali: obniżenie podatków, zniesienie werbunku poprzez losowanie...

Amàlia uderzyła ręką w stół tak mocno, że aż podskoczył stojący przed nią kubek.

– Pamiętacie? Przysięgli nam, że jeśli będziemy walczyć u ich boku, przestaną werbować nas do wojska. I co zrobili, gdy przejęli władzę? Znowu zarządzili losowanie rekrutów! My dotrzyaliśmy umowy, a oni teraz zapominają o wszystkich swoich obietnicach. Trzeba im pokazać, że nie mogą z nami pogrywać. Musimy zapobiec losowaniu. Pójdziemy za przykładem mieszkańców Vic i Martorell!

Xicarró podniósł rękę z kubkiem wina wypełnionym do połowy.

– Masz rację, Amàlio, ale co my możemy zrobić? Jest nas zaledwie garstka. Wybiją nas jak muchy!

Niektórzy pokiwali głowami.

Kiedy Amàlia wstała, wśród zebranych zapadła cisza.

– Xicarró, nadal możemy zrywać się o świcie i harować w pocie czoła za nędzne grosze, za które nie da się godnie żyć. Pomachamy wam też z radością na pożegnanie, kiedy wezmą was na wojnę, Bóg wie dokąd! Chcesz tego? Może



powinniśmy też siedzieć cicho, patrząc, jak bogacze – jedyni, którzy mogą sobie na to pozwolić – wykupują się z werbunku?

– Oczywiście, że nie, ale...

– Ale co? Gdyby dzisiaj odbyło się losowanie, może trafiłoby na ciebie. Chcesz się przekonać, czy jutro dopisze ci szczęście? Kto będzie karmił twoje dzieci, kiedy wyruszysz na pewną śmierć? Kto pocieszy Ramonę, gdy dostanie z wojska list kondolencyjny?

Kilka kobiet zaczęło wymachiwać pięściami, krzycząc, że mają już dość.

– Precz z werbunkiem!

Berenguer podszedł do Marianny z kubkiem wina. Kobieta włożyła rękę do pustej kieszeni.

– Przykro mi, Berenguerze, nie mogę.

– Nie martw się, dzisiaj ja stawiam.

Marianna uśmiechnęła się, wzięła od niego kubek, cicho podziękowała i znów spojrzała na Amalię.

– Powinniśmy spalić listy rekrutów! Zgadza się ze mną?

Kobiety zaczęły klaskać i wiwatować z entuzjazmem. Jedna nawet uniosła kubek i zaproponowała:

– Spalimy listy i cały ratusz, jeśli to konieczne!

Tomeu – korpulentny mężczyzna z zapadniętymi oczami i krzaczastymi brwiami – uderzył pięścią w stół i wstał z takim impetem, że przewrócił krzesło.

– Posuwacie się za daleko!

Wszyscy odwrócili się i spojrzeli na niego.

Jonàs, który siedział obok niego, pociągnął go za rękaw.

– Daj spokój, Tomeu, nie psuj zabawy!

Mężczyzna jednym ruchem odrzucił rękę Jonàsa.

– Zabawy? To wszystko jest dla was tylko zabawą? W cholerę z wami!

Tomeu rzucił na stół monetę i zaczął się szykować do wyjścia.

– Zabrakłoby czasu, gdybym miał wam opowiedzieć o wszystkich wojnach, które przeżyłem. Nie macie o niczym pojęcia. Jesteście bandą głupców!

Jonàs się wyprostował.

– Nie mów tak, Tomeu. Wszyscy tutaj obecni dwa lata temu bronili swojej ziemi i wolności, a zobacz, jak nam się teraz odwdzięczają władze!

– Wiem tylko tyle, że nasłuchałem się tutaj samych bzdur! Nie pozwolę, żeby jakaś banda tępaków, a tym bardziej wariatek, narażała moją rodzinę na niebezpieczeństwo!

Amàlia utorowała sobie drogę między stolikami.

– Twój bliscy już są w niebezpieczeństwie. Jak sądzisz, jakie czeka ich życie?

Tomeu znieruchomiał.

– Takie samo jak moje! Będą każdego dnia pracować i dziękować Bogu za to, że daje im zajęcie. – Oskarżycielskim palcem wskazał na Amalię. – Twoja sprawa, jeśli szukasz zwady w imię czegoś, czego nie możesz zmienić, ale nie igraj z życiem innych!

Kobieta zauważyła kroplę potu spływającą po czole Tomeu i przez głowę przemknęła jej myśl, że strach ma wiele twarzy!

– Może masz rację. Zdajmy się na nasz los, pochylmy głowy i róbmy wszystko, co nam każą. Tyle że jeśli my – którzy już przeszliśmy wiele – nie odważymy się zmienić tego stanu, to kto to robi? Haruję w fabryce od świtu do zmierzchu, a moje dzieci muszą jakoś przeżyć, żywiąc się jednym posiłkiem dziennie...

– Powinnaś być wdzięczna panu Lledó, że dał pracę tobie i twoim dzieciom! Jemu i innym łaskawcom. Taka jest prawda. – Tomeu rozłożył ręce, jakby chciał nimi objąć zgromadzonych. – Bez nas wszystkich ty i twoje dzieci byście nie przeżyli! Kiedy zmarł twój mąż, drogi nam mistrz Fabra, dostałaś od nas duże wsparcie.

Jonàs zerwał się i złapał Tomeu za szyję, ale Amàlia go powstrzymała:

– Nie, chłopcze! Nie warto.

Chłopak tylko go szturchnął i odsunął się od niego.

– Mój ojciec oddał życie za honor nas wszystkich. Walczył z niesprawiedliwością, której ty – odkąd zająłeś jego miejsce w fabryce i masz więcej do stracenia – nie chcesz się przeciwstawić. Teraz stało się jasne, że nie warto było się poświęcać dla takich ludzi jak ty.

Jonàs splunął pod stopy Tomeu.

Kłęby dymu z cygar pochłaniały niepokój zgromadzonych osób.

Berenguer odchrząknął, podchodząc do mężczyzn.

– Bardzo mi przykro, panowie, ale o tej porze nie życzę sobie żadnych rozrób. Nocny stróż szuka czegoś na mnie i nie chciałbym...

Tomeu poprawił koszulę, podciągnął spodnie i zrobił krok w tył.

– Dobrze, skoro nie chcecie przyjąć prawdy, wychodzę, ale jeszcze wspomnicie moje słowa. Te kobiety mają was mrzonkami o wolności, która nie jest możliwa z jednej prostej przyczyny: rządzący zawsze wygrywają! Właśnie dlatego są u władzy! Możecie jutro się na nich rzucić z krzykiem, lecz następnego dnia wasze dzieci będą umierać z głodu i opłakiwać śmierć rodziców. Powiedzcie, czy ich cierpienie warte jest waszej chwili chwwały?

Na dotychczasowy entuzjazm zebranych padł cień wątpliwości: może on ma rację i sytuacja faktycznie wymyka się spod kontroli?

Marianna wstała, czując na sobie wzrok pięćdziesięciu par oczu. Zacisnęła pięści i wydusiła z siebie:

– Jesteś tchórzem, Tomeu!

Mężczyzna zdjął z haka kapelusz, włożył go i ruszył do wyjścia.

– Kochanieńka, w niebie roi się od ludzi, którzy zbyt wcześnie zapukali do wrót pilnowanych przez świętego Piotra.

– Owszem, ale zapukali w nie bez strachu i z podniesioną głową!

Tomeu odwrócił się do niej i uniósł krzaczaste brwi.

– I kto to mówi? Uboga samotna wdowa, która nawet nie ma nazwiska. – Wzruszył ramionami i rzucił jej drwiący uśmieszek. – Zwą cię Zielarką,

prawda? Nic więcej o tobie nie wiemy. Jesteś nikim i w tej wojnie nie masz nic do stracenia.

Nagle podniosła się Ermínia.

– Wszyscy możemy wiele stracić!

Amàlia podeszła do Tomeu i stanęła z nim twarzą w twarz.

– Może masz rację. Mój mąż nie żyje, bo zamiast wykupić się z werbunku – a mógł sobie na to pozwolić – został wylosowany i z wieloma innymi mężczyznami z ludu wysłany okrętem do kolonii, na drugi koniec świata, żeby walczyć w bezsensownej wojnie. Poświęcił swoje życie i rodzinę na znak protestu. Jest oczywiste, że płakaliśmy po nim! Ale wiesz co? To właśnie on nam pokazał, że lepsza jest odważna śmierć niż życie wypełnione strachem.

– Powiedz to swoim najmłodszym dzieciom, kiedy zostaną bez matki i rodzeństwa. – Tomeu spojrzał nad głową Amàlii w stronę Jonàsa. – A jeśli chodzi o ciebie, chłopcze, to wiedz, że tym razem przymknę oko na to, co zrobiłeś, przez szacunek dla twojego ojca, ale jeżeli następnym razem podniesiesz na mnie rękę, możesz nie wracać do fabryki Lledó. Zrozumiałeś?

Nie czekając na odpowiedź i bez słowa pożegnania, Tomeu zniknął w drzwiach, które otworzył Berenguer, żeby wypuścić mężczyznę i tym samym oczyścić napiętą atmosferę.

Dym leniwie unosił się pod sufitem, a w sali znowu zawrzało:

– Po co w ogóle tu przyszedł?!

– Niech się udławi tą pracą!

– Jego stać na wykupienie z werbunku!

Amàlia z bezsilną wściekłością wróciła na swoje miejsce.

– Posłuchajcie mnie! Niech ci, którzy się nie boją i wierzą, że losowanie jest niesprawiedliwością, którą trzeba za wszelką cenę powstrzymać, przyjdą jutro pod ratusz. Przynieście szmaty i wszystko, co waszym zdaniem się przyda: liny, noże, strzelby. Musimy spalić spisy poborowych! Pokażmy władzom, że tym razem nie żartujemy i nie jesteśmy marionetkami!

W pomieszczeniu rozległy się okrzyki jednogłośnego poparcia, które czuć było w powietrzu nawet wówczas, gdy Berenguer zamknął drzwi za ostatnim gościem i odwrócił się do Victòrii z proroczymi słowami:

– Tak, tym razem będą musieli nas wysłuchać!

Bam!

Dzwony wybiły wpół do dwunastej.

Marianna chwyciła Ermínię za rękę.

– Dlaczego masz taką minę?

Ermínia zmarszczyła czoło i wbiła wzrok w ziemię.

– Nie wiem, jak to wszystko się skończy...

– Co więc powinniśmy zrobić? Milczeć?

Ermínia westchnęła.

– Milczenie oznaczałoby pogodzenie się z losem.

Za plecami słyszały kroki pozostałych zebranych, którzy rozchodzili się

pospiesznie do domów.

– Są jeszcze tacy młodzi! – biadoliła Ermínia. – Spójrz na Jonàsa. Niedawno skończył dwadzieścia trzy lata. A Magí? To przecież dziecko! Nie możemy ich zachęcać do buntu.

Marianna ścisnęła jej rękę.

– Wolisz, żeby poszli na wojnę? Jeśli mają ryzykować życie, to lepiej na miejscu.

Ermínia westchnęła. Chociaż od lat nie była służącą Marianny, wciąż trudno jej było zwracać się do niej po imieniu.

– Ty mogłabyś powstrzymać zbliżające się nieszczęście...

Marianna odsunęła się od kobiety i spojrzała na nią wyczekująco swoimi modrymi oczami.

Ermínia pokiwała głową.

– Mogłabyś pójść do rezydencji rodziny Lledó i zażądać tego, co ci się należy. Teraz masz niezbity dowód. Fèlix nie może ci nic zrobić.

Imię mężczyzny zabrzmiało dziwnie, jakby zostało wyciągnięte z odległego cuchnącego zakątka pamięci, gdzie nie docierały światło ani powietrze. Nie wymawiały go od dnia, w którym wybuchł pożar.

Marianna usiadła na ziemi, która zaczęła pod nią wirować. Próbowwała odzyskać spokój. Położyła rękę na piersi, wzięła głęboki oddech i wyczuła pod gorsetem Księgę Psalmów. A przede wszystkim przypomniała sobie słowa, które zawierała: „Do dziecka, które ma się narodzić: Nie poznam Cię, ale jeśli któregoś dnia dostaniesz tę książeczkę, wiedz, że Ty właśnie nim jesteś i że Cię kochałam”. Dalej napisane było: „Niniejszym oświadczam się, iż...”.

Odkąd dostała psalterz od notariusza, czytała te słowa wciąż od nowa przez wiele dni i nocy.

– Dobrze się czujesz, Marianno?

Kobieta pokiwała głową i próbowała zapanować nad swoimi lękami. Dotknęła twarzy, warkocza i nagle zdała sobie sprawę, że ma odkrytą głowę. Przeszukała kieszenie spódnicy.

– Zgubiłam chustę, Ermínio! Pewnie spadła na podłogę podczas zebrania. Muszę po nią wrócić, zanim Berenguer zamknie tawernę. Idź dalej. Za chwilę cię dogonię.

– Jeśli chcesz, zaczekam...

– Nie ma takiej potrzeby.

Marianna odeszła i skręciła za rogiem. Mogłaby pójść tam następnego dnia, ale chciała przez chwilę побыć sama. W oknach tawerny nadal było widać światło lamp naftowych. Zapukała do drzwi.

Berenguer otworzył i wpuścił ją do środka. Po chwili kobieta, przeproszając za zamieszanie, wyszła z chustą w dłoni i ruszyła w stronę domu.

Wciąż wiał wiatr i jasno świecił księżyc. Jaśniej niż myśli Marianny, które okrył cień wspomnień i obaw. „Może powinnam pójść do Casa Lledó i zażądać tego, co mi się należy? Nie mogą powstrzymać mnie przed tym żadne

wymówki, strach, złość, obrzydzenie czy sekrety. Warto byłoby to zrobić, żeby zapomnieć, chociaż nie wiem, czy bym umiała”.

Opuściła wzrok i wsłuchując się w rytmiczny odgłos swoich kroków, stłumiła bezsilność. Ulica Estrella wydała jej się węższa niż przed chwilą. Przyspieszyła. Czuła za plecami czyjąś obecność. Odwróciła się. Jakaś ręka popchnęła ją w stronę bramy, przycisnęła do żeber lufę pistoletu i brutalnie zasłoniła usta. Marianna usłyszała głos Calabuiga, ducha z przeszłości:

– Jak miło znów panią spotkać, pani Lledó. – Śmierdzący alkoholem szept był jak uderzenie w policzek. – Minęło już wiele lat. Sądziłyśmy, że pani nie żyje. Jaka szkoda! Mój pan będzie zaskoczony, kiedy panią zobaczy. Pójdzie pani teraz posłusznie ze mną i może się modlić, bo tylko to pani pozostało.

Chociaż do tej pory żadna z modlitw pani Consol: „Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, chroń moją córkę; spraw, by powróciła, i niech na mnie spadną Twój gniew i kara”, nie odniosła skutku, tego dnia w niebie otworzyła się dla niej mała szczelina. A może Bóg postanowił trochę się zabawić ludzkim kosztem. W każdym razie w pewnej chwili do kaplicy, w której każdego popołudnia państwo Lledó spotykali się z ojcem Espiną, wpadła Àgata i przerywając modlitwę, szepnęła do ucha swojej chlebobawczyni:

– Wybacz pani, ale to pilne. Pewna kobieta twierdzi, że odnalazła waszą córkę, Helenę.

– Moja córka nie żyje! – warknął pan Pacià, słysząc słowa gospodyni.

Àgata opuściła wzrok i ze strachem schowała ręce za plecami.

Tymczasem pani Consol, która była przede wszystkim matką, a potem żoną, rzuciła się w kierunku wyjścia, próbując opanować zdenerwowanie, i pomyślała: „Boże mój, nie narażaj mnie na takie obawy. Oby prawdą było, że moja córka żyje, i żebym mogła utulić ją w ramionach. O mój Boże!”.

W holu rezydencji rodziny Lledó stała zakonnica o twarzy pomarszczonej jak rodzynek i w znoszonym habicie. Opierając rękę na klamce drzwi wejściowych, wsłuchiwała się w pobrzękiwanie trzystu pięćdziesięciu czterech kryształków żyrandola i wpatrywała się w perski dywan z przeświadczeniem, że już samym przebywaniem w takim miejscu pełnym przepychu łamała śluby ubóstwa.

Pani Consol przywitała ją nerwowym skinieniem.

– Witam w Casa Lledó. Czy zechce siostra przejść ze mną do salonu?

Zakonnica cofnęła się o krok i spojrzała na panią Consol – ubraną w suknię z czarnego adamaszku i naszyjnik z pereł z kameą ozdobioną masą perłową – jak na wcielenie diabła.

– Nie, nie, dziękuję pani.

– W takim razie proszę mi wyjawić powód wizyty.

Zakonnica wzięła głęboki oddech i wskazała palcem na emblemat Hospital de Barcelona wyhaftowany na habicie.

– Jestem siostra Teòfila i należę do Wspólnoty Sióstr Szpitalnych od Świętego Krzyża. Kilka dni temu do bram naszego szpitala zapukała dziewczyna ubrana tylko w bawełnianą koszulę i haftowany szal. Zanosila się od kaszlu. Bóg jeden

wie, że każdego dnia trafiają do nas podobne jej bezdomne dusze, na których wargach wymalowane jest wieczne potępienie. Tymczasem od tej dziewczyny było coś wyjątkowego. – Zakonnica uniosła wzrok i spojrzała na kryształowy żyrandol. – Może chodziło o jej oczy czyste niczym deszcz.

Pani Consol stłumiła krzyk. Jej córka miała właśnie takie spojrzenie.

Zakonnica chwyciła drewniany różaniec zwisający u jej pasa i mówiła dalej:

– Zapewne pani wie, iż mimo naszych starań i łaskawości markiza de Llupià środki szpitala są bardzo ograniczone. Utrzymujemy się dzięki dobremu sercu darczyńców, a przede wszystkim dzięki błogosławieństwu bożemu i ochronie Dziewicy Maryi. W budynkach szpitalnych jest zbyt mało miejsca, a potrzeby są wielkie. Mogłyśmy jej zaoferować jedynie łóżko i odrobinę stawy. Niestety nie zbadał jej lekarz.

Pani Consol ukryła rozpacz w grymasie uśmiechu.

– To znaczy, że wciąż jest żywa...

Siostra Teòfila odważyła się nadepnąć na perski dywan i podeszła bliżej do kobiety, która coraz bardziej przypominała matkę, a nie diabła.

– Tak, proszę pani. Wczoraj w nocy jej stan był bardzo ciężki. Siedziałam przy niej i słyszałam, jak w gorączce wołała po imieniu swoją matkę.

Pani Consol wyciągnęła do tyłu rękę w nadziei, że stojąca przez cały czas przy niej Àgata uchroni ją przed upadkiem.

Tymczasem zakonnica, ściskając różaniec, mówiła dalej:

– Wiemy, że dziewczyna majaczyła. – Siostra Teòfila obserwowała drżenie ust pani Consol. – Jednak matka przełożona zgodziła się, żebym tutaj przyszła i przekazała państwu tę wiadomość. Nawet jeśli doszło do nieporozumienia i ta dziewczyna jest tylko państwa byłą służącą, która teraz błaga państwa o pomoc, zawsze w podobnej sytuacji staramy się zrobić wszystko, o co prosi chory, ponieważ przy odrobinie szczęścia to może mu uratować życie.

Pani Consol przełknęła ślinę i starała się opanować, aby zrozumieć, że zakonnica nie powiedziała niczego pewnego o jej córce. Może tak było lepiej?

– Jeśli siostra pozwoli, chciałabym się porozumieć w tej sprawie z moim mężem. Proszę zaczekać w salonie. Àgata zaraz siostrze poda mszalne wino i maślane ciasteczka z cynamonem.

Siostra Teòfila powinna się oprzeć tej kuszącej propozycji, ale maślane ciasteczka z cynamonem były jej słabością.

Kiedy pani Consol wróciła do kaplicy, pan Pacià klęczał na ławce przed ołtarzem z marmurową piętą.

– Musimy porozmawiać!

Słyszając głos żony, mężczyzna zmrużył oczy, spojrzał na ojca Espina, a potem poczekał na błogosławieństwo i wstał.

– Mów, kobieto. Co ci naopowiadali?

– Znaleźli ją! Jest chora, ale żyje!

Pan Pacià naciągnął surdut i skinieniem głowy pożegnał księdza, który z chęcią by został, żeby posłuchać relacji pani Consol.

– Kto ją znalazł?

– Zakonnica ze szpitala. Powiedziała, że przed kilkoma dniami w szpitalu zjawiała się bardzo chora dziewczyna, która wołała nas w gorączce.

Pan Pacià wybuchnął śmiechem.

– Ależ jesteś głupia! Z tego powodu tyle zamieszania? Wszyscy biedacy mają urojenia o bogactwie. Każdy może wymawiać nasze nazwisko!

Pani Consol zbliżyła się do męża, ujęła jego rękę i spojrzała na niego świdrującym wzrokiem.

– Zakonnica oznajmiła, że dziewczyna ma jasne oczy.

Pan Pacià wyzwolił się z uścisku żony, odwrócił się i odchrząknął, czując ucisk w gardle na wspomnienie oczu Heleny.

Tymczasem pani Consol mówiła dalej:

– Musimy ją stamtąd zabrać, bo inaczej umrze. Nie chcę myśleć, w jakich przebywa warunkach. Nie widział jej nawet lekarz! Natychmiast tam idę.

Pan Pacià odwrócił się raptownie.

– Co? Nigdzie nie pójdziesz! Mam ci przypomnieć, że twoja córka skalała dobre imię rodziny i zaprzepaściła wszystkie plany, które z nią wiązaliśmy? Dała się zhańbić malarzynie bez nazwiska i pieniędzy! Sama wybrała taki los. To nie jest już moja córka!

– Może nie twoja, ale ja nosiłam ją w swoim łonie i jeśli nie jesteś w stanie jej wybaczyć, ja to zrobię.

Pan Pacià doskonale znał swoją żonę i wiedział, że w pewnych kwestiach nie był w stanie jej przekonać. To była jedna z nich. Wziął głęboki oddech i spojrzał na sufit. Do tej pory nie zwrócił uwagi, że fresk przedstawiający zwiastowanie tak bardzo wyblakł. Powinni go jak najszybciej odrestaurować, aby nie dać ludziom powodów do plotek.

– Czy ktoś ją rozpoznał?

Pani Consol nerwowo potarła dłonie.

– Nie jestem pewna, ale chyba nikt. Musiała podać fałszywe nazwisko, bo zakonnica zasugerowała, że może być naszą byłą służącą. Moja biedna mała córeczka!

– Boże drogi, trochę zdrowego rozsądku! Czy to oznacza, że nikt nie wie, kim ona jest?

– Czuję, że to nasza córka! Sprowadzę ją do domu, a jeśli ktoś się o tym dowie, będziemy musieli się z tym pogodzić.

Pani Consol uznała rozmowę za zakończoną i ruszyła w stronę drzwi. Ale pan Pacià zagroził jej drogę.

– Nigdzie się stąd nie ruszysz, a tym bardziej nie sprowadzisz jej tutaj. Pamiętaj, że prowadzimy fabrykę. Jeśli interes upadnie, wszyscy na tym ucierpimy. Jeśli cokolwiek musisz zrobić, to powiedz, że to twoja dawna służąca, przekaz jej coś do jedzenia, ale niech pozostanie tam, gdzie jest. W ten sposób pokażemy wszystkim, że służba może liczyć na nasze współczucie i dobre serce, nawet jeśli na to nie zasługuje.

– To ty nie zasługujesz na to, co masz! – Pani Consol próbowała odsunąć męża od drzwi. – Pozwól mi wyjść, Pacià! Przywiozę moją córkę do domu bez względu na to, czy ci się to podoba, czy nie!

Pan Pacià wyobraził sobie, jak jego imperium i nazwisko Lledó, na które pracował w pocie czoła, zamienia się w proch u podnóża piety na ołtarzu. Złapał żonę za ramiona i nią potrząsnął.

– Opamiętaj się, kobieto! Co powiedzą na to twoje przyjaciółki? Nie rozumiesz tego? Przystaniemy być zapraszani na przyjęcia i bale. Baron, którego tak podziwiasz, nie będzie chciał nic o tobie wiedzieć, a ja stracę kredytodawców. Pożegnaj się z przyjaźniami i interesami. W ten sposób zaprzepaścimy szansę na sfinansowanie eksportu naszych produktów. Koniec z rozbudową fabryki i jej rozwojem.

Po tych słowach pan Pacià zauważył, że jego żona zatrzymała się na chwilę, dlatego szybko stwierdził pojednawczym tonem:

– Może powinniśmy ratować Helenę przed sprawiedliwą boską karą, ale zapewniam cię, że w ten sposób zniszczymy siebie. Stracimy ten naszynik z pereł, który nosisz, dom i służbę. Nic nam nie pozostanie! Bez możliwości rozwoju przestaniemy istnieć. Pomyśl o naszym synu Domènecu i wnukach, Marçalu i Fèliksie. Jakie czeka ich życie, jeśli stracą nazwisko? Czy naprawdę chcesz upadku rodu Lledó i Doliu? Co powiedzieliby na to twoi przodkowie? Co powiedziałyby twoja matka?

Widząc jednak coraz bardziej surowe spojrzenie żony, pan Pacià powoli schodził jej z drogi.

– Jeśli jesteś gotowa zniszczyć plany całej rodziny, jej dobrobyt, a także okryć hańbą nazwisko twoich przodków, proszę bardzo. Idź, nie będę cię zatrzymywał.

Wychodząc z kaplicy, pani Consol oparła się o drzwi. Słowa męża chłostały jej skórę i wysysały z niej krew. Upadła na kolana. Jej dusza opuściła ciało i błąkała się po kaplicy, objijając się o fresk zwiastowania i postać Matki Boskiej płaczącej nad swoim nieżyjącym synem.

Pan Pacià cofnął się o krok i lekko uśmiechnął.

Zakonnica rzuciła się na maślane ciasteczka jak wygłodniały lew. Na szczęście zanim poczuła wyrzuty sumienia, do salonu weszła pani Consol.

– Bardzo przepraszam, siostrze Teòfilo. Na podstawie tego, co mi siostra powiedziała, doszliśmy z mężem do wniosku, że ta nieszczęsna dziewczyna z pewnością jest moją służącą, która opuściła nas kilka miesięcy temu. Jeśli siostra się zgodzi, chciałabym odwiedzić ją jutro rano.

Zakonnica pokiwała głową, zerwała się z kanapy obitej bordowym aksamitem, jakby palił ją ogień piekielny, i ruszyła do wyjścia w towarzystwie diabła z ogonem z adamaszku.

Pani Consol zatrzymała się tuż przed drzwiami.

– Serdecznie siostrze dziękuję za fatygę. Nasz woźnica odwiezie siostrę do szpitala. Wkrótce przekazemy wspólnocie odpowiednią darowiznę. Z wielkim



szacunkiem podziwiamy pracę, jaką siostry wykonują.

– Państwa wsparcie będzie mile widziane, proszę pani. Praca ku chwale Pana nigdy nie ma końca. – Zakonnica skłoniła się i chciała już wyjść, ale nikła nadzieja na zbawienie ludzkich dusz, a może wiara w miłosierdzie Matki Boskiej, matki wszystkich matek, kazała się jej odwrócić, gdy przekraczała próg. – Pani Lledó, nie wspomniałam o tym wcześniej, bo myślę, że to niczego nie zmienia, ale... dziewczyna jest w ciąży.

Nie czekając na odpowiedź – siostra Teòfila wiedziała, że zbawienie duszy nie jest kwestią jednego dnia – zeszła po schodach. Z każdym krokiem, z którym oddalała się od Casa Lledó, czuła coraz większą ulgę po tym, jak zostawiła ciężar kiełkujący we wnętrzu pani Consol, który później będzie się rozrastał niczym bluszcz pod czarną błyszczącą suknią, utrudniał oddychanie i mącił myśli. „Zdrowaś Maryjo, łaskiś pełna”.

Przy drzwiach dla służby w rezydencji rodziny Lledó rozległ się dzwonek.

Marianna wolałaby uciec od zapachu tego domu, wielu lat wspomnień i tego, co ją czekało w środku. Zamknęła oczy, czując zimny dotyk lufy pistoletu, który był wycelowany w jej brzuch. Wiedziała, że Calabuig byłby zdolny ją zastrzelić i zrobić jeszcze więcej gorszych rzeczy. Kobieta wzięła głęboki oddech.

Rozczochrany i zaspany służący uchylił drzwi, które Calabuig otworzył na oścież jednym pchnięciem.

– Odsuń się, chłopcze! Czy pan już wstał?

Lampa w rękach służącego zaczęła drżeć.

– Tak, proszę pana. Jest w gabinecie.

Calabuig gwałtownie wyrwał mu lampę, drugą ręką chwycił Mariannę i pociągnął do kuchni.

– Teraz poczekasz tutaj grzecznie, a ja rozmówię się z panem.

Kazał Mariannie usiąść na krześle i szukał wzrokiem służącego, który stał przy drzwiach, nie wiedząc, co ma robić.

– Chodź tutaj, chłopcze! Zwiąż jej tym sznurkiem ręce z tyłu. Mocno i żebym to widział!

Służący posłusznie wykonał polecenie i przywiązał ręce Marianny do oparcia krzesła. Jednak nie miał odwagi zaciągnąć mocno wężła.

Calabuig się zdenerwował.

– Odsuń się, wymoczku! Sam to zrobię!

Naciągnął sznur i zacisnął go na nadgarstkach. Marianna próbowała się wyrwać. Calabuig zbliżył usta do jej ucha.

– Boli? Bardzo dobrze! Przyzwyczajaj się!

Marianna przez zaciśnięte usta wysyczała:

– Ty łajdaku!

Calabuig się zaśmiał.

– Patrzcie państwo, co za maniery! Nie cieszy cię mój widok? A ja włożyłem tyle wysiłku, żeby cię odnaleźć! Wreszcie poszczęściło mi się z tym głupim notariuszem, który potrafił tylko jęczeć z bólu.

– Co mu zrobiłeś? On nic nie wiedział!

– Niby nic nie wiedział? To po co odwiedził cię tydzień temu?

Marianna odwróciła od niego twarz.

Calabuig wciąż się uśmiechał.

– Cóż, przesłuchanie cię pozostawiam panu. Jestem pewien, że się ucieszy!

Calabuig podszedł do służącego, który zrobił krok w tył.

– Zostawiam ją pod twoją opieką. Jeśli zrobi chociaż jeden podejrzany ruch, strzelaj. – Przystawił pistolet do czoła chłopaka. – Ale jeśli wrócę, a jej nie będzie, to zastrzelę cię. Rozumiesz?

Służący przełknął ślinę, pokiwał głową i wziął pistolet w drżące ręce.

Calabuig zatrzymał się w progu, jakby coś mu się przypomniało.

– Celuj dobrze, chłopcze, bo ona ma więcej szczęścia niż inni!

Służący wciąż kiwał głową. W końcu za Calabuigem drzwi zamknęły się z hukiem. Chłopak wciągnął koszulę w spodnie, a później oburącz trzymał pistolet, czując wielki ciężar odpowiedzialności.

Marianna uniosła wzrok i przyjrzała się swojemu odbiciu w szybie drzwi. Z rozplecionym warkoczem i opadającymi na czoło kosmykami wyglądała jak żebraczka. Westchnęła, ukrywając wstyd, który jej podszeptował, że pani Consol by jej nie poznała, gdyby jeszcze żyła. Może on też jej nie pozna?

Światło księżycy wdzierało się do kuchni przez wysokie świetliki i rozjaśniało kontury pomieszczenia. „Właściwie to nic się tutaj nie zmieniło – pomyślała Marianna. – Te same szafki, kredens z talerzami, piec, a pośrodku sosnowy stół, pod którym chowała się z Fèliksem, żeby podkraść maślane ciasteczka z cynamonem”. Po przeciwległej stronie znajdowała się spiżarnia, a w niej błękitne ceramiczne naczynia do przechowywania ziół. Jej ziół.

Marianna przełknęła ślinę. Mocno zacisnęła pięści i pociągnęła za sznur, który ranił jej nadgarstki. Szybko się zniechęciła. Strach pożerał jej myśli. „Boże, który jesteś w niebie, od wielu lat o nic cię nie proszę, ale jeżeli mnie teraz słyszysz, pomóż mi opuścić ten dom, zanim go zobaczę. Boże mój, zanim on mnie zobaczy i powróci do mojego życia. Błagam cię ponad wszystko”. Westchnęła i zerknęła na służącego, który miał delikatną cerę i spojrzenie pozbawione trosk.

– Ile masz lat?

– Czternaście.

Marianna pokiwała głową.

– Kiedy byłam w twoim wieku, też mieszkałam w tym domu.

Służący uniósł brwi, nie opuszczając pistoletu.

Marianna przyglądała mu się z uwagą.

– Czyim jesteś synem?

Chłopiec zawahał się.

– Kucharki Carmety.

– Carmety? Najlepszej cukierniczki w Barcelonie? Robiła najdoskonalsze w mieście maślane ciasteczka z cynamonem!

Na te słowa chłopakowi rozjaśniła się twarz, ale zaraz potem przypomniał sobie o powierzonym mu zadaniu.

– Niech pani milczy, inaczej pan Calabuig...

– Pewnego dnia zrozumiesz, że Calabuig, podobnie jak pan tego domu, nie zawsze ma rację.

Służący cmoknął ze zniecierpliwieniem.

– Z całym szacunkiem, ale czasami inne argumenty biorą górę nad rozsądkiem.

– Pewnie masz rację... Rozgarnięty z ciebie chłopak. Czym się zajmuje twój ojciec?

Marianna zauważyła, że nieznacznie opuścił lufę pistoletu i wypiął pierś.

– Nic pani do tego.

Kobieta spojrzała na niego wyrozumiale.

Chłopak zawahał się i opuścił głowę.

– Zginął na wojnie. Ale to było dawno temu.

Marianna zauważyła ledwo dostrzegalny grymas wściekłości na jego twarzy i zastanawiała się, czy mistrz Fabra i ojciec chłopaka spotkali się po drugiej stronie morza.

– Wiesz, co wyznał mi kiedyś pewien dobry człowiek, który też zginął na wojnie? Powiedział, że Bóg często powierza swoim sierotom bardzo ważne zadania. Czy wiesz dlaczego?

Chłopak jeszcze trochę rozluźnił uścisk na uchwycie pistoletu i pokręcił głową.

Marianna zamknęła na chwilę oczy i wzięła głęboki oddech.

– Dlatego że nie mają nic do stracenia.

Chłopak opuścił wzrok i pistolet.

Nagle zaskoczył ich hałas. Àgata, niemal taka sama, jaką pamiętała ją Marianna, chociaż z bardziej posiwiałymi włosami i większą liczbą zmarszczek wokół ust od nadmiaru spraw, które musiała trzymać w tajemnicy – „gdyby ściany tego domu mogły mówić, rodzina byłaby w potrzasku” – weszła do kuchni pewnym krokiem.

– Co tutaj robisz, Robercie? Och, Najświętsza Panienko, co to za broń? A kto to...?

Zaskoczona Àgata zakryła usta, cofnęła się dwa kroki i uderzyła plecami o drzwi, a potem się o nie oparła.

– Niemożliwe...

Marianna pokiwała głową.

– Tak, tak, to ja, Àgato.

Gospodyni podbiegła do Marianny i odgarnęła jej włosy z twarzy.

– Te same modre oczy...

Àgata objęła ją czule, ale po chwili zauważyła, że Marianna nie mogła odwzajemnić jej uścisku.

– Ależ, panienko...

– Związał mnie Calabuig i rozkazał chłopcu, żeby trzymał mnie na muszce.

Àgata odwróciła się do Roberta i pogroziła mu pięścią.

– Chodź tutaj i pomóż mi rozwiązać panią.

Robert nic z tego nie rozumiał, ale zbliżył się do nich niepewnie i oszołomiony zatrzymał się w pół drogi.

Àgata otworzyła szufladę w stole i wyjęła z niej nóż.

– Dalej, chłopcze, nie słyszałeś mnie? Pospiesz się i odłóż ten piekielny pistolet. Nie wiesz, że to nie jest zabawka? Gdyby matka cię zobaczyła, dałaby ci popalić!

– Ale pan Calabuig...

– Pan Calabuig, pan Calabuig! On nie zawsze ma rację! A nawet gdyby miał, to nie będzie rządził w tym domu! Pracuję tu od ponad czterdziestu lat i zapewniam cię, chłopcze, że ta szumowina nie będzie mi mówiła, co mam robić.

Marianna spojrzała na służącego, puściła do niego oko i się uśmiechnęła. On odwzajemnił jej uśmiech i podszedł do niej, żeby rozwiązać sznur.

Àgata położyła dłonie na policzkach uwolnionej Marianny jak lekarz badający pacjenta.

– Najświętsza Maryjo, wszyscy myśleliśmy, że panienka zaginęła. Albo stało się coś jeszcze gorszego! Jest panienka jakaś... inna.

Marianna wstała i wygładziła spódnice.

– Minęło wiele lat, Àgato, i dużo się wydarzyło.

Gospodyni po raz pierwszy zwróciła uwagę na bliznę po oparzeniu nad ustami Marianny.

– Co się panience stało?

– To nic takiego. Bruzdy, które pozostawia życie.

Àgata pokręciła głową.

– Nie miała panienka dwudziestu lat, kiedy uciekła... Nawet panienka sobie nie wyobraża, jak żarliwie się modliłam! Gdzie panienka była przez te lata?

Marianna przełknęła ślinę.

– Gdzieś, gdzie nikt nie mógł mnie znaleźć. Przybrałam inne nazwisko i rozpoczęłam nowe życie.

Àgata wyczuła w jej słowach strach.

– W takim razie niech panienka stąd czym prędzej ucieka! – Podeszła do drzwi dla służby i je otworzyła. – Uciekaj, dziecko, zanim wrócą. Odkąd panienka zniknęła, pan bardzo się zmienił. Kto wie, do czego teraz jest zdolny.

Marianna stała nieruchomo, wpatrując się w kuszącą ciemność nocy za drzwiami. Nagle szelest liści poruszonych przez wiatr przywołał pewne wspomnienie. „Dlaczego te ryby się nie ruszają, Fèliksie? Czy one umarły?”. A on odpowiedział: „Nie ruszają się, bo śpią”.

Do kuchni wpadł podmuch powietrza, wprawiając w drżenie płomień lampy naftowej. Marianna usłyszała głosy, jakby potrząsały nią duchy z przeszłości: „Dla mnie liczy się tylko życie u twojego boku, Marianno”. Ręka Fèliksa

wycinająca litery na pniu lipy... „Jak mogłeś? To był twój brat! Rodzony brat!”. Deszcz spływający po jej włosach, pelerynie, a potem ucieczka.

Służący podszedł do Marianny.

– Panienko?

Spojrzała na chłopca o delikatnej skórze i beztroskim spojrzeniu i zacisnęła pięści, szykując się, żeby stawić czoło duchom przeszłości.

– Nie, Ágato, tym razem nie będę uciekać.

– Dlaczego te ryby się nie ruszają, Fèliksie? Czy one umarły?

– Nie ruszają się, bo śpią.

– Jak mogą spać o tej porze?

Biel bosych dziecięcych stóp kontrastowała z zielonoburą wodą sadzawki przy Casa Lledó. Na środku stawu stała marmurowa nimfa, która wylewała wodę z dzbana, a ryby migwały wśród nenufarów jak czerwone podłużne plamki.

Marianna niechcący zamoczyła rąbek komunijnej sukienki i obawiając się gniewu Sibilli, trochę ją podwinęła i odsłoniła pończochy.

Nagle Fèlix jednym susem wskoczył do stawu. Woda sięgała mu prawie do pasa, a jego krótkie spodnie wydymały się jak napompowane.

– Jeśli chcesz, zerwę dla ciebie lilie!

– Nie, Fèliksie, twoja mama będzie się na ciebie gniewała!

Spojrzał na dziewczynkę, marszcząc nos.

– Zawsze przejmujesz się dorosłymi!

– Nie, to nieprawda!

– Ależ tak! – Wskazał palcem rybę. – Spójrz! Ta ci się podoba? Zobacz, jaka duża!

Ryba mierzyła ponad dziesięć centymetrów. Fèlix pochylił się, żeby lepiej jej się przyjrzeć.

– Wokół oczu ma żółte otoczki! Poczekaj. Zaraz ci pokażę...

Podciągnął rękawy białej lnianej koszuli i odgarnął z czoła kręcone kosmyki. Niczym przyczajony dziki kot powoli zbliżył ręce do wody. Marianna wstrzymała oddech. Miała wrażenie, że nawet pszczoły przestały na chwilę brzęczeć nad lipą. Fèlix zrobił szybki ruch prawą ręką, a lewą złapał rybę.

– Mam ją! Mam ją! Złowiłem ją dla ciebie, Marianno!

Najchętniej wskoczyłaby do sadzawki, żeby obejrzeć rybę, ale w końcu się powstrzymała, żeby bardziej nie zmoczyć sukienki.

– Mogę jej dotknąć?

Fèlix pokiwał głową.

Marianna przesunęła ręką po łuskach.

– Jaka delikatna!

Ryba, poruszając skrzelami, oddychała z coraz większym trudem.

– Biedna, chyba cierpi. Wypuść ją, Fèliksie!

– Już? Dopiero ją złowiłem!

– Nie widzisz, że się dusi? No dalej, wypuść ją...

Fèlix obserwował Mariannę wpatrzoną w cierpiącą rybę, która przestała ruszać ogonem i coraz wolniej oddychała.

Kiedy dziewczynka uniosła na niego wzrok, chłopak poczuł się zakłopotany, a jednocześnie wyprostował się, żeby wyglądać jak prawdziwy mężczyzna.

– Puszczę ją, jeśli mnie pocałujesz!

Marianna spojrzała na niego zdziwiona.

Fèlix, który do tej pory stał w wodzie z rybą w dłoniach, odwrócił się i usiadł w mokrych spodniach na kamiennej barierce obok dziewczynki.

Plusk wody wylewającej się z dzbana nimfy tłumił ich zawstydzenie. Blask słońca odbijał się w wodzie i rozbłyskiwał w oczach Marianny. Dziewczynka zamknęła je i wstrzymała oddech.

Fèlix zbliżył się do niej i dotknął wargami jej ust.

Tym pocałunkiem powiedzieli sobie ciche i słodkie słowa, które na chwilę zatrzymały czas, wodę i pszczoły. Przeniknęły przez ich usta, spłynęły do piersi i zakamarków serc, żeby schować się przed życiem, które ich czekało.

Odzyskali oddech i spojrzeli na siebie.

Fèlix wrzucił rybę do stawu.

Odgłos kroków Marianny idącej przez rezydencję rodziny Lledó brzmiał jak dzwony bijące za zmarłych – pewnie i rozpoznawalnie. Àgata prowadziła ją ciemnymi korytarzami dla służby do schodów na pierwsze piętro.

– Jest panienka tego pewna? Może panienka jeszcze uciec...

Marianna weszła na pierwszy stopień i odwróciła się do Àgaty. Na jej twarzy nie było widać wahania.

– Zbyt długo byłam jak w letargu, Àgato. Zrobiłaś dla mnie już wystarczająco dużo, a wiesz, jak bardzo teraz ryzykujesz. Wracaj do łóżka i nie martw się. Dam sobie radę.

Àgata zmarszczyła czoło, skłoniła się Mariannie z oddaniem, pomrukując pod nosem, że do serca nie trafi się rozumem i wynikną z tego same zmartwienia, a potem przyjrzała się ze smutkiem kobiecie wchodzącej po schodach.

W domu panowała cisza. Marianna weszła do pokoju muzycznego. Księżyc zaglądał przez okna i odbijał się w fortepianie. Jej fortepianie. Powiodła dłonią po brzegach instrumentu i wspominała, jak na nim grała, kiedy jeszcze jej palce nie pierzchły z zimna od wielogodzinnego szycia.

Włożyła ręce do kieszeni spódnicy i wróciła na korytarz. Przez zamknięte drzwi gabinetu słychać było Fèliksa.

– Nie wiem, w co trudniej mi uwierzyć, Calabuigu. W to, że mnie okłamałeś w kwestii jej śmierci, czy w to, że nadal żyje. Gdzie jest teraz?

Marianna wzięła głęboki oddech, zacisnęła pięści i otworzyła drzwi.

– Tutaj.

Fèlix, który stał tyłem do wejścia, nagle się odwrócił. Ich spojrzenia się spotkały.

Calabuig podbiegł do Marianny, złapał ją za ramię i wbił w nie paznokcie.

– Przeklęta czarownico!

Starala się uwolnić od bolesnego uścisku.

Fèlix natychmiast rzucił się na najemnika i odsunął go jednym pchnięciem.

– Puść ją!

– Ależ, panie...

Fèlix wskazał palcem drzwi.

– Wynoś się i zostaw nas samych!

Calabuig spojrział z nienawiścią najpierw na swojego chlebodawcę, a potem na kobietę i zacisnął zęby. Najchętniej jeszcze raz by wzniecił pożar.

– Jak pan sobie życzy.

Wyszedł i zatrzaskał za sobą drzwi.

Fèlix i Marianna stali naprzeciwko siebie, nie mając odwagi się poruszyć. Tymczasem zegar należący kiedyś do pana Pacià jakby odliczał czas, który minął od ich ostatniego spotkania.

Fèlix zamrugał.

– Więc żyjesz...

– Czy to jest wyrzut?

– Ależ nie, wręcz przeciwnie.

Marianna odwróciła wzrok, nie chcąc patrzeć mu w oczy, i podeszła do kominka.

Nad kominkiem, gdzie wcześniej wisiał portret seniora rodu, pana Pacià, teraz znajdował się portret Fèliksa, który był szczuplejszy od dziadka, miał kręcone włosy zaczesane do tyłu, szare oczy i posępną minę.

Marianna uśmiechnęła się kpiąco.

– Rodzinna rezydencja, fabryka, interesy, portret nad kominkiem... Widzę, że osiągnąłeś wszystko, co chciałeś.

Fèlix milczał, pozwalając, aby trzask ognia zagłuszył ironię tych słów. Podeszedł do Marianny od tyłu.

– Dziewięć lat, pięć miesięcy i siedem dni. Gdzie byłaś przez ten czas?

– Z dala od ciebie. W ukryciu. Gdzieś, gdzie mogłam żyć spokojnie.

Mężczyzna westchnął.

Marianna poczuła, że coś wyssało powietrze z jej płuc i zdusiło w niej odwagę. „Boże, daj mi siłę”.

Fèlix położył rękę na jej ramieniu.

– Dlaczego uciekłaś?

Kobieta odwróciła się do niego i rzuciła mu śmiałe spojrzenie.

– Gdybym została, musiałabym wybaczyć coś, co jest niewybaczalne.

Stali tak blisko siebie, że czuła jego oddech, a on przypominał sobie każdy szczegół jej twarzy.

Fèlix przełknął ślinę. Wpatrywał się w zniszczoną przez lata cerę Marianny i jej modre oczy. Wyciągnął rękę i dotknął jej ust.

– Ten ślad...

Odwróciła twarz i przypomniała sobie otaczający ją dym, spadającą belkę i uderzenie w brzuch.

– Naprawdę nie wiesz? Jestem pewna, że twój najemnik może ci to wyjaśnić ze szczegółami.

– Marianno, ja... Gdybym tylko wiedział, że...

Chciał ją pogłaskać po policzku, ale Marianna odwróciła twarz w stronę drzwi.

– Czas na usprawiedliwienia już minął.

Poczuła, jak spojrzenie Fèliksa wchodzi głęboko w jej wnętrze, docierając do miejsca, którego nikt nie widział. Wzdrygnęła się i pozwoliła, aby dotarł do niej jego zapach – mieszanka cedru i cygar.

Mężczyzna znów westchnął.

– Nie masz pojęcia, jak trudno było mi żyć z myślą, że zginęłaś.

Czas stanął w miejscu, ale rany są zbyt głębokie, żeby przerwać milczenie.

Nagle, jakby poruszony ręką pana Pacià, który z zaświatów mścił się za śmierć jednego z wnuków, zegar wybił wpół do trzeciej i przełamał zaklęcie.

Serce Marianny znów ożyło, a żal gdzieś się ulotnił.

– To wszystko nie ma sensu.

Ruszyła w stronę drzwi, a Fèlix podążył za nią. Odwróciła się przed drzwiami.

– Przyszłam tylko, aby cię ostrzec, że wiem o wszystkim i mam w posiadaniu dokument, który potwierdza fakty. Zapewne sądziłeś, że ukryjesz je przede mną na zawsze albo przynajmniej do czasu zaspokojenia swoich ambicji. Nic z tego. Twój brat Marçal był sprytniejszy, niż można się było spodziewać. Dzięki tobie dowiedziałam się, co znaczy nie mieć nic do stracenia!

– Ależ, Marianno...

Nie chciała go słuchać, bo wiedziała, że to ją pozbawi odwagi.

Fèlix podszedł do niej i spojrzał na nią błagalnie.

– Skoro wróciłaś, proszę cię, nie odchodź. Potrzebuję cię.

Marianna zacisnęła rękę na zimnej klamce.

– Nie potrzebujesz mnie.

– Potrzebuję twojej miłości.

– Nie, potrzebujesz przebaczenia, ale nie mojego.

Otworzyła drzwi.

Tymczasem Fèlix złapał ją za ramię.

– Wiedz, że jeśli odejdziesz, będę cię szukał.

Uwolniła się szarpnięciem z jego uścisku.

– A ja będę na ciebie czekała.

Wyszła z gabinetu, przemierzyła hol przy akompaniamencie trzystu pięćdziesięciu czterech pobrzękujących kryształków żyrandola i tuż przed drzwiami wejściowymi wzięła głęboki oddech. Przemknęło jej przez myśl, że skoro nie ma nic do stracenia, może walczyć.



# Dzień drugi

Poniedziałek, 4 kwietnia 1870 roku

Miranda:

O cuda! Ileż pięknych stworzeń widzę!  
Jak pełny wdzięków ludzki ród na Ziemi!

William Szekspir<sup>1</sup>

Barcelończycy!

Niektórzy z Was – bardziej uwiedzeni chwilowym uniesieniem niż kierujący się zdrowym rozsądkiem – zakłócili porządek publiczny pod pretekstem przeciwstawienia się werbunkowi poprzez losowanie.

Niezwykłe ubolewam nad takim skrajnym postępowaniem i pociesza mnie jedynie fakt, że przeważająca większość mądrych mieszkańców naszego miasta przygląda się z obojętnością jałowemu agitacjom podżegaczy.

Tego rodzaju niepokoje zawsze pociągają za sobą nieszczęście. Odwołując się do Waszej rozwagi, liczę na to, że do niego nie dopuścicie.

Powróćcie do Waszych codziennych spraw, do pracy, z której utrzymujecie Wasze rodziny.

Sprawcie, żeby nie doszło do starć z wojskiem na ulicach. Podobne widowisko zupełnie nie odpowiada przedsiębiorczej naturze rozumnego i pracowitego ludu. Tym bardziej uczynicie zbędnym użycie tej siły, gdyż nawet najcenniejszemu zwycięstwu towarzyszą łzy.

Proszę Was, pójďte za przykładem wszystkich mieszkańców Barcelony, zajmijcie się swoim życiem i pracą, nie dając się omamić ognistym mowom oszustów, którzy chcą sprowadzić Was z drogi prawa i wolności.

Jeśli jednak los uczyni walkę konieczną, ostrzegam wszystkich uczciwych ludzi, którzy nie chcą wziąć w niej udziału, żeby pozostali w domu, kiedy usłyszą wystrzały z zamku Monjuïc, gdyż po dziesięciu minutach od trzeciego wystrzału rozpocznie się walka.

gubernator Facundo de los Ríos

Barcelona, 4 kwietnia 1870 roku

Nie było słyhać dzwonów. Ptaki nie ćwierkały. Dochodził tylko dźwięk czyichś kroków na błotnistej alei Gràcia.

Mariannie wydawało się, że oddaliła się od Casa Lledó o wiele szybciej niż wtedy, gdy uciekała stamtąd bez słowa pożegnania. Zatrzymała się, wyjmując spod gorsetu psalterz i przyciskając go do piersi. Pocałowała zniszczoną okładkę i przesunęła palcem po wyblakłych złotych literach: Psalterz Hiszpański. Podniosła wzrok ku niebu. „Ile potrzeba czasu, żeby oczyścić dobre

imię, matko, moje albo twoje?”, pomyślała. W pierwszych promieniach słońca poczuła słodki smak zwycięstwa. Miała wrażenie, że poprzedniego wieczoru wygrała bitwę. Schowała książeczkę, minęła fontannę przy alei Diagonal i poszła dalej ulicą Major. Słyszając krzyki i odgłosy zamieszania, Marianna przyspieszyła i skręciła w ulicę Jonqueres.

Na placu Constitució zebrał się tłum przy ognisku. Płomienie sięgały aż do balkonu ratusza, a unoszący się w powietrzu dym zasłonił dach dzwonnicy stojącej na środku placu. Marianna wyciągnęła szyję, żeby zobaczyć cokolwiek między głowami gawiedzi a płóciennymi transparentami, na których widniał napis: „Precz z werbunkiem!”.

Przeszła kilka kroków dalej i znowu wspięła się na palce.

Jakaś kobieta wykrzykiwała na całe gardło:

– Zgraja drani! Wyślijcie na wojnę swoje dzieci!

Inna kobieta wygrażała pięścią i wołała:

– Kłamcy!

Zapach potu mieszał się ze swędem popiołu i spaleniźny. Marianna, przedzierając się przez tłum, rozpoznała czarny szal Ermínii. Utorowała sobie drogę łokciami, żeby w końcu do niej dotrzeć.

– Co się dzieje? Gdzie jest Amàlia?

Ermínia odwróciła się do niej. Miała oczy opuchnięte ze zmęczenia.

– Marianno, gdzie się podziewałaś? – Zmierzyła ją wzrokiem i od razu zauważyła, że Marianna miała to samo ubranie co wczoraj, rozpleciony warkocz, ale była bez chusty. – Już myślałam, że nie przyjdiesz... Bałam się, że odeszłaś. Martwiłam się o ciebie.

Marianna nie chciała wdawać się w szczegóły.

– Nie, nie muszę nigdzie odchodzić.

Ermínia spojrzała na nią podejrzliwie.

– Cieszę się, bo potrzebujemy cię tutaj.

Uśmiechnęła się i delikatnie uszczypnęła Ermínię w ramię.

– Powiedz mi lepiej, co się dzieje.

Kobieta pokiwała głową.

– Ponieważ władze nas ignorują, Amàlia twierdzi, że powinniśmy wejść do ratusza siłą.

Zamilkły i zaczęły obserwować, jak przywódczyni próbuje się wdrapać na wóz w pobliżu ogniska. Marianna pociągnęła Ermínię, chcąc się przedostać do pierwszego rzędu ludzi zgromadzonych wokół wozu. Amàlia – z twarzą osmoloną sadzą i mokrą od potu – poprosiła o ciszę.

– Ludzie, stoimy tutaj już od jakiegoś czasu, robiąc zamieszanie, a jednak nikt się nie zjawiał, żeby z nami porozmawiać lub choćby nas wysłuchać. Powiadamy wam, że jeżeli oni nie przyjdą do nas, to my wejdziemy do środka! Zgadza się ze mną?

Od głośnego aplauzu w magistracie i pobliskich domach zatrzęsły się szyby. Amàlia przymknęła oczy, żeby się skupić.

– Wczoraj miało się odbyć losowanie. Na kogo by padło? Na twojego starszego syna, Marto? A może na twojego, Vicente? Ilu byśmy ich straciły? Zapewniam was, że to diabelskie losowanie prowadzi na pewną i niepotrzebną śmierć. – Cmoknęła z niesmakiem. – Danina z krwi, mówią! Niech ją sobie płacą bogaci! Albo właściciele odległych plantacji w koloniach, które leżą nie wiadomo gdzie! Ich to jednak nie obchodzi! Diabeł kocha bogaczy i polityków! Wykupują się i obserwują, co się dzieje, popijając kawę.

Tłum na placu zaczął skandować:

– To prawda! Śmierć bogaczom! Precz z werbunkiem!

Amàlia mówiła dalej pewnym głosem.

– Dwa lata temu, kiedy pomogliśmy im obalić wcześniejszych rządzących, obiecano nam zniesienie losowania rekrutów. Teraz, kiedy nas już nie potrzebują, zapomnieli o złożonych obietnicach.

Podmuch wiatru skierował płomienie ogniska na najbliższych stojących ludzi. Amàlia przytrzymała się belki wozu niczym kapitan dowodzący flotyllą okrętów.

– Kobiety, nasz los jest już przesądzony. Mamy ręce zniszczone od zimna, a na plecach dźwigamy ból i zmęczenie. Dzisiaj jednak możemy nadać sens naszemu wysiłkowi, bo chcemy uratować nasze dzieci! Na tym świecie przeżyją tylko ci, którzy głośno krzyczą, nie przemilczają spraw. Krzyczymy głośno! Powiedzmy dość! Dłużej tak nie może być! Pragniemy mieć przyszłość! – wołała Amàlia, trzęsąc całym wozem. – Jeżeli nasi synowie i mężowie muszą walczyć, niech to będzie walka w obronie naszej ziemi, domów, naszego życia! Spalmy listy do losowania i niech władze wiedzą, że nie ustąpimy. Niech się wreszcie dowiedzą, kim jesteśmy!

Kobiety i dzieci pod wpływem impulsu podbiegły do wozu i wyciągnęły ręce, żeby pomóc jej zejść.

– Tędy! Musimy wyważyć drzwi!

Marianna i Ermínia ruszyły w ślad za przywódczynią do drzwi ratusza. Amàlia uderzyła w nie kołatką z całych sił. Nikt nie odpowiedział. Szarpnęła drzwiami.

– Pomóżcie mi podnieść tę kłodę.

Ermínia pokręciła głową.

– Nie staranujemy nią drzwi.

– Zobaczysz, że gdy tylko trochę popuszczą zawiasy, to uda nam się je wyważyć!

Podniosły potężny drewniany kłoc, który leżał przy ognisku, i kazały się odsunąć ludziom stojącym przed ratuszem.

Amàlia dowodziła natarciem.

– Uderzymy na trzy, dobrze? Raz, dwa, trzy!

Z wściekłością przypuściły atak na drzwi, które zaledwie drgnęły.

Ludzie na placu wstrzymali oddech.

Marianna wytarła spocone dłonie w spódnicę, a stojąca za nią Ermínia

lamentowała:

– Nie uda nam się! To czyste szaleństwo!

Dołączyło do nich kilka kobiet.

Amàlia odwróciła się do nich i nieustannie dodawała im odwagi:

– Spróbujemy jeszcze raz! Z większą siłą na pewno nam się uda! Raz! Dwa! Trzy!

Niestety drzwi nie puściły, za to drewniany kloc nieco się ukruszył.

Amàlia poprosiła, żeby kobiety cofnęły się kilka kroków, i zawołała:

– Jeszcze raz! Z całych sił!

Przyłączyły się do nich kolejne kobiety i już nie było widać kłody, jakby atakowały drzwi gołymi pięściami.

Marianna miała poranione ręce od drzazg i wysiłku, ale krzyczała:

– Na trzy. – Odsunęły się kilka kroków. – Jeden, dwa, trzy!

W drzwiach zrobiła się niewielka szczelina.

– Udało się, udało! – zawołała zadowolona Amàlia. – Dalej, uderzajmy! Do przodu!

Ponownie złapały kłodę, skupiły wzrok na drzwiach i przygotowały się do kolejnego natarcia.

– Raz, dwa, trzy!

Drewniany kloc uderzył z głuchym łoskotem w drzwi, które w końcu ustąpiły i nieznacznie się otworzyły. Szczelina była wystarczająco duża, aby się przez nią przecisnąć.

Amàlia odwróciła się do tłumu i uniosła rękę.

– Udało się!

Wybuchnęła radość. Kobiety torowały sobie drogę rękami i łokciami, odpychając Mariannę.

W mgnieniu oka plac niemal opustoszał, a na pierwszym piętrze magistratu słyhać było łoskot. Okna balkonu otworzyły się z hukiem i deszcz potłuczonego szkła spadł u stóp Marianny. Na balkon wdarła się grupa krzyczących kobiet:

– Precz z werbunkiem! Niech żyje wolność! Niech żyje lud!

Marianna zauważyła nieopodal budynku ranną Ermínię, która siedziała skulona na ziemi. Podbiegła do niej.

– Dobrze się czujesz?

Ermínia przyłożyła rękę do głowy, gdzie z małej rany sączyła się krew.

Marianna pomogła jej wstać.

Tymczasem kobiety wyrzucały przez balkon szafki z archiwami i stoły. Niektóre meble wpadały prosto w ognisko, a inne, uderzając o ziemię, roztrzaskiwały się w drobne kawałki.

Marianna zasłoniła głowę.

– Musimy stąd uciekać, Ermíno.

W szpitalu Santa Creu w Barcelonie chorzy oswajali strach przed śmiercią krzykiem i zawrotem głowy. Jeśli piekło naprawdę istniało, to właśnie tu. Ciało

ludzkie skręcały się w makabrycznym tańcu. Leżeli na siennikach lub wilgotnej posadzce. Chorzy przykryci byli białymi prześcieradłami i trudno było rozpoznać, gdzie kończyło się jedno ciało, a zaczynało drugie. Można było odnieść wrażenie, że patrzy się na jedną istotę zasłoniętą wielkim całunem i czekającą na Sąd Ostateczny.

Helena Lledó miała szczęście, bo jedna z zakonnice o twarzy pomarszczonej jak suszony rodzynek ulitowała się nad nią i jej nienarodzonym dzieckiem. Zakonnica znalazła dla dziewczyny wolne łóżko w rogu sali dla kobiet i czuwała nad nią dniem i nocą, dopóki nie minęła gorączka. Siostra nakarmiła ją rosółem, dzięki któremu odzyskała siły i nadzieję, że może uda jej się przeżyć i urodzić dziecko. Kiedy zakonnica chciała odejść, Helena pokazała jej psalterz – jedyną pamiątkę po matce i swoim życiu w Casa Lledó – i poprosiła o przysługę.

– Siostra już tak wiele dla mnie zrobiła i nie chciałabym nadużywać dobroci siostry, ale pragnę napisać tutaj dedykację, moje ostatnie słowa.

Zakonnica zmierzyła Helenę wzrokiem i rozpoznała na jej ustach wymalowaną śmierć. Przełknęła ślinę. Matko Boska, matko wszystkich matek, zlituj się nad twoją córką. Skinęła głową i odeszła, klucząc między długimi rzędami całunów.

Helena ze spokojem przytuliła do piersi Księgę Psalmów i skuliła się na maleńkim łóżku, które zajmowała – ona i jej brzuch – starając się powstrzymać dreszcze, żeby nie zbudzić kobiety z potarganymi włosami, która przez całą noc wołała o pomoc, a teraz w końcu usnęła.

Helena spojrzała w sufit, przypominając sobie radę matki: „Kiedy patrzysz w niebo, z oczu nie spływają łzy”. Widok wysokiego i ascetycznego kamiennego sklepienia szpitalnej sali uświadomił jej, jak dawno nie była w kościele, i pomyślała, że może to wszystko było dla niej karą. Wiedziała jednak, że Bóg ukarał ją za coś więcej niż tylko za opuszczanie mszy. Nie była jednak pewna, czy zgadzała się z nim w tej kwestii.

Zakaszła i okryła się szczelniej prześcieradłem. Nagle skrzywiła się, czując silne ukłucie, i położyła się na boku.

Zastanawiała się, co chciałaby napisać w psalterzu, jeśli zakonnica zdąży przynieść jej pióro. Rozmyślała, czy dziecko, które nosi pod sercem, będzie dziewczynką, czy chłopcem.

– Najchętniej znienawidziłabym twojego ojca, ale nie mogę. Podobnie jak nie mogę nienawidzić ciebie – wyznała bezgłośnie.

Nie była pewna, czy żałuje ucieczki z Narcísem, ale wiedziała, że nie miała innego wyjścia, bo serce oddaje się drugiej osobie raz na zawsze. Niestety ani świat, ani jej rodzice tego nie zrozumieli.

Przez chwilę dała się ponieść wspomnieniu zapachu jaśminu rosnącego przy wejściu do Casa Lledó i woni kwiatów lipy w letnie popołudnie. Może w wieku zaledwie dwudziestu lat zrezygnowała z komfortowego życia, ale przeżyła miłość.

Narcís często ją malował, kiedy się rozbierała, leżącą nago na łóżku albo patrzącą przez małe okienko w pracowni przyjaciół, u których się ukrywali przez pierwsze dni po ucieczce. Był zdolnym malarzem. Wystarczyły mu trzy pociągnięcia pędzlem, żeby uwiecznić jej postać, a co więcej – jej duszę.

Helena jeszcze bardziej się skuliła.

Wkrótce nastała zima, a jej urósł brzuch. Wciąż słyszała w głowie krzyki Narcísa, które były coraz głośniejsze i rozdzierały jej duszę:

– Nigdy mnie nie zrozumiesz! Spójrz na siebie! Jesteś tylko dziewczynką z bogatego domu, która nie ma pojęcia o pracy! Myślisz, że zatrudnię się jako sklepikarz, żeby wyżywić ciebie i dziecko? Nie możesz tego ode mnie wymagać! Za kogo się masz, żeby nie pozwalać mi być artystą? Spójrz na mnie! Potrzebuję powietrza, które ty mi zabierasz!

Zacisnęła zęby, czując narastający ból w brzuchu.

To była ich ostatnia kłótnia. Od tamtej nocy błąkała się od jednego pensjonatu do drugiego, aż skończyły jej się pieniądze i biżuteria. Kiedy podjęto się pewne decyzje, nie było już od nich odwrotu.

Jęknęła z bólu.

Kobieta z potarganymi włosami obudziła się z krzykiem.

– Nie zostawiajcie mnie! Nie opuszczajcie! Ratujcie!

Helena Lledó odwróciła się na drugi bok, żeby nie widzieć jej wyłupiastych oczu i tego, że z rozpaczą drapała się po zawszonych włosach. Wróciła myślami do Księgi Psalmów i słów, które – nie miała co do tego wątpliwości – były jedynym prezentem, jaki mogła podarować swojemu dziecku. Starając się powstrzymać złość z powodu bólu, zebrała w sobie resztki miłości, które jej pozostały. „Jeżeli któregoś dnia dostaniesz tę książeczkę, wiedz, że Cię kochałam”. Tak, to będą te słowa. Pociła się. Dotknęła brzucha. Wspomnienia zaczęły blaknąć. Zakaszłała. Z trudem łapała powietrze. Poczwała kolejne ukłucie. Krzyknęła z bólu i w tej chwili zapragnęła umrzeć.

Jednak dopiero po pięciu dniach i nocach Helena Lledó przestała zwracać uwagę na długi rząd prześcieradeł w szpitalu Santa Creu w Barcelonie i wysokie sufity, które przypominały jej, że od dawna nie była w kościele. Ponieważ wtedy Helena utkwiała wzrok w płaczącym noworodku, który wciąż był przywiązany do niej pępowiną i którego wkrótce miała opuścić na tym zimnym świecie.

Nic jej nie bolało, ponieważ nic nie czuła. Ani pustego brzucha, ani rozpalonej gorączką głowy, ani obolałych i zakrwawionych nóg. Czuła tylko serce, ostre klucie w piersi wykręcające jej żyły i wyciskające ostatnie krople krwi w poszukiwaniu życia, przypominające jej o tym, że nie może zostawić dziecka samego.

– To dziewczynka.

Helena, słysząc słowa akuszerki, westchnęła z ulgą. To była dziewczynka. Podobna do niej. Dziewczynka o modrych oczach albo czarnych jak sadza, jak oczy Narcísa. Dziewczynka, która krzykiem przywoływała swoją matkę.

Akuszerka dalej mówiła szeptem:

– Matka jest bardzo słaba. Nie przeżyje tej nocy, proszę pani.

Kobieta, do której mówiła akuszerka, była matką Heleny. Dziewczyna jednak nie miała pojęcia, jak długo przy niej była ani jak ją odnalazła. Wiedziała tylko, że sama stała się matką.

Helena odepchnęła od siebie wszelkie myśli i skupiła się na krzyku swojej córki jak na ostatniej na tym świecie desce ratunku. Z zaschniętych ust z trudem wydobyła głos.

– Matko...

Pani Consol, ubrana w czarną jedwabną suknię jak w żałobie, rzuciła się do łóżka, słysząc szept córki.

– Córko...

Helena westchnęła, prosząc w myślach Matkę Boską o siły.

– Nie porzucaj jej, nie zostawiaj. Przrzeknij mi to, matko. Zrób to dla mnie.

Pani Consol zacisnęła usta, z trudem powstrzymując łzy.

– Nic nie mów. Wyzdrowiejesz, a wówczas...

Helena zamknęła oczy ogarnięta zmęczeniem.

– Miej nade mną litość.

Pani Consol, nie zwracając uwagi na biegające po sali szczury ani na plamy krwi na swojej błyszczącej sukni, opadła ciężko na brzeg łóżka obok kobiety z potarganymi włosami i przytaknęła.

– Zrobię wszystko, co chcesz, córeczko. Obiecuję ci, że zadbam o nią jak o własną córkę.

Helena uniosła powieki i spojrzała swoimi modrymi oczami w oczy matki.

Pani Consol nie doczekała się już żadnych słów z ust córki. Potem słyhać już było tylko szlochy i szeptane modlitwy. „Bądź wola Twoja... i zbaw nas ode złego. Amen”.

Bam!

Dzwon z wieży zegarowej wybił godzinę dziesiątą.

Marianna i Ermínia wbiegły po schodach ratusza i kiedy były już na pierwszym piętrze, dotarł do nich głos Amàlii:

– Niech ktoś znajdzie klucz do wieży albo wyważcie drzwi! Trzeba wejść na górę i bić w dzwony na alarm. Wszyscy muszą się dowiedzieć, że to poważna sprawa.

Marianna obserwowała kobiety, które biegały po budynku, wynosząc dokumenty, książki i meble. Jedna zabrała ceramiczny wazon. Marianna ją zatrzymała.

– Tego nie! Tylko listy werbunkowe.

Kobieta odepchnęła ją.

– Nie, spalmy wszystko! Niech wiedzą, z kim mają do czynienia!

Marianna weszła do jednego z pomieszczeń. Zobaczyła puste regały i dokumenty porozrzucane po podłodze. Podniosła jedną kartkę i zaczęła czytać – to była umowa budowlana. Jedna z kobiet gwałtownie wyrwała jej

dokument, położyła na stosie innych papierów i zabrała ze sobą. Marianna protestowała, ale Ermínia zwróciła się do niej:

– Nie wiedzą, co palą. Nie potrafią czytać.

Marianna westchnęła i zdała sobie sprawę, że to ognisko trudno już byłoby ugasić.

Wtem z ulicy zaczęły docierać jakieś niepokojące odgłosy. Kobiety wyszły na balkon. Do ratusza zbliżyła się grupa mężczyzn. Przeszli obok garstki krzyczących do nich buntowników.

Marianna spojrzała pytającym wzrokiem na Ermínię.

– Znasz ich?

Kobieta pokręciła głową, a Marianna ruszyła w kierunku schodów. Mężczyźni dotarli na pierwsze piętro i przerażeni patrzyli na bałagan. Najwyższy z nich wszedł pewnym krokiem na środek korytarza i zmierzył wzrokiem kobiety, które zatrzymały się na jego widok.

– Kto jest odpowiedzialny za ten rozbój?

Marianna podeszła do niego.

– Wszyscy po równo! A kto pyta?

– Nazywam się Francisco Derch.

Amàlia stanęła z nim twarzą w twarz.

– Doskonale wiemy, kim pan jest! To pan przed dwoma laty, kiedy nas potrzebował, obiecał nam, że w dowód wdzięczności zniesie werbunek poprzez losowanie! Co teraz ma pan do powiedzenia?

Amàlia zapędziła go pod ścianę. Pozostali mężczyźni nie wiedzieli, jak zareagować. Francisco Derch uspokoił ich gestem i obciągnął surdut.

– Sprawy nie zawsze idą po naszej myśli, droga pani. Lecz to nie powód, żeby palić cały kapitał naszego miasta!

Marianna stanęła obok Amàlii i zaczęła mu wygrażać palcem.

– My jesteśmy kapitałem miasta! A może kolekcje obrazów, meble i papiery są ważniejsze od ludzkiego życia?

Francisco Derch oparł się o ścianę, a w jego spojrzeniu czał się strach.

– Nie, oczywiście, że nie, ale...

Inne kobiety otoczyły go, a Amàlia najwyraźniej wreszcie znalazła ofiarę, na której mogła wyładować swoją złość na niesprawiedliwość.

– Żadnych ale! Jeśli nie ma pan odwagi spełnić swoich obietnic, niech pan przynajmniej nie wchodzi nam w drogę!

– Nie można rozwiązywać spraw w ten sposób. Należałoby trzymać się procedur i porozmawiać z gubernatorem...

Amàlia straciła cierpliwość. Złapała Francisco Dercha za ramię i pociągnęła go na balkon.

– Widzi pan te płomienie? To jest miejsce dla gubernatora! I dla wszystkich, którzy nami rządzą! Dla motłochu, który myśli tylko o swoich interesach i rozmawia z nami tylko wtedy, gdy nas potrzebuje.

Kobiety potwierdziły słowa Amàlii, kiwając głowami, a na placu rozległy się



krzyki:

– Na stos z nim! Spalmy go!

Amàlia i trzy inne kobiety chwyciły Francisco Dercha pod pachy i przechyliły za balustradę balkonu. W oczach przywódczyni widać było wspomnienie ostatniego pożegnania z mistrzem Fabrą, zanim wyruszył na wojnę: „Żegnaj, Amàlio! Bądź silna!”.

– Jest pan zdrajcą. Zasługuje pan na ten stos może nawet bardziej niż ci, którzy niczego nam nie obiecywali!

Francisco Derch ze strachu nie był w stanie wydusić z siebie słowa.

Marianna wystąpiła przed szereg.

– Zostawcie go!

Amàlia spojrzała na nią zaskoczona.

Marianna podeszła do kobiet, które przytrzymały mężczyznę, i pomogła mu odzyskać równowagę.

– Pozwólmymy odejść temu nieszczęśnikowi! Niech żyje z poczuciem winy, że nas opuścił i jest zdrajcą! Niech do końca życia czuje nienawiść mieszkańców tego miasta! – Marianna popchnęła Francisco Dercha do środka magistratu i patrzyła, jak mężczyzna, potykając się, dotarł do schodów. – Niech pan się wynosi, szanowny panie Derch, i nigdy nie wraca. Oby pan zdechł. Niech zjedzą pana wyrzuty sumienia. Mam nadzieję, że doświadczy pan takich samych cierpień jak noszone w sercach tych kobiet.

Francisco Derch stanął jak sparaliżowany ze wzrokiem utkwionym w modrych oczach kobiety, która mu ubliżyła, jednocześnie go ratując.

Marianna, widząc zbliżającą się Amalię, jeszcze raz popchnęła Francisco Dercha.

– Precz! Niech nas pan zostawi w spokoju! Oby spotkał pana równie zły los, co pańskie obietnice!

Mężczyzna powoli się odwrócił z urażoną dumą i zaczął schodzić stopień po stopniu. Kobiety patrzyły na niego z góry, a on czuł na plecach ciężar ich złości. Kiedy zniknął za drzwiami, kobiety powróciły do swoich zajęć.

Amàlia chwyciła Mariannę za ramię i wyszeptała:

– Mam nadzieję, że bunt biednych ludzi nie roztkliwi pani za bardzo, pani Lledó. Jeśli tak, to lepiej będzie, jeśli pani odejdzie.

Marianna odczuła ironię w tych słowach niczym uderzenie w brzuch.

– Nie, Amàlio, dobrze wiem, kim jestem i o co walczę.

Spojrzała przywódczyni prosto w oczy.

W końcu Amàlia przytaknęła i odeszła, wykrzykując rozkazy.

Francisco Derch wyszedł na plac, na którym wciąż płonęło ognisko. Z gabinetu mieszczącego się przy sali, w której odbywały się zgromadzenia magistratu, spadło kilka papierowych teczek i obrazów. Malowidło przedstawiające Matkę Boską z Dzieciątkiem runęło obok niego. Przez chwilę mężczyźnie wydawało się, że Maryja mierzyła w niego oskarżycielsko palcem. Ogień powoli pochłoniął obraz – najpierw Matkę Boską, a potem Dzieciątko.

Pozostała tylko pusta rama.

Francisco Derch wziął głęboki oddech i zastanowił się, czy mógłby jeszcze coś zrobić. Może spełnić swoją obietnicę? Odwrócił się, odepchnął mężczyzn, którzy szli za nim, i pobiegł do ratusza.

Marianna dostrzegła go z piętra.

– To znowu pan? Ostrzegam, że nie będę mogła ponownie pana uratować! Niech pan wraca do domu, zanim się rozmyślimy!

Francisco Derch zdążył już wejść na piętro. Uważnie popatrzył na Mariannę.

– Wróciłem, żeby przyznać pani rację. Z tego balkonu złożyłem obietnicę, że jeśli ponownie będę musiał rekrutować żołnierzy, a obywatele dobrowolnie zdecydują się walczyć do ostatniej kropli krwi w słusznej sprawie, wówczas stanę na ich czele.

Zapadło milczenie. Kobiety na chwilę porzuciły swoje zajęcia i zebrały się wokół nich. Pojawiła się też Amàlia.

Francisco Derch odwrócił wzrok od Marianny i zwrócił się do nich:

– Oddaję się w wasze ręce. Wróciłem spełnić swoją obietnicę. Pozostaję do waszych usług. Zamiast palić papiery, co niczego nie zmieni, przygotujmy się, ponieważ czeka nas prawdziwa wojna.

Dzwon na wieży zegarowej zabił na alarm.

Bam! Bam!

W gabinecie w Casa Lledó pani Consol krzyczała na męża. Pochyliła się, oparła ręce o biurko i tylko perłowy naszyjnik z kameą z masy perłowej pobrzękiwał na czarnej jak smoła żałobnej sukni z jedwabiu. Jego właścicielka nie miała zamiaru kolejny raz czegoś przemilczeć.

– To twoja wnuczka, Pacià!

Pan Lledó wstał i odwrócił się od ostrego jak sztylet wzroku swojej żony, ignorując jej zuchwałość.

– Nie musisz mi tego mówić! Doskonale wiem, kim ona jest! – odpowiedział, wpatrując się w mrok za oknem, który powoli pochłaniał eukaliptusy stojące przed wejściem do rezydencji.

Doskonale wiedział, kim był ten noworodek – błędem. Tym właśnie był. Błędem, za który jego córka zapłaciła życiem i który zagraża jego dobremu imieniu i fortunie.

– I co chcesz zrobić, Consol? Proszę bardzo, powiedz, że chcesz ją przygarnąć. Pomyślałaś, co na to powiedzą ludzie? Nie chcę nawet sobie wyobrazić, jakie zamieszanie zrobi z tego baron! Nie wspominając o triumfalnych minach państwa Massensów!

Pani Consol wyprostowała się, uniosła biały klosz z zieloną krawędzią i poruszyła pokręteł, wydłużając knot lampy naftowej. Płomień podkreślił czerwień brzegów książek i oświetlił wiszący nad kominkiem portret pana Pacià uwiecznionego w wyniosłej pozie.

Zegar stojący w gabinecie wybił wpół do dziewiątej. „Pewnie Àgata, słysząc krzyki, boi się zapowiedzieć kolację”, pomyślała pani Consol. Nie była jednak

głodna. Od śmierci Heleny miała ściśnięty żołądek. Wyjęła z rękawa białą batystową chusteczkę i otarła nią pot z czoła. Każda kropla przypominała jej złożoną obietnicę: „Zrobię wszystko, co chcesz, córeczko. Obiecuję, że zadbam o nią jak o własną córkę”.

Kiedy zakonnica o twarzy pomarszczonej jak wysuszony rodzynek podała jej dziecko, pani Consol wzięła je w objęcia drżącymi rękami. Dziewczynka patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami, które przypominały pani Lledó, co straciła i – co gorsza – że była za to odpowiedzialna.

– Wiesz, że jestem dobrą żoną, Pacià. – Kobieta ważyła każde słowo, aby nie zabrzmiało zbyt arogancko, ale też nie za delikatnie. – Wychodząc za ciebie, byłam bardzo młoda i niewinna. Dołożyłam wszelkich starań, żeby najpierw zaakceptowali cię moi rodzice, a potem cała reszta: baron i wszyscy przyjaciele, z którymi tak bardzo lubisz się teraz pokazywać. Gdybyś nie wszedł do rodziny Doliu, żadni kredytodawcy nie chcieliby słuchać twoich opowieści o interesach i fabrykach. Przez te wszystkie lata byłam ci posłuszna i przymykałam oczy na wiele rzeczy. Bardzo wiele, szczególnie na te najbardziej bolesne – dodała z przekąsem.

Pan Pacià odwrócił się do żony i spoglądał na nią, wykrzywiając usta w szyderym uśmiechu.

Pani Consol patrzyła mu prosto w oczy, mając w sobie żal z powodu tego, co przemilczeli.

– Najświętsza Panienko, ty się śmiejesz! – westchnęła. – A powinieneś płakać! Jesteś odpowiedzialny za śmierć naszej córki. Już nie pamiętasz, że uciekła przez twój upór! W ogóle nie chciałeś jej wysłuchać! Kiedy ją odnaleźliśmy, zmusiłeś mnie, żebym zostawiła ją w tym szpitalu dla biedaków. Nawet nie raczyłeś jej odwiedzić, a także zwrócić jej honoru i dobrego imienia. I chociaż ziemia na jej grobie jeszcze jest świeża, odmawiasz opieki jedynej istocie, która nam po niej pozostała?

Pan Pacià stał niewzruszony z rękami założonymi z tyłu.

– Sama wydałaś na świat zbuntowaną i niegodziwą córkę i będziesz jeszcze pokutować za ten grzech. Wiem, że żyłoby ci się dużo łatwiej z myślą, że to ja ponoszę całą winę, ale pamiętaj, że dałem ci wybór. Sama podjęłaś decyzję, dzięki której uratowaliśmy honor rodziny. Nie zapominaj, że udało się to tylko dzięki mnie.

Pani Consol obeszła biurko i stanęła twarzą w twarz z mężem.

– Może masz rację i do końca życia będzie mnie gryzło sumienie, że cię posłuchałam, jednak zapewniam cię, że ciężar odpowiedzialności spada na nas oboje i przez resztę życia nie pozwolę ci o tym zapomnieć nawet na chwilę.

Pan Pacià patrzył na zmarszczki wokół oczu żony i z obrzydzeniem wyczuł zapach stęchlizny jej ubrania, a co gorsza, zapach jej starości.

Tymczasem pani Consol przyglądała się wąsom męża poruszającym się pod wpływem jego przyspieszonego oddechu.

– Czy ci się to podoba, czy nie, to dziecko zamieszka z nami. Jeżeli chcesz,

możemy powiedzieć, że przygarnęliśmy je z litości od zakonnic, żeby dotrzymywało nam towarzystwa. Zamieszka w tym domu i będziesz je traktował, jakby była Heleną. – Poczwała, że ścisnęło ją w gardle na wspomnienie zimnych dłoni córki, z którą się żegnała przed śmiercią, zanim pochowano ją w bezimiennym grobie. – Tym razem postąpimy właściwie.

Pan Lledó odwrócił wzrok od ust, którymi żona opluwała go winą. Spoczęły mu się dłonie.

- Z litości? Kto w to uwierzy?
- Wszyscy, jeżeli tylko sami w to uwierzimy.
- Powiemy, że nie należy do rodziny Lledó?
- Jak chcesz.
- Że jest sierotą.

Kobieta skinęła głową.

Pan Pacià ponownie odwrócił się w stronę okna. Noc pochłonęła wszystkie cienie. Już nie było widać ścieżki otoczonej eukaliptusami, wejścia do domu, obrośniętej bluszczem pergoli, lipy ani sadzawki, którą kazał wykopać ubiegłego lata i która tak bardzo spodobała się baronowi. Nie mógł też dostrzec sowy, która przysiadła na najwyższej gałęzi topoli w głębi ogrodu ani usłyszeć jej pohukiwania.

- Kto jeszcze wie o tej sprawie?
- Nikt. Zakonnica z pewnością zachowa milczenie za odpowiedni datek.

Pan Pacià podkręcał wąsy. Właśnie wspominał chwilę, gdy córka, patrząc na niego swoimi modrymi oczami, oznajmiła, że wychodzi za mąż za malarza bez względu na to, czy ojciec wyrazi na to zgodę. Pan Pacià nie zmienił swojego zdania i próbował jej wytłumaczyć, że popełnia błąd i zachowuje się nieodpowiednio do swojej pozycji. Helena nie chciała słuchać ojca, wstała gwałtownie z płonącymi policzkami i wykrzyknęła: „Żal mi ciebie, ojcze, bo nigdy nie zrozumiesz, co to znaczy kogoś kochać”. Przypomniawszy sobie ciszę, która nastąpiła po tym, jak drzwi zamknęły się za nią, ciszę narastającą po jej ucieczce, ciszę, która zagłuszała jego ból – nieme wycie.

Zasłonił ręką oczy wypełnione łzami.

- Dobrze, zgadzam się. Niech z nami zamieszka.

Pani Consol odetchnęła z ulgą i ruszyła do drzwi. Zakryła dłonią kameę z masy perłowej, w której skrywała portret córki, i przycisnęła ją do piersi. Zatrzymała się w progu i rzuciła na odchodne:

- Przy okazji chciałam ci powiedzieć, że mała ma oczy po swojej matce, modre jak niebo po deszczu.

W odpowiedzi usłyszała tylko niewyraźny pomruk niczym pohukiwanie sowy.

Kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde nie lubił prosić o przysługi. Z tego powodu od dłuższego czasu odkładał tę wizytę. „Teraz jednak sytuacja wymknęła się spod kontroli i ktoś musi temu zaradzić”, przekonywał się w myślach.

Rezydencja rodziny Lledó lśniła w promieniach południowego słońca zadbanym przepychem. Schody z białego marmuru prowadziły do podwójnych drzwi wejściowych. Z obu ich stron znajdowały się duże okna, pod którymi rosły czerwone goździki i jaśmin. Budynek miał dwa piętra: na pierwszym okna były prostokątne, a na drugim dużo mniejsze i zaokrąglone. Przy fundamentach dało się zauważyć podłużne piwniczne okienka pomieszczeń dla służby, odpowiednio oddzielonych od reszty domu.

Eugenio de Gaminde zsiadł z wierzchowca, włożył pod pachę wojskowe kepi i podał służącemu wodze. „Chcę chronić to wszystko, o co walczyli tacy ludzie jak pan, drogi panie Lledó... – powtórzył w myślach wcześniej przygotowaną mowę. – Jeśli nie zachowamy ostrożności, ponownie może wybuchnąć rewolucja. Chroń nas od niej, Boże!”. Pociągnął za sznur dzwonka i wygładził niewygodną kurtkę munduru.

Służąca poprowadziła go do małego pomieszczenia obok holu.

– Niech pan z łaski swojej chwilę tutaj zaczeka. Pan Lledó zaraz pana przyjmie.

Mimo że dochodziła dwunasta, w pokoju wciąż paliła się srebrna lampa naftowa. W holu stały kanapa i otomana obite szkarłatnym aksamitem, naprzeciwko nich komoda z zegarem, a nad nim wisiało wspaniałe lustro. Wystrój dopełniały obrazy sięgające aż po sufit. Kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde nie mógł się przyzwyczać do tej nowej mody. Wolał gobeliny z górskim krajobrazem czy zamkami, które przynajmniej nie śledziły go wzrokiem jak ci ludzie z portretów.

Zatrzymał się przed obrazem wiszącym w centralnym miejscu, który przedstawiał mężczyznę stojącego obok kobiety siedzącej na kanapie. Mężczyzna we fraku uśmiechał się z zadowoleniem spod gęstych, podkreślonych wąsów. Natomiast ubrana w czarną suknię kobieta, której jedyną ozdobę stanowił perłowy naszyjnik z kameą z masy perłowej, siedziała z jedną ręką położoną na drugiej i patrzyła nieobecny wzrokiem. Na ramie widniała złota tabliczka z napisem: „Pani Consol i pan Pacià Lledó, 1849”.

Według informacji kapitana pani Consol była arystokratką, a jej mąż pochodził z rodziny kupców pragnących szybko się wzbogacić. Doszły też do niego słuchy, że na małżeństwie Lledó ciążyła klątwa i odkąd ich córka zmarła w podejrzanych okolicznościach, rozpoczął się dla nich ciąg nieszczęść.

Jednak kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde nie wierzył w to, co mówią ludzie, więc odsunął od siebie te myśli i z podziwem oglądał zegar, który stał na komodzie. Wokół jego tarczy lśniły maleńkie szmaragdy, a na końcu obu wskazówek tkwił rubin. Zegar stał na pozłacanej podstawie imitującej lwie łapy, między którymi wygrawerowano napis: „Pamiętka ślubna pana Marçala i pani Marianny Lledó, 1858”. „Na pewno sprowadzony z Genewy”, pomyślał kapitan.

Nagle jego uwagę zwrócił odbijający się w lustrze obraz w okrągłej ramie, który wisiał na przeciwległej ścianie. Podszedł do niego. Malowidło

przedstawiało troje dzieci: pośrodku stała dziewczynka z kręconymi włosami, która patrzyła przed siebie niezwykle błękitnymi oczami, ubrana w białą sukienkę z różowym paskiem i dwiema wstążkami przy bufiastych rękawach. Po bokach stali chłopcy: jeden pulchny, z poważną miną, drugi chudy jak szczapa, z kręconymi włosami i szarymi oczami. Na tabliczce widniały ich imiona: „Marçal, Fèlix i Marianna Lledó, 1847”.

Przez chwilę kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde wyobraził sobie, jak wyglądało dorastanie w takim domu – spanie w jedwabnej pościeli, obfite posiłki podawane na pięknej porcelanowej zastawie, kłaniający się służący – i doszedł do wniosku, że ze wszystkich rodzin, które ściągają na siebie nieszczęścia, gdyby mógł wybrać, chciałby się urodzić jako członek rodu Lledó.

Drzwi lekko się otworzyły i ta sama służąca, która wpuściła go do domu, teraz prowadziła go z powrotem przez hol do gabinetu z dużym oknem.

Na środku pomieszczenia stało biurko, wzdłuż ścian ciągnęły się regały z książkami w czerwonych oprawach, które w promieniach słońca sprawiały przytłaczające, wręcz nieprzyjemne wrażenie.

Fèlix wstał zza biurka i podszedł do gościa, aby się przywitać.

– Zapraszam, drogi kapitanie. Co pana do nas sprowadza w tak niespokojnym dniu?

– Ma pan rację, atmosfera jest dość napięta. Gdyby ludzie mieli trochę rozumu, zostaliby w domu, widząc, na co się zanosi!

– Ależ, drogi przyjacielu, od kiedy lud ma rozum. Napije się pan koniaku?

– Poproszę. – Kapitan pokiwał głową i podszedł do rozpalonego kominka. – Muszę przyznać, że ma pan cudowny dom, a odwiedzić pana to sama przyjemność.

Fèlix wyjął zatyczkę z kryształowej karafki. Drżały mu ręce. To, że Marianna żyła, wywoływało w nim takie emocje, których nie doświadczał od dawna. To nie był najlepszy czas na przyjmowanie gości, jednak zaintrygowała go ta nieoczekiwana wizyta.

– Zawsze jest pan tutaj mile widziany, kapitanie. Proszę jednak powiedzieć, jaka jest sytuacja. Słyszałem, że na ulice wyszło wojsko, żeby stłumić bunt. Czy nie jest to zbyt przesadna reakcja?

Kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde odebrał od Fèliksa kieliszek z koniakiem.

– Błogosław Boże niebiosa i tę przeklętą ziemię! Przesadna? Wczoraj zbuntowały się Vic, Martorell, Sant Feliu de Llobregat, Sant Feliu de Guíxols, Bisbal i Manlleu. Ludzie nie chcą dopuścić do losowania rekrutów! Nędznicy! Durni republikanie!

– Wydaje mi się, że Komitet Republikański trzyma się od tego z daleka...

– Tak twierdzą, ale, jakem Don Eugenio de Gaminde y Lafont, nikt nie będzie sobie ze mnie kpił! Nie, mnie nie oszukają. Wciąż podgrzewają atmosferę za naszymi plecami, rozpowszechniając swoje filisterskie gazety pełne kłamstw.

Fèlix wrócił do biurka. Choleryk stojący na czele wojska, zauważył. Usiadł w skórzanym fotelu, wyjął z pudełka jedno cygaro, a pozostałymi poczęstował wojskowego. Kapitanowi generalnemu księstwa Katalonii Eugeniowi de Gaminde krew uderzyła do głowy, a policzki pokryły się siateczką fioletowych żyłek. Po początkowym wahaniu wyciągnął rękę, powąchał cygaro i schował je do kieszeni munduru.

Fèlix się uśmiechnął. „Zbyt łatwo można przekupić człowieka”. Zapalił cygaro, rozsiadł się wygodnie w fotelu i założył nogę na nogę.

– Rozumiem, że na razie są to zwyczajne zamieszki.

– Nie ma co się łudzić, panie Lledó, ten bunt będzie o wiele gorszy, niż się przypuszcza! Dzisiaj rano zabito wiceburmistrza Sants i zraniono nożem dwóch innych wysokich urzędników. W Barcelonie rebelianci zajęli plac Sant Jaume i zażądali rozmowy z gubernatorem! Nie spodziewałem się jednak, że wielce szanowny gubernator Katalonii zamiast stłamsić bunt twardą ręką – jak ja bym to zrobił na jego miejscu – uciekł do Madrytu, twierdząc, że został tam pilnie wezwany. Ach, i na domiar złego zostawił nam pana Figuerolę, żeby za niego rozwiązał problem.

– Przecież jest jego bezpośrednim zastępcą...

– Zgadza się, ale nie odpowiednim. On się do tego nie nadaje, panie Lledó! – Kapitan dla podkreślenia swoich słów uderzył pięścią w kominek, wprawiając w kołysanie wiszący nad nim portret Fèliksa. – Ci bezwstydnicy, nieszanujący wolności, której zdobycie tyle nas kosztowało, zasługują na bardziej stanowczy krok niż delikatne ostrzeżenie! Należy im się nauczka!

Fèlix przeczytał na głos tekst obwieszczenia, które przed kilkoma godzinami przyniósł mu Calabuig, twierdząc, że zostało rozwieszane w całej Barcelonie:

– „Jeśli jednak los uczyni walkę konieczną, ostrzegam wszystkich uczciwych ludzi, którzy nie chcą wziąć w niej udziału, żeby pozostali w domu, kiedy usłyszą wystrzały z zamku Monjuïc, gdyż po dziesięciu minutach od trzeciego wystrzału rozpocznie się walka”.

– Według pana, kapitanie, to jest delikatne ostrzeżenie i proponuje pan...

Na ten moment kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde czekał od chwili, gdy przekroczył próg tego domu. Postawił kieliszek na kominku i dumnie wypiął pierś.

– To bardzo proste. Chcę chronić to wszystko, o co walczyli latami tacy ludzie jak pan, drogi panie Lledó. – Podeszedł do biurka, oparł ręce o blat i pochylił się w stronę Fèliksa. – Jeśli nie przejdziemy do działania, kraj popadnie w stagnację i znów będziemy mieli rewolucję. Niech Bóg nas przed nią chroni! Jednak wielu rządzących nami ludzi tego nie rozumie, bo nie są stworzeni do walki. – Kapitan wyprostował się i zniżył głos do szeptu, tak jak ćwiczył wcześniej: – I wie pan, co jest najgorsze? Że zrozumieją to dopiero wówczas, gdy wszystko będzie stracone.

Fèlix poczuł, że przez jego ciało przebiegł dreszcz. Nie podobało mu się drapieżne zachowanie wojskowego, który niczym wygłodniały lis drążył jamy

i chętnie obnażał ostre zęby. Jednak wiedział, że jeśli nie przyzna racji kapitanowi generalnemu księstwa Katalonii Eugeniowi de Gaminde, będzie miał wielu wrogów. W rzeczywistości uniknięcie publicznego samobójstwa i przywołanie do porządku nieposłusznych wydaje się Fèliksowi dość rozsądne. Przy okazji mógłby zyskać ważnego sprzymierzeńca, jednego z najważniejszych.

– Kto pana popiera w tej doniosłej sprawie?

– Władze w Madrycie wyrażają zgodę, jeśli w ten sposób zostanie przywrócony pokój, a moi oficerowie jeszcze dzisiaj mogą dostać rozkazy. Należy działać zdecydowanie, panie Lledó. Z tego, co wiem, rebelianci z Sants podążają w kierunku Gràcii, chcąc połączyć siły z powstańcami z Sant Martí de Provençals i Sant Andreu. A w Barcelonie wzniesiono trzy barykady mimo ostrzeżeń – powtórzę: zbyt delikatnych – naszego szacownego gubernatora cywilnego Facunda de los Ríos.

– A co na to pan Figuerola?

– Nie przekonują go moje argumenty. To dobry człowiek, ale czegoś mu brakuje! Rozumie mnie pan? Nie jest przygotowany na taką sytuację. Chyba że...

– Że?

Ich spojrzenia się spotkały.

„Jeżeli czegoś chcesz, idioto, musisz poprosić. Przysługi należy wyraźnie wyartykułować”, pomyślał Fèlix.

Kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde wstał, zrobił trzy kroki w stronę drzwi, a następnie trzy z powrotem do biurka, jakby chciał wydeptać ścieżkę.

– Cóż, skoro pan Figuerola czuje się przytłoczony obowiązkami, co jest oczywiste w takich niesprzyjających okolicznościach, najlepiej byłoby, gdyby ktoś wyżej postawiony lub, powiedzmy, z większym doświadczeniem pokierował tłumieniem buntu. Może pan, znany ze zdrowego rozsądku i z patriotyzmu, mający na względzie dobre stosunki, jakie łączą pana z panem Manuelem Figuerolą oraz innymi wysoko postawionymi osobami, mógłby mnie poprzeć w moim dążeniu do samodzielnego wykonania tego zadania, które – co tu ukrywać – jest dużym wyzwaniem?

– Miałbym się za panem wstawić... – Fèlix udawał, że się zamyśla, i powstrzymywał triumfalny uśmiech, zaciągając się cygarem. – To oczywiste, że chciałbym panu pomóc, drogi kapitanie. Tak, mógłbym przesłać wiadomość do pana Figueroli i jestem pewien, że wzięłoby pod uwagę moje zdanie. Oznaczałoby to jednak wprowadzenie stanu wojennego i jeśli mnie dobrze poinformowano, w pańskich planach jest użycie artylerii przeciwko Gràcii.

Kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde poczuł się zdemaskowany.

– Na razie byłoby to jedynie oblężenie! Trzeba nauczyć ich posłuszeństwa! Proszę sobie wyobrazić, że wszyscy zbiorą się w jednym miejscu i będziemy



mogli ich wybić za jednym pociągnięciem cyngla! W każdym razie ta banda długo nie wytrwa.

– Tak, tak, już dobrze... Argumenty pozostawiam panu, jednak jak zapewne pan wie, kapitanie, duża część moich interesów, fabryka Lledó, znajduje się właśnie w Gràcii i wolałbym, żeby podjęte działania w jakikolwiek sposób nie utrudniły...

– Oczywiście, panie Lledó, jeszcze dzisiaj wyślę żołnierzy, którzy będą chronić pańską fabrykę. A jeśli pan sobie życzy, przyślę strażników również tutaj.

Fèlix ostatni raz zaciągnął się cygarem i odłożył je do popielniczki. Podszedł do biurka i wyjął z szuflady bilecik z monogramem rodziny Lledó.

– W takim razie, zważywszy na sytuację, nie widzę lepszego wyjścia, jak wyświadczyc przysługę, o którą pan prosi.

Kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde wstrzymał oddech i oczyma wyobraźni ujrzał ścieżkę, która prowadziła go prosto z Casa Lledó w stronę zaszczytnego tytułu hrabiego, może księcia... Za stłumienie powstania i odwagę... To oczywiście...

Fèlix zanurzył pióro w kałamarzu i uniósł wzrok.

– Mam jednak nadzieję, drogi kapitanie, że kiedy skończą się zamieszki, nie zapomni pan o zobowiązaniach wobec osób, które panu pomogły.

Lis nie wiedział, czy obnażyć kły, czy opuścić głowę i kopać jamę.

– Och, drogi panie, takie insynuacje są dla mnie obraźliwe. Powinien pan wiedzieć, że kapitan generalny nigdy nie zapomina o swoich zobowiązaniach, a tym bardziej o przyjaciołach.

Fèlix ponownie skupił wzrok na karneciku.

– Może pan już odejść, kapitanie. Proszę resztę pozostawić w moich rękach.

Kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde wstał z wahaniem, odpiął guzik w uwierającej go stójce munduru i ruszył w stronę drzwi.

Fèlix zaczął pisać.

– Nie chciałbym żałować tego, co robię, kapitanie. Niech pan robi, co musi, ale nie życzę sobie wybitych szyb w oknach moich nieruchomości.

Słowa Fèliksa odbiły się echem od czerwonych grzbietów książek. Kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde, który na chwilę stał się zwykłym żołnierzem, pokiwał głową i widząc, że fabrykant stracił zainteresowanie nim, odpowiedział szeptem:

– Tak jest, proszę pana.

Po wyjściu z gabinetu wyprostował plecy, które garbił podczas rozmowy, i włożył wojskowe kepi podane mu przez służącą. Wbił wzrok w kryształowy żyrandol zwisający z sufitu, wziął głęboki oddech i przysięgł sobie w duchu, że to ostatnia przysługa, o którą prosił, ale przecież Bóg w niebiosach otacza chwałą tych, którzy działają w jego imieniu!

Kiedy Sibilla po raz pierwszy stanęła przed Casa Lledó, musiała przyznać, że

rezydencja w niczym nie ustępowała posiadłości markiza Collada. Kobieta zatrzymała się przed marmurowymi schodami i wyjęła z torebki pozłacane lustro. To jedyny prezent od markiza, którego nie zamierzała sprzedać ani wyrzucić, bardziej z chęci zachowania godności niż z sentymentu. Lustro stanowiło jej łącznik z arystokracją, a także z jej córką, malutką Ermínią Perfectą Collado. Sibilli krajało się serce na myśl o tym, że musiała ją zostawić u Amàlii. Wiedziała, że siostra dobrze się nią zaopiekuje.

Kobieta przejrzała się w lustrze. Była ulubioną służącą markiza Collada, łękiego i chorowitego mężczyzny, który mimo skończonych trzydziestu lat nadal trzymał się spódnicy matki. Sibilla była dumna z tego, że to przy niej markiz nauczył się śmiać, a także korzystać z uciech miłosnych. Poprawiła włosy i uszczypnęła się w policzki, żeby nabrały koloru. W ciągu niespełna pół roku owinęła sobie markiza wokół palca. Obiecał nawet, że się z nią ożeni, a złote lustro było pamiątką tej obietnicy. Sibilla przesunęła palcem po wypukłym wzorze ramki, który nadawał lustrze kształt muszelki, zamknęła je i schowała do torebki.

Spojrzała na drzwi rezydencji rodziny Lledó. Jedyne, na co zdobył się markiz, kiedy Sibilla wyzwała go od tchórzy, ponieważ nie postawił się matce i pozwolił, żeby ją wyrzuciła na wieść o ciąży, było polecenie jej jako mamki do dzieci. Oczywiście bardzo daleko od domu Colladów.

Było już po dwunastej. Spóźniła się. Pospiesznie pokonała pięć marmurowych stopni, pociągnęła za sznur dzwonka i uznała, że jeśli ma pracować w Casa Lledó, nikogo nie będą obchodziły arystokratyczne tytuły.

Drzwi otworzyła jej służąca z ciasno upiętym kokiem i zaciśniętymi ustami, która – jak później się okazało – miała na imię Àgata.

– Domyślam się, że pani Sibilla Companys. Pan czeka na panią już od sześciu minut.

Sibilla opuściła głowę zawstydzona.

– Cóż, nie każmy mu więc czekać dłużej.

Àgata odwróciła się do niej, mrucząc pod nosem, że jeśli ta źle wychowana kobieta ma karmić małą Mariannę, to Matka Boska będzie miała dużo pracy. Zatrzymała się przed gabinetem, zapukała do drzwi i nie czekając na odpowiedź, wpuściła Sibillę do środka.

– Niech pani uważa na swój niewyparzony język i nie zapomina, z kim rozmawia.

Sibilla nie wdawała się w dalszą dyskusję ze służącą. Po prostu weszła do podłużnego pomieszczenia, które było wypełnione książkami w czerwonych oprawkach. W głębi znajdował się kominek, nad którym wisiał portret eleganckiego mężczyzny w kwiecie wieku z cienkimi, zakreconymi wąsami. Pośrodku gabinetu stało biurko, za którym siedział mężczyzna odwrócony do niej plecami.

– Pani... Jak pani tam się nazywa? Gdyby nie wstawiennictwo mojej żony, pani noga nie stałaby w tym domu, ponieważ punktualność jest jak

referencja, a z tego, co widzę, pani referencje są jak najgorsze!

Sibilla wstrzymała oddech. Nie wiedziała, czy powinna wyjść, czy stać w milczeniu. Teatralne kaszlnięcie stępiło ostrość ostatnich słów. Dziewczyna spojrzała w kierunku, z którego dochodziło. Pod jednym z regałów siedziała wyprostowana kobieta, ubrana w czarną jedwabną suknię i z naszyjnikiem z kameą z masy perłowej.

Mężczyzna westchnął i odwrócił się twarzą do pokoju: ta sama dystygowana poza i cienkie, zakręcone wąsy co na portrecie. Lustrował Sibillę od stóp do głów, aż w końcu zatrzymał wzrok na jej dekolcie.

– Jak wspomniałem, gdyby nie moja żona, pani Lledó... Chociaż zapomnijmy o tym. Dzisiaj jestem w dobrym humorze, więc proszę mi pokazać swoje referencje.

Dziewczyna wyjęła z torebki list i podała go mężczyźnie, kłaniając mu się na tyle nisko, aby mógł lepiej ocenić jej walory.

Pan Pacià wziął list i przez chwilę wpatrywał się w jej duże piersi. Potem chrząknął i zaczął czytać: „Szanowny panie... bla, bla, bla. Proszę mieć na względzie jej kompetentność, posłuszeństwo i układność, bla, bla, bla... Polecam panią Sibillę Companys jako mamkę lub opiekunkę do dzieci. Markiz de Collado”. Pan Pacià nieuważnie czytał tekst, co chwila spoglądając ukradkiem na biust Sibilli.

– Doskonale, ale tutaj nie ma ani słowa o pani reputacji. Dlaczego, pani Companys? Czy nie jest pani obyczajną osobą?

Sibilla instynktownie spuściła wzrok.

– Jestem tak samo uczciwa jak wszystkie boskie stworzenia.

– To pani tak twierdzi, bo większość z tych stworzeń to szczury. A ja znam je doskonale, bo życie dało mi w kość wiele razy, zanim doszedłem do miejsca, w której jestem.

Znów słyhać było zniecierpliwione kaszlnięcie.

– Jest pani siostrą Amàlii Companys, żony mistrza Fabry.

Sibilla skinieniem głowy zwróciła się do siedzącej kobiety, która z pewnością była panią Lledó:

– Tak, proszę pani.

– Cieszy się u nas dużym szacunkiem. To dobry i uczciwy człowiek.

Pan Pacià krążył wokół Sibilli jak wilk obwąchujący swoją ofiarę.

– Mistrza Fabrę, poza uczciwością, cechują lojalność i pożyteczność. Czy pani też jest lojalna, pani Companys?

Sibilla wciąż słyszała w głowie krzyki matki markiza: „Ty zła, chciwa dziewucho! Nie będziesz dłużej mamila mojego syna. Wynoś się z mojego domu. Takie jak ty powinno się wieszać na najwyższych drzewach!”.

– Tak, proszę pana, jestem lojalna i uczciwa.

Pan Pacià patrzył na nią uważnie i z zadowoleniem dostrzegł w jej oczach wahanie. „Ten, kto się waha, skrywa jakieś sekrety, a człowiekiem z tajemnicami łatwiej jest manipulować”, pomyślał.

– Dobrze. Zapewne mistrz Fabra powiedział pani, że potrzebujemy mamki do niemowlęcia, które z dobroci serca i miłosierdzia – pan Pacià spojrział na żonę – przygarnęliśmy do naszego domu. Pani niedawno została matką, prawda?

Sibilla pokiwała głową, rumieniąc się, a pan Pacià lekko się uśmiechnął zadowolony.

– Nie mam zamiaru pytać o ojca dziecka ani o pani sytuację życiową, ponieważ nie chciałbym doświadczyć rozczarowania. Proszę tylko, żeby wykonywała pani swoją pracę starannie i z zaangażowaniem. Wynagrodzenie jest z góry ustalone i proszę nie oczekiwać nic więcej. Zamieszka pani tutaj i dostanie pozwolenie na wychodzenie w niedziele, jeśli będzie pani chciała wybrać się na mszę do swojej parafii. Ostrzegam jednak, że nie życzę sobie żadnych skarg. W dzisiejszych czasach ludzie mają zbyt wysokie mniemanie o sobie. Ja nie wybudowałem tego domu w jeden dzień i bynajmniej próżność w tym by mi nie pomogła. Oczekuję, że każdego dnia będzie pani doceniała i dziękowała – pan Pacià wypowiedział te słowa z naciskiem – za to, co pani od nas dostanie. Może pani odejść. Àgata powie pani wszystko, o czym powinna pani wiedzieć.

Sibilla ukloniła się głęboko panu Pacià i nieco skromniej pani Consol. Kiedy nacisnęła klamkę, pan Pacià przełknął ślinę i dodał:

– Oczywiście chciałbym osobiście nadzorować rozwój dziewczynki. Dlatego proszę, żebyście raz w tygodniu przychodziły do mojego gabinetu. Zrozumiano?

Sibilla jeszcze raz dygnęła.

– Jak pan sobie życzy. Z pewnością dojdziemy do porozumienia – odpowiedziała.

Àgata czekała na nią pod drzwiami. Gospodyni w milczeniu poprowadziła mamkę do jej pokoju. Pomieszczenie było duże i jasne, ale Sibilla musiała je dzielić z płaczącym w kołysce dzieckiem, które nie było córką markiza, jak jej malutka Ermínia. Dziewczynka była biedną sierotą zabraną z ulicy, której – według słów gospodyni z zaciśniętymi ustami – na chrzcie nadano imię Marianna. Sibilla nie mogła zrozumieć, dlaczego zadano sobie tyle trudu dla jakiejś przybłędy.

Bam!

Tawerna była prawie pusta. Tylko przy stoliku w kącie siedział pochylony nad kubkiem bimbrowa mężczyzna z orlim nosem. W tych dniach nikt nie miał nastroju, żeby tu zaglądać.

Bracia usiedli przy barze. Berenguer podał każdemu kubek wina i położył przed nimi kartkę.

– Spójrzcie, co kapitan generalny rozkazał wywiesić kilka godzin temu.

Jonàs wziął obwieszczenie.

– Psiakrew! Posłuchaj tego, Magí: „Don Eugenio de Gaminde i Lafont, kapitan generalny księstwa Katalonii. Katalończycy: wrogowie wolności i porządku publicznego...”.

Berenguer cisnął ścierkę na bar i wszedł do kuchni, rzucając obelgami.

– Cholerni wyzyskiwacze! Nie tak mówili dwa lata temu! Nie mają pojęcia, z kim zadarli!

Jonàs uśmiechnął się ze zrozumieniem i kontynuował:

– „Wrogowie wolności i porządku publicznego nie dają za wygraną, wykorzystując do swoich złowrogich celów każdy pozorny protest. Lecz przedstawiciele liberalnego rządu stoją na straży naszych nienaruszalnych praw”.

Magí przesunął palcem po krawędzi kubka.

– O co chodzi w tym bełkocie?

– Słuchaj dalej: „Na mocy nadanej mi tymczasowo przez rząd cywilny władzy z uwagi na agresywny atak wichrzycieli na oddziały wojskowe mające za zadanie utrzymanie porządku, korzystając ze swoich uprawnień, zarządzam, że z datą niniejszego obwieszczenia w całej prowincji i jej stolicy wprowadza się stan wojny”.

– Matko Boska! – Magí uniósł kubek i wziął spory łyk wina.

Jonàs patrzył na brata znad obwieszczenia.

– Oficjalnie mamy stan wojenny, chociaż nie wystrzeliliśmy jeszcze nawet jednego pocisku. Oni się nas boją!

Magí wyrwał mu kartkę i udawał, że czyta.

– Tak myślisz? Mnie się wydaje, że doskonale wiedzą, co robią...

– Mylisz się! Postawiliby całe wojsko w stan gotowości z powodu grupki rebeliantów? Nie, tym razem czują, że to poważna sprawa. – Jonàs wypił wino jednym haustem i dał Magíemu kuksańca. – Tym razem wygramy. Zbyt długo nas znieważali!

– Skoro tak uważasz...

– Miquelet ma garłacz i pistolet po dziadku, Xicarró zdobędzie strzelbę, dwa noże i może pistolet. Rosa i Martona z Cal Quinto na zapleczu baru swoich rodziców przygotowują amunicję. Sam widziałeś dzisiaj rano w ratuszu, ile było kobiet i jakie zaangażowane! Policzyłem, że było ich prawie sto!

Magí opuścił głowę i wbił wzrok w wino na dnie kubka.

– Kilku nieszczęśników i garstka kobiet!

Jonàs stracił cierpliwość i zacisnął pięści.

– Jeśli nie jesteś pewien, czy chcesz wziąć w tym udział, wracaj do domu, Magí. To walka tylko dla pewnych swoich racji!

Uderzył pięścią w blat, aż podskoczyły kubki.

Magí rozejrzał się po lokalu i odwrócił z powrotem do brata, kiedy mężczyzna o orlim nosie uniósł wzrok znad swojego bimbru.

– Nie, Jonàsie, wiesz przecież, że jestem z tobą, ale...

– Ale co? Że oni mają władzę? To już wiemy! Zapewniam cię jednak, że niektóre głowy muszą polecieć. A dzisiaj jest na to tak samo dobry dzień jak każdy inny. Do cholery, tyle nam naobiecowali! W czasie rewolucji ryzykowaliśmy życie, a nie minęły dwa lata i znów chcą nas posłać na wojnę. – Jonàs wziął głęboki oddech. – Poza tym ktoś musi pomścić ojca.

Magí przełknął ślinę.

– Gdyby ojciec przed sześciu laty wykupił się z losowania, wciąż by żył. Jak myślisz, dlaczego tego nie zrobił?

Jonàs wyprostował się.

– Dla nas, Magí. Poszedł na wojnę, żebyśmy mogli być z niego dumni.

Magí zmierzył brata wzrokiem: nieruchome i pewne spojrzenie, szerokie czoło, i pomyślał, że chciałby rozumieć pewne sprawy tak dobrze jak on.

Jonàs pokiwał głową.

– Teraz nadeszła kolej na nas. Udowodnijmy, czyimi jesteśmy synami.

Bam!

Dzwon na wieży zegarowej nadal bił na alarm. Jego dźwięk tłumiły ściany tawerny i wspomnienia Magiego: „Idź, poszukaj brata, wkrótce będzie wieczerza”.

Chłopak dopił wino.

Jonàs wyjął z kieszeni dwie monety i spojrzeniem dał znak Berenguerowi, że chce zapłacić, ale ten machnął ręką i powiedział:

– W czasie wojny klienci nie płacą!

Jonàs schował monety i wstał. Wyszedł przez uchylone drzwi Cafè de la Victòria i zniknął na ulicy.

Bam!

Podmuchy wiatru niosły ze sobą kurz i popiół. Jonàs odetchnął głęboko. Chwilę później stanął przy nim Magí. Miał ręce w kieszeniach, brzuch wystający nad przewiązaną w biodrach szarfą i wzrok potulnie wbity w ziemię.

– Co mamy robić?

– Francisco Derch zwołał wszystkich na placu Sol, pod Cedrem Wolności. Im więcej nas przyjdzie, tym lepiej! Zabierzmy broń z warsztatu i chodźmy.

– Nie umiem strzelać.

Jonàs położył bratu rękę na ramieniu.

– Żeby zostać bohaterem, wystarczy mieć odwagę. Ja cię nauczę reszty!

Chłopak przytaknął i spróbował nie myśleć o gorzkim smaku wina, który pozostał mu w ustach.

Mistrz Fabra siedział w fotelu w salonie, pocierając dłonie i ogrzewając je w ciepłe kominka.

Fineta cerowała spódnice, a obok niej Rossenda oddawała się w skupieniu nauce. Tomeu i Magí kręcili drewnianym bakiem na blacie kuchennego stołu.

Amàlia mieszała w garnku zupę, do której dodała żeberka wieprzowe.

– Gdzie jest Jonàs? Powinien już wrócić.

Magí spoglądał na nią z uśmiechem.

– Pewnie zasiedział się z Roser.

– Przy kobiecie mężczyzna powinien się ustatkować, a nie tracić dla niej głowę! Poszukaj brata, Magí, zaraz będzie wieczerza. Fineto, Rossendo, nakryjcie do stołu.

Magí wybiegł z kuchni, jakby się paliło.

Amàlia pospieszyła za nim.

– Magí, kurtka! Ach, mój Boże! Pewnego dnia ten chłopak zapomni zabrać z domu swoją głowę.

Fineta i Rossenda nakryły stół bawełnianym obrusem.

Mistrz Fabra wyjął fajkę z komody stojącej w pobliżu kominka i zaczął nabijać ją tytoniem.

Amàlia spojrzała na niego surowo.

– O czym tak rozmyślasz?

Mistrz Fabra zacisnął usta i przekonywał się w myślach, że lepiej umrzeć niż stchórzyć i żyć w strachu.

– Zdecydowałem, że nie wykupię się z werbunku, Amàlio.

Kobieta odwróciła się powoli, jakby doszedł do niej krzyk, którego nie chciała słyszeć.

– Co powiedziałaś?

Zapadło milczenie. Tomeu się odwrócił, a Fineta i Rossenda zastygły z talerzami w rękach, spoglądając raz na ojca, raz na matkę.

Amàlia podeszła do męża, trzymając drewnianą chochlę.

– Co powiedziałaś?

Mistrz Fabra jak gdyby nigdy nic dalej nabijał fajkę.

– Dużo o tym myślałem. Nie mam innego wyjścia.

Amàlia zaczęła się pocić. „Nie rób mi tego. Znam cię i wiem, że jeśli raz sobie coś wbijesz do głowy, za żadne skarby nie zmienisz zdania”, pomyślała.

– Ależ, Benecie, możesz przecież zapłacić! Mamy pieniądze. Stać nas na to.

Mistrz Fabra pokręcił głową i spojrzał na żonę.

– Wiesz, że to nie byłoby sprawiedliwe ani w stosunku do pozostałych rekrutów, którzy muszą pójść na wojnę, bo nie mają pieniędzy, żeby się wykupić, ani dla człowieka, którego wylosują za mnie. Do końca życia winiłbym się za czyjąś śmierć. Nigdy bym sobie tego nie wybaczył.

Amàlia odwróciła się do dzieci:

– Idźcie do swojego pokoju! Natychmiast!

Fineta, Rossenda i Tomeu ocknęli się z osłupienia i w podskokach zniknęli na korytarzu, chowając się tak, żeby matka ich nie dojrzała, ale żeby mogli podsłuchać rozmowę.

Amàlia odłożyła na stół drewnianą chochlę i podeszła do męża.

– Wiesz, co to oznacza?

Mistrz Fabra zapalił fajkę, unikając wzroku żony.

– Oczywiście, że wiem.

Amàlia czuła, że się poci i krew uderza jej do głowy.

– Nie, nie wiesz! A jeśli cię wylosują? Co się z nami wszystkimi stanie? Doskonale zdajesz sobie sprawę, że sami się nie utrzymamy. O tym nie pomyślałaś!

– Oczywiście, że pomyślałem. Mamy oszczędności, Amàlio. Jeśli zostanie wylosowany, będziesz z nich żyła.

- Jestem przekonana, że cię wylosują! Pójdiesz na pewną śmierć.
- Nie gadaj bzdur, kobieto!
- Ale ja to wiem! Czuję to! Wam, mężczyznom, w rzeczywistości jest wszystko jedno. Wsiądźcie na statki i do widzenia! A my zostaniemy i będziemy musiały jakoś sobie radzić, żeby wykarmić dzieci i utrzymać dom.

- To nieprawda!

Mistrz Fabra odłożył fajkę na popielniczkę. Gorzki smak tytoniu gryzł go w gardle.

Amàlia krążyła po salonie jak lew w klatce.

- To niesprawiedliwe. Zawsze martwisz się, żeby postępować przyzwoicie, więc teraz ci mówię, że nie możesz opuścić żony i pięciorga dzieci. Jonàs właśnie skończył siedemnaście lat, a twoja najmłodsza córka ma osiem lat. Jak będziemy bez ciebie żyć?

- A ty jak sobie wyobrażasz moje życie, jeśli zostanę? Chcesz, żebym się wstydził? Jak mógłbym spojrzeć w twarz robotnikom w fabryce? Oni wszyscy muszą wziąć udział w losowaniu. To jest niesprawiedliwe.

- Uczciwie pracujesz na swoje wynagrodzenie, a poza tym musisz znosić kaprysy i dotrzymywać tajemnic tej przeklętej rodziny Lledó. Powinni ci za to płacić o wiele więcej!

- Nie mów tak. Wszystko, co mamy, dostaliśmy od nich.

- Co do tego nigdy nie będziemy zgodni. Lledó dają nam tylko pracę, pracę i jeszcze więcej pracy. To prawda, że mamy co do garnka włożyć, ale jesteśmy więźniami bez przyszłości, którzy mogą im tylko posłusznie służyć z opuszczonymi głowami.

- Do tej pory przecież nie żyło ci się źle. Na co się teraz uskarżasz?

- Na to, że nie płacą ci tyle, ile ci się należy, podczas gdy oni opływają w bogactwo. Poza tym musimy ukrywać ich córkę, która ucieka Bóg jeden wie przed czym!

Mistrz Fabra zerwał się z fotela.

- Nie pozwalam ci tak mówić, Amàlio! Wiem, że jesteś zła, więc ulżyj sobie na mnie, ale nie bądź okrutna wobec kogoś, kto żyje w nieszczęściu.

- A jakich to nieszczęść doświadczyła ta panna? Popruła jej się suknia?

- Jak możesz tak mówić, kobieto? W dodatku po pożarze. Uratowała życie Ermínii i twoim dzieciom! Powinniśmy być jej za to wdzięczni.

- Wdzięczni? Może i je uratowała, ale z pożaru, który wybuchł z jej winy! Gdyby nie ukrywała się w naszym domu, nigdy by do niego nie doszło.

Mistrz Fabra chwycił żonę za ramię.

- Znam Mariannę, odkąd była niemowlęciem. Wiesz, że jest dla mnie jak córka. Nie możemy jej opuścić. Obiecuj mi, że kiedy mnie zabraknie, nadal będziesz się nią opiekować.

- Twoja panna Lledó jest wystarczająco dorosła, żeby sama się o siebie zatroszczyć. Ja muszę się opiekować pięciorgiem naszych dzieci, które potrzebują wikt i schronienia! Gdzie będzie ich ojciec, żeby im to zapewnić?



Mistrz Fabra westchnął i odwrócił wzrok do ognia.

– Nie oczekiwałem, że to zrozumiesz.

– Co zrozumiem? Że chcesz nas zostawić i iść na wojnę, która nas nie dotyczy, a korzystają na niej jedynie bogaci? Niech sami walczą!

– Nie. Staram ci się wytłumaczyć, że nawet jeśli jestem przeciwny werbunkowi poprzez losowanie, musimy wziąć w nim udział wszyscy albo nikt. Skoro potępiamy bogaczy, że nie biorą udziału w losowaniu, sami nie możemy postępować tak jak oni. Nie jesteśmy lepsi od naszych przyjaciół, nie zasługujemy na inne traktowanie. Życie nie ma ceny. Albo pewnego dnia obudzimy się skuci w łańcuchy jak niewolnicy. Wezmę udział w losowaniu jak wszyscy. – Mistrz Fabra się wyprostował. – Może dzięki temu pan Lledó albo inny wpływowy człowiek zauważy niesprawiedliwość, którą na nas nakładają.

– Nawet jeśli tak się stanie, ty zostaniesz męczennikiem, a ja będę cię tak samo opłakiwała.

– Męczennikiem nie, ale też nie współwinnym. Życie czasami wystawia nas na próbę. Nadszedł czas na nas, Amàlio.

Żona nie dostrzegła w jego oczach ani krzty wątpliwości. Natomiast jej drżały usta. Opadła ciężko na kuchenną ławę, zgarbiła ramiona i ukryła twarz za zaciśniętymi pięściami.

Mistrz Fabra nigdy nie widział jej tak przygnębionej. Podeszedł bliżej i usiadł obok niej.

– Przykro mi.

Amàlia zacisnęła zęby bardziej z bezsilności niż wściekłości.

Mężczyzna położył rękę na jej ramieniu.

– Gdybym zapłacił, wyraziłbym zgodę na ciemienie i brałbym w nim udział. Rozumiesz?

Pokiwała głową i zamknęła oczy.

Mistrz Fabra przysunął się do niej jeszcze bliżej.

– Wiem, że nie masz sił dłużej walczyć, ale wiem też, że jesteś silną kobietą, która poradzi sobie nawet w najtrudniejszej sytuacji. Właśnie z tego powodu możemy sobie pozwolić na odwagę i powiedzieć dość.

– I koniecznie musisz oddać za to życie?

– Nie mogę żyć z opuszczoną głową.

Amàlia przygryzła usta i uniosła wzrok.

– Obym nigdy cię nie przeklęła za tę decyzję.

– Mam nadzieję, że właśnie za nią będziesz mnie kochać trochę bardziej.

Złapała go za rękę.

– W najgorszym wypadku umrzesz, nigdy więcej nie zobaczysz swoich dzieci, twoja rodzina będzie głodowała, a ja – przełknęła ślinę – będę musiała bez ciebie żyć. Czy to wszystko jest tego warte?

Mistrz Fabra wpatrywał się w żonę i głaskał ją po włosach, posiwiałych od czasu, gdy poznał ją na balu w kasynie przed ponad dwudziestoma laty. Wciąż jednak tryskała tą samą energią, z jaką mu się przedstawiła i powiedziała:

„Jeśli nie zatańczysz ze mną tego wieczoru, nigdy się nie dowiesz, jak to jest poznać prawdziwą kobietę, chłopcze”.

– Nie wiem, ale nie wyobrażam sobie, żeby postąpić inaczej.

„Boże mój, żeby nie padło na niego. Inaczej nie wiem, co się z nami stanie”, pomyślała z lękiem Amàlia.

Objęli się.

Nagle drzwi się otworzyły i stanął w nich Jonàs, a za nim Magí wpatrzony w brata z podziwem.

– Pocałowałaś ją?

– A jak myślisz?

Amàlia zerwała się z ławy, złapała drewnianą chochlę i zebrała w sobie resztki odwagi, które jej pozostały.

– Chodźcie, chłopcy. Gdzie się podziewaliście? Wieczera gotowa, siadajcie do stołu.

Mistrz Fabra podszedł do kominka, wziął fajkę, która zdążyła zgasnąć, i znów usiadł w fotelu. Palilo się polano, wydając ostry, przenikliwy świst niczym dźwięk rogu wzywającego na wojnę. Wbił wzrok w płomienie i w jednej chwili zyskał pewność, że czasami śmierć jest równie ważna co życie.

Bam! Bam!

Dźwięk dzwonu na wieży zegarowej w Gràcii brzmiał pewnie, niemal tak radośnie, jakby sam Bóg nawoływał do obrony swojej wiekuistej łaski.

Na placu Sol wrzało jak w kotle. Wśród tłumu ożywionych mężczyzn z bronią na ramieniu, którzy krzykami i dymem z papierosów próbowali wypłoszyć swój strach, trudno było nawet dostrzec rosnący na środku placu mizerny Cedr Wolności.

Francisco Derch zatrzymał się przed wejściem na plac, na rogu ulicy Planeta, żeby nikt go nie widział. Liczył wzrokiem ludzkie głowy: około pięćdziesięciu. Niektórzy mężczyźni mieli więcej lat niż sił.

Westchnął i przepchnął się na środek placu.

Ludzie zamilkli na jego widok.

– Dziękuję, że odpowiedzieliście na moje wezwanie.

Tłum wiwatował, a Francisco Derch mówił dalej, wpatrując się po kolei w najbliższej stojących rebeliantów.

– Zebraliśmy się, żeby stawić opór podłym intencjom rządu, który znów planuje werbunek cywilów poprzez losowanie. Najpierw jednak musimy dokładnie zrozumieć, komu się przeciwstawiamy, i ocenić własne siły. Uczyńcie mi zatem honor i ustawcie się w rzędzie, abym mógł was policzyć.

Mężczyźni posłusznie stanęli w trzech nierównych rzędach.

Francisco Derch zaczął odliczać:

– Jeden, dwa, trzy... Trzynaście, czternaście, piętnaście... Pięćdziesiąt osiem i pięćdziesiąt dziewięć.

W drugim rzędzie Magí wyszeptał do Jonàsa:

– Jest nas za mało.

Jonàs, wpatrzony w jakiś punkt nad łukiem portyku, nie odpowiedział.

Francisco Derch stanął z powrotem przed zgromadzonymi z pochyloną głową. W myślach liczył broń, którą przynieśli mężczyźni: dwadzieścia jeden myśliwskich strzelb, dziesięć karabinów, dwa garłacze, pięć bagnatów, piętnaście pistoletów, kije, brzytwy i noże. „Złom”. Próbował podnieść się na duchu, wymieniając argumenty za tym, że mogą wygrać.

Mężczyźni stali w milczeniu, wyprostowani, jakby to dodawało im godności i odwagi do przelania krwi, której Francisco Derch raczej wolałby nie zobaczyć.

– Drodzy towarzysze, dotarły do mnie wieści, że kapitan generalny Eugenio de Gaminde gromadzi całe wojsko do walki z nami. Nas jest pięćdziesięciu dziewięciu. – Francisco Derch westchnął. – Pięćdziesięciu dziewięciu mężczyzn przeciwko całej armii. Nie damy rady, a co gorsza, możemy stracić wszystko, o co chcemy walczyć.

Magí spojrział na brata, który wciąż wpatrywał się w dal, dumnie wypinając pierś.

Francisco Derch odwrócił wzrok, nie chcąc oglądać rozczarowania powstańców.

– Oni mają armaty, konie i karabiny. Nas jest zaledwie garstka i jesteśmy gorzej uzbrojeni...

Jonàs zmarszczył czoło.

– Za pańskim pozwoleniem, może jest nas mało i jesteśmy źle uzbrojeni, ale nasze racje dodają nam siły. Nie tracimy niczego, co nie byłoby już stracone! Jeśli mamy wybór, wolimy umrzeć tutaj, w obronie sprawiedliwości, a nie w dalekim kraju, walcząc o interesy bogaczy.

Słowom Jonàsa towarzyszył ogólny aplauz.

Francisco Derch podszedł do niego.

– Jak się nazywasz, odważny chłopcze?

– Jonàs Fabra.

Francisco Derch wbił w niego wzrok. W oczach Jonàsa niemal odmalował się krzyk: „Nie boję się. Strach nie nakarmi mojej rodziny i nie pomści śmierci mojego ojca”.

Przywódca rebelii położył rękę na jego ramieniu.

– Jesteś gotowy na śmierć?

– Tak, proszę pana!

– I na to, że twoi przyjaciele i bracia będą umierać na twoich oczach?

Jonàs zawahał się z odpowiedzią, odruchowo rzucając okiem na Magiego.

– Jeśli to konieczne.

Francisco Derch złapał Jonàsa za ramiona i lekko nim potrząsnął, jakby w ten sposób chciał się pozbyć własnego strachu. Potem powoli podszedł do pozostałych mężczyzn.

– Co na to reszta? Jesteście gotowi umrzeć w słusznej sprawie?

Chóralny krzyk wprowadził w drżenie gałęzie cedru.

Francisco Derch poczuł mrowienie na plecach i rozpierającą go dumę.

– Dobrze. Jednak pamiętajcie, że będzie to bolesna i z całą pewnością niesprawiedliwa walka.

Ponownie zapadła cisza.

Przywódca wziął głęboki oddech i wykrzyknął:

– Jeśli jednak jesteście skłonni zginąć w imię sprawiedliwości, stać u waszego boku! Nie pozwolimy, żeby ktokolwiek nam rozkazywał, gdzie i za co mamy ryzykować życie nasze i naszych rodzin! Dzielni towarzysze, macie we mnie swojego przywódcę!

Jonàs wraz z pozostałymi powstańcami zaczął podskakiwać w wybuchu powszechnej radości. A Francisco Derch obserwował swoich rekrutów, modląc się w myślach: „Boże, jeżeli nas słyszysz, nie opuszczaj nas”.

Każdego ranka od dwóch tygodni pozowali cenionemu barcelońskiemu malarzowi Parramonowi. Artysta przyglądał się im, mierzył odległości ołówkiem, znów się przyglądał, a potem chował za okrągłym blejtrmem obciążonym płótnem.

Tego dnia panował upał i niemiłosiernie włókł się czas. Chociaż w pokoju muzycznym otwarto szeroko okna, powietrze stało w miejscu. Mimo to Marçal tkwił w uroczystej pozie. Ocierał pot z czoła białą chusteczką z wyhaftowanym rodowym monogramem, przechylał się lekko do Marianny i szeptał jej do ucha:

– Wyprostuj się tak jak ja, żeby każdy, kto będzie patrzył na ten obraz, miał pewność, że jesteśmy Lledó.

Marianna przełknęła ślinę i przypomniała sobie karcące słowa Sibilli: „Za kogo ty się masz, dziewczyno z piekła rodem? Słuchaj mnie z łaski swojej albo poproszę państwa, żeby cię odesłali do tej samej nory, z której cię przygarnęli”. Dziewczynka natychmiast się wyprostowała i zaczęła się zastanawiać, czy na obrazie będzie widać, że z rodziną Lledó nie łączą jej więzy krwi.

Fèlix uszczypnął ją w ramię, a kiedy Marianna odwróciła się w jego stronę, zrobił zabawną minę i wyprostował się jak struna, naśladując wyniosłość Marçala.

Dziewczynka wybuchnęła śmiechem.

Tymczasem do pokoju weszła Àgata z bardziej niż zazwyczaj ściągniętymi ustami.

– Dziadek prosi państwa do gabinetu. Pozowanie jest na dzisiaj skończone.

Dzieci podskoczyły z radością, jakby zwolniła je z uciążliwego obowiązku.

Àgata zatrzymała Mariannę w drzwiach.

– Panienska pójdzie do swojego pokoju. Zaraz tam zjawi się Sibilla.

– Czy zrobiłam coś złego, Àgato?

Gospodyni ukucnęła, żeby być na wysokości twarzy dziewczynki.

– Nie, panienko. Dlaczego panienska tak sądzi? Nic panienska złego nie zrobiła, ale dzisiejszy dzień jest bolesny dla rodziny. Niech panienska będzie grzeczna i pójdzie do swojego pokoju. Kuzynowie będą potrzebowali panienki.

Marianna zauważyła, że Àgata ma wilgotne oczy.

Wyszła z pokoju i powoli wspięła się po schodach, obserwując Marçala

i Fèliksa, którzy właśnie weszli do gabinetu pana Pacià.

Marianna przysiadła na czerwonym chodniku pokrywającym stopnie schodów i zza drewnianej balustrady nadstawiała uszu, żeby dowiedzieć się, co się dzieje za drzwiami gabinetu, ale nie słychać było stamtąd żadnych dźwięków oprócz tykania zegara.

Po pewnym czasie drzwi otworzyły się i z gabinetu wyszła pani Consol z chusteczką w ręku, a za nią podążał mistrz Fabra. Kobieta odezwała się, szlochając:

– Proszę mi wybaczyć, że nie odprowadzę pana do wyjścia. Chciałam jeszcze panu powiedzieć, że jesteśmy bardzo wdzięczni za pańskie starania.

– Przykro mi, że musiałem być posłańcem tak nieszczęśliwej wiadomości.

Pani Consol z trudem powstrzymała jęk.

Mistrz Fabra ośmielił się położyć delikatnie swoją dłoń na jej ramieniu.

– Przepraszam, nie chciałem jeszcze bardziej pani zasmucić.

– Nie ma pan pojęcia, co znaczy dla matki utrata najpierw córki – opuściła głowę z poczuciem winy – a teraz syna.

– Rodzice nie powinni opłakiwać śmierci swoich dzieci, pani Consol. Bardzo mi przykro. Proszę jeszcze raz przyjąć kondolencje ode mnie i całej mojej rodziny.

Pani Consol pokiwała głową, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Potem odeszła, ciągnąc za sobą ogon czarnej adamaszkowej sukni, która wydała z siebie denerwujący szelest.

Mistrz Fabra wziął od służącej kapelusz i uniósł wzrok, jakby chciał się pomodlić do Boga. Tymczasem zamiast niego napotkał oczy Marianny siedzącej w ukryciu za drewnianą balustradą. Mężczyzna rozejrzał się dookoła i widząc, że został w holu sam, dał jej znak, żeby zeszła do niego.

– Jak się panienka miewa?

Marianna bardzo lubiła głęboki i poważny głos mistrza Fabry.

– Co się stało?

Mistrz Fabra usiadł na stopniu i westchnął jak ktoś, kto ma coś nieprzyjemnego do powiedzenia.

– Panienka jest mądra i na pewno zrozumie.

Dziewczynka pokiwała bez przekonania głową i usiadła obok niego.

Mistrz Fabra wbił wzrok w rondo swojego kapelusza i oznajmił:

– Zmarli rodzice Fèliksa i Marçala. Pamięta panienka, że wybrali się w podróż do Anglii? Statek, którym płynęli, zatonął.

Marianna starała się pojąć znaczenie tych słów.

– Wujek i ciocia nie żyją?

Mistrz Fabra należał do ludzi, których zdaniem nawet trudne sprawy należało nazywać po imieniu.

– Tak, pan Domènec i pani Teresa umarli.

Marianna siedziała w milczeniu ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w zaciągniętą nitkę w hafcie na lnianej sukience. Pociągnęła nitkę i skreśliła

w palcach w supełek.

– Tak jak moi rodzice? Odeszli na zawsze, ale będą nad nami czuwać?

Mistrz Fabra uśmiechnął się lekko.

– Ma panienka rację.

– Nie pamiętam śmierci moich rodziców. – Marianna popatrzyła na mistrza Fabrę, jakby spowiadała się z popełnionego grzechu. – Ich też nie pamiętam, ale czasami za nimi tęsknię. Szczególnie za mamą.

– Nie może ich panienka pamiętać, ponieważ była panienka niemowlęciem, kiedy zjawiała się panienka w tym domu. Jestem jednak przekonany, że matka panienki była silną kobietą jak panienka.

Oczy Marianny zaszyły mgłą.

– Marçal i Fèlix też już nigdy nie zobaczą swoich rodziców?

Mistrz Fabra pokręcił głową.

– Może kiedyś, w odległej przyszłości...

– I będą czasami smutni tak jak ja?

Mężczyzna przytaknął.

– Teraz panicze zamieszkają tutaj z panienką. Powinna się panienka nimi zaopiekować.

– Ja?

– Tak, oczywiście. Obydwoma. Paniczem Marçałem też.

Mistrz Fabra puścił do niej oko.

Dziewczynka oblała się rumieńcem.

Mistrz Fabra, widząc wygnieciony rąbek spódnicy Marianny, wygładził go zręcznym ruchem.

– Panienko Marianno, zapewne panienka już wie, że Bóg często wybiera sieroty, takie jak panienka, do bardzo ważnych misji.

Dziewczynka spojrzała na niego z zaskoczeniem.

– Jak ja? Bóg ma dla mnie specjalne zadanie?

Mistrz Fabra uszczypnął ją delikatnie w nos.

– Wyjątkowe.

– Jakie?

Nagle otworzyły się drzwi gabinetu.

Mistrz Fabra wstał i zmierzwił włosy Marianny.

– Musi panienka jeszcze trochę poczekać, żeby się o tym dowiedzieć, ale kiedy nadejdzie ta chwila, niech panienka będzie przygotowana.

Tego wieczoru Marianna – wciąż mając w głowie słowa mistrza Fabry – wemknęła się do pokoju Marçala i Fèliksa, korzystając z okazji, że niania Josefina chrapała w pomieszczeniu obok.

W pokoju panowała ciemność, ale dziewczynka знаła to miejsce, ponieważ była tutaj kilka razy. Zamknęła delikatnie drzwi, ominęła w ostatniej chwili leżącego na podłodze żołnierzyka wojska kolonialnego i bąka, a potem podeszła do łóżka Fèliksa.

– Śpisz?

Słyszała jego spokojny oddech.

Z gabinetu pana Pacià Fèlix wyszedł z zaczerwienionymi oczami. Resztę popołudnia spędził pod lipą. Marianna widziała go z okna swojego pokoju i chciała do niego pójść, ale Sibilla ją powstrzymała, mówiąc, że panicz Fèlix musi odpocząć i panienska tylko będzie przeszkadzać.

Marianna znów wyszeptała:

– Fèliksie, Fèliksie...

Nie otrzymawszy odpowiedzi, doszła do wniosku, że lepiej niech chłopiec śpi. A sama odwróciła się, żeby odejść. Tymczasem na łóżku obok ktoś się poruszył i spod koca wychylił się Marçal.

– Co tutaj robisz?

Marianna podeszła do niego.

– Przyszłam zobaczyć, jak się czujecie.

– Raczej chciałaś sprawdzić, jak się ma Fèlix! – jęknął Marçal i otarł rękawem łzy.

Marianna nie odpowiedziała, nie chcąc skłamać, i wgramoliła się do jego łóżka.

Marçal zrobił jej miejsce.

– Wiesz już?

– Tak, mistrz Fabra o wszystkim mi powiedział.

Marçal próbował się powstrzymać, żeby nie wybuchnąć płaczem.

Marianna położyła się obok niego.

– Myślisz, że Bóg wie, kiedy płaczemy?

– Nie wiem. Chyba tak. Bóg wie wszystko, prawda?

– Dlaczego więc na to pozwala?

Marianna odwróciła się do chłopca, wbiła w niego swoje modre oczy i otarła ręką łzę, która spłynęła mu do kącika ust.

– Wiesz, ja też czasami płaczę. Ale któregoś dnia, bardzo dawno temu, pani Consol zauważyła mnie płaczącą i zdradziła mi pewien sekret. – Marianna zrobiła pauzę. – Powiedziała, że kiedy patrzysz w niebo, z oczu nie spływają łzy.

Marçal cały drżał, a po policzku popłynęła mu łza. Szybko uniósł głowę i popatrzył na sufit.

– Myślisz, że moi rodzice poszli do nieba?

– Na pewno!

Chłopiec pokiwał głową. Już nie płakał, a przynajmniej łzy nie spływały mu po twarzy, tylko zbierały się pod powiekami.

– Nie mów Fèliksowi, że płakałem.

– Dlaczego?

Marçal znów otarł twarz rękawem.

– Lepiej, żeby o tym nie wiedział. Obiecujesz?

Skinęła głową.

Chrapanie Josefiny ucichło, zatrzeszczało łóżko i usłyszeli jej kroki.

Marianna przyłożyła rękę do ust i przytuliła się do Marçala, który ją objął i nakrył kocem. Ujrzeni migoczące światełko. Marianna wstrzymała oddech, a Marçal przycisnął ją do siebie. Słyszał przyspieszone bicie jej serca. Dziewczynka poczuła, że się dusi. Odsunęła się trochę od Marçala i delikatnie uchyliła koc, żeby zaczerpnąć powietrza. Po chwili znów usłyszeli skrzypnięcie łóżka Josefiny i jej głęboki oddech, a potem chrapanie. Marçal wypuścił Mariannę z objęć i mimochodem musnął ręką jej włosy. Chciał jej podziękować, że dodała mu otuchy w tę straszną noc.

Dziewczynka wstała.

– Wracam do swojego łóżka, bo Sibilla będzie się na mnie gniewała, jeśli zauważy, że mnie nie ma.

Pokiwał głową, chociaż nie miał ochoty jej puścić. Marianna uśmiechnęła się do niego zdenerwowana i bezszelestnie wyszła z pokoju.

Marçal od razu poczuł zimną pustkę, którą zostawiła po sobie. Słyszał milknący dźwięk jej kroków na drewnianej podłodze. Zamknęły się za nią drzwi, ale Marçal zapamiętał dotyk skóry Marianny i wpatrujące się w niego błękitne oczy. Tej nocy ich losy połączyły się na zawsze.

Bam!

Marianna uwijała się jak mrówka w tłumie mężczyzn, kobiet i dzieci budujących barykadę. Znosili deski, wozy, krzesła, skrzynie, zegary, kamienie i wszystko, co mogłoby posłużyć do budowy szańca ciągnącego się od ulicy Bonavista aż do pasażu Sant Joan.

Po drugiej stronie jeszcze nie było nikogo.

Bam!

Marianna patrzyła na wyludniony pasaż Gràcia zaczynający się w miejscu, w którym stała, i ciągnący się aż do morza. Wydawało jej się, że tam, w oddali, gdzie milkną odgłosy miasta i nie czuć fetoru wąskich uliczek, widać rezydencję rodziny Lledó.

Wzięła głęboki oddech.

Grupa mężczyzn niosła ciężki pień drzewa, które ścięli przy drodze.

– Odsuń się, kobieto, musimy dokończyć budowę linii obrony, zanim nadciągnie wojsko.

Marianna zeszła im z drogi. Zobaczyła przed sobą Francisco Dercha, który osłaniając ręką oczy przed oślepiającym słońcem, dowodził swoją armią mrówek.

Podszedł do niego niski, zdenerwowany mężczyzna z wyciągniętą na wierzch koszulą, który prowadził kobietę tak chudą jak on.

– Panie Derch, czy mógłby pan nakazać mojej żonie, żeby wróciła do domu?

Kobieta wyrывała się i stanęła twarzą w twarz z przywódcą powstańców.

– Jeden z moich synów zginął na wojnie i nie pozwolę, żeby to samo przytrafiło się pozostałym z dala ode mnie. Może nie mam siły jak mężczyzna, ale mogę się przydać. Nie będę siedziała w domu i patrzyła z założonymi rękami, jak oni walczą!



Francisco Derch odchrząknął i obciągnął surdut.

– Sądzę, że może pani być równie pomocna, zostając w domu z dziećmi.

Kobieta zrobiła krok w przód.

– Czy stracił pan dziecko? Proszę odpowiedzieć! Jeśli nie, to kim pan jest, żeby wydawać mi rozkazy?!

Francisco Derch przełknął ślinę i odwrócił się do mężczyzny, który stał z założonymi rękami i z przerażeniem wpatrywał się w żonę.

– Zdaje mi się, że pańska żona ma więcej odwagi ode mnie. Jeśli taka pani wola, może pani pomóc kobietom w przygotowywaniu posiłków i w opiece nad rannymi i dziećmi w budynku ratusza. Z pewnością przyda im się kolejna para rąk.

Kobieta spojrzała na niego.

– Dobrze, pójdę, ale jeśli tam się do niczego nie przydam, zapewniam pana, że wrócę tutaj, aby patrzeć, jak te dranie giną pod ostrzałem waszych kartaczy!

Francisco Derch westchnął i oddalił się od wciąż kłójącego się małżeństwa. Zauważył Mariannę obserwującą mężczyzn budujących barykady i podszedł do niej.

– Co pani o tym myśli? Podnosi na duchu, prawda? – spytał, po czym skrepowany odwrócił wzrok, bo Marianna wbiła w niego swoje modre oczy. – W ratuszu pokazała pani wielką odwagę, a teraz się pani waha?

– Nie. – Marianna spojrzała na kobietę, która zachęcała swojego małego synka do układania kamieni. – Jedynie oceniam niebezpieczeństwo.

– Cóż, jak same powtarzacie: śmierć nadejdzie prędzej czy później. Lepiej więc zginąć w walce o swoje przekonania.

Marianna przyglądała się chłopcu. Miał zakrwawione ręce, a kamienie były dla niego za ciężkie.

– Tak, zgadzamy się na śmierć, ale tylko taką, która ma znaczenie.

Przywódca rebeliantów dostrzegł jej spękane usta i melancholijne spojrzenie. Chciałby wiedzieć, za czym tak tęskni. Zapomniał o swojej dumie i zbliżył się do niej jeszcze bardziej.

– Chciałem pani podziękować za poranną ingerencję. Gdyby nie pani...

– Proszę mi nie dziękować, lecz potraktować to jako gest zaufania. – Marianna patrzyła na niego uważnie. – Mam tylko nadzieję, że nie zawiedzie mnie pan. Ani ludzie.

Bam!

Dzwon wciąż rytmicznie bił na alarm.

Francisco Derch nie ośmielił się odpowiedzieć, ponieważ łatwo jest rozwiązać czyjeś nadzieje. Dlatego tylko się uklonił i odszedł w stronę barykady.

Stał i zwrócił się do ludzi:

– Powstańcy i bohaterowie, walczymy w ważnej sprawie! Nie upadajcie na duchu, wznóście barykady. Niech was widzą z samego placu Pla de Palau! I pamiętajcie, że żołnierze strzelają bardzo celnie ze swoich karabinów, więc

uważajcie na każdy swój ruch.

Marianna wodziła wzrokiem po zebranych, którzy patrzyli na Francisco Dercha z podziwem, unosząc ręce i kiwając głowami. Byli wśród nich kobiety, dzieci, mężczyźni, młodzież i starcy. Zamknęła oczy. Czowała na twarzy nagły podmuch wiatru wiejącego od strony Barcelony. Przypomniała sobie, jak profesor Bonell – w swoich nieodłącznych okularach o grubych szklach, które co chwila zjeżdżały na czubek nosa – kiwał do nich palcem, powtarzając, że mogą się kłócić, ile chcą, pamiętając o tym, że walka ma sens tylko wtedy, gdy kończy się wojną.

– Marianno, Marianno!

Kobieta otworzyła oczy. Podbiegła do niej zasapana Ermínia.

– Potrzebujemy cię. Mamy już dwóch rannych. Założyliśmy im opatrunki, ale to nie wystarczy. Lekarz jeszcze się nie zjawił, a w ratuszu zgromadzono wszystkie dzieci, żebyśmy się nimi opiekowały, podczas gdy ich rodzice stoją na barykadach.

– Jak to? To niebezpieczne, żeby wszystkie były w jednym miejscu!

– Nie było innego wyjścia. Nie mogą same zostać w domu.

Marianna przytaknęła i znów spojrzała w stronę Barcelony, przypominając sobie bitwy w Casa Lledó i słowa Fèliksa: „Jeśli odejdziesz, będę cię szukał”, a potem ruszyła z Ermínią ulicą Major.

Bam!

Po śmierci rodziców Marçala i Fèliksa, mając na względzie stan emocjonalny pani Consol, pan Pacià doszedł do wniosku, że chłopcy potrzebują mentora, kogoś o wybitnej inteligencji, kto wyjaśniłby im funkcjonowanie świata i nauczyłby ich podstawowych rzeczy niezbędnych do osiągnięcia sukcesów w życiu. Odprawił profesora Massota, który do tej pory za pomocą linijki i ostrych słów uczył dzieci geometrii, łaciny oraz matematyki, i zatrudnił profesora Bonella, który do dotychczasowych przedmiotów dodał naukę języka angielskiego, greckiego, francuskiego i włoskiego, geografię, filozofię, astronomię, biologię, nie zapominając o medycynie, w której się specjalizował. Według pana Pacià było tego za dużo i przedmioty wydawały mu się niepraktyczne, ale wolał być przezorny.

Profesor Bonell był bardzo niski, nie mierzył więcej niż jeden metr. Garb na jego plecach powiększał się stopniowo pod ciężarem doświadczenia i kilogramów przeczytanych książek. Mimo podeszłego wieku wciąż miał gęstą, ale już srebrnoszarą, rozwichrzoną czuprynę, nad którą próbował bezskutecznie zapanować. Okulary o szklach grubych niczym denka butelek, które ciągle zjeżdżały mu na czubek nosa, chroniły go w pewnym stopniu przed ludźmi i pozwalały ukryć się w świetle stworzonym z idei i ze słów. Wspierał się na starej drewnianej lasce ozdobionej gałką z kości słoniowej; podobno osobiście podarowała mu ją angielska królowa Wiktorija. Profesor Bonell był nauczycielem w najznamienitszych europejskich domach. Krążyła plotka, że uczył między innymi małą Wiktorię, chociaż sam profesor nigdy tego nie

potwierdził. Wspominał tylko, że musiał uciec z Francji po wybuchu rewolucji, a także swoją przeprawę przez Cieśninę Kaletańską i pobyt na Uniwersytecie Oksfordzkim.

Dla pana Pacià najważniejsze było to, że ten człowiek należał kiedyś do królewskiego dworu, a co więcej – był królewskim nauczycielem. I nie miał żadnych wątpliwości, że Bonellowi laskę podarowała królowa.

– Jestem pewien, że będzie pan się czuł dobrze w tym domu, drogi profesorze. To dla nas wielki zaszczyt, że z pańskim doświadczeniem i wpływami zgodził się pan kształcić nasze wnuki. Mam nadzieję, że docenią pańską wiedzę, a także kwoty, które inwestujemy w ich naukę.

Założył ręce do tyłu.

Profesor Bonell przytaknął, jednak pan Pacià nie pozwolił mu dojść do słowa.

– Mamy dwóch wnuków.

– Troje – wtrąciła pani Consol, mieszając czarną kawę importowaną z Mokki. Pan Pacià wbił w nią wzrok ostry jak brzytwa.

Profesor Bonell patrzył raz na niego, raz na nią zza swoich grubych szkielec.

– Mamy troje wnucząt – poprawił się pan Pacià. – Dwóch chłopców i jedną dziewczynkę, ale nie bierzemy jej pod uwagę, ponieważ ma już swoją guwernantkę, która nauczy ją wszystkiego, co powinna wiedzieć, jak dorośnie, oraz wspaniałą nianię!

Pani Consol kaszlnęła znacząco.

– Może jeszcze kawy, drogi profesorze?

– Z przyjemnością.

Pan Pacià mówił dalej:

– Jak wspomniałem, mamy dwóch wnuków, którzy potrzebują gruntownego wykształcenia opartego na uporządkowanej i użytecznej wiedzy. Niestety rok temu Bóg zabrał do siebie naszego syna Domèneca i jego żonę.

Pani Consol zdusiła szloch chusteczką.

– Takie rzeczy się zdarzają, a jak pan doskonale wie, rodzina z naszą pozycją musi patrzeć w przyszłość.

Słowom pana Lledó towarzyszyło rytmiczne tykanie zegara.

– Chłopców trzeba utemperować. Marçal jest dziedzicem rodzinnego majątku. Fortuny, którą będzie musiał dobrze zarządzać i ją pomnażać. To lojalny i odpowiedzialny chłopak. Natomiast mamy problem z Fèliksem. Niejednokrotnie ośmielił się ze mną dyskutować i kwestionować moje słowa. Wyobraża pan sobie? Ze mną! – Pan Pacià wykrzywił usta z niesmakiem. – Nie, proszę pana! Ci chłopcy potrzebują silnej ręki, która poprowadzi ich odpowiednią drogą.

Pan Pacià kręcił się niespokojnie po pokoju i wymachiwał pięścią w takt tykania zegara. Profesor w tym samym rytmie coraz bardziej zapadał się na kanapie.

– Jeśli pan pozwoli... Uważam, podobnie jak greccy mędracy, że wychowanie

opiera się na rozumie.

– Właśnie, panie Bonell! Widzę, że mamy podobne zdanie. Naszym wnukom brakuje rozumu i konkretnego, dokładnego i solidnego wykształcenia.

Profesor Bonell, który z wiekiem docenił wartość dokładności, dodał:

– Cóż, panie Lledó, to pańska opinia. Ja jednak twierdzę, że najważniejszy jest dialog, tak jak u Sokratesa...

– Nie wiem, kim jest ten pański Sokrates, ale domyślam się, że skoro pan o nim wspomina, musi być osobą godną szacunku. Jednak zapewniam pana, że kiedy pozna pan naszych wnuków, zrozumie pan, że czymś, czego najmniej potrzebują, jest przyznanie im prawa głosu. Dialog, pan powiada! Niech nas od tego Bóg broni! Oni mówią same bzdury! Pewnego dnia Fèlix zaczął się dopytywać, dlaczego w fabryce pracują dzieci, takie jak on. Wyobraża pan sobie taki brak wychowania?!

Profesor lekko się uśmiechnął.

– Co mu pan odpowiedział?

– Takie zachowania należy wyrwać z korzeniami, inaczej wyrosną same chwasty. Ukaralem Fèliksa, zamykając go na noc na poddaszu. Co miałem zrobić? Gdyby pan słyszał, jak kopał w drzwi i krzyczał. Przez niego nie mogliśmy spać.

Profesor Bonell spojrział ukradkiem na panią Consol, która udawała, że strzepuje niewidzialne paproszki z czarnej sukni z błyszczącego adamaszku.

Pan Lledó odezwał się nagle z dumą:

– Domyśla się pan, profesorze, że ja jestem człowiekiem bardzo zajęтым i nie jest mi łatwo. Takie jest życie. Wiadomo, że pańskie oko konia tuczy. Czy miałbym jeszcze czas zwracać uwagę na wybryki naszych wnuków? Nie muszę chyba panu tłumaczyć, co by się stało, gdyby ktoś postronny dowiedział się, że mój wnuk, członek rodu Lledó, zadaje takie przewrotne pytania? – Mężczyzna podszedł do fortepianu, przyjrzał się swojemu odbiciu i poprawił fular. – Dlatego też, kiedy pani Lledó wspomniała mi o panu i pańskim długoletnim i wybitnym doświadczeniu, od razu zrozumiałem, że ma pan narzędzia, którymi będzie pan umiał dokręcić śrubki w tych małych i zdemoralizowanych głowach.

– Schlebia mi pan, panie Lledó. Całym sercem pragnę być użyteczny dla tych chłopców... i oczywiście dla dziewczynki.

– Ależ nie, Marianna niczego nie potrzebuje. Gra na fortepianie, śpiewa, maluje, szyje. Czego jeszcze uczy ją pani Verenisse?

– Pisania, czytania odpowiednich książek i zarządzania domem – wymieniła pani Consol, jakby czytała kartę dań.

Profesor Bonell pokiwał pobłaźliwie głową.

– Jestem pewien, że to są bardzo przydatne, hm... umiejętności. Ale może warto byłoby ją nauczyć też innych rzeczy?

– Zgadzam się z panem. – Pan Pacià położył rękę na jego ramieniu z taką siłą, że profesor Bonell zapadł się w kanapę i tylko jego głowa wystawała znad poduszek. – Jednak wiem z doświadczenia, że to niczemu nie służy. Im kobieta

jest lepiej wykształcona, tym bardziej samowolna.

Pani Consol znów mieszała kawę, uderzając głośno łyżeczką o ścianki filiżanki. Jej mąż puścił ramię profesora z lekkim pchnięciem.

– Krótko mówiąc, najlepiej będzie, jeśli skupi się pan na chłopcach. A teraz, jeśli państwo pozwolą, opuszczę was, ponieważ czekają na mnie ważne obowiązki. Pani Lledó przedstawi panu chłopców i wszystko wyjaśni.

Profesor Bonell wygramolił się z kanapy, wspierając się na lasce z główką z kości słoniowej, a pan Pacià podał mu rękę na pożegnanie.

– W razie jakichkolwiek kłopotów z naszymi wnukami, zwłaszcza z Fèliksem, proszę mnie bezzwłocznie o nich informować. Wciąż jestem na tyle silny, żeby dać im nauczkę.

Profesor skinął głową i przełknął ślinę. Pan Lledó zakręcił się na pięcie jak żołnierz odmaszerowujący z warty i wyszedł z pokoju.

Profesor opadł ciężko na kanapę ze spuszczoną głową i zaczął wykręcać dłonie, chyba zapominając o obecności pani Lledó. Tykanie zegara przywodziło mu na myśl słowa pana Pacià.

Pani Consol odstawiła filiżankę i odezwała się łagodnym głosem, szukając wzroku starca:

– Jest pan dobrym człowiekiem, panie Bonell, a dzieci pana potrzebują. Nie chciałabym, żeby odniósł pan mylne wrażenie. To miłe dzieci. Może Fèlix po śmierci rodziców zrobił się bardziej niespokojny, ale to wcale nie oznacza, że jest zły, prawda, profesorze?

Nauczyciel westchnął i przestał wykręcać ręce.

– Och, droga pani. Jestem zdania, że niepokój jest darem, o który należy dbać.

– Mój mąż zapewne nie zgodziłby się z panem, ale jeśli chodzi o mnie, chcę tylko tego, czego wszystkie matki pragną dla swoich dzieci. A teraz, gdy straciłam własne, troszczę się o moje wnuki. – Zaciśnęła usta i zamknęła oczy, zakrywając dłonią kameę z masy perłowej, która tkwiła na jej szyi. – Chciałabym również wyjaśnić, bo zapewne dotarły już do pana plotki na temat skromnego pochodzenia Marianny, którą przygarnęliśmy, że kochamy ją jak wnuczkę, jak członka naszej rodziny. – Pani Consol spojrzała na grube szkła profesora i odnalazła w jego oczach zrozumienie. – Proszę o nich dbać, profesorze, i nauczyć ich wszystkiego, czego potrzebują, żeby stać się wartościowymi, dobrymi ludźmi. I jeśli to możliwe – szczęśliwymi.

– Bardzo mnie uspokajają pani słowa. – Profesor zamyślił się przez chwilę. – Nie jestem pewien, czy potrafię przyczynić się do ich szczęścia w przyszłości. Kto wie, czy szczęście nie jest tylko ułudą. W każdym razie zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pani i świat byli z nich dumni.

Kobieta westchnęła. „Jeśli tylko nie przyjdzie im dźwigać ciężaru podobnego do mojego, będą mieć dobre życie, będą szczęśliwi”, dodała w duchu.

Bam! Bam! Bam!

Zegar w gabinecie wybił za kwadrans dziesiątą. Każde uderzenie odbijało się

echem od czerwonych okładek książek.

Pojawienie się Marianny wpłynęło na atmosferę panującą w Casa Lledó – kąty stały się ciemniejsze, a światło bardziej mętne. Jakby ktoś zrzucił zasłonę piękna i życie stało się nie do wytrzymania. „Wiedz, że jeśli odejdziesz, będę cię szukał”, ostrzegł ją. „A ja będę na ciebie czekała”, odparła.

Fèlix przez cały dzień zastanawiał się, co powinien dalej zrobić. Próbował się pozbyć poczucia winy, które wzbudziła w nim Marianna, jednak nie wiedział, jak ma żyć, biorąc odpowiedzialność za narażenie jej na śmierć.

Do gabinetu wszedł Calabuig, ściskając ze złością rondo kapelusza. „Gdyby miał pan do mnie większe zaufanie, zostawiłby pan sprawę w moich rękach. Ta krnąbrna gospodyni wyleciałaby na bruk, a dziwka już by nie żyła”, pomyślał.

– Wzywał mnie pan?

Fèlix uniósł głowę i wbił w niego swoje szare oczy.

– Jakie masz dla mnie wieści?

Calabuig podrapał się po orlim nosie.

– Tak jak pan zażądał, wojsko zaatakuje w okolicach ulicy Major, z dala od fabryki i innych pańskich budynków. W Sant Martí i Sant Andreu też biją w dzwony na alarm. Tamtejsi robotnicy nie poszli do fabryk i gromadzą broń, przygotowując się do powstania. Pewnie wesprą tych z Gràcii. Tam, jak do tej pory, rebeliantów jest około setki. Są źle uzbrojeni, ale niebezpieczni...

– Niebezpieczni?

– Według mojego skromnego zdania to banda prostaków, durniów łatwych do zmanipulowania, ale gotowych na wszystko.

Fèlix spojrział w okno. Wciąż zdawało mu się, że przed wejściem widzi jej cień zlewający się z nocą.

– A Marianna?

Calabuig ścisnął kapelusz.

– Też bierze w tym udział.

Fèlix przyjrzał się swoim dłoniom, które wydały mu się szorstkie i śmieszne. Cisza pochłonęła jego myśli, pozwalając jedynie rozbrzmiewać rytmicznemu tykaniu zegara.

Calabuig się niecierpliwił.

– Co mam zrobić?

Fèlix przysunął do siebie plik papierów i udał, że je przegląda.

– Nic.

Najemnik podszedł do biurka.

– Nic?

Fèlix uniósł głowę i spojrział na mężczyznę wyzywającym wzrokiem.

– Powiedziałem, że nic. Nie dosłyszałeś?

– Ale ona ma teraz swój akt chrztu. Jeśli przedtem była niebezpieczna, teraz...

Fèlix uderzył papierami o blat biurka.

– Co teraz?

Mężczyzna się zawahał.

– Z tego, co pamiętam, testament traci ważność po dziesięciu latach. Pozostaje jeszcze niecały rok...

Fèlix pozwolił, żeby słowa, które cały dzień kołatały mu się po głowie, przeniknęły do jego wnętrza i jak korniki zjadające spróchniałe drewno zajęły się jego gnijącym sercem.

– Zgadza się, pozostało sześć miesięcy i dwadzieścia siedem dni.

– Pozwoli jej pan tu wrócić? Tak po prostu pozwoli pan sobie odebrać wszystko, co należy do pana?

– Czyli co?

– Dom, posiadłości, fabrykę, interesy... Wszystko!

– Co sugerujesz?

Zachęcił Calabuiga, żeby zaproponował coś, o czym sam nie ośmielił się nawet pomyśleć.

Najemnik szukał w kieszeniach monety, którą zawsze nosił przy sobie. Tej, którą Fèlix podarował mu przy ich pierwszym spotkaniu.

– Jeśli pan chce, mogę to załatwić. Nikt nie będzie jej szukał, tym bardziej teraz.

Fèlix zamknął oczy. Znów poczuł zapach i dotyk jej skóry. Westchnął.

– Nie, nic nie rób.

Calabuig z całych sił ścisnął monetę.

– Nie chcę wtykać nosa w nie swoje sprawy, ale niech pan nie ryzykuje życia dla tej kobiety bez pochodzenia. – Z odrazą wymówił ostatnie słowa.

Fèlix wybuchnął śmiechem.

– A za kogo ty się masz, żeby wypowiadać się w takich kwestiach?

– Przepraszam, ja...

Calabuig był zawstydzony.

Fèlix podszedł do niego. Nie mógł sobie teraz pozwolić na utratę zaufanego człowieka.

– Potrzebuję cię, Calabuig. – Położył rękę na jego ramieniu. – Na razie obserwuj, co się dzieje w Gràcii, a potem dam ci znać o moich planach.

Najemnik pokiwał głową i bezwiednie dotknął policzkiem grzbietu delikatnej dłoni swojego chlebodawcy. Przeszedł go dreszcz.

Fèlix jakby nigdy nic odsunął rękę i znów usiadł za biurkiem.

– Zbierz też informacje o jej obecnym życiu i o tym, co się z nią działo przez ostatnie lata. – Wziął głęboki oddech. – Dowiedz się, czy wyszła za męża, czy ma dzieci i jaka jest jej rola w powstaniu.

– Dobrze, proszę pana.

– A tak przy okazji, tamtego pamiętnego dnia nie wypełniłeś moich poleceń. Nie powinno było dojść do pożaru. Doskonale o tym wiesz. Następnym razem za nieposłuszeństwo cię zabiję. Rozumiesz?

Calabuig zawahał się i przełknął ślinę.

– Tak, proszę pana. Nadal jednak twierdzą, że to było konieczne.

Fèlix wstał gwałtownie i uderzył pięścią w stół.

– To ja decyduję o tym, co jest konieczne, a co nie! Nie płacę ci za myślenie, tylko za wykonywanie moich poleceń!

Calabuig ścisnął ze złością monetę i mruknął pod nosem: „Do diabła z tą kobietą!”.

– W każdym razie nie musi się pan już o nic martwić, ponieważ słyszałem, że jutro z samego rana wojsko zbombarduje miasteczko. Może los załatwi sprawę za nas.

Fèlix spojrział z przerażeniem na swojego służącego. Tymczasem korniki drążyły już tunele w jego sercu.



Wtorek, 5 kwietnia 1870 roku

Dlaczego nie umarłem po wyjściu z łona,  
nie wyszedłem z wnętrzości, by skonać?

Po cóż mnie przyjęły kolana,  
a piersi podały mi pokarm?

Nie żyłbym jak płód poroniony,  
jak dziecko, co światła nie znało.

Teraz bym spał, wypoczywał,  
odetchnąłbym w śnie pogrążony.

Księga Hioba 3,11–13<sup>2</sup>

## OBWIESZCZENIE

Upór uczestników zamieszek i nieprzyjaciół porządku publicznego zmusza mnie do zarządzenia, co następuje:

1. Zamknięcia wszystkich tawern i szynków o godzinie ósmej wieczorem, a kawiarni o godzinie dziesiątej.
2. Zakazu zbierania się w grupy powyżej trzech osób. Za naruszenie niniejszego zakazu grozi rozstrzelanie.
3. Zakazu przebywania na ulicach miasta po północy, chyba że z uzasadnionej przyczyny. Z niniejszego zakazu zwalnia się przedstawiciele władz.
4. Każdy, kto w ciągu dnia lub w nocy zostanie znaleziony na poddaszu lub tarasie na dachu budynku, zostanie rozstrzelany.

Eugenio de Gaminde kapitan generalny księstwa Katalonii

Barcelona, 5 kwietnia 1870 roku

Bam!

Magí przestał słyszeć bicie dzwonu na wieży zegarowej. Było jeszcze ciemno. Garłacz ciążył mu w rękach. Zwinął się w kłębek u stóp barykady i zamknął oczy. Broń wysunęła mu się z dłoni i powoli ześlizgnęła na ziemię.

Nagle Jonàs potrząsnął nim za ramię.

– Obudź się, Magí! Rusz się! Szybko!

Chłopak zerwał się przestraszony, poprawił barretinę i podciągnął spodnie.

– Co się stało?

– Zauważyliśmy jakiś ruch po drugiej stronie barykady. Chyba żołnierze szykują się do ataku.

– Podeszli bliżej?

– Nie. Gromadzą działa.

Gdy Jonàs wypowiedział ostatnie słowo, powietrze przeszył długi głuchy świst. Po chwili coś ciężkiego spadło za chłopakiem na ziemię. Magí zakrył głowę.

– Szaleńcy!

– Nie, Magí, to jest wojna!

Kolejna bomba spadła na ulicę Major, kilka metrów dalej.

Poleciały kawałki ziemi, słyhać było przerażone krzyki. Inni drzemiący mężczyźni obudzili się nagle i schowali za barykadą z rękami na głowie i ze wzrokiem wbitym w niebo. Na ulicy Provença na krótko rozbłysnęły płomienie, które nagle zmieniły się w iskry, i wybuchły z hukiem.

Wiatr rozniósł opary piekącego w oczy prochu o gorzkim posmaku. Magí zakasłał, czując suchość w gardle. Patrzył na Jonàsa, który z błyskiem w oku nie przestawał mówić do brata.

– ...to znaczy, że mają dość odwagi do walki wręcz. Wiedziałem, że się nas boją...

Bam!

Magí znów usłyszał bicie dzwonu.

Bam!

Krzyki mieszały się z trzaskiem iskieł, które wybuchaly po drugiej stronie szanca, z głuchym przeciągłym hukiem i ze wzbijającymi się w powietrze kawałkami ziemi, a także ze słowami Jonàsa. Jakby wszystkie te dźwięki tworzyły jedną symfonię.

Magí nabrał powietrza i zakrztusił się pyłem. Pozostali powstańcy stali spokojnie ukryci za barykadą. Niektórzy zamykali oczy i mruczeli coś pod nosem. Magí mógłby przysiąc, że się modlili: „Tylko nie ja, Boże mój! Żeby nie trafiło we mnie ani w moją rodzinę!”.

Pani Consol przeszła przez hol pod delikatnie pobrzękującymi trzystoma pięćdziesięcioma czterema kryształkami żyrandola, aby przywitać barona.

– Dawno nie zaszczycił nas pan swoją wizytą, drogi baronie!

– Och, droga Consol, zawsze odwiedzam cię z wielką przyjemnością.

Mężczyzna podszedł do niej i pocałował ją w policzki. Za taki poufały gest niektórzy byliby w stanie wiele zapłacić, ale jej należał się ze względu na arystokratyczne pochodzenie matki.

Pani Consol lekkim ukłonem pozdrowiła kamerdynera Augusta, który wszędzie towarzyszył baronowi, i zaprosiła obu mężczyzn do środka.

Baron był krzepkim i inteligentnym mężczyzną o szerokim uśmiechu i ostrym języku: gdyby nie ja, ta banda nowobogackich nieuków gniłaby w dymie swoich fabryk, nie potrafiąc docenić dobrego szampana. Baron miał trzy słabości – do wyrafinowanych smaków i wpływowych znajomych, a także do Augusta.

Weszli do pokoju muzycznego. Przed kanapą obitą niebieskim aksamitem i obłożoną poduszkami w atłasowych poszewkach ustawiono stół pełen srebrnych pater z maślanymi ciasteczkami z cynamonem, truskawkowymi

torcikami i rożkami z kremem cytrynowym. Z boku znajdowały się dwie miseczki z kandyzowanymi owocami.

Baron rozsiadł się na kanapie, uśmiechając się szeroko.

– Wypieki podawane w twoim domu są najlepsze na świecie, Consol. Pilnuj swojego cukiernika, żebym pewnego dnia ci go nie skradł.

– Ależ, baronie, przecież pan wie, że oddałabym panu wszystko. Jeśli będzie trzeba, to również Carmetę. Proszę mnie jednak o to nie prosić, ponieważ przestałby mnie pan wtedy tak często odwiedzać.

Baron zjadał się rożkiem z kremem cytrynowym. Wybuchnął śmiechem.

– Ach, Consol, tak bardzo przypominasz mi swoją świętej pamięci matkę!

Kobieta usiadła z zadowoleniem obok barona i podała mu filiżankę z jego ulubioną gęstą i słodką czekoladą.

– Lepiej niech mi pan opowie, co słyhać w wielkim świecie. Jak się udała pańska podróż do Włoch?

– Cudownie! Byłem tam już kilkukrotnie, ale za każdym razem coraz bardziej zakochuję się w tym kraju. Gdyby w Wenecji nie panowała tak wielka wilgoć, zamieszkałbym tam nawet jutro. Ach, te kanały, gondole, bale! Tam wiedzą, jak się bawić!

Baron spojrzał przelotnie na stojącego przy drzwiach Augusta i cmoknął.

– Powiedz mi, co to za pogłoski dochodzą do mnie o naszym drogim Pacià?

Pani Consol oparła spodeczek z filiżanką na kolanach i odłożyła łyżeczkę na spodek.

– O moim mężu?

Baron pokiwał głową i wziął łyżeczek czekolady.

– Tak, słyszałem komentarze na temat jego nowej kochanki.

Pani Consol ścisnęła filiżankę i nagle zrozumiała prawdziwy powód, dla którego państwo Massensowie nie zaprosili ich na ostatnio wydawany przez nich bal. „Niech cię szlag trafi, Pacià!”.

– Baronie, wstyd mi przyznać, ale jest pan w tej kwestii lepiej poinformowany niż ja. Co panu powiedziano?

Baron spojrzał na nią z konsternacją.

– Mnie nic. Wiesz, że nie chcę nic wiedzieć o ploteczkach z alkowy, ale w tym przypadku... – Baron oblizwał usta. – Nie wiem, jak to ująć, ale martwi mnie, że ta rzekoma dama, jeśli w ogóle można ją tak nazwać, jest jedną z twoich służących.

Pani Consol przypomniała sobie twarze wszystkich kobiet pracujących w Casa Lledó i po chwili już wiedziała, o kim była mowa.

Baron spróbował truskawkowego torciku, żeby trochę rozładować tę niezręczną sytuację i nabrać sił przed wyjawieniem gospodyni celu swojej wizyty.

– Wiesz, jak bardzo cię cenię, a wcześniej ceniłem twoją świętej pamięci matkę, która wprowadziła mnie na salony tego ubłoconego i zawszonego miasta. – Baron odczekał chwilę, pozwalając pani Consol zebrać się w sobie,

a kiedy pokiwała głową, kontynuował: – Przyszedłem do ciebie z życzliwości, kiedy tylko się o tym dowiedziałem. Można przeboleć, gdy romans pozostaje rodzinną tajemnicą, ale sprawa robi się poważna, bo mówi już o nim cała Barcelona. Pod tym względem twój mąż upadł zbyt nisko. Co by powiedziała biedna Flàvia Doliu, twoja matka, gdyby się o tym dowiedziała?! Byłaby wielce rozczarowana! Jej córka zastąpiona dziewczką ze służby. Kto to widział?!

Pani Consol wstrzymała oddech, ale dumnie zadarła głowę.

– Jak zwykle jestem panu niezmiernie wdzięczna, drogi baronie. Pańska życzliwość i rady są dla mnie największym wsparciem, a tę sprawę rozwiążemy od razu.

Zadzwoiła na służbę.

Àgata – instynktownie wyczuwając, że tego dnia powinna być blisko swojej pani – stanęła w drzwiach i grzecznie dygnęła.

– Poproś, żeby Sibilla przyszła tu natychmiast.

– Dobrze, proszę pani.

Àgata pokiwała głową, a jednocześnie pomyślała: „Ta ładaczniczka już dawno powinna wylądować na bruku. Przez tyle lat służyliśmy u państwa, pracując na dobre imię rodziny, a potem zjawia się taka sroka i chcąc bezwstydnie awansować, niszczy cały nasz trud”.

Po chwili w pokoju zjawiała się Sibilla. Weszła z dumą wymalowaną na ustach i lekko dygnęła.

Baron zmierzył ją wzrokiem.

– Czy to ona?

Pani Consol przytaknęła.

– Co pan na to?

Baron odwrócił twarz, jakby Sibilla śmierdziała.

– Sama wulgarność. Trudno nawet stwierdzić, że jest ładna!

Pani Consol ostentacyjnie prychnęła.

– Poprosiłam, żebyś tu przyszła, Sibillo, aby ci oznajmić, że zostałam zwolniona. Możesz się spakować. Àgata wypłaci ci ostatnią pensję.

– Ależ, proszę pani...

Pani Consol wstała i podeszła do opiekunki.

– Jeszcze masz czelność się do mnie odzywać?

Sibilla złączyła ręce na fartuchu i opuściła głowę.

– Przepraszam, ale czy mogłabym poznać powód?

– Znasz go doskonale, ładaczniczko! A teraz zejdz mi z oczu! Nie chcę cię więcej widzieć.

Sibilla ruszyła w kierunku drzwi, słysząc echo obelg, i dotarłszy do progu, była już pewna, że skończyły się dla niej klejnoty i nadzieje. Wszystko przepadło. Skoro tyle straciła, postanowiła odejść na swoich zasadach. Odwróciła się.

Tymczasem pani Consol znów usiadła przy baronie.

Opiekunka podeszła do niej powoli.

– Pewnie sobie pani wyobraża, że może ustalać zasady, ponieważ nosi pani drogie jedwabne suknie, ale zapewniam panią, że nie jest pani bezpieczna w swojej złotej klatce. Już pani zapomniała, że opuściłam własną córkę, żeby opiekować się waszym podrzutkiem? Tak mi się teraz pani za to odwdzięcza, pozbywając się mnie jak jakiegoś ciężaru? Jednak ostrzegam panią, że od tej chwili obarczam panią odpowiedzialnością za mój los i los mojej córki.

Sibilla odwróciła się gwałtownie, zostawiając barona i panią Consol z otwartymi ustami. Z triumfalnym uśmiechem wyszła z pokoju muzycznego, a po chwili zamknęła z trzaskiem drzwi wejściowe, wprawiając w drżenie kryształki żyrandola.

Baron spojrział na swoją gospodynię i wyciągnął rękę, do której usłużny kamerdyner natychmiast włożył wachlarz.

– Co za przerażająca scena!

Pani Consol obserwowała poczerwieniałą twarz wachlującego się barona i bezwiednie dotknęła kamei z masy perłowej z profilem jej córki Heleny. „Bóg z Tobą, Maryjo, łaskiś pełna”.

Tego wieczoru pani Consol zeszła na kolację z obolałymi kolanami od pokuty, którą odprawiała przez całe popołudnie. Wspominając syna Domèneca, po którego stracie wciąż płakała, pytała: „Boże, dlaczego? Boże mój, dlaczego on?”. Największy jednak ból sprawiało jej wspomnienie umierającej ukochanej Heleny i decyzja, którą musiała podjąć pod ołtarzem u stóp piety. „Jeśli jesteś gotowa zniszczyć plany całej rodziny, jej dobrobyt i okryć hańbą nazwisko twoich przodków, proszę bardzo. Idź, nie będę cię powstrzymywał”. Płakać z bólu to jedno, ale pokutować za grzechy to zupełnie inna sprawa.

Pan Pacià wydawał się lekko roztargniony.

– Wyobraź sobie, Consol, że dzisiaj nie miałem nawet czasu przeczytać gazety w fabryce – odezwał się zza „El Diario de Barcelona”. – A potem, kiedy już ją człowiek czyta, to tylko się denerwuje. Same manifestacje i strajki. Co ci ludzie sobie myślą? Że pieniądze rosną na drzewach, a pracodawca nie ponosi kosztów?

Pani Consol bez apetytu zjadła ostatni kawałek kaczki w gruszkach.

– Mógłbyś teraz nie czytać gazety?

– Ach, Consol, sądziłem, że dawno temu przestaliśmy udawać idealne małżeństwo.

Kobieta otarła usta serwetką.

– Tak, stało się to dla mnie jasne od dnia naszego ślubu, kiedy mi powiedziałeś, że małżeństwo było dla ciebie idealnym interesem.

Pan Pacià wybuchnął śmiechem.

– Ale jesteś pamiętliwa! Podobno prawda w oczy kole.

Pani Consol uniosła kieliszek wina tak czerwonego jak krew, która zaraz miała się zagotować w żyłach jej męża.

– À propos prawdy, zwolniłam dzisiaj Sibillę.

Pan Pacià opuścił gazetę i odłożył ją na bok.

– Co zrobiłaś?

Napiła się trochę wina i odstawiła kieliszek.

– Zwolniłam Sibillę.

– Z jakiego powodu, jeśli można wiedzieć? I dlaczego bez konsultacji ze mną?

– Nie widziałam takiej potrzeby. To ja zarządzam domem. – Uśmiechnęła się.

– Daj spokój. Nie rób takiej cierpniętej miny. Tylko mi nie mów, że się w niej zakochałeś.

Pan Pacià zerwał się z miejsca i czterema krokami pokonał odległość dzielącą go od żony.

– Nie kpij sobie ze mnie, Consol! Doskonale wiesz, do czego jestem zdolny.

Kobieta wstała, powoli odkładając serwetkę na siedzenie.

– Do czego jesteś zdolny, Pacià? Powiedz mi! Do ośmieszenia mnie? Do przynoszenia swojej rodzinie wstydu, znajdując sobie kochankę, która nawet nie dorównuje prostytutce?

– Nie pozwalam ci tak mówić...

– Nie potrzebuję twojego pozwolenia, bo wiem, o czym mówię. Nie była nawet krawcową ani chórzystką. Idź do Palauet, ale nie szkaluj naszego dobrego imienia! Czy powinnam ci przypomnieć, jak postąpiłeś z naszą córką w imię honoru? Wyrzuciłeś ją z domu, chcąc zachować pozory. Staliśmy się pośmiewiskiem, a Massensowie i Bonavistowie nie zaprosili nas na swój bal. Teraz udław się dumą i zrób to, co do ciebie należy. – Mężczyzna małał coraz bardziej, w miarę jak żona wygrażała mu palcem. – Powiem ci to tylko raz. Jeśli kiedykolwiek znów mnie ośmieszysz w tak ordynarny sposób, dopilnuję, żebyś popadł w najgłębszą nędzę. Możesz być pewny, że wtedy za żadne skarby świata nie odpuszczę sobie twojego widoku błagającego mnie o litość.

Pani Consol przysunęła krzesło do stołu i opuściła jadalnię.

Bam!

Przy pierwszym huk Marianna zerwała się z krzesła, na którym przysiadła na chwilę, żeby odpocząć. Podniosła ze stołu lampę i wyszła z budynku ratusza, żeby zobaczyć, co się dzieje. Powstrzymała gestem Ermínię i kilka innych kobiet, które chciały ruszyć w ślad za nią.

– Zostańcie tutaj. Zaraz wrócę.

Bomba spadła na plac. Na nienaruszonej wieży zegarowej dzwon wciąż bił na alarm. Marianna uniosła wzrok ku dzwonnicy i dostrzegając białą chustę Josepy, doszła do wniosku, że trzeba będzie wymyślić jakiś inny sposób, żeby bić w dzwon, nie narażając się na niebezpieczeństwo.

Bam!

Marianna wróciła do magistratu i gdy przeszła przez próg, aż musiała się oprzeć o ścianę, tak silne było następne uderzenie. Kolejna bomba. W północnej części placu leżały kamienie i unosił się dym.

Marianna wbiegła do budynku. Pozostałe kobiety z przerażeniem w oczach czekały na nią, opierając się o ściany holu.

Ermínia podeszła do niej.

– Bombardują nas!

Marianna pokiwała głową i ją minęła.

Kobieta spojrzała za nią.

– Czy nic nie możemy zrobić?

– Do świtu możemy się tylko modlić – odpowiedziała Marianna.

Bam!

Ermínia się zatrzymała.

– Modlić się?

Marianna milczała, zaciskała pięści i zaczęła wchodzić po schodach.

Ermínia poszła za nią.

– Co Bóg ma z tym wszystkim wspólnego? Nas Bóg nie słucha.

Kobieta zatrzymała się i odwróciła do niej.

– Tym razem będzie musiał! Jest tu dwadzieścioro troje dzieci, trzech rannych i my wszystkie, nie wspominając o ludziach broniących barykady. Bóg nie może nas opuścić!

Ermínia stanęła zaskoczona w progu pomieszczenia, które przygotowały dla dzieci. Rzuciła okiem do środka: w mroku w głębi pokoju dostrzegła kilkoro dzieci przykrytych kocami po czubek głowy. Jakaś dziewczynka płakała.

Marianna podkręciła knot lampy i blask płomienia odgonił strach.

– Chodźcie, dzieci. Podejdźcie tutaj i nam pomóżcie. Musimy razem mocno pomodlić się do Boga, żeby czuwał nad nami i waszymi rodzicami.

Ermínia zbliżyła się do niej.

– Ale, Marianno...

Kobieta wbiła w nią wzrok.

– Są wystraszone! Masz lepszy pomysł?

Ermínia patrzyła na nią bez odpowiedzi.

Marianna odwróciła się do dzieci i podeszła do nich. Wzięła na ręce płaczącą dziewczynkę i pogłaskała ją po rozczochranych włosach.

Dzieci wstały i skupiły się wokół nich. Kolejny wybuch wywołał powszechny płacz. Kilkoro dzieci uciekło w kąt pokoju, a pozostałe tuliły się do Marianny, która postawiła dziewczynkę na podłogę i uklękła. Uniosła głowę i zamknęła oczy.

– Ojcze nasz, który jesteś w niebie. – Niektóre dzieci siedziały schowane pod kocami, inne podeszły do niej. – Święć się imię twoje, przyjdź królestwo twoje, bądź wola twoja...

Dziewczynka, która wcześniej płakała, teraz otarła łzy rękawem i klęczała bardzo blisko niej, dotykając jej nóg. Marianna czuła jej przyspieszony oddech. – Jako w niebie tak i na ziemi... – Dwie inne dziewczynki zbliżyły się i klęczały naprzeciwko, tworząc nieregularny krąg. – Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj...

Ermínia usiadła na wprost na krześle i pomrukiwała:

– Odpuść nam nasze winy.

Bam!

Marianna wymawiała słowa wyraźnie i głośno, próbując zagłuszyć dźwięk dzwonu i wybuchy bomb, od których drżały szyby w oknach budynku.

– Jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. – Nabrała powietrza. – I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego. Amen.

Otworzyła oczy. Niektóre dzieci siedzące w kącie obserwowały ją spod koców. Jedno z nich wstało i podeszło bliżej. Na jego brudnej twarzy zarysowały się strużki po łzach.

– Myśli pani, że Bóg nas słyszy?

Marianna opuściła ręce i usiadła.

– Jestem tego pewna.

Chłopczyk ze śladami po łzach opuścił głowę.

– A czy nas wysłucha?

Jedna z dziewczynek podeszła i usiadła obok chłopca.

– Nie pleć bzdur, Adrianecie! Oczywiście, że Bóg nas słucha! Przy takim hałasie musi nas usłyszeć!

Marianna się uśmiechnęła, a Adrianet pokiwał głową. Dziewczynka wzięła go za rękę i wytarła mu łzy z policzka.

– Nie płacz. Bóg na pewno nam pomoże.

Z podłogi wstał inny chłopczyk.

– Pomoże naszym rodzicom i wygramy wojnę!

– Tak, tak, niech żyje! – zawtórowały mu inne dzieci.

Marianna nakazała, żeby usiedli.

– Jeśli tak uważacie, to musimy dużo się modlić.

Wszystkie dzieci zgromadziły się wokół niej.

Marianna patrzyła na Ermínię. Wydawało jej się, że przyjaciółce drżały usta.

– Pomożesz mi, Ermínio?

Pokiwała głową i usiadła obok niej.

Marianna uśmiechnęła się do niej, zamknęła oczy i znowu zaczęła się modlić.

– Ojcze nasz, który jesteś w niebie, święć się imię Twoje. Przyjdź królestwo Twoje. Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi...

I kiedy wydawało jej się, że strach i mrok zniknęły, umilkły bomby i dzwon, a Bóg był z nimi i wszystkimi dziećmi świata, zaskoczyły ją jakieś krzyki.

– To wy jesteście odpowiedzialne za moje nieszczęście! Musicie ją teraz uratować! Pomocy! Pomocy!

Marianna poprosiła Ermínię, żeby została z dziećmi, i pobiegła w stronę drzwi wejściowych. Kiedy je otworzyła, stanęła twarzą w twarz z Tomeu, który patrzył na nią przekrwionymi z wściekłości oczami, a na rękach miał nieprzytomną dziewczynkę o twarzy zalanej krwią i z pozlepianymi włosami.

Bam!

W dniu szesnastych urodzin Fèliksa pan Pacià wezwał go do gabinetu. Przed wejściem chłopiec obciągnął koszulę i przeczesał ręką włosy, mówiąc do siebie, że wszystko będzie dobrze. Nadstawił uszu, ale z gabinetu dochodziło tylko



tykanie zegara. Kiedy zrobił krok w przód, zatrzeszczała drewniana podłoga.

– Wejdz i zamknij drzwi, Fèliksie.

Chłopiec wykonał polecenie. Pan Pacià siedział za biurkiem i przeglądał korespondencję. Chociaż klosz z lampy naftowej został zdjęty, płomień ze zbyt krótkiego knota oświetlał jedynie wąsatą twarz mężczyzny i listy, które miał w ręku. W chwili gdy pan Pacià uniósł wzrok na wnuka, Fèlix poczuł przeszywający zimny dreszcz, który odebrał mu odwagę.

– Nie siadaj, chłopcze. Mam ci niewiele do powiedzenia. – Dziadek odchylił się na oparciu krzesła i zniknął w cieniu. – Czas pomyśleć o twojej przyszłości, Fèliksie. Masz szesnaście lat. Ja w twoim wieku zarabiałem już na życie. Ojciec był ze mnie bardzo dumny. A ty? Gdyby twój ojciec mógł cię teraz zobaczyć, byłby raczej rozczarowany.

Fèlix nie bardzo wiedział, jak przyjąć ten cios. Oczy mu zwilgotniały, a po policzku spłynęła jedna łza.

Pan Pacià zerwał się z krzesła.

– Tylko tego brakowało, żebyś się mazgał jak małe dziecko, a w nocy nie mógł zasnąć bez kołysanki!

Fèlix zagryzł wargi do krwi.

Pan Pacià odwrócił się do kominka i spoglądał z podziwem na swój portret.

– Spójrz, chłopcze, tak wygląda prawdziwy mężczyzna. To twój przykład do naśladowania! – Ponownie spojrzął na wnuka i stwierdził wspaniałomyślnie: – Cóż, sądzę, że mamy jeszcze czas, żeby zrobić z ciebie mężczyznę.

Fèlix patrzył na niego z nikłą nadzieją. Pan Pacià chrząknął.

– Nie zawsze się zgadzamy, ale jesteś moim wnukiem. Dam ci więc jedną szansę: od września rozpoczniesz pracę w biurze gubernatora cywilnego. Wiesz przecież, że gubernator, pan Llasera, regularnie gości u nas na kolacji. Pewnego wieczoru powiedział, że znalazł dla ciebie zajęcie. Na razie będziesz praktykantem. Ale to tylko początek. Biorąc pod uwagę obecną sytuację, warto mieć kogoś z rodziny w administracji.

Fèlix zdążył się już oswoić z tym, co przed chwilą usłyszał.

– W administracji, dziadku? Miałem nadzieję, że...

Pan Pacià zrobił kilka kroków w jego stronę.

– Do diaska, chłopcze! Dostajesz szansę i zamiast to docenić, masz jeszcze jakieś zastrzeżenia? Wiedziałem, że jesteś niewdzięczny, jednak nie sądziłem, że aż tak bezczelny. Zejdz mi z oczu!

Pan Pacià znów usiadł za biurkiem. Fèlix obserwował wąsy dziadka i usta, które tak łatwo wypluwały oszczerstwa i przekleństwa. Pan Pacià dał mu znak ręką, żeby wyszedł. Fèlix wbił wzrok w swoje buty. Wiedział, że jeśli cofnie się o krok, już nigdy nie będzie miał nic do powiedzenia.

Pan Pacià niezadowolony pomyślał, że ten chłopak zawsze działał mu na nerwy.

– Coś jeszcze, Fèliksie?

Chłopiec pokręcił głową, ale nie ruszył się z miejsca. Ani na krok. Szukał

odpowiedzi gdzieś w podłodze.

– Nie, dziadku. A właściwie tak... – zawahał się. – Chciałem podziękować za tę szansę.

Pan Lledó pokiwał głową z satysfakcją, jakby chciał powiedzieć: „W końcu ten nieposłuszny dzieciak do czegoś się przyda”.

– To mi się podoba, Fèliksie. Pamiętaj, że posłuszeństwo i wdzięczność są najlepszymi cnotami! A teraz idź już i po raz pierwszy postaraj się, żebym był z ciebie dumny.

Fèlix poczuł ukłucie w sercu, odwrócił się z wahaniem w stronę drzwi i obiecał sobie w duchu: „Będiesz ze mnie dumny, dziadku, zobaczysz!”.

Pan Pacià odprowadził Fèliksa wzrokiem, po czym usiadł na krześle i spojrzał na list, starając się zapomnieć o przenikliwym spojrzeniu chłopca, którego tak bardzo nienawidził, ponieważ przypominało mu oczy żony.

– I żebym tylko nie musiał się ciebie wstydzić, chłopcze! – rzucił jeszcze na koniec.

Bam!

Położyły małą Angelinę na jedno z łóżek w sali dla rannych. Marianna odeszła, szepcząc, że idzie poszukać bandażu. Zamknęła się w schowku, gdzie przechowywały opatrunki, i zaczęła wymiotować. Do tej pory wojna była wyrywaną bombami ziemią, pyłem, złamanymi kośćmi i gniewem w oczach. Teraz stała się też krwią.

Bam!

Marianna wzięła głęboki oddech, otarła usta fartuchem i wyszła ze schowka.

Krzyki Tomeu niosły się po całym budynku.

Ermínia próbowała go uspokoić.

– W pokoju obok są dzieci. Powstrzymaj się, proszę...

– Mam się powstrzymać? Jak mam się uspokoić?!

Marianna podeszła do nich w chwili, gdy Tomeu zamierzył się na Ermínię. Złapała go pod ramię i odciągnęła na bok.

– Nie waż się! Chodź ze mną!

Tomeu ją odpychał.

– Nie dotykaj mnie, wiédźmo! Przyszedłem tu tylko dlatego, że nie wiedziałem, gdzie indziej miałbym pójść. Powiedziano mi, że macie tutaj szpital...

– Jeśli tak, to pozwól nam sobie pomóc. Sobie i małej Angelinie.

Marianna wbiła w niego swoje modre oczy i odsunęła się od niego z pogardą. Podeszła do Angeliny i usiadła obok niej. Wzięła ją za rękę. Dziewczynka była nieprzytomna. W jej ramieniu tkwił drewniany odłamek, a z głowy sączyła się krew.

– Trzeba delikatnie wyjąć ten kawałek drewna i oczyścić rany. Ermíniu, przynieś mi wrzątek, spirytus i ręcznik. Gdzie jest doktor?

Ermínia pokręciła głową.

– Uciekł.

– Co?!

– Wczoraj mi powiedział, że przyjdzie wcześniej rano, ale Martona poszła go szukać i zastała jego dom pusty. Nie było tam jego ubrań ani narzędzi medycznych. Pewnie uciekł do Vallcarki.

Tomeu złapał się za głowę.

– Nawet nie macie medyka? Boże mój!

Marianna odwróciła się do Angeliny, która z trudem oddychała.

– W takim razie przynieś mi wszystko, o co prosiłam, i pošlij kogoś do pracowni po paczuszkę z ziołami, która jest w kuchni.

Tomeu zastąpił drogę Ermínii.

– O nie! Nie pozwolę, żeby ktokolwiek leczył moją wnuczkę ziołami czy diabelskimi miksturami!

Marianna wstała.

– Przykro mi, Tomeu, ale tylko to mamy. Wolisz zabrać ją stąd i patrzeć, jak umiera na twoich rękach? Zapewniam cię, że będzie to konanie długie i bolesne. – Marianna podeszła do niego. – Proszę, pozwól nam pomóc. Nie wiem, czy zdołamy ją uratować, ale zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

Tomeu próbował ukryć lęk. „Boże mój, żeby te kobiety wiedziały, co robią”, błagał w myślach i pozwolił przejść Ermínii.

Kiedy zostali sami, Tomeu usiadł na łóżku przy wnuczce.

Marianna patrzyła na niego ukradkiem.

– Wróć lepiej do domu, do rodziny. Sprawdź, czy są bezpieczni, a my zajmiemy się Angeliną.

Tomeu opuścił głowę.

– Do diabła, ostrzegałem was! Mówiłem, że nie warto, że ściągniecie na wszystkich nieszczęście...

Marianna ośmieliła się położyć rękę na jego ramieniu.

Tomeu wydał z siebie jęk.

– Bomba spadła na dom i zawalił się na nas dach. Moja córka... Moja córka zmarła przywalona belkami. Zięć próbował ją spod nich wyciągnąć. – Przełknął ślinę. – Teraz pozostała mi tylko wnuczka. – Zerwał się nagle. – Dbaj o nią!

Wbił w Mariannę przerażony wzrok i wyszedł.

Marianna odetchnęła z ulgą. Ta wojna miała sens. Mistrz Fabra mówił, że cokolwiek by zrobili lub nie, i tak na końcu czaiła się śmierć.

Bam!

– Proszę o wybaczenie, pani Lledó, ale chciałem się podzielić z panią pewną kwestią, którą tylko pani może zrozumieć.

W pokoju muzycznym pani Consol rozsiadła się wygodnie na kanapie obitej niebieskim aksamitem i podparła jedwabnymi poduszkami. Uśmiechała się życzliwie do mistrza Fabry. Ten człowiek wiedział, kto rządził w tym domu.

– Niech pan wejdzie, drogi mistrzu. Wie pan, jak bardzo sobie pana cenię. Może pan zawsze skonsultować ze mną każdą sprawę, którą uzna pan za

ważną.

Mężczyzna potakiwał, wchodząc do pokoju i zamykając za sobą drzwi.

Pani Consol dała mu znak ręką, żeby podszedł bliżej.

– W czym mogę być panu pomocna? Czy chodzi o mojego męża?

Mistrz Fabra przesunął palcem po rondzie kapelusza.

– Nie, proszę pani.

– Bo jeśli trzeba, wstawię się za panem.

– Och, jestem pani za to wdzięczny i mam nadzieję zawsze zasługiwać na pani zaufanie.

Pani Consol pomyślała, że warto mieć sojuszników.

Tymczasem mężczyzna ze spuszczonego wzrokiem wciąż nerwowo dotykał kapelusza.

– Ja...

– Proszę mówić, bez obaw. Zaczynam się niepokoić...

– Proszę się nie obawiać. Chodzi o pewne nieszczęście, które pani nie dotyczy. Zmarła pewna kobieta. Wolałbym tutaj oszczędzić szczegółów. Powiem tylko, że miała wypadek przy maszynie tkackiej w fabryce Lledó. Po pięciu dniach konania w okropnych bólach opuściła nas wczoraj rano.

– Ależ, mistrzu, co za nieszczęście! Co zrobiono dla niej i jej rodziny?

– Cóż, właśnie z tą sprawą ośmielałam się zwrócić do pani. Tuż przed śmiercią ta kobieta poprosiła mnie, żebym zadbał, aby jej córka Ermínia nigdy nie musiała pracować w fabryce i żyła, powiedzmy, w bezpieczniejszych warunkach. Nie przemawiała przez nią niewdzięczność, ale strach, żeby pewnego dnia coś podobnego nie przydarzyło się jej córce.

– To zrozumiałe. Nadal jednak nie wiem, co ja mam z tym wspólnego?

– Zapewne zrozumie mnie pani, jeśli powiem, że przez całą noc nie byłem w stanie oka zmrużyć, rozmyślając o ostatniej woli tej kobiety. Ośmieliłem się pomyśleć, że może paniencie Mariannie, która staje się powoli małą damą, przydałaby się pokojówka.

Pani Consol przymknęła oczy. „Córka zwykłej robotnicy nie nadaje się na służącą dla mojej małej Marianny”.

Mistrz Fabra zauważył jej wahanie.

– Zapewniam panią, że to dobrze wychowana dziewczyna. Jej matka oddała wszystkie oszczędności na jej edukację. Umie czytać i pisać, trochę gra na fortepianie i potrafi szyć. To dobre dziecko, pani Consol. Jest też dyskretna. Może zechciałaby pani przyjąć ją na próbę?

– Ile ma lat?

– Szesnaście.

– Wystarczająco. Marianna ma dopiero czternaście.

Mistrz Fabra ponownie opuścił wzrok i przełożył kapelusz z ręki do ręki.

– Muszę pani powiedzieć o wszystkim, żeby nie uznała mnie pani za oszusta albo że chcę nadużyć pani zaufania.

Kobieta patrzyła na niego, splatając ręce na sukni czarnej jak smoła.

– Zmarła kobieta była siostrą mojej żony. W swojej dobroci przyjęliście ją państwo kilka lat temu na służbę jako mamkę i piastunkę. Sibilla Companys.

Pani Consol wstrzymała oddech. Jej twarz zamarła.

– Sibilla. Tak, pamiętam ją.

Nie zapomniała żadnego słowa, które wypowiedziała ta arogancka kobieta przed opuszczeniem Casa Lledó.

– Przed mniej więcej siedmioma laty na polecenie pana Lledó dałem jej pracę w fabryce.

Pani Consol zacisnęła usta. „Przeklęty Pacià zawsze stawia na swoim!”. Pochyliła głowę.

– Tak, pamiętam. Sibilla rozpoczęła u nas pracę wkrótce po urodzeniu swojego dziecka.

Mistrz Fabra przytaknął.

– Zgadza się, Ermínii.

Pani Consol zerwała się z kanapy, gotowa ulżyć swojej wściekłości. Jednak w końcu drżącymi ustami wyszeptała:

– Nie wiem, czy mogę spełnić pańską prośbę.

W pokoju zapadła cisza, którą przerwało nagłe bicie zegara.

Mistrz Fabra wziął głęboki oddech.

– Rozumiem i dziękuję pani za poświęcony czas. – Ukłonił się z szacunkiem. – Proszę mi wybaczyć, jeśli postawiłem panią w niezręcznej sytuacji. Może byłem naiwny, myśląc, że córkom powinno się dać szansę mimo błędów popełnionych przez ich matki.

Zmierzał do drzwi z opuszczoną głową, skrywając resztki nadziei w tych nieostrożnych słowach.

Pani Consol została sama. Ukryła twarz w dłoniach i zacisnęła powieki, żeby nie uronić łez. Słyszała, jak nad fortepianem, jedwabnymi poduszkami i połączonym zegarem wciąż unosiły się słowa Sibilli: „Pozbywacie się mnie jak niewygodnego ciężaru. Jednak ostrzegam panią, że od tej chwili obarczam panią odpowiedzialnością za mój los i los mojej córki”.

Pani Consol zakryła usta ręką, żeby stłumić krzyk. Ze złością wbiła zęby w dłoń. „Dlaczego ja, dlaczego mnie karzesz w ten sposób, Boże?”. Już nie miała siły brać na swoje barki więcej ciężarów, dlatego postanowiła, że przyjmie tę Ermínię na służbę do Casa Lledó. „Bóg z Tobą, Maryjo, łaskiś pełna”.

Bam!

– Z całym szacunkiem, ale potrzebujemy więcej żołnierzy!

Kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde wymachiwał plikiem kartek, jakby tym ruchem chciał dowieść niedorzeczności zawartego w nich tekstu.

– Czy słyszy pan ten dzwon, Manuelu? Sądzi pan, że mamy wystarczającą ilość wojska? Ach, nie, nie.

Don Manuel Figuerola podszedł do okna. Plac Sant Jaume był zupełnie

opustoszały. Pilnujący porządku strażnicy, rozstawieni na dachach najwyższych budynków, strzelali do wszystkiego, co się ruszało. Zameldowano mu, że najlepszym punktem strzelniczym stała się dzwonnica katedry. Wiadomo, że wśród powstańców było wiele kobiet, dzieci i starców. Don Manuel Figuerola westchnął. „Niebezpiecznie jest prowokować lud”, pomyślał.

– Niech mnie pan oświeci, kapitanie. Na czym według pana polega zagrożenie? Ma pan już przecież armaty, duży pluton na ulicy Provença i drugi na odcinku między ulicami Aragó a Consell de Cent. Jeśli dobrze zrozumiałem, tylko w jednym dniu wystrzelił pan trzysta bomb, co jest imponującym wynikiem! Proszę mi zatem wyjaśnić, ile jeszcze panu potrzeba, żeby uciszyć kilku rebeliantów w Gràcii?

Kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde rzucił raport na stół. Nie lubił tego gnuśnego człowieka bez ambicji.

– Jesteśmy w wyjątkowej sytuacji, don Manuelu. Nie widzi pan, że powstali mieszkańcy miejscowości najbardziej wrogich ideom postępu? To nie jest przypadek! Przekłęci republikanie niegodni są żyć w tym królestwie! Bunt trwa od dwóch dni i jeśli odpowiednio nie zareagujemy, dojdzie do wojny. Musimy dać nauczkę powstańcom.

– Nie ma dowodów na to, że za wznieceniem powstania stoi Komitet Republikański. Oczywiście nie twierdzę, że to czysty przypadek. Republikanie zawsze protestowali przeciwko werbunkowi poprzez losowanie, zwłaszcza przeciwko wojnie w koloniach.

Don Manuel Figuerola uważnie obserwował spokój panujący na placu. Zapadł zmierzch, ale nikt nie zapalił latarni, jakby wszyscy na coś czekali. Może na koniec, który nie następował? Tymczasem „Correo de Madrid” oskarżył jego i aroganckiego kapitana, że nawet bombami nie potrafili skutecznie stłumić buntu.

Kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde wstał i podszedł do stołu z uśmiechem. „Znam magiczne słowa działające na takiego tchórza jak on!”.

– Ułatwia mi pan zadanie, don Manuelu. Proszę sobie tylko wyobrazić synów idei republikańskiej bez przywódcy. Prawdziwa zagłada! Nawet ja nie będę w stanie ich zatrzymać! A nie mówimy przecież o anarchizmie...

Don Manuel Figuerola odwrócił się gwałtownie z szeroko otwartymi oczami. Fèlix go uprzedził, że nie można ufać temu Gaminde, ale na samo wspomnienie o anarchistach przeszedł go dreszcz.

– Niech mi pan powie, jaka jest rzeczywista sytuacja.

– W Barcelonie trzech barykad broni około czterdziestu powstańców, których postaramy się pokonać tej nocy. Należy utrzymać porządek za wszelką cenę.

– Tak, tak, a co z Gràcią? Jeśli dobrze rozumiem, stała się bastionem, który należy obalić. Dlatego tylko wtedy, gdy padnie Gràcia, wygramy.

Kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde pokiwał głową. Lubił mieć do czynienia z ludźmi dobrze poinformowanymi.

– Barykady otaczają całą miejscowość, od ulicy Tuset do pasażu Sant Joan przez ulicę Bonavista. Dzwon wciąż bije na alarm. W tym raporcie wszystko jest wyjaśnione. Powstańcy powołali komitet rewolucyjny i wybrali przywódcę, Francisco Dercha. Podobno jest tam też pewna kobieta, która organizuje rannym pomoc i żywność dla rebeliantów. Przejęli kontrolę nad wszystkimi okolicznymi budynkami i rzucają kamieniami oraz innymi niebezpiecznymi przedmiotami. Sam pan widzi, że sytuacja może się tylko pogorszyć!

– Pewna kobieta, która organizuje rannym pomoc i żywność dla rebeliantów? Kamienie i inne niebezpieczne przedmioty?

Don Manuel Figuerola westchnął.

– Kto wybiera kamienie do walki, ten ma mało do stracenia.

– Co pan mówi? – zapytał zamyślony Gaminde.

– Nic, kapitanie. Co pan proponuje, biorąc pod uwagę tę sytuację?

– Zebrać wszystkie niezbędne siły, zanim będzie za późno. Koniec z obwieszczeniami i miłymi słówkami. Musimy walczyć wszyscy zjednoczeni w imię naszego kraju! Trzeba poprosić o wsparcie pozostałe regiony, przede wszystkim Walencję i Aragonię, które leżą najbliżej. Stan wojenny został już wprowadzony, więc teraz musimy rozpocząć prawdziwą wojnę!

Don Manuel de Figuerola doskonale znał apetyty takich mężczyzn jak kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde. To była dla nich jedyna szansa na zdobycie wpływów i pokazanie swojej władzy, a może nawet na zdobycie szlacheckiego tytułu.

– Gdzie pan był, drogi kapitanie, kiedy po heroicznej walce, którą stoczyli ci ludzie we wrześniu sześćdziesiątego ósmego roku, obiecaliśmy im zniesienie werbunku poprzez losowanie?

Don Manuel de Figuerola usiadł i wziął plik kartek z wynikami losowania.

Kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde obciągnął poły i rękawy munduru, po czym położył rękę na szabli przewieszanej u pasa. Lubił czuć jej stalowy chłód.

– Moim skromnym zdaniem pewnych obietnic nigdy nie powinno się składać, don Manuelu. Poza tym niektóre obietnice z góry należy uznać za niemożliwe do spełnienia, ponieważ zmieniła się sytuacja, od czasu gdy zostały złożone. Robotnicy mają dużo szczęścia: ochronę, dach nad głową i pracę. Dzięki poborowi daje im się możliwość walki o ojczyznę. Powinni być dumni, zamiast buntować się przeciwko tym, którzy ich karmią.

Don Manuel popukał palcem w stół. „Do tej pory wylosowano trzy tysiące młodych rekrutów”. Skrzyżował nogi. „Pozostają do wylosowania jeszcze dwa tysiące”. Przeklinał w myślach gubernatora za to, że zostawił go samego z całym tym cyrkiem.

– Ma pan dzieci, kapitanie?

– Nie, nie mam. – Kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde wycelował w niego palcem. – Ach, wiem, do czego pan dąży, ale nic z tego! Gdybym miał dzieci, rozpierałaby mnie duma, że walczą za kraj i postęp. Nigdy

nie wykupiłbym ich od czegoś, co jest obywatelskim obowiązkiem. Moim zdaniem właśnie możliwość wykupu jest nieprzyzwoitością, a nie pobór przez losowanie.

– W tej kwestii całkowicie się z panem zgadzam, kapitanie.

Na twarzy don Manuela Figueroli odmalował się lekki uśmiech, więc kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde postanowił wykorzystać tę chwilę, aby dojść do porozumienia.

– Pan mnie źle zrozumiał. Pragnę bronić rządu, obywateli, ludzi uczciwych i lojalnych przed rebeliantami, których jedynym celem jest utrudnianie wysiłków nas wszystkich odbudowy tego sponiewieranego kraju wysiłkiem nas wszystkich.

Don Manuel Figuerola dalej pukał palcami w stół, zastanawiając się nad swoją sytuacją. Jeśli sprzeciwi się kapitanowi, zostanie uznany za słabeusza, a co gorsza, posądzony o sympatyzowanie z republikanami. A jeśli go poprze, powstanie szybko zostanie stłumione. W ciągu jednego dnia, może dwóch.

– Zgoda, kapitanie. Niech pan prosi o wsparcie, kogo trzeba. Ma pan moje poparcie. Niech pan robi, co uważa za konieczne.

Kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde odniósł zwycięstwo. Wstał o trzy kilogramy cięższy od rozpierającej go dumy. „Teraz mnie popamiętają ci przekłeci republikanie! Armia ze mną na czele rozbije w proch Gràcię i każdego, kto tylko stanie mi na drodze!”.

Don Manuel dostrzegł w jego lisich oczach żądzę chwały.

– Kapitanie...

– Tak?

– Przede wszystkim niech pan nie przedłuży walki.

– Czasami wymierzenie kary jest czasochłonne, ale proszę się nie martwić, wojsko obroni naszych obywateli.

Kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde rzucił te słowa jak bomby, po czym uklonił się na odchodne don Manuelowi Figueroli, który siedział zamyślony, bębniąc palcami w stół.

W dniu, w którym pan Pacià oświadczył Marçalowi, że wytłumaczy mu funkcjonowanie świata, chłopiec odkrył, że ten świat jest dla niego zbyt skomplikowany.

Stał u stóp schodów w Casa Lledó i miętosząc czapkę, liczył w myślach kryształki żyrandola.

„Założ frak! – rozkazał rano dziadek. – Wieczorem przedstawię cię na salonach”.

Wystrojony Marçal czuł się jak tresowany chart przed swoją pierwszą gonitwą.

Drzwi gabinetu otworzyły się i stanął w nich Fèlix z zaczerwienionymi oczami i opuszczoną głową.

W pokoju rozbrzmiewał stanowczy głos:

– I żebym tylko nie musiał się za ciebie wstydzić, chłopcze!



Fèlix zatrzymał się, odwrócił głowę i przytaknął.

Ten sam głos grzmiał ponownie:

– Nie zamykaj drzwi, Fèliksie. Muszę omówić teraz ważne sprawy z Marçalem.

Chłopiec wypełnił polecenie i ruszył w stronę schodów, powłócząc nogami. Wyprostował się jednak na widok elegancko ubranego Marçala, który podszedł do brata.

– Co tym razem przeskrobałeś?

Fèlix spojrzał mu prosto w oczy.

– Nic, zaczynam pracę w biurze gubernatora cywilnego! Co ty na to?

Marçal wybuchnął śmiechem.

– U gubernatora cywilnego? To znaczy, że dziadek załatwił ci praktykę, żebyś mu tutaj nie zawadzał.

Wściekły Fèlix złapał go za kłapy fraka.

– Zazdrościsz mi, co?

– Zazdrościć ci? Nie rozśmieszaj mnie!

Usłyszeli na schodach odgłos kroków i odwrócili wzrok w tamtą stronę. Marianna obserwowała ich ze złością.

– Przestańcie! Czy wy potraficie się tylko kłócić?

Marianna i Fèlix skrzyżowali spojrzenia.

– Co się stało, Fèliksie?

Chłopak odepchnął brata, mrugnął, żeby ukryć łzy, i uciekł do swojego pokoju.

Dziewczyna próbowała go zatrzymać, ale Fèlix przebiegł obok niej zbyt szybko.

Marçal wspiął się na dwa pierwsze stopnie.

– Marianno...

Dziewczyna zmierzyła go wzrokiem.

– Jesteś dzisiaj bardzo elegancki, Marçalu.

Uśmiechnęła się do niego drżącymi ustami, odwróciła się i pobięła za Fèliksem.

Wzrok Marçala utonął w błękitach jej sukni. Odkąd sięgał pamięcią, Marianna zawsze uganiała się za Fèliksem. Wrócił na miejsce, z którego wcześniej liczył kryształki żyrandola, westchnął i wygładził kłapy fraka. „Jesteś dzisiaj bardzo elegancki, Marçalu”, przypomniał sobie jej słowa.

Tymczasem z gabinetu wyszedł pan Pacià, odebrał od służącej kapelusz i dał wnukowi znak, żeby szedł za nim.

– Idziemy, chłopcze. Pokażę ci, jak funkcjonuje świat!

Na dworze panował chłód, a w powietrzu unosił się swąd płonących domów.

Wsiedli do zakrytego powozu. W środku były siedzenia obite czerwoną tkaniną ze wzorem w lilie. Marçal nigdy wcześniej nie jechał tym pojazdem. Pan Pacià obserwował go protekcyjnym wzrokiem.

– Używamy go tylko w wyjątkowe dni. I noce!

Stłumił chichot. Zapukał w dach i ruszyli.

Marçal patrzył przez okno na oddalającą się rodzinną rezydencję. Pewnie Marianna właśnie pocieszała Fèliksa. Jego ciało przeszył dreszcz. „Jesteś dzisiaj bardzo elegancki, Marçalu”.

Powóz zatrzymał się pod Cafè de les Set Portes. Chociaż chłopiec nigdy tu nie był, wiele słyszał o tym miejscu.

Gazowa latarnia oświetlała ogromne okno lokalu z namalowanymi na szkle obrazami wewnątrz innych sławnych europejskich kawiarni. Marçal stanął oszołomiony przed drzwiami i wodził wzrokiem po literach tworzących nazwę lokalu w różnych językach.

Na ścianach głównej sali wisały wielkie lustra, w których odbijały się wysokie kolumny stojące na środku pomieszczenia, co sprawiało wrażenie nieskończonej przestrzeni.

Szybkim krokiem podszedł do nowo przybyłych gości uśmiechnięty mężczyzna.

– Jak miło pana zobaczyć, drogi panie Lledó!

Pan Pacià zdjął płaszcz i kapelusz.

– Dzisiaj świętujemy, Cuyàs. Przedstawiam panu mojego wnuka Marçala, dziedzica fortuny Lledó. Jak się on panu podoba?

Mężczyzna skinął głową Marçalowi i dał znak kelnerowi, żeby zabrał płaszcze i kapelusze.

– Może być pan spokojny. Wygląda na poważnego chłopca. – Cuyàs uśmiechnął się i zwrócił do Marçala: – Serdecznie witamy w naszych progach, paniczu Lledó. Koniecznie musi pan spróbować naszych serów i szampana, a także kandyzowanych owoców, które dostarczamy do najznamienitszych hiszpańskich domów!

Usiedli przy stoliku pod dwupoziomowym kryształowym żyrandolem z dziesiątkami gazowych lampek. Marçal zastanawiał się, czy było na nim mniej kryształków niż na żyrandolu w jego domu, i mimochodem przypomniał sobie niebiańsko błękitną sukienkę Marianny, która pobiegła za Fèliksem. Westchnął i usiadł na krześle wskazanym przez dziadka.

Marçal, nieco otumaniony szampanem i srebrnymi sztucami, jadł przysmaki podawane na zastawie z chińskiej porcelany i potakiwał dziadkowi: „Masz rację, dziadku, węgiel tylko drożeje. Mistrz Fabra ma złote serce, ale nie potrafi pokazać robotnikom, gdzie jest ich miejsce. Pewnego dnia się zbuntują, jak w fabryce Massensów. A ta kawiarnia może się równać z podobnymi lokalami na Polach Elizejskich czy tymi w pasażu Gràcia, w których bywają barcelońscy nuworysze”. Im bardziej chłopiec czuł w głowie bąbelki, tym z większym zapałem zgadzał się z panem Pacià, że słabeusze pierwsi przegrywają. „Dlatego musisz być zawsze czujny, chłopcze, i zrozumieć, że w życiu ważne są tylko trzy rzeczy: pieniądze, pieniądze i pieniądze. Resztę można kupić właśnie za nie”.

– Czego właściwie oczekujesz od życia, Marçalu?

Chłopak zakrztusił się pytaniem i łykiem szampana.

– Ja? Cóż...

– Mów, chłopcze, czego pragniesz. Dużego domu? Bywania w takich miejscach jak to? Pięknego powozu? Pięknej kobiety? – Pan Pacià puścił do niego oko.

Marçal wstrzymał oddech.

Dziadek uśmiechnął się z satysfakcją.

– Pokażę ci, jak zdobyć piękną kobietę!

Kiedy jednak drzwi do Palauet otworzyła im dziewczyna o powłóczystym spojrzeniu i w jaskrawej sukni z wielkim dekoltem, Marçalowi zebrało się na wymioty.

Dziewczyna objęła pana Pacià i zaczęła gładzić jego wąsy.

– Dawno się nie widzieliśmy, drogi panie Lledó. Gdzie się pan ukrywał?

Mężczyzna wciągnął brzuch i wypiął pierś.

– Wiesz, że mam dużo pracy, moja Elisendo. Człowiek interesów nigdy nie odpoczywa.

Podciągnął spodnie i odwrócił się do Marçala.

– To jest mój wnuk, przyszły właściciel fabryki Lledó i całego rodzinnego majątku.

Dziewczyna szeroko otworzyła oczy i przyjrzała się chłopakowi.

– Do tego bardzo przystojny.

Przysunęła się do niego, zakryła mu twarz swoimi blond włosami i zaczęła się wwąchiwać w jego szyję. Marçalowi trzęsły się kolana. Dziewczyna pocałowała go w usta, odwróciła się do pana Pacià i mrugnęła.

– Domyślam się, że nigdy tego nie robił?

Mężczyzna wybuchnął śmiechem i ujął ją pod ramię.

– Ach, moja Elisendo, ile w sobie skrywasz niewykorzystanych talentów! Wybierz mi jakąś dziewczynę, żeby czegoś go nauczyła. Czasem się boję, żeby mi się nie potłukł. Taki z niego delikatniś!

Oboje, śmiejąc się, odeszli i zostawili za sobą Marçala, który podziwiał duży salon: atłasowe zasłony w tym samym czerwonym odcieniu co obicie siedzeń w powozie dziadka, dwie sofy w podobnym kolorze z czarnymi poduszkami, na których rozparło się kilku mężczyzn otoczonych kobietami ubranymi w jaskrawe suknie, szlafroki z niemal przezroczystego jedwabiu lub gorsety i halki. Jedna z kobiet grała na pianinie melodię, którą kiedyś pośpiewywała Marianna.

Marçal opuścił wzrok, pogrążając się we wspomnieniach i w poczuciu winy.

Towarzyszająca panu Pacià Elisenda dała znak koleżance w fioletowej sukni i z bujnymi ciemnobrązowymi lokami do pasa, żeby do niej podeszła, i powiedziała jej coś na ucho. Po chwili dziewczyna, odsłaniając gołe nogi, zbliżyła się do Marçala.

– Podobno chciałbyś, żebym ci pokazała, jak funkcjonuje świat...

Chłopak najchętniej by stąd uciekł, jednak wiedział, że dziadek obejmujący dziewczynę w jaskrawej sukni pilnie go obserwował. Podał brunetce spoconą

dłoń i pozwolił jej się poprowadzić długim korytarzem.

– To tutaj...

Dziewczyna weszła do pokoju. Ściany były pokryte oliwkową tkaniną, a w powietrzu unosił się kwaśny zapach potu. Na środku stało ogromne łóżko otoczone przezroczystym baldachimem. Marzał nigdy takiego nie widział. Dziewczyna pociągnęła go w jego stronę.

– Wygląda na to, że dzisiaj tylko ja będę mówić. Nie przejmuj się. Do tego, co mamy zrobić, nie potrzebujemy wielu słów.

Przesunęła ręką po jego spodniach.

– Jeszcze nie jesteś gotowy?

Uśmiechnęła się i zaczęła z niego zdejmować frak.

– Chodź ze mną...

Rozpięła mu kamizelkę i głaskała go po piersi.

– Niezły z ciebie osiłek. Lubię silnych mężczyzn. Kto wie, może się zaprzyjaźnimy?

Posadziła go na łóżku.

– Teraz, osiłku, pokażę ci, za co zapłaciłeś.

Dziewczyna rozpięła fioletową suknię i zrzuciła ją z siebie. Duży biust wylewał się z gorsetu. Podeszła do chłopaka i położyła jego dłonie na swoich piersiach.

– Mięciutkie, co? Chowane na najlepszym maśle! Pochodzę z gór, a tam albo coś się robi dobrze, albo nie robi się wcale.

Marzał przełknął ślinę.

Dziewczyna zdjęła gorset. Miała ciemne sutki i nieco zaokrąglony brzuch.

Marzał nigdy nie widział nagiej kobiety. Poczul, że oblewa go gorący pot. Miał też wątpliwości, czy powinien tu być... „Bo ja... i Marianna... Ja...”.

Dziewczyna ukłękła przed nim i rozpięła mu spodnie, a potem ściągnęła je razem z kalesonami, odsłaniając mały, skurczony ze strachu członek. Ujęła go energicznie i włożyła do ust. Marzał wydał z siebie jęk. Ignorując jego zawstydzenie, dziewczyna łagodnymi ruchami języka doprowadziła go do wzwodu, a Marzał zmienił zdanie. Pomyślał, że to nawet dobry sposób na życie.

Dziewczyna po chwili wstała i pociągnęła go na łóżko.

– Chodź tutaj, młodzieńcze. Dzisiaj wygrałeś los na loterii.

Marzał pozwolił jej się dotykać i lizać, aż w końcu przestał wyczuwać odór starego potu tak wielu obecnych tu przedtem innych mężczyzn. Dziewczyna usiadła na nim okrakiem, a on w swoim niedoświadczeniu chwycił ją gwałtownie w talii i zaczął nią poruszać. Po jakimś czasie poczuł falę gorąca i otworzył oczy.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego, ukazując pożółkłe zęby.

Marzał zepchnął ją z siebie i wziął głęboki oddech. Smród potu i smak szampana przyprawiły go o mdłości, a żołądek podszedł mu do gardła. Wstał i zaczął szukać swojej koszuli.

Dziewczyna mu się przyglądała.

– Co się stało? Już skończyliśmy? Nie możesz wyjść tak szybko, bo powiedzą, że cię nie zadowoliliam!

Chłopak ubierał się, w ogóle na nią nie patrząc. Kiedy już był we fraku, dziewczyna podeszła do niego.

– Jesteś dzisiaj bardzo elegancki... A ja mam wolną noc. Chcesz to powtórzyć?

Marzał z trudem powstrzymując mdłości, odepchnął ją, podszedł do drzwi i opuścił pokój.

W salonie nie zauważył pana Pacià, chociaż nie za bardzo się rozglądał.

Otworzył drzwi wejściowe i wyszedł na ulicę. Odetchnął głęboko, próbując wypełnić dziurę, którą poczuł w żołądku.

„Jesteś dzisiaj bardzo elegancki, Marçalu”.

Bam! Bam!

Dzwony z Sant Pere również były na alarm, łącząc się jak w błagalnej modlitwie z tymi, które było słycać w oddali.

Mimo wyjątkowości zaproszenia i tradycji organizowania balu niewiele osób miało odwagę opuścić swoje domy w takim dniu. Fèlix wysiadł z powozu. Przed rezydencją barona stało pięć powozów: państwa Massensów, Lópezów, Oliu, Bonavistów i Recasensów. Westchnął ciężko na myśl o tym, że nie może stamtąd uciec. Powinien kupić nową maszynę parową, a bez wsparcia barona to marzenie nie mogło się ziścić.

Schody prowadzące do wejścia na wewnętrznym dziedzińcu błyszcząły w migoczącym świetle małych szklanych latarenek rzucających ciepły blask. Służąca odebrała od niego płaszcz, laskę i kapelusz. Fèlix wszedł na pierwsze piętro. Przez otwarte drzwi salonu docierały do niego śmiechy, przede wszystkim barona.

– Drogi pan Lledó!

Podszedł do niego baron. Miał rzadkie siwe włosy zaczesane do tyłu, a na twarzy szeroki uśmiech.

Fèlix powitał go skinieniem głowy.

– Drogi baronie, jest pan z pewnością duszą Barcelony w tych chwilach pełnych smutku.

– Smutku? Jakiego smutku? My tutaj świetnie się bawimy! Zapraszam, zapraszam, panie Lledó. Damy o pana wypytują.

Baron podszedł do Fèliksa tak blisko, że dotknął jego klatki piersiowej.

– Pani Massens przyszła z dwiema córkami. Wątpliwej urody, jeszcze mniej wytworności, ale majątek niczego sobie! Rozumie mnie pan? – Wybuchnął śmiechem. – Czy kiedykolwiek panu mówiłem, że bardzo panu do twarzy w czarnym kolorze?

Fèlix zerknął na swój frak, a potem uniósł wzrok na barona.

– Pan zawsze ma dla każdego jakiś komplement.

Arystokrata zakrył usta teatralnym gestem.

– To nieprawda! Tylko dla tych, którzy na to zasługują.

Puścił oko do Fèliksa, wziął go pod rękę i poprowadził do salonu.

– Panie i panowie, oto on! Najprzystojniejszy mężczyzna w Barcelonie!

W pomieszczeniu rozległ się szmer powszechnej radości. Fèlix powitał obecnych ukłonem i rozejrzał się wokół.

Pani Massens – z kręconymi włosami wysoko zaczesanymi w kok, w zielonej sukni ozdobionej koronką i biżuterią – podeszła do niego pierwsza.

– Drogi panie Lledó, jak miło znów pana spotkać! Mój mąż przebywa w Anglii z powodu tych wszystkich skomplikowanych interesów, którymi się panowie zajmują. A baron w swojej uprzejmości zaprosił nas i oczywiście nie mogłyśmy oprzeć się pokusie, żeby nie przyjść. Nie wiem, czy miał już pan przyjemność poznać moje córki. Dziewczynki, dziewczynki!

Podeszły do niej dwie córki. Fèlix przez chwilę czuł się jak towar wystawiony na sprzedaż. Przyjrzał się dziewczynom. Jedna miała spojrzenie pozbawione złudzeń i usta pełne pożądania, a druga zimny wzrok i wstydliwie zaciśnięte wargi.

Pani Massens przedstawiła je z uśmiechem:

– To jest Elvira, a to Ponça.

Fèlix ukłonił się nisko.

– Miło mi panie poznać.

Uśmiechnęły się; pierwsza bardziej.

Fèlix zwrócił się do pani Massens:

– Jak panie wytrzymują te niespokojne dni bez pani męża?

Pani Massens otworzyła wachlarz i zaczęła nim energicznie poruszać.

– Ach, proszę pana, co to za męka! Tyle szaleństwa i nierozwagi! Mój Boże, jakby wszyscy powariowali!

Fèlix, potakując, wziął z tacy kieliszek szampana.

– Tak, sytuacja stała się groźna.

– Moje córki są bardzo odważne. Proszę sobie wyobrazić, że ja nie chciałam dzisiaj tutaj przychodzić, ponieważ bałam się wyjść na ulicę z tym wzburzonym motłochem. Matko Boska, to przerażające! Ale one chciały pana poznać. – Pani Massens dała Fèliksowi lekkiego kuksańca łokciem. – Poza tym ostatnio jest tak mało spotkań towarzyskich, że człowiek w domu może się zanudzić.

Fèlix pokiwał głową i wziął łyk szampana. Dziewczyna o spojrzeniu pozbawionym złudzeń i ustach pełnych pożądania wtrąciła się do rozmowy.

– Nie mów tak, mamó. Jesteśmy pod ochroną kapitana generalnego, który utrzymuje porządek!

– Ach tak, Elviro. Całe szczęście, że mamy kapitana generalnego. Gdyby nie on, znów wybuchłaby rewolucja. Prawda, panie Lledó?

– Cóż, ja...

Nagle pani Massens złożyła wachlarz i przyłożyła go do głowy, jakby przypomniała sobie o czymś bardzo ważnym.

– Ależ jestem niemądra! Z pewnością ten czas jest dla pana bardzo smutny.

Zmaganie się z tyłoma lękami, nie mając u swojego boku kobiety, która czekałaby na pana i czyniła życie przyjemniejszym... Nie odnaleziono wdowy po pańskim bracie, prawda? Och, jakie to straszne stracić jednocześnie brata i bratową. Chociaż to się wydarzyło tak dawno temu! Myślę, że najwyższy już czas, aby to zmienić, panie Lledó. Życie jest krótkie. A czym jest bez odpowiedniej kobiety u boku?

Fèlix nie tracił czasu na udzielenie odpowiedzi, a tym bardziej na przetrwanie słów pani Massens. Dopił szampana i rozejrzał się za baronem. Arystokrata to zauważył i zrozumiał go bez słów.

– Zapraszam do jadalni, droga pani Massens. Mam nadzieję, że dzisiaj będzie pani smakowało. Poprosiłem kucharkę o specjalne danie dla pani – jajka zapiekane z krewetkami!

– Pan zawsze wie, jak zadbać o swoich gości, baronie!

Baron oddalił się z panią Massens i jej dwiema córkami. Fèlix odetchnął z ulgą i pomyślał, że nie powinien był tu przychodzić.

Nagle w drzwiach salonu pojawił się Manuel Figuerola.

– Przyjacielu! Jak widzisz, posłuchałem rad, które zawarłeś w liście... Nie musimy się już dłużej przejmować rebeliantami. Chyba że kapitan generalny postanowi zbombardować nas wszystkich!

Fèlix odpowiedział na ten ironiczny komentarz uśmiechem i silnym uściśnięciem dłoni.

– Wiesz, jacy są generałowie. Trzeba im pozwolić rozkazywać, bo inaczej nie usiedzą w miejscu.

Don Manuel Figuerola poklepał Fèliksa po plecach.

– Jak zawsze masz rację! Tak czy inaczej, losowanie rekrutów już się odbyło: trzy tysiące mężczyzn. Jutro zwerbujemy brakujące dwa tysiące i wreszcie skończy się ta nieprzyjemna sprawa.

Fèlix odstawił kieliszek na stolik.

– Losowanie już się odbyło?

– Tak. Myślałem, że o tym wiesz. Jeśli masz ochotę, możesz jutro wziąć udział w komisji. W rzeczywistości będzie nas mało, ponieważ nasz przyjaciel kapitan generalny zdecydował, że losowanie ma się odbyć przy drzwiach zamkniętych.

– Czy to nie rozzłości ludzi jeszcze bardziej?

– Być może, ale ich walka stanie się bezcelowa. I tak rekruci będą już wylosowani. – Don Manuel Figuerola przełknął ślinę, dostrzegłszy dezaprobatę w oczach Fèliksa. – Skończmy jednak rozmowę o powstaniu, drogi przyjacielu. To był długi dzień. Opowiedz mi lepiej, jak ci idą interesy.

Fèlix zdradził mu, że zamierza otworzyć nową fabrykę nad rzeką Ter, ponieważ energia wodna jest dużo tańsza od węglowej. Myślni był jednak daleko. „Co robisz pod obstrzałem bomb, Marianno?”, zastanawiał się.

Goście weszli do jadalni. Na środku stał stół przykryty lnianym białym obrusem haftowanym złotymi nićmi, na którym rozstawiono porcelanową zastawę i kryształę z wygrawerowanym monogramem barona.

Przed zajęciem miejsca – między dwiema pannami Massens – Fèlix podszedł do gospodarza.

– Czy mógłbym posłać kogoś zaufanego z pana służby z pilną wiadomością?

– Oczywiście, panie Lledó! Cóż za zmartwienie dręczy pana o tej porze przed tak suto zastawionym stołem?

– Nic poważnego. Pewna sprawa związana z fabryką...

Baron złapał się za głowę.

– Praca, praca, praca. Nie wiem, co bym zrobił, gdybym musiał pracować. Ta służąca zaprowadzi pana do gabinetu, gdzie znajdzie pan papier i pióro.

Fèlix ukłonił się.

– Jestem panu bardzo zobowiązany.

Baron pokiwał głową i przybliżył się do niego.

– Tylko proszę się pospieszyć, bo pewne panny będą zaniepokojone!

Wychodząc z jadalni za służącą, Fèlix usłyszał, jak baron mówił do pani Massens:

– Nasz pan Lledó tak pięknie pachnie, że aż dziw bierze, że nigdy się nie ożenił... Nie sądzi pani? Być może jeszcze nie poznał odpowiedniej kobiety albo nigdy się nie zakochał. Istnieją tacy ludzie – mają serce jak lód i nic nie czują.

Marianna łaskotała Fèliksa po uchu łodyżką stokrotki. Chłopak uśmiechał się i od czasu do czasu odsuwał jej rękę. Leżeli na trawie z gołymi stopami, ogarnięci miodowym zapachem kwitnącej lipy.

Zostali sami. Profesor Bonell zwolnił ich z popołudniowych zajęć. Rezydencja rodziny Lledó utonęła w leniwej ciszy letniego popołudnia. Tylko lekkie podmuchy wiatru ośmielały się poruszać liśćmi.

– Zobacz, Marianno, są jak żagle statków!

Marianna spojrzała na falujące kłęby chmur, które zdawały się płynąć po wodach nieba.

– Rzeczywiście! A ta chmura niżej przypomina słonia z atlasu profesora.

Fèlix przysunął się bliżej Marianny.

– Chciałabyś zatrzymać niebo i te wszystkie kształty na jednym obrazie? Żeby nigdy nie zniknęły...

– Przecież właśnie dlatego są takie wyjątkowe! Ponieważ są nieuchwytnie.

Chłopak, obserwując ją, wyciągnął rękę i nawinął na palec kosmyk jej ciemnych włosów, które były rozrzucone na trawie jak wachlarz.

– Nie. Rzeczy są piękniejsze, kiedy można je wziąć do ręki i podziwiać z bliska.

– Spójrz tam! To drzewo! – zawołała Marianna. – Nie, czekaj, to jest waż... Popatrz, jak kręci ogonem.

Kształt wił się, zrzucał skórę z tysiąca łusek i zostawił za sobą ławicę ryb, które po chwili rozplynęły się w powietrzu.

– Wiesz, co byłoby zabawne, Marianno? Stworzenie atlasu wszystkich chmur świata.

– A jak byśmy je utrwalili?



– Moglibyśmy narysować wszystkie chmury, które zobaczymy. Nadawalibyśmy im nazwy! Na przykład tamta nazywałaby się Gołąb z rozłożonym skrzydłem i rysowalibyśmy strzałkę z Casa Lledó, ponieważ tutaj ujrzelśmy tę chmurę po raz pierwszy.

Marianna wybuchnęła śmiechem.

– To trwałoby w nieskończoność!

– Poza tym nie moglibyśmy zacząć teraz, kiedy mam pracować poza domem... – stwierdził Fèlix.

– Daj temu spokój!

– Nie rozumiem, dlaczego dziadek pozwala Marçalowi pracować ze sobą w fabryce i nadal mieszkać tu z tobą, a mnie wysłała do miasta. Nawet nie chciał mnie wysłuchać, Marianno! On mnie nienawidzi.

– To nieprawda! Wcale cię nie nienawidzi, tylko jest bardzo zmęczony, a nauka was obu to ciężka praca. A poza tym jesteś młodszy...

– Chcesz powiedzieć, że nie mogę decydować o swoim życiu, ponieważ urodziłem się kilka lat po moim bracie? To niesprawiedliwe. Dużo bardziej nadaję się do prowadzenia rodzinnej firmy niż Marçal. Jego to w ogóle nie interesuje!

– Nie narzekaj! Wyobraź sobie, że kazaliby ci zostać księdzem! Jak ojciec Espina.

Marianna zakryła usta, żeby powstrzymać śmiech.

Nagle Fèlix odwrócił się do niej, rzucił na nią i zaczął ją łaskotać.

– Wypluj te słowa! Natychmiast!

– Nie, nie, przestań, Fèliksie...

Łaskotał ją przez białą lnianą sukienkę pod pachami i po żebrach. Dziewczyna, śmiejąc się, kręciła głową i próbowała się od niego uwolnić.

– Cofam wszystko, co powiedziałam!

Fèlix zaprzestał łaskotek, odgarnął jej włosy z twarzy, bo zasłoniły jej modre oczy, i pomyślał, że wolałby pieścić jej ciało. Przeszył go dreszcz na tę myśl, która splotła się wraz z innymi i została w nim. Przełknął ślinę i położył się obok dziewczyny.

– Sądzisz, że z innego miejsca niebo widać tak samo? Mam na myśli to, że chmury płyną po nim w ten sam sposób.

Marianna poprawiła sukienkę i próbowała uspokoić swoje serce, które zaczęło bić jak szalone pod wpływem dotyku chłopaka.

– Nie wiem... Tak sądzę...

– Pewnego dnia wyjadę stąd daleko... – Podniósł zapomnianą stokrotkę i podał ją Mariannie. – I zabiorę cię ze sobą. Wyobrażasz to sobie? Moglibyśmy podróżować po Europie: Paryż, Genewa, Florencja... Bardzo chciałbym pojechać do Florencji. Wyobraź sobie, tylko my dwoje spacerujący wśród tych wszystkich pałaców, po pięknych placach pełnych marmurowych rzeźb, oglądający purpurowe zachody słońca, o których tyle razy opowiadał nam profesor!

Marianna wpatrywała się w jego szare oczy, jakby chciała się zarazić jego marzeniami, i przyznała w duchu, że Fèlix pogrążony w rozmyślaniach o ich wspaniałej przyszłości – nawet z tym małym zarostem pod nosem, z którego Marçal często kpił – był najprzystojniejszym chłopakiem, jakiego знаła.

– Nie wiem, czy mogłabym z tobą pojechać – wyszeptwała.

– Dlaczego tak mówisz? Zabiorę cię ze sobą!

Dziewczyna uniosła głowę i znów wbiła wzrok w chmury, które już nie tworzyły żadnych kształtów.

– Jestem nikim, Fèliksie. Nawet nie noszę nazwiska Lledó.

– Dla mnie należysz do rodziny!

– Wiesz, co mam na myśli. Gdyby nie miłosierdzie twoich dziadków, nie wiem, jaki czekałby mnie los. Teraz nadszedł czas, żeby im się odwdzięczyć za wszystko, co dla mnie zrobili, i udowodnić im, że było warto.

Marianna oderwała płatki stokrotki. Trzy, dwa, jeden.

– Oczekują, że odpowiednio wyjdę za mąż. Za najstarszego syna Bonaventurów albo dziedzica Oliu, za kogoś, kogo nie interesuje moje pochodzenie, ale powiększy fortunę i doda prestiżu waszemu nazwisku.

Na stokrotce pozostał tylko jeden płatek. Marianna przyjrzała się kwiatu uważnie i pomyślała, że obdarty z płatków był brzydki.

Fèlix cmoknął.

– Nikogo nie musisz szukać!

Dziewczyna przymknęła oczy i westchnęła.

– Fèliksie, jestem prawie dorosła i pan Pacià...

Spojrzał w jej modre oczy i odruchowo pogłaskał ją po policzku. Usiadł wzburzony, zaczął wyrwać wokół siebie kępki trawy i odrzucać trochę dalej.

– Pan Pacià, pan Pacià! Mam dość dziadka! Tylko nam wszystkim rozkazuje. Tobie wybiera męża, mnie zmusza do robienia czegoś, czego nie chcę... Och, Marianno, ja tylko chcę być z tobą i pracować w fabryce, pójść w ślady mojego ojca. Czy proszę o zbyt wiele?

– Nie, oczywiście, że nie, ale...

– Dziadek mnie nienawidzi, zawsze mnie nienawidził. Nigdy nie zapomnę, jak zamknął mnie na całą noc na poddaszu. Pamiętasz moje poranione ręce od uderzenia w drzwi?

– Nie mówmy już o smutnych sprawach.

Odnalazła jego rękę, a on, czując jej uspokajający dotyk, otworzył dłoń i wypuścił z niej trawę.

– Ty nigdy mnie nie opuścisz, prawda? – Fèlix wbił w Mariannę zaniepokojony wzrok. – Obiecuj mi, że zawsze będziesz ze mną.

– Fèliksie...

– Nie zniósłbym twojego widoku z innym mężczyzną!

Usiadła naprzeciwko niego.

– Nie mów takich rzeczy.

– Nie zniósłbym!

– Ale jeśli pan Pacià...

– Przestań wreszcie o nim mówić! – Fèlix zerwał się i zaczął krążyć niespokojnie, po czym uderzył ręką w pień lipy. – A ty, czego pragniesz, Marianno? Chcesz być ze mną?

– Oczywiście, że chcę być z tobą.

Chłopak zagryzł usta i ponownie usiadł przy niej.

– O co więc chodzi?

– Nie mogę robić tego, co chcę, i decydować o tym, czego chcę.

– Dlaczego nie?

– Bo tak już jest...

– Nie, Marianno, jest tak, jak my chcemy, żeby było. Przypomnij sobie słowa profesora.

Wyciągnął rękę i przesunął dłonią po jej policzku, nosie, ustach.

– Będzie tak, jak my zechcemy.

Marianna zamknęła oczy i nie cofnęła się przed dotykiem Fèliksa. Wiatr uniósł lekko halki jej sukienki.

– Oczywiście, że chciałabym, żebyśmy byli razem, jak zawsze. W tym ogrodzie albo w każdym innym miejscu na świecie. Mając ciebie, niczego więcej nie potrzebuję.

Fèlix westchnął i znów wstał.

Marianna otworzyła oczy.

– Chodź, podpiszemy przysięgę.

– Przysięgę?

Fèlix pobiegł nad staw i wrócił z kamieniem, najostrzejszym, jaki udało mu się znaleźć. Podszedł do lipy i z wielkim wysiłkiem zaczął wycinać w korze litery.

– Co tam piszesz?

Na pniu pojawił się napis NA ZAWSZE TWÓJ.

– Zawsze będę się o ciebie troszczył, Marianno. Jeśli kiedyś nie będzie mnie przy tobie, a zatęsknisz za mną, przyjdiesz tutaj, dotkniesz drzewa i będziesz wiedziała, że gdziekolwiek jestem, należę do ciebie.

– Ktoś to może zobaczyć!

Fèlix się uśmiechnął.

– Jakie to ma znaczenie? To tylko dwa lata, Marianno. Może trzy. Teraz masz czternaście lat, a pobierzemy się, kiedy skończysz siedemnaście. Ja wtedy będę miał osiemnaście i na pewno do tego czasu dziadek nabierze do mnie zaufania i przekaże mi prowadzenie części interesów. Będę mógł dać ci wszystko, na co zasługujesz! I będziemy mieszkać tutaj!

– A Marçal?

– Marçal pozostanie zgorzkniałym starym kawalerem. Nic na to nie poradzimy! Oddamy mu jeden z pokoi na drugim piętrze.

Ku zaskoczeniu Fèliksa Marianna wybuchnęła śmiechem.

– Podejdź tutaj, Marianno. Weź kamień i pisz.

Dziewczyna próbowała protestować, ale w końcu uległa pod wpływem spojrzenia Fèliksa. Wzięła od niego kamień i wycięła napis: NA ZAWSZE TWOJA. Na trawę spadło kilka białych wiórów. Marianna poczuła, że nawet jeśli ich życie przesłoni wiele chmur, te litery na zawsze pozostaną w ich sercach.

Bam!

Znów zapadła noc. Marianna pomyślała, że słońce nie chce pokazać wojny i ukrywa ją ze wszystkich sił. W ciągu dnia zamiast promieni słonecznych widziała tylko samą krew. Mnóstwo krwi!

Bombardowanie ustało i zapadła cisza. Przerывało ją tylko bicie dzwonów, które nie pozwalały zapomnieć o tym, co się wydarzyło.

Dzieci usnęły. Tylko jeden z rannych jęczał, czekając na śmierć. Nie można mu było już pomóc, mimo że Marianna próbowała wszystkiego.

Kobieta usiadła na tym samym drewnianym krześle, na którym spędziła część poprzedniej nocy. Sprawdziła puls małej Angelinie, która spokojnie oddychała. Chociaż Marianna wyciągała pęsetą z jej rany drzazgi jedna po drugiej, nie zdołała znaleźć wszystkich. Rana wciąż się paskudziła, a małej nie można było zbić gorączki. Pozostało tylko czekać i się modlić. „Bądź silna, maleńka, musisz z tego wyjść!”, dodawała jej otuchy.

Ermínia przyniosła miskę z wodą.

– Mamy dwóch nowych rannych.

– Już idę. Wiesz coś o matce tej dziewczynki?

Ermínia zatrzymała się i pokiwała głową.

– Tak, wydobyli ją spod gruzów. Nie żyje.

Marianna spojrzała na Angelinę, która może miała pięć lat, i pomyślała, ile życia było przed nią i... ile samotności!

Ermínia też przyjrzała się dziewczynce.

– Wyzdrowieje?

– Nie wiem. To się okaże w ciągu najbliższych godzin. Nie jestem doktorem, Ermíniu.

– Doskonale sobie radzisz. Profesor Bonell wiele cię nauczył. W końcu z jakiegoś powodu ludzie nazywają cię zielarką, prawda?

Marianna zauważyła krople potu na czole Angeliny, co oznaczało podwyższoną temperaturę. Mogła się wdać infekcja.

Odwróciła wzrok i spojrzała na Ermínię.

– Dlaczego przestałaś wierzyć w Boga?

Kobieta westchnęła głęboko.

– Nigdy go nie było, kiedy go potrzebowałam.

Marianna znowu spojrzała na dziewczynkę.

– Ale teraz... On chyba to wszystko widzi.

Ermínia przełknęła ślinę i poczuła złość na myśl o tym, gdzie był Bóg, kiedy wyparł się jej ojciec, kiedy matka zmarła rozerwana przez maszynę czy kiedy dochodziło do tak wielu innych nieszczęść. Zacisnęła ręce na misce, a później

wyszła do drugiego pomieszczenia.

Marianna pocałowała rączkę Angeliny i odeszła, żeby opatrzyć nowych rannych. Po wyjściu na korytarz usłyszała hałas, więc wychyliła się przez poręcz schodów. W drzwiach wejściowych stał Francisco Derch: bez kapelusza, w zakurzonym surducie i pogniecionej koszuli. Gdy Marianna go zobaczyła, zbiegła po schodach.

– Muszę z panem porozmawiać.

Francisco Derch uniósł wzrok i zaczął się przyglądać tej intrygującej kobiecie z rozpuszczonymi włosami i w sukni poplamionej krwią. Zerknął na swoje ręce, wytarł je w koszulę i wygładził surdut, starając się unikać jej spojrzenia.

– Właśnie teraz? Mam naradę z komitetem powstańczym i...

Marianna stanęła przed nim.

– Komitetem powstańczym?

Francisco Derch minął ją i wszedł na schody.

– Tak, dzisiaj został powołany.

– Wspaniale! Wy, politycy, potraficie tylko marnować czas, rozdając stanowiska, podczas gdy lud cierpi!

Francisco Derch poczuł ukłucie w żołądku.

– Przykro mi, jeśli nie podoba się pani sposób, w jaki próbujemy się zorganizować i wprowadzić odrobinę porządku w tym chaosie. Może pani zrobiłaby to lepiej.

Marianna westchnęła.

– Nie chodzi o to, kto zrobiłby to lepiej, ale o skupienie się na najważniejszych sprawach.

Francisco Derch poczuł narastające zniecierpliwienie i zmęczenie. Miał ochotę krzyknąć. Udało mu się jednak stłumić w sobie emocje. Zatrzymał się w połowie schodów.

– Przepraszam, że nie skonsultowałem z panią, jak powinienem zarządzać moim czasem! Co w takim razie według pani jest najważniejsze?

Wbiła w niego wzrok, w którym odmalowało się cierpienie całego dnia.

– Na przykład to, że opiekujemy się dwadzieściorciem trojgiem dzieci i czternastoma rannymi, a nie mamy czym ich nakarmić. Poza tym trzymanie ich wszystkich tutaj, w jednym miejscu, jest bardzo ryzykowne. Brakuje nam doktora i środków higienicznych.

Francisco Derch wpatrywał się w jej modre oczy.

– Doktora? A Ribot?

Marianna pokręciła głową.

– Uciekł wczoraj w nocy.

Mężczyzna uderzył pięścią w poręcz.

– Proszę mi wybaczyć, ale to jest... niedopuszczalne! Gdzie podziła się wola ludu, jego dobroć? – Zszedł kilka stopni. – Nie ma sensu się złościć. Kto w takim razie zajmuje się rannymi i dziećmi?

– Ermínia, ja i kilka innych kobiet.

– Przecież wy nawet nie jesteście pielęgniarkami...

– Ma pan rację, ale się nie poddamy. Znam się trochę na ziołarstwie i medycynie, ale to za mało.

Francisco Derch położył rękę na jej ramieniu.

– W takim razie proszę przypomnieć sobie wszystko, czego się pani nauczyła. Życie tych rannych jest w pani rękach.

Przez chwilę stali w milczeniu, a potem przywódca powstania odwrócił się i znów ruszył schodami w górę.

– O żywność i opatrunki proszę się nie martwić. Zajmę się tym. Jutro rano dostanie pani wszystko, co jest potrzebne.

Umierający ranny nie przestawał krzyczeć. Wtórował mu dzwon.

Bam!

Marianna oparła się o poręcz i poczuła ciężar powierzonego jej zadania: „Życie tych rannych jest w pani rękach”. Pomyślała, że dopóki starczy jej sił, warto walczyć.

Bam!

# Dzień czwarty

Środa, 6 kwietnia 1870 roku  
Nie ma nic lepszego niż miłość.  
Kochajcie się!

Wiktor Hugo<sup>3</sup>

OGŁOSZENIE

Z rozkazu sił zbrojnych miasta:

Podaje się do wiadomości publicznej, że każdy, kto wzniesi pożar bądź dokona nawet najbardziej błahej kradzieży, zostanie rozstrzelany.

Ten sam los czeka każdego, kto będąc w posiadaniu broni, wycofa się z udziału w powstaniu.

Francisco Derch przewodniczący komitetu powstańczego miasta Gràcii

Barcelona, 6 kwietnia 1870 roku

CRÓNICA DE CATALUÑA

Przedwczoraj pod przewodnictwem wielce szanownego Gubernatora Cywilnego rozpoczęło się losowanie rekrutów mających uzupełnić straty poniesione w wojsku w bieżącym roku. Losowanie zakończyło się pomyślnie i z zachowaniem wszelkich wymagań prawnych w dniu wczorajszym na pół godziny przed południem.

„Crónica de Cataluña”

Barcelona, 7 kwietnia 1870 roku, wydanie poranne

Bam!

Francisco Derch wpatrywał się w stół w sali zebrań ratusza i pomyślał, że jeśli będą potrafili dobrze się zorganizować, powstanie rozrośnie się do dużych rozmiarów.

Dym z cygar unosił się ku rzeźbionemu sufitowi. Na mosiężnym żyrandolu – jednym z niewielu przedmiotów, które uchowały się od grabieży – tliła się jedna świeca, oddająca nastrój zwątpienia.

Bomby przestały wybuchać.

Francisco Derch czuł zmęczenie. Odwrócił się od wciąż dyskutujących członków komitetu, wyjął z kieszeni papierośnicę i zapalił cygaro.

Masseguer głaskał się po gęstej brodzie.

– Powinniśmy podać do wiadomości publicznej nazwiska członków komitetu powstańczego. No bo kto będzie rozmawiał w imieniu ludu z gubernatorem w przypadku wygranej?

Francisco Derch położył rękę na czole, bo w ten sposób łatwiej mu było się skupić. Przypomniawszy sobie staruszkę, która tego popołudnia krzyczała, żeby

oddali jej dom, ocierając ręką krew z rannej głowy. I dziewczynkę z kawałkiem drewna wbitym w ramię, która przez cały dzień majaczyła w gorączce. I modre oczy kobiety. „Mam tylko nadzieję, że nie zawiedzie mnie pan. Ani ludzi”.

Bam!

Z tych niespokojnych myśli wytrąciły Dercha odbijające się echem gniewne krzyki członków komitetu i dźwięk dzwonów. Soler, chudy mężczyzna o szczupłych i długich palcach, chrząknął.

– Szanowny panie Derch, wszyscy popieramy ustanowienie komitetu powstańczego i wybranie jego członków w celu wspomnienia ogromnego wysiłku ludu walczącego w jak najbardziej chlubnym celu. Poza tym chciałbym wnioskować o mianowanie pana przewodniczącym.

Francisco Derch spojrział na zebranych. Wszyscy kiwali głowami, a Maseguer wciąż głaskał się po brodzie.

– Jesteśmy na pańskie rozkazy, ale proszę pamiętać, że to my pana wybraliśmy.

– Drogi panie Maseguer, jestem pokornym sługą woli ludu i zamierzam w miarę swoich możliwości wspomóc go w powstrzymaniu kolejnego rozlewu krwi. Zobowiązałem się do tego dwa lata temu i dotrzymam danego słowa.

Maseguer przecesał palcami brodę, cały czas obserwując Francisco Dercha.

– Tak, to oczywiste. Znamy jednak w historii wiele osób, które zrobiły wiele dla ludu, a po dojściu do władzy o nim zapomniały.

Francisco Derch założył ręce z tyłu i podszedł do stołu.

– Zanim zaczniemy dyskutować o władzy czy o gubernatorze cywilnym, najpierw powinniśmy wygrać wojnę, panowie. Dzisiaj udałem się na barykady i stwierdziłem, że panuje tam porządek. Powstańcy potrafią dostrzec zaangażowanie i słuszność naszych działań. Są przekonani o wygranej. Jednak kiedy nadejdzie ten dzień, to oni poprowadzą nas do zwycięstwa, a nie ja. – Francisco Derch wziął głęboki oddech. – Ani nie wy, panowie.

Cygara przestały dymić, a dzwony zamilkły. Francisco Derch zgasił swoje w popielnicze.

– Nie proszę o względy czy tytuły, ale o pomoc. Potrzebujemy żywności i opatrunków. Musimy też znaleźć sposób na zwiększenie zapasów amunicji. Przydaliby się zaufani ludzie, którzy dotrą w miejsca, gdzie ja się nie przedostanę. Proszę tylko o to. Jeśli nadal panowie chcą nad tym dyskutować, zostawiam panów samych. Już świta i wojsko wkrótce przystąpi do ponownego ataku.

Francisco Derch wziął ze stołu kilka kartek i włożył je pod pachę.

Soler zerwał się i podszedł do niego na swoich tyczkowatych nogach.

– Niech się pan nie denerwuje, panie Derch. Wie pan, że sprawy należy omawiać, ponieważ właśnie w takich chwilach...

– Zgadza się z panem, ale powstanie trwa już trzy dni. Jeśli mamy doprowadzić do szczęśliwego końca, lepiej dobrze wykorzystać czas. W innym wypadku wolę stanąć ramię w ramię z powstańcami, którzy dzisiaj znów muszą



się zmierzyć z pociskami i bombami.

Soler odwrócił się do zebranych, szukając aprobaty w oczach Masseguera, który wciąż przeczesując brodę, patrzył protekcyjnie na Francisco Dercha.

– Zorganizujemy wszystko, o co pan prosi. Tymczasem pan niech się skupi na zapewnieniu nam zwycięstwa.

Francisco Derch rzucił okiem na tego wilka szykującego się na polowanie, tłumiąc w sobie przekleństwa. Wyprostował się, pokiwał głową i ruszył w stronę drzwi. Przed wyjściem z sali odwrócił się i rzucił na odchodne:

– Przy okazji chciałbym, żeby komitet opublikował moje ogłoszenie. Docierają do mnie niepokojące sygnały dotyczące porządku. Myślę, że tych kilka zdań może się okazać pomocne w niepewnych chwilach.

Soler przyjrzał się kartce, którą Francisco Derch wręczył wszystkim na początku spotkania.

– Czy nie wydaje się panu zbyt drastyczne sformułowanie, że każdy, kto ma broń, ale wycofa się z udziału w powstaniu, zostanie rozstrzelany?

– Chcicie, żebyśmy zwyciężyli, prawda? – Francisco Derch złączył ręce, ukrywając ich drżenie. Członkowie komitetu pokiwali głowami. – Czy myślicie, że banda tchórzów może wygrać wojnę? To może się udać tylko dzięki powszechnej odwadze!

Soler wycelował w niego palec.

– Dzięki odwadze i wielkiemu sercu.

– Zgadza się, Soler.

Francisco Derch już nie czekał na odpowiedź i wyszedł, słysząc za sobą pełne podziwu pochwały rozbrzmiewające w oparach dymu.

Soler odprowadził go na korytarz.

– Liczymy na pana.

Francisco Derch zatrzymał się z wahaniem.

– Chciałbym zadać panu jedno pytanie.

Mężczyzna podszedł bliżej, wpatrując się w niego z niepokojem.

– Jestem do pana dyspozycji.

– Pan pochodzi z Gracii i zna tu niemal wszystkich. Czy może pan wie, kim jest ta kobieta, którą nazywają zielarką?

Soler uniósł brwi, zrobił krok do przodu i zamknął za sobą drzwi do sali.

– Zielarka?

– Tak, to kobieta, która zajmuje się dziećmi i rannymi. Ta ze szramą nad ustami.

Soler pokiwał głową i uśmiechnął się do siebie, bo Derch z tą swoją słabością wydał mu się teraz bardziej ludzki niż przedtem.

– To bez wątplenia tajemnicza osoba, panie Derch. Nikt nie zna jej prawdziwego imienia ani pochodzenia. Mieszka tu od wielu lat, ale niewiele osób poznało ją bliżej. Wydaje mi się, że ma pracownię w przybudówce budynku na ulicy Diluvi. Nazywają ją zielarką, ponieważ poza znajomością krawiectwa ma dużą wiedzę o roślinach leczniczych. Ja, co zrozumiałe, nie

mam z nią nic wspólnego, ale wielu chorych szuka u niej pomocy. Dlaczego tak pana interesuje?

Francisco Derch spośród wszystkich cisnących mu się na usta pytań wybrał jedno.

– A ta blizna na ustach?

Soler podszedł do niego jeszcze bliżej. Zaimponował mu ten człowiek, bo miał w sobie tyle samo odwagi co serca.

– Plotka głosi, że niemal zginęła w pożarze. Mówią, że straciła w nim kogoś z rodziny. – Uśmiechnął się chytrze. – Pewnie męża, ponieważ jest wdową.

Francisco Derch zachował kamienną twarz.

– Ta kobieta jest niezwykle pomocna. Dziękuję panu i proszę nie zapomnieć, o co prosiłem.

Mężczyzna spoważniał i zapytał:

– Naprawdę pan uważa, że publikacja ogłoszenia jest absolutnie konieczna?

Francisco Derch pochylił się do niego i wyszeptał:

– Pan jest człowiekiem wiary, Soler, ale nie wszyscy wierzymy w dobroć takich ludzi jak pan. Proszę mi zaufać i spełnić moją prośbę.

Bam!

Francisco Derch odwrócił się i zszedł po schodach.

Przed drzwiami spotkał Mariannę, która niosła pudło pełne opatrunków. Podniosła na niego wzrok.

– Nie odpoczął pan dzisiejszej nocy.

Spojrzał na pudło pełne nożyczek, bandaży i innych środków higienicznych.

– A pani jest niecierpliwa.

– W niektórych sytuacjach czekanie oznacza śmierć, panie Derch.

Marianna pożegnała się szybkim skinieniem głowy i weszła do budynku.

Bam!

Zanim Fèlix rozpoczął swoją pierwszą pracę, pani Consol postradała zmysły. Nikt nie wiedział, dlaczego tak się stało. Niektórzy zrzucali winę na upały, inni na skrywane przez nią tajemnice, a ojciec Espina stwierdził, że było to działanie diabła.

Pan Pacià kilka dni wcześniej wyruszył na coroczny objazd rodzinnych posiadłości w Katalonii, więc w Casa Lledó panowało radosne odprężenie.

Pewnego razu pani Consol obudziła się o świcie i biegała po korytarzu, otwierając wszystkie pokoje.

– Heleno! Heleno! Gdzie jest moja mała Helena? Widzieliście ją?

Marianna zerwała się z łóżka na widok osoby w nocnej koszuli, bez peruki, z rozpuszczonymi siwymi włosami.

Ermínia, śpiąca na wąskim łóżku w pokoiku przy garderobie, przybiegła sprawdzić, co się dzieje.

Pani Consol rzuciła się na Mariannę i objęła ją z taką siłą, że zatrzeszczały jej kości.

– Tutaj jesteś! Ach, córeczko, w końcu cię znalazłam! Tak długo cię szukałam!

– Pani Consol otarła ręką zaczerwienione i mokre od łez oczy. – Moja maleńka! Dlaczego uciekłaś? Dlaczego? Obiecuj mi, że nigdy więcej tego nie zrobisz. – Odsunęła się trochę od dziewczyny. – Obiecuj mi, córeczko! Nigdy więcej!

Marianna nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek ktoś ją tak obejmował, i chociaż wiedziała, że w rzeczywistości nie była adresatką tych czułości, poczuła błogość. Pokiwała głową, a pani Consol znów ją przytuliła.

– Dobre dziecko! Bardzo dobra dziewczynka!

Po chwili w pokoju zebrało się dziesięć osób, które z osłupieniem przyglądały się całej scenie.

W końcu Àgata podeszła bliżej i zapytała:

– Jest jeszcze noc. Czy dobrze się pani czuje? Może zrobię pani herbatę i odprowadzę do łóżka?

– Do łóżka? Najświętsza Panienko, w żadnym wypadku! Mamy dużo pracy! – Pani Consol odwróciła się do Marianny i wzięła ją za rękę. – Powinniśmy świętować twój powrót, córeczko! Zorganizujemy kilka koncertów z twoim ulubionym repertuarem. Beethoven, Haydn, Schubert... Jeden koncert w tygodniu. Będzie cudownie!

Służący wymienili spojrzenia, a pani Consol – nie zdając sobie sprawy z niezręcznej sytuacji – wyszła z pokoju, ciągnąc za sobą Mariannę.

– Wszyscy do pracy! Musimy zorganizować wyjątkowy koncert dla mojej małej Helenki. Szybko! Dlaczego stoicie jak gapy? Do roboty, mamy dużo do zrobienia! – Pani Consol podeszła do okna w głębi korytarza i spojrzała w niebo. – Tak, wydaje mi się, że będzie ładna pogoda. Jaki jest dzisiaj dzień, Àgato?

– Środa, proszę pani.

– Wspaniale! Koncert możemy zorganizować w piątek. Mamy czas. Dalej, wszyscy do swoich obowiązków!

Zaklaskała w dłonie, a służba, niczym oddział żołnierzy, ustawiła się pod ścianą. Pani Consol pokiwała z zadowoleniem głową i zaczęła się przechadzać wyprostowana jak generał przeglądający swoje wojska, tyle że ona była w koszuli nocnej.

Marianna, korzystając z okazji, wyrwała się jej i uciekła do Fèliksa i Marçala, którzy przyglądali się tej scenie z kąta przy schodach. Fèlix dał jej kuksańca w bok.

– Babcia chyba oszalała.

Pani Consol zaczęła wyliczać zadania:

– Trzeba zatrudnić dodatkową pomoc do kuchni. Carmeto, Remei, chcę pyszne dania: kaczkę w migdałach i rodzynkach, ostrygi z Marennes, krewetki w sosie holenderskim, pieczone przepiórki, kapłona z Prat, jajka zapiekane w śmietanie i najlepsze przystawki. Na deser słynne ciasteczka maślane z cynamonem, torciki truskawkowe, rożki z kremem cytrynowym, pralinowy tort i kandyzowane owoce. Szampan, wina z Rioi, sherry i likiery. Dom musi być pięknie udekorowany, żeby zrobić przyjemność baronowi. To twoje

zadanie, Àgato. Ogród ma być oświetlony świecami jak na corocznym przyjęciu u barona. Chcę, żeby sznur lampionów oświetlił cały ogród i staw.

Podeksytowany profesor Bonell otarł pot z czoła.

– Jak berberyjski namiot...

Pani Consol pokiwała głową i podeszła do niego zdecydowanym krokiem.

– Nie wiem dokładnie, co to jest, ale jeśli wygląda bosko, to się z panem zgadzam. Trzeba też wysłać zaproszenia. Musi się zjawić cała barcelońska śmietanka towarzyska. Pomyślałam, że zaprosimy też państwa Tarrésów. Spór między nami trwa już zbyt długo. – Westchnęła, przyciskając ręce do piersi jak mała dziewczynka, i uniosła wzrok. – To będzie wyjątkowy wieczór! Ach, oczywiście trzeba będzie uszyć nowe suknie. Gdzie jest Helena? A Domènec?

Odwróciła się i szybko ruszyła korytarzem.

Wszyscy patrzyli za nią, jak podskakiwała i zataczała kółka w białej nocnej koszuli. Nikt nie wiedział, czy się śmiać, czy niepokoić. W milczeniu spoglądali na Àgatę, która wstrzymała oddech i dała znać służącym, żeby się rozeszli. Jedni poszli w stronę pokoi, żeby się ubrać, inni od razu udali się do pracy. Àgata ruszyła za panią Consol.

– Chodźmy, pomogę się pani ubrać, żeby mogła się pani zająć organizacją koncertu.

– Ubrać? Ach tak, chyba tak...

Àgata delikatnie wzięła ją pod rękę i poprowadziła do sypialni.

Przez trzy kolejne dni wszyscy ciężko pracowali, żeby zdążyć na czas. Dom wyglądał wspaniale. Wszędzie pachniało jaśminem, a na każdym kredensie stał bukiet białych róż. W jadalni stół przesunięto pod ścianę, żeby później w formie bufetu podać na nim jedzenie i napoje. Koncert miał się odbyć w sali muzycznej, a potem zaplanowano bal. Pani Consol chciała, żeby goście mogli się poruszać po wszystkich pomieszczeniach na parterze, z wyjątkiem gabinetu. Krzyczała, żeby go zamknąć, najlepiej z jej mężem w środku!

Krawcowa uszyła dla Marianny jedwabną suknię w różowym odcieniu, z dekoltem w łódkę i z paskiem koronki w talii zamiast wstążki. Marianna, pierwszy raz wkładając gorset, poczuła się dorosła. Marçal i Fèlix ubrali się w nowe spodnie i koszule oraz czarne surduty. Mimo to zaraz po przywitaniu gości Àgata posłała ich do kuchni na kolację.

– Oprócz panicza Marçala, który jest najstarszy. Wy nie możecie zostać na koncercie, a tym bardziej na balu. Panienska Marianna nie została jeszcze wprowadzona do towarzystwa i nie chciałabym, żeby to – zawahała się – nagłe ożywienie pani Consol miało znacznie poważniejsze konsekwencje.

– Nie martw się, Marianno, ja zostaję z tobą – oznajmił Marçal.

– To niesprawiedliwe. Ja też chcę usłyszeć koncert! – zaprotestował Fèlix.

– Cóż, niech się panicz cieszy, że mógł być obecny przy powitaniu gości.

Fèlix zrobił nadąsaną minę. Tymczasem Marianna i Marçal pałaszowali już udka kaczki z migdałami i rodzynkami.

Gdy skończyli, schodami dla służby udali się do swoich sypialni. Właśnie

wtedy usłyszeli pierwsze dźwięki koncertu. Schubert.

– Och, Fèliksie! Jakie to piękne!

Chłopak zatrzymał się, odwrócił do Marianny, złapał ją za rękę i pociągnął schodami w dół. Marzał stanął jak wryty, bo nie podobało mu się ich zachowanie, ale nie zaprotestował.

Fèlix prowadził Mariannę korytarzem. Przeszli obok pokoju muzycznego i wyszli do ogrodu drzwiami dla służby. Na zewnątrz wszystko było słychać przez otwarte okna.

– Chodź ze mną, Marianno!

Dziewczyna ze śmiechem pobiegła za nim przez ogród. Usiedli pod ich lipą. Lampiony migotały nad ich głowami jak gwiazdy. Fèlix nie wypuścił jej ręki. Położył się na trawie, a Marianna oparła głowę na jego piersi. Kołysały ich dźwięki fortepianu.

Po chwili Fèlix lekko się uniósł, ujął twarz Marianny w dłonie i spojrzał na nią z miłością.

– Kocham cię, Marianno.

Modre oczy dziewczyny zabłyszczały.

Fèlix pochylił się nad nią i ją pocałował.

Tak samo jak wiele lat wcześniej, tamtego popołudnia nad stawem, szeptali do siebie czule, zamykając w słowach dźwięki, które wdzierały się do piersi i wiązały ich dusze wiecznymi obietnicami.

Bam!

Na kilka godzin pozwolono im wrócić do domu, ale nie mogli zasnąć. Jonàs mieszał zupę w garnku. Magí nie był głodny, ale za to pił już drugi kubek wina.

– A jeśli odbędzie się losowanie?

– Wtedy każdym sposobem i za wszelką cenę nie damy się zwerbować.

Magí westchnął.

– Wiedziałem, że tak powiesz.

Jonàs wyprostował się, odłożył drewnianą chochlę i przeszedł przez jadalnię. Odsunął trochę kredens i się pochylił. Magí obserwował go znad kubka wina.

– Co robisz?

Jonàs wyciągnął z kredensu jakieś zawiniątko.

– Pokażę ci coś, co poprawi ci humor.

Przysunął mebel na miejsce i usiadł obok brata. Położył na stole pakunek w zgrzebnym worku. Jonàs wyjął z niego paczuszkę owiniętą delikatną bawełnianą szmatką. Otworzył ją.

– Rewolwer!

– To nie jest zwykły rewolwer, Magí, ale wspaniały baskijski lefaucieux kaliber jednaście!

Jonàs dotknął czarnej lufy, która zaśniła jak krucze pióro.

– Nie bój się. Śmiało! Weź go.

– A niech to, prawie nic nie waży.

– Jest bardzo lekki i może wystrzelić sześć kul.

– Skąd go masz?

– Kontakty, mój drogi, kontakty. Twój brat wie, z kim należy się zadawać!

Magí uśmiechnął się z podziwem.

– To jednak niczego nie zmienia. Jeśli dalej będą nas bombardować, pogrzebią nas, zanim rozpoczniemy walkę.

Jonàs, lekko rozczarowany brakiem entuzjazmu Magiego, przełożył rewolwer z ręki do ręki.

– Może masz rację... Ale przynajmniej będziemy przygotowani! Chodźmy, mruku, już świta i na pewno tęsknią za nami na barykadzie.

Magí dopił ostatnie krople czerwonego wina i powiedział do siebie w duchu, że złe wino jest jak krew: im go więcej, tym bardziej powszednieje.

Wieczorny koncert się odbył, a pani Consol wciąż nazywała Mariannę Heleną i zachowywała tę samą siłę i ten sam entuzjazm, jakby odzyskała nadzieję utraconą przed laty.

Jednak wszystko się skończyło dość szybko. Po dwóch dniach, gdy w Casa Lledó nadal panowała miła atmosfera, a mieszkańcy przygotowywali się do organizacji kolejnego koncertu, do domu wrócił pan Pacià. Wszyscy się zastanawiali, kto go poinformował o tym, co się działo pod jego nieobecność, i w jaki sposób udało mu się tak szybko wrócić. Niektórzy podejrzewali ojca Espinę, natomiast Fèlix zrzucił winę na Marçala.

W każdym razie pan Pacià już od drzwi oznajmił, że zakazuje organizowania wszelkich koncertów, i poprosił żonę do swojego gabinetu. Po pewnym czasie pani Consol wyszła stamtąd cała rozedrgana i ze zbolalym spojrzeniem. Tego dnia zamknęła się w swoim pokoju i nie opuszczała go nawet w porze posiłków.

– Àgato, nie mogę niczego przełknąć. Nie rozumiesz, że noszę w sobie ciężar, który wypełnia cały żołądek? – mówiła do służącej.

Wychodziła tylko nocami i spacerowała po korytarzach.

Marianna chowała głowę pod kołdrę, żeby nie słyszeć jej kroków, szelestu ciągnącego się po podłodze trenu sukni i odgłosu paznokci drapiących ściany. Każdej nocy powtarzało się to samo – tupanie po schodach i wołanie:

– Gdzie jesteś, Heleno? Dlaczego uciekłaś?

Pani Consol zawodziła z ostatniego piętra, na którym – jak odkryła Marianna – był kiedyś pokój jej córki.

Pewnego ranka wczesną jesienią pan Pacià odwiedził żonę w jej pokoju. Od jego krzyków drżały trzysta pięćdziesiąt cztery kryształki zyrandola.

– Uspokój się albo cię zamknę w domu wariatów!

Rozległy się dźwięk rozbijającego się szkła, uderzenia, krzyki i jęki, aż do chwili gdy Àgata weszła do pokoju.

Pani Consol siedziała okrakiem na mężu i z całych sił próbowała go udusić. Àgata złapała ją od tyłu i odciągnęła na bok. Pan Pacià z czerwoną twarzą, kaszląc i dysząc, wstał z podłogi i wymierzył palec w panią Consol.

– Pożałujesz tego, więdźmo! Nie wyjdiesz z tego cało!

Następnego dnia Àgata obudziła swoją panią wczesnym rankiem. Pomogła jej się ubrać, unikając wszelkich pytań, ale w duchu powtarzała: „Bóg jeszcze cię z tego rozliczy! Bóg takich uczynków nie przebacza!”.

Kiedy pani Consol schodziła po schodach, wszyscy służący wyszli przed drzwi, żeby po raz ostatni popatrzeć na swoją panią. Marianna, Fèlix i Marçal stali na dole ze spuszczoneymi głowami.

Pani Consol zatrzymała się naprzeciwko Marianny, uniosła czarną woalkę, pogłaskała dziewczynę po policzku i uśmiechnęła się do niej, jakby nagle coś zrozumiała.

– Znam cię... Jesteś małą Marianną.

Dziewczyna pokiwała głową i przełknęła łzy.

Pani Consol pocałowała ją w czoło i pierwszy raz od dłuższego czasu obdarzyła ją spokojnym spojrzeniem.

– Ależ jesteś do niej podobna.

Marianna ośmieliła się zapytać szeptem:

– Do kogo, proszę pani?

Kobieta znów zakryła twarz woalką.

– Nie da się poznać wszystkich tajemnic jednej rodziny, Marianno, i nawet nie warto.

Pan Pacià i mężczyzna o sinych ustach i wystających kościach policzkowych rozmawiali szeptem, stojąc pod kryształowym żyrandolem w holu.

Mężczyzna zbliżył się do pani Consol.

– Proszę się nie martwić, zaopiekujemy się panią. – Po czym zwrócił się do pana Lledó: – Jeśli chce pan pożegnać się z żoną...

Panu Pacià zabrakło słów i ochoty, żeby nawet na nią spojrzeć. Czuł jednak na sobie wzrok służących i wiedział, że musi to zrobić. Wykrzywił usta w fałszywym uśmiechu i podszedł do żony. Pani Consol szybkim ruchem złapała go za rękę i przyciągnęła do siebie.

– Możesz wyrzucić mnie z domu, zamknąć w mrocznej norze, ale nigdy nie uwolnisz się od winy. Będzie ci ciężko aż do śmierci! Ponieważ przeklinam cię, Pacià Lledó Compte, za wszystko, co mi zrobiłeś, mnie i tej rodzinie. Nie będziesz miał w życiu nawet chwili spokoju. Ten dom będzie jedynie świadkiem nieszczęść!

Pani Consol plunęła mężowi w twarz.

W gabinecie huknęło okno i szyba rozbiła się na drobne kawałki, które jak wystrzelone z procy wbiły się w okładki książek, fotel i drzwiczki barku. Jeden najśmielszy odłamek skaleczył uśmiech pana Pacià na portrecie wiszącym nad kominkiem.

Bam!

Udało im się zdobyć więcej materaców dla rannych. Było ich już dwudziestu jeden. Nie licząc zmarłych. Na jednym z łóżek – trochę odsuniętym od pozostałych – Marianna starała się powstrzymać krwotok u Amàlii. Wyjmując kulę z jej ramienia, przecięła żyłę i teraz nie mogła zatamować krwi. Amàlia

nawet nie jęknęła ani nie zemdląła, tylko dzielnie zagryzała chusteczkę. „Wyjdę z tego, a skoro dożyłam tej chwili, Benecie, uda mi się ciebie pomścić!”.

Marianna skończyła ją opatrywać i położyła rękę na jej czole. Miała gorączkę.

– Zrobiłaś już dużo. Teraz musisz odpocząć.

Amàlia złapała się za postrzelone ramię obwiązane przesiąkniętym krwią bandażem i próbowała wstać.

– Co ty możesz o tym wiedzieć?!

Zatoczyła się, ale Marianna ją podtrzymała i pomogła znów się położyć.

– Nigdzie nie pójdziesz. Rana się nie zasklepi, jeśli będziesz się ruszała. Może wdać się infekcja i stracisz rękę.

– Jeśli tak, to amputuj ją od razu, ale pozwól mi wrócić na barykady.

Marianna westchnęła, wytarła zakrwawioną rękę w ścierkę przyczepioną do spódnicy i usiadła przy rannej.

– Amàlio...

Kobieta wyprostowała się z dumą.

– Marianno.

Odkąd Marianna opuściła Casa Lledó i schroniła się w jej domu, razem z mistrzem, uciekając przed pożarem i tyloma nieszczęściami, Amàlia nigdy nie zwróciła się do niej po imieniu.

– Spójrz na siebie, Amàlio. Od niemal czterech dni śpisz nie więcej niż po dwie godziny, z bronią w ręku i za barykadą z mężczyznami.

Amàlia wyrzuciła z siebie ból, który czuła w ramieniu:

– Uważasz, że jako kobieta mam mniej odwagi? Moja rodzina była biedna i zawsze musiałam sobie radzić sama. Może tam, skąd ty pochodzisz, jest inaczej, ale w prawdziwym świecie, w którym pracuje się w pocie czoła, kobieta i mężczyzna są sobie równi.

– Skoro tak jest, to dlaczego w fabryce kobiety dostają niższe wynagrodzenie?

– Ponieważ przekłęci właściciele, których doskonale znasz, są skąpi. To chciwe szczury! Dlatego powinniśmy pokazać, na co nas stać! – Amàlia znów się podniosła. Jęcząc i kulejąc, podeszła do krzesła stojącego naprzeciwko łóżka i na nim usiadła. Spojrzała na Mariannę. – Ty jesteś mimozą, która chciałaby być kochana, a my walczymy o życie! Rozumiesz?

Marianna wbiła wzrok w rękę i ścierkę. Wiedziała, że Amàlia zawsze nią gardziła.

Nagle kopnęła w nogę łóżka.

– Do diaska, Amàlio, przestań się wreszcie na mnie złościć! Powiedz mi, co ja ci takiego zrobiłam? Czy to grzech, że wychowałam się w bogatej rodzinie?

– Chcesz się stać kim innym, niż jesteś! To właśnie robisz!

Marianna przyjrzała się kobiecie.

– Słucham? A co ty o mnie wiesz? Nic, i nie masz prawa mnie osądzać. Co twoim zdaniem robię w takim razie tutaj, otoczona przelaną w walce krwią



i cierpieniem? Myślisz, że zostałam tu wbrew swojej woli? Gdybym tego nie chciała?

Amàlia uśmiechnęła się z kpiną.

– A gdzie miałybyś pójść?

Marianna zacisnęła zęby.

– Może miałabym gdzie, ale postanowiłam zostać tutaj.

– Nie ma takiej potrzeby. Poradzimy sobie bez ciebie. Możesz wrócić do swojego życia wśród kwiatów i wstążek. Wciąż nie rozumiem, dlaczego od tego uciekaś. Zostaw nas w spokoju. – Amàlia wbiła w nią nienawistny wzrok. – Twoje współczucie robi więcej szkody niż wszystkie bomby razem wzięte.

Marianna poczuła bolesne ukłucie w sercu, wrzuciła ścierkę do wiadra pełnego wody zmieszanej z krwią, odwróciła się i wyszła.

Bam!

Tego dnia pan Pacià obudził się z bólem głowy od myśli o plotkach, które zaszumiały mu w uszach: „Co za wstyd! Marianna wyjdzie za mąż za młodszego wnuka, mimo że starszy jest jeszcze kawalerem. Wygląda na to, że już się zaręczyli. Zawsze powtarzałem, że tę dziewczynę trzeba krótko trzymać. Biedny pan Pacià, jest już za stary na takie rzeczy”.

Ubrał się z pomocą służącego i przejrzał się w lustrze: najpierw z przodu, potem z profilu, a na końcu wciągnął brzuch. Wyprostował się i uniósł dumnie głowę. Nie ma co wylegiwać się w łóżku, kiedy w grę wchodzi honor rodziny.

Pan Pacià w ciągu ostatnich dwóch lat stał się zgorzkniały. Pani Consol zmarła na krótko po tym, jak zamknął ją w sanatorium. Cierpiał na podagrę i z powodu częstego bólu nie opuszczał swojego pokoju. Złośliwi twierdzili, że zatruwało go przekleństwo żony.

Pan Pacià schodził po schodach, kulejąc i podpierając się laską o złotej rączce w kształcie lwiej głowy. Słysząc było niesynchroniczne tykanie zegarów: ten w gabinecie robił tik, kiedy zegar w pokoju muzycznym wydawał z siebie tak. Pan Lledó domyślił się, że ten drugi zegar się spieszy. Otworzył drzwiczki, zatrzymał wahadło i puścił po chwili, żeby zgadzało się z tykaniem zegara z gabinetu. Westchnął i pomyślał: „Ukróć to rozpasanie, nawet jeśli będzie to ostatnia rzecz, którą zrobię w tym domu”.

Poszedł do jadalni, w której wszyscy na niego czekali. Usiadł u szczytu stołu, po którego bokach siedzieli już Marçal i Marianna. Za Marçałem, w pewnej odległości od dziadka, usadowił się Fèlix.

Przez otwarte okna do pomieszczenia wpadał zapach lipy. Zanim zdążyli odmówić modlitwę, pan Pacià wybuchnął:

– Nie spodziewałem się tego po tobie, Marianno! Po Fèliksie, owszem, wszystkiego, ale nie po tobie.

Marianna odsunęła szklankę z wodą od ust.

– Czym tak pana zdenerwowałam?

Pan Pacià uniósł oskarżycielsko palec.

– Nie zatańczyłaś ani jednego walca, ani jednej polki z Marçałem, z synem

państwa Bonavistów czy z żadnym innym konkurentem. Chociażby ze zwykłej uprzejmości! Tylko z Fèliksem. Kto to widział? Tyle zmarnowanego wysiłku i pieniędzy. Naprawdę tego się po tobie nie spodziewałem!

Marianna oparła się na krześle.

Fèlix otarł usta serwetką.

– Ależ, dziadku...

– Dla ciebie pan Lledó, smarkaczu! Należy mi się szacunek, bo ja tutaj rządę i jeśli tylko zechcę, wyrzucę cię na ulicę!

Zapadła cisza. Stojąca w kącie Àgata dała znak służącym, żeby wyszli.

Pan Lledó opuścił głowę, wziął łyżkę i zjadł trochę kremu ze szparagów.

– W tym domu robi się to, co ja powiem, ale odnoszę wrażenie, że to nie jest dla wszystkich jasne! Koniec z tym!

Marçal ze źle skrywanym uśmiechem na ustach smarował masłem kromkę chleba.

Fèlix siedział z pochyloną głową, nawet nie tknąwszy jedzenia.

Pan Pacià zwrócił się do Marianny:

– Od dziecka się tobą opiekowałem. Zapewniłem ci wykształcenie. A ty odpłacasz mi się w ten sposób? Jesteś niewdzięcznicą.

Fèlix odłożył serwetkę na stół.

– Ależ, dziadku, przecież ona tylko tańczyła. Czy to coś złego?

– Milcz, głupcze. Już dwa lata temu powinienem był cię wyrzucić z domu, kiedy załatwiłem ci pracę! Nawiasem mówiąc, nie zauważyłem, żebyś poczynił jakieś postępy, ponieważ wciąż tkwisz w tym samym miejscu jako praktykant!

– Ponieważ wolałbym... – Fèlix się zawahał. – Lepiej odnalazłbym się w zarządzaniu interesami niż jako urzędnik.

– Masz w takim razie pecha! A jeśli nie będziesz uważał na słowa, nawet to możesz stracić, ponieważ daję pracę tylko tym, którzy na nią zasługują. A odkąd byłeś małym chłopcem, pokazujesz i udowadniasz, że na nią nie zasługujesz.

Fèlix zacisnął pięści.

– Dobrze więc, niech dziadek robi ze mną, co zechce, ale Mariannę zostawi w spokoju. To nie jej wina, tylko moja...

– Wiem, że Marianna niczemu nie zawiniła, ale panny w jej wieku popełniają głupstwa. Myślisz, że jestem głupi i że skoro jestem już stary i chodzę o lasce, nie mam pojęcia o tych sprawach? Dlatego też, zanim Marianna popełni jakieś głupstwo i splami nazwisko, które jej nadaliśmy, chociaż jej się nie należy, postanowiłem, że powinna wyjść za mąż.

Marçal wyprostował się na krześle. Wypadła mu z rąk kromka chleba i wylądowała na talerzu.

Marianna szeroko otworzyła oczy.

– Ale, panie Pacià...

– Żadne ale. Im szybciej, tym lepiej. Małżeństwo uspokaja młode serca. Po ślubie głupoty wylecą ci z głowy. Może wtedy wszyscy mi podziękujecie za to,

co dla was zrobiłem.

Marianna poczuła w żołądku mrowienie, które przemieściło się do piersi. Przeczucie czegoś nieuchronnego wyssało powietrze z jej płuc.

– Nie mam jeszcze przecież żadnego poważnego kandydata!

– Masz, i uważam, że to będzie najlepszy wybór.

Fèlix zerwał się z krzesła.

– Dziadku, proszę...

Pan Pacià ruchem ręki kazał mu usiąść.

– To rozwiązanie spodoba się nam wszystkim, ponieważ problem pozostanie w rodzinie.

Przez chwilę rozkoszował się władzą, która wymuszała milczenie. Wstał powoli, podszedł do Marianny i położył rękę na jej ramieniu.

– Wiesz przecież, że chcę dla ciebie jak najlepiej, nawet jeśli na to nie zasługujesz. To oznacza męża, który będzie cię chronił i zapewniał ci bezpieczeństwo. Jesteś wystarczająco ładna i mądra, aby dobrze zarządzać domem, posłuszna i wyrozumiała, żeby każdy mężczyzna czuł się przy tobie komfortowo. Masz podstawowe cechy dobrej żony. Twoja dotychczasowa namiętność nie jest dla ciebie odpowiednia, dlatego musimy ją zdusić w zarodku. Potrzebujesz mężczyzny równie rozsądnego, poważnego i pracowitego jak ty, który zapewni ci wszystkie wygody odpowiednie dla klasy społecznej, do której cię tak wielkodusznie przyjęliśmy. A co najważniejsze – Pan Pacià wskazał na niebo – mężczyzny, który nigdy nie wypomni ci twojego pochodzenia.

– Dziadku, ja... – Fèlix odezwał się niemal szeptem.

– Milcz i po raz pierwszy zachowaj się jak prawdziwy mężczyzna!

Marianna i Fèlix spojrzeli na siebie przerażeni. Dziewczyna próbowała powstrzymać łzy.

Pan Pacià się wyprostował.

– Zdecydowałem, droga Marianno, że wyjdiesz za Marçala.

Dziewczyna przeniosła wzrok z Fèliksa na jego starszego brata, a po policzku spłynęła jej łza. Marçalowi uśmiech znikł z ust.

Fèlix rzucił się na brata tak gwałtownie, że ten spadł z krzesła.

– Wiedziałem, wiedziałem! Ty draniu, zawsze chciałeś mi wbić nóż w plecy!

Zaczęli się szarpać na podłodze. Fèlix złapał Marçala za kołnierzyk koszuli, a ten zasłonił mu twarz rękami.

Zaskoczony pan Pacià zastukał laską w podłogę.

– Przestań, Fèliksie!

Chłopak go nie słuchał.

– O co ci chodzi? Nie potrafisz stanąć ze mną twarzą w twarz? Nie wystarczy ci fabryka i cały rodzinny majątek? Musisz też mieć Mariannę?

Pan Pacià uderzał laską w podłogę z taką siłą, że mimo starań Àgaty usłyszeli go służący z piętra niżej.

– Fèliksie, powiedziałem dość!

Kiedy Marçal odepchnął brata w stronę stołu, ten zawołał:

– On jej nie kocha tak jak ja, dziadku. Proszę, pozwól nam się pobrać. My się kochamy.

Pan Lledó wybuchnął gromkim śmiechem.

– Kochacie się? Bzdura! Co to wszystko ma wspólnego z miłością? Poza tym nie masz majątku ani zawodu i żebrzesz u innych o pieniądze. Myślisz, że o tym nie wiem? Zbyt dużo czasu spędzasz w salonach gry i z tego powodu nie dostałeś awansu! Sądziłeś, że się o tym nie dowiem, łajdaku?

– Nie dał mi dziadek innego wyboru. Wynagrodzenie praktykanta jest mizernie!

Chociaż pan Pacià skurczył się w ostatnich latach, Fèlix wciąż wyglądał przy nim jak chuchro.

– Posłuchaj mnie uważnie. Musisz zrozumieć, że w życiu podobnie jak w grze, którą znasz doskonale, są zwycięzcy i przegrani. Ty należysz do tych drugich. Ślub z Marianną oznaczałby upadek twój i całej rodziny Lledó. Wiesz o tym doskonale. Chociaż raz w życiu nie bądź egoistą, chłopcze. Usiądź z powrotem i przyznaj, że to jest najlepsze wyjście dla nas wszystkich.

Marianna słuchała tych słów, jakby nie dotyczyły jej, tylko bohaterki jakiejś książki. Fèlix zebrał się na odwagę, obszedł pana Pacià i ujął dłoń dziewczyny.

– A ty, co o tym sądzisz, Marianno? Zgadzasz się?

Dziewczyna czuła tylko zapierający ból w klatce piersiowej. Fèlix potrząsnął nią lekko.

– Marianno, odpowiedz! Czy zawsze chcesz robić to, co ci każą? Co będzie z tymi wszystkimi obietnicami, które sobie złożyliśmy?

Pan Pacià zerwał się z krzesła.

– Jakimi obietnicami?

Fèlix wbił w niego wzrok.

– Obietnicami miłości. Dziadek nie ma pojęcia, że takie istnieją!

Odwrócił się do Marianny, uklęknął przed nią i przycisnął jej dłoń do swojego policzka.

– Zawsze będę twój, a ty zawsze będziesz moja, Marianno. Czy wyjdiesz za mnie?

Zaskoczona uniosła brwi i uśmiechnęła się drżącymi ustami. Potem spojrzała na pana Pacià, który przyglądał im się oniemiały, nie wiedząc, jak zareagować.

Tymczasem Marçal wstał i podbiegł do dziewczyny.

– Marianna już jest zaręczona. Dziadek ogłosił to przed chwilą. Zostaw ją, przestań sprawiać jej ból. Przecież nie mógłbyś nawet jej utrzymać!

Fèlix zignorował słowa brata i patrzył na Mariannę swoimi jasnymi oczami o ołowianym odcieniu, którego wcześniej nie dostrzegła.

– Marianno, proszę.

Marçal zauważył zgodę w jej modrym spojrzeniu.

– Dziadku! – krzyknął.

Pan Pacià ocknął się z głębokiego osłupienia, uderzył laską o podłogę i odepchnął Fèliksa od Marianny.

– Co to za cyrk? Zabraniam ci udzielenia odpowiedzi, Marianno! Została przyrzeczona Marçalowi. Koniec tematu.

Dziewczyna patrzyła przerażona na pana Pacià.

– Pożałujesz tego, Marianno – wysyczał Fèlix.

Łzy spływały po jej policzkach, gdy wyszeptała:

– Proszę, Fèliksie, proszę cię...

Pan Lledó popchnął wnuka w stronę drzwi pomarszczoną ze starości, chociaż wciąż pewną ręką, którą rządził przez tyle lat.

– Niczego nie pożałuje! Nie ma już pani Consol, która by cię ochroniła, ty rozpuszczony smarkaczu, więc wynoś się z tego domu! Już dość zła tutaj wyrządziłeś! Marçal i Marianna pobiorą się za dwa miesiące, czy ci się to podoba, czy nie.

Fèlix, który nie spuszczał wzroku z Marianny, odwrócił się nagle i wyszedł z jadalni. Przez chwilę słychać było odgłos oddalających się kroków, a potem trzaśnięcie drzwi i brzdęk trzystu pięćdziesięciu czterech kryształków żyrandola, które przypominały słowa pani Consol: „Ten dom będzie jedynie świadkiem nieszczęść!”.

Bam!

Dzwony wciąż dzwoniły. Nikt już nie pamiętał, kiedy uderzono w nie po raz pierwszy, i nie wiedział, kiedy umilkną.

Bam!

Magí podniósł swój garłacz. Lało jak z cebra, krople deszczu spadały z łoskotem na ziemię, drzewa, głowy powstańców i ich broń. Chłopak, ukryty za barykadą, schronił się między starym materacem a pniem drzewa wyciętego z ulicy Major. Zastanawiał się, czy pociski mogłyby przeszyć siennik, i skulił się jeszcze bardziej. Przez dziurę niczym otwór strzelniczy obserwował ruchy wojska. Opuścił broń, deszcz spływał po jego czole, zamazując pole widzenia. Może Miquelet miał rację, mówiąc: „Widać na pierwszy rzut oka, że nie masz odwagi, żeby strzelać, Magí!”?

Bomby wciąż spadały, lecz daleko od barykad: na dzwonnice, miasteczko, domy. Magí nie lubił okrucieństwa, jednak wstyd mu było przyznać, że wolałby się poddać, a wręcz zginąć, niż beczynnie czekać pośród zapachu krwi, prochu i wilgoci.

Znów ustawił broń i wycelował.

Podszedł do niego Jonàs i pokazał na rewolwer.

– Nie dosięgniesz ich tym garłaczem, durniu! Nie widzisz, że są za daleko? Jeśli chcesz, pożyczę ci rewolwer. Wypróbuj go.

Magí pokręcił głową.

Jonàs jednym szarpnięciem wydarł mu garłacz i wcisnął do ręki rewolwer.

– Dalej! Kiedyś musi być ten pierwszy raz! Jeśli nie potrafisz się bronić, zjedzą cię żywcem.

– To niech zjedzą. Przynajmniej umrę z czystym sumieniem.

– Nie opowiadaj bzdur! Bierz go, no już!

Magí ważył w rękę rewolwer, był lekki.

Jonàs się uśmiechnął.

– Jest naładowany. Dalej, wyceluj.

Magí otarł rękawem krople deszczu spływające po nosie i przysunął się do dziury w materacu. Włożył w nią lufę rewolweru, który trzymał oburącz. Dostrzegł przed sobą dwóch uzbrojonych w karabiny mężczyzn chowających się za drzewem. Jeden z nich wysunął się zza pnia. Chłopak miał wrażenie, że na niego patrzy. Nie widział jego oczu, ale wyobraził sobie, że są tak samo przestraszone jak jego. Serce mu waliło jak szalone. Żołnierz wysunął się jeszcze bardziej i wycelował karabinem w stronę innej barykady na ulicy Major. Magí wiedział, że jeśli strzeli, kula najpewniej go dosięgnie. Wycelował jednak w gałęzie drzewa, kilka metrów nad głową mężczyzny.

Odwrócił się, opuścił rewolwer i głowę.

– Spudłowałem. Są za daleko.

Jonàs zabrał mu broń i odepchnął na bok.

– Oni są nikim, bracie! Nie możesz patrzeć na nich jak na ludzi! Atakują nas, niszczą nasze miasto, nie pozwalają nam żyć! To oni zabili nam ojca!

Jonàs ukucnął i oddał głuchy strzał. Poczuli ostry zapach prochu i usłyszeli krótki krzyk w odpowiedzi. Magí uniósł wzrok i zobaczył, że żołnierz leżał na ziemi, a jego ciało zalewały strugi deszczu.

Zza barykady usłyszeli rozkaz:

– Strzelać! Strzelać!

Kule leciały ze świstem we wszystkie strony, wbijały się w pnie drzew i materace, jednak ich nie przesywając. Magí wolał się nie upewniać co do tego na własnej skórze, więc przywarł brzuchem do ziemi i zakrył głowę.

Jonàs patrzył na niego i myślał, że tchórzliwy mężczyzna to przykry widok.

Bam!

– Zaczekaj, Fèliksie!

Marianna wybiegła z jadalni, pozostawiając w niej Marçala ze zranionym sercem i pana Pacià rzucającego obelgi dotyczące niewdzięczności młodych.

Przebiegła pod rozkołysanymi trzystoma pięćdziesięcioma czterema kryształkami żyrandola i otworzyła drzwi wejściowe. Fèlix stanął na chwilę na ścieżce otoczonej eukaliptusami.

– Zaczekaj, Fèliksie – powtórzyła.

Chłopak nie odwrócił się i poszedł wzdłuż porośniętej bluszczem ściany domu.

– Zostaw mnie w spokoju! Przecież dokonałaś już wyboru. Pozwól mi żyć moim życiem.

Fèlix zniknął za rogiem i wszedł do ogrodu.

Marianna zbiegła marmurowymi schodami, unosząc nieznacznie suknię.

– Nie mów tak. Zaczekaj!

Chłopak przyspieszył kroku.

– Odejdź! Zostaw mnie w spokoju!

Marianna podbiegła i złapała go za rękaw. On ją odepchnął z taką siłą, że dziewczyna niemal się przewróciła.

– Czego ode mnie chcesz?

Marianna wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. Nigdy nie widziała Fèliksa tak wściekłego, a tym bardziej na nią. Cofnęła się kilka kroków.

– Ja...

Fèlix odgarnął włosy, które opadły mu na twarz.

– Co... ty?

Marianna zrobiła jeszcze jeden krok w tył.

– Ja nie chciałam...

– Na tym właśnie polega twój problem, Marianno: ty nigdy niczego nie chcesz! Kiedy w końcu zdecydujesz, czego pragniesz od życia? Jesteś tylko marionetką w rękach dziadka. A teraz pozwalasz, żeby zniszczył nasze szczęście!

Marianna poczuła, że się dusi. Każde jego słowo było jak uderzenie w twarz.

Fèlix dalej mówił z wściekłością:

– Teraz już wiem, że nie jesteś Lledó i nigdy się nią nie staniesz! Prawdziwa Lledó postawiłaby się każdemu, a tym bardziej dziadkowi.

Fèlix zdawał sobie sprawę, że głęboko ją zranił, i chociaż na nią nie patrzył, domyślał się, że cała drży. Odwrócił się do niej.

– Nie rozumiesz tego, że oni nie kochają cię tak jak ja.

Marianna usiadła ciężko na ziemi.

– Co mogę zrobić? Jestem nikim!

– To zależy tylko od ciebie!

Dziewczyna wzięła głęboki oddech i uniosła wzrok ku niebu. „Kiedy patrzysz w niebo, z oczu nie spływają łzy”.

Fèlix pochylił się nad nią.

– Nic dla ciebie nie znaczy to wszystko, co razem przeżyliśmy? Co sobie obiecaliśmy?

Podał jej rękę, żeby pomóc jej wstać, i z czułością poprowadził w stronę lipy.

– To, co wyryłem na tym pniu, nic dla ciebie nie znaczy?

Marianna wbiła w niego swoje modre oczy.

– Oczywiście, nic się nie zmieniło, Fèliksie. Kocham cię.

– O co więc chodzi? Masz zamiar oddać się temu draniowi Marçalowi na całe życie?

Marianna odwróciła się w stronę domu i zauważyła cień w oknie biblioteki.

Fèlix wziął ją za rękę.

– Spójrz na mnie, Marianno!

Dziewczyna utopiła się w jego spojrzeniu.

Fèlix ujął jej drugą dłoń.

– Jeśli kiedykolwiek zależało ci na swoim życiu i zależało ci na mnie, nie pozwól, żeby dziadek nas rozłączył.

Marianna poczuła delikatny dotyk dłoni Fèliksa oraz mieszankę cedru i cygar, którą pachniał.

– Co możemy zrobić?

Chłopak pogłaskał ją po policzku i przyciągnął do siebie tak samo jak tamtej letniej nocy w świetle lampionów migoczących niczym gwiazdy.

– Ucieknijmy – wyszeptał.

Marianna patrzyła na jego usta, które wypowiadały te magiczne słowa.

– Uciec z tobą?

Fèlix przytaknął.

– Moglibyśmy pojechać do Anglii, do Londynu. Tam jest bardzo dużo pracy. Może nie będziesz miała tam takiego życia jak tutaj. Ale...

– Och, Fèliksie, nie zależy mi na tym. Kocham cię!

Uśmiechnął się.

– Czy to znaczy, że się zgadzasz?

Marianna znów odwróciła głowę w stronę Casa Lledó.

– Nie, Marianno. Jeśli zdecydujesz się ze mną uciec, nie będzie powrotu. Będziesz musiała zapomnieć o tym domu i wszystkim, co w nim do tej pory przeżyłaś. – Fèlix zbliżył do niej twarz i pocałował ją czule w usta. – Ale za to będziemy razem.

Marianna przymknęła oczy. Teraz nic nie miało dla niej znaczenia. Czuła tylko oddech Fèliksa, który całował ją w oczy i czoło.

– Zaopiekuję się tobą, Marianno. Obiecuję ci, że się tobą zaopiekuję. Będziesz miała wszystko, czego potrzebujesz.

Marianna przegoniła strach i odpowiedziała:

– Dobrze. Ucieknę z tobą.

Kiedy Fèlix ją objął, wiedziała, że jej serce należy tylko do niego.

Bam! Bam!

Zegar pana Pacià wybił drugą nad ranem. Niebo wciąż zakrywały deszczowe chmury. Jak oczy Marianny, kiedy powiedziała Fèliksowi, że to nie jej przebaczenia potrzebuje.

Fèlix zabijał czas, czytając niewidzącym wzrokiem list, w którym Manuel Figuerola poinformował go o bieżącej sytuacji dotyczącej losowania rekrutów. Litery rozmazywały mu się przed oczami, a jego myśli krążyły wokół Marianny.

Ktoś zapukał do drzwi gabinetu. Fèlix z trudem wyteżył wzrok.

– Kto tam?

Drzwi się otworzyły. Calabuig zdjął beret i ostrożnie wsunął głowę przez szparę.

– Spełniłem to, o co mnie pan prosił w wiadomości, którą dostałem od pana wczoraj po południu.

Fèlix pokiwał głową.

– I co?



– Powstańcy wciąż stawiają silny opór, a Marianna nadal żyje.  
Mężczyzna ścisnął w dłoniach берет.

Fèlix westchnął i odchylił się na oparcie krzesła.

– A jak się ma nasz drogi przyjaciel Gaminde?  
– Jest przekonany o swoich racjach, ale nie dostał wystarczającego wsparcia.  
Sądzi mylnie, że w Gràcii powstańcy zebrali sporą armię.

– Armie? Godne pożałowania.  
– To przez te dzwony. Wydaje się, że biją na wojnę.  
Fèlix podszedł do okna, które wyglądało, jakby płakało deszczem.

– To oznacza, że nasz drogi kapitan generalny księstwa Katalonii się boi.  
Albo jest żądny władzy. Wkrótce się tego dowiemy. A co z fabryką?  
– Na razie budynek nie ucierpiał. Kapitan dotrzymał danego słowa, chociaż jutro zostanie opublikowane obwieszczenie nakazujące ponowne otwarcie fabryk i kontrolę robotników.

Fèlix odwrócił się gwałtownie.

– Co? Chce, żebyśmy stali się policjantami?  
– Zgadza się.  
– Zaczynam tracić cierpliwość do tego Gaminde.  
– Ale cieszy się szacunkiem żołnierzy...  
– Żołnierze, żołnierze! To zwykli najemnicy, którzy za pieniądze zrobią wszystko! Wczoraj walczyli za królową, dzisiaj za liberałów, a kto wie, dla kogo jutro złapią za broń!

Zaczął czytać list od Manuela Figueroli.

– A co z losowaniem? Figuerola napisał, że już się odbyło.  
– Tak, wszyscy rekruci zostali wybrani.

Fèlix oparł łokcie o stół.

– Banda tępaków! To prowokacja! Przecież mieli stłumić bunt. Niech przestaną marnować czas, mamić nas i lud, bo to się robi niebezpieczne. – Fèlix próbował nad sobą zapanować. – Czy ktoś na to odpowiedział?

Calabuig zrobił krok do przodu. Nie lubił martwić swojego chlebodawcy.

– Jeszcze nie, proszę pana, ale jutro obwieszczenie zostanie opublikowane w „Crónica de Cataluña”.

– I kapitan generalny chce, żebyśmy otworzyli fabrykę?

Fèlix podszedł do kominka – wygaszonego o tej porze – i próbował sobie przypomnieć, z jakich powodów pomógł temu tępemu lisowi.

– A co z tą drugą sprawą, którą ci zleciłem? – wymamrotał, ukrywając niepokój.

Calabuig westchnął głęboko.

– Marianna nie opuszcza budynku, bo zajmuje się rannymi. – Najemnik odchrząknął. – Aaa, nie... nie wyszła ponownie za mąż i nie ma dzieci.

Fèlix poczuł jednocześnie satysfakcję i panikę. Podszedł do Calabuiga.

– Dobrze. W takim razie powiem ci, co masz robić. Słuchaj uważnie, bo tym razem nie chcę żadnych nieporozumień.

Calabuig przytaknął i włożył rękę do kieszeni w poszukiwaniu monety, symbolu ich znajomości.

– Chcę, żebyś przedłużył bunt. Rozpuść pogłoski, że w Gràcii zebrało się wielu powstańców... Rób, co chcesz, byle tylko wojsko jeszcze nie wkroczyło do miasta.

– A fabryka?

– Nie obchodzi mnie fabryka! Powiedziałeś mi, że żołnierze są chętni do walki, więc ich atak będzie bezlitosny. Nie możemy sobie na to pozwolić. – Przełknął ślinę. – Ja nie mogę sobie na to pozwolić.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, ale nie będę w stanie ich powstrzymać dłużej niż dwa dni.

– Tyle mi wystarczy.

– Czy mogę zapytać, po co to panu?

– Żebyś mógł wypełnić drugą część zadania: przedostać się do Gràcii i sprowadzić tutaj Mariannę żywą i tym razem bez jednego zadraśnięcia.

– Słucham?

– Słyszałeś, co powiedziałem.

– Ona przecież wciąż może zażądać swojego dziedzictwa! Straci pan wszystko!

– Nie, wszystko odzyskam.

– Według notariusza ona...

– Wiem o tym i jest mi wszystko jedno! Poza tym nie mam zamiaru z tobą dyskutować o tych sprawach. Wypełniaj moje polecenia, a wszystko dobrze się skończy. Zrozumiałeś?

Calabuig przestał obracać monetę, wyjął rękę z kieszeni i mruknął pod nosem, że na tym świecie żyją sami niewdzięcznicy.

– Mówiłeś coś, Calabuigu?

– Nie, proszę pana.

Fèlix podszedł do niego.

– Zawsze byłeś mi oddany. Proszę cię jedynie, żebyś wypełnił to ostatnie zadanie, a potem, jeśli zechcesz, hojnie cię wynagrodzę i będziesz mógł odejść.

Najemnik cofnął się o krok.

– Odejść? Dokąd?

– Dokąd zechcesz.

– Nie zamierzam nigdzie odchodzić.

– Sądziłem, że pragniesz wrócić do Anglii.

– Nie, nie byłem tam od dawna. Odkąd pana poznałem. Chciałbym zostać tutaj. – „Z panem” przemilczał. – Czy źle panu służyłem?

– Ależ nie, zawsze byłeś mi wierny.

– Może nie spełniałem wszystkich pana rozkazów?

– Przecież ci za to płaciłem.

– Pieniądze? Nie potrzebuję pieniędzy!

– Czego więc chcesz?

Fèlix spojrział na niego, ale mężczyzna unikał jego wzroku.

– Niczego.

Fèlix westchnął.

– Jeszcze do tego wrócimy, ale na razie przyprowadź Mariannę całą i zdrową.

Najemnik miętosił w rękach берет. Fèlix mu go wyrwał.

– Calabuigu...

Mężczyzna uniósł głowę z nadzieją w oczach.

– Tak?

Fèlix oddał mu берет.

– Ani jednego zadraśnięcia.

Calabuig zacisnął zęby, ukłonił się teatralnie i zamknął pospiesznie za sobą drzwi, żeby nie wybuchnąć krzykiem albo, nie daj Boże, zacząć błagać na kolanach.

# Dzień piąty

Czwartek, 7 kwietnia 1870 roku

Drzewo nie opuszcza kwiatu, to kwiat opuszcza drzewo.

Aleksander Dumas<sup>4</sup>

## ROZPORZĄDZENIE

Wrogowie prawdziwej wolności, łącząc nikczemnie swoje siły, wykorzystując wszelkie istniejące środki, by naruszyć porządek publiczny kraju pozbawionego wsparcia materialnego i moralnego, by wciągnąć na maszt flagę, pod pretekstem buntu przeciw werbunkowi przez losowanie, z braku odwagi do walki wręcz bezkarnie zabijają z balkonów i dachów oficerów i żołnierzy, którzy zgodnie z rozkazem zebrali się w punktach zbornych. Ponieważ takie zachowanie jest niegodne cywilizowanych obywateli, a dopuszczane jedynie z powodu bierności i bezczynności obu stron, w celu przywrócenia porządku i rąk do pracy tak niezbędnych temu przemysłowemu miastu i regionowi, zarządzam, co następuje:

Art. 1. W ciągu sześciu godzin od ogłoszenia niniejszego rozporządzenia w każdej dzielnicy zostanie powołany komitet [...].

Art. 2. Członkowie owych komitetów bez zwłoki rozpoczną zbiórkę broni palnej, którą znajdą w domach w swojej dzielnicy. Są oni upoważnieni do przeprowadzenia rewizji i kontroli, jeśli uznają to za niezbędne [...].

Członkowie komitetów mają obowiązek aresztować i doprowadzić do mnie każdego, kto sprzeciwi się ich poleceniom [...].

Art. 3. Te same komitety w ramach swoich obowiązków będą czuwać nad utrzymaniem spokoju i porządku w swoich dzielnicach, wydając i aresztując każdego, kto według ich zdania sprawia trudności [...].

Art. 4. W ciągu czternastu godzin od ogłoszenia niniejszego rozporządzenia w dzielnicy, w której broń nie zostanie złożona i strzały nie ustaną [...], do danej dzielnicy bezwzględnie wkroczy wojsko.

Art. 5. Zalecam właścicielom fabryk, żeby ich nie zamykali, dając tym uczciwym i pracowitym robotnikom możliwość zarobku i utrzymania siebie i swoich rodzin. Od właścicieli fabryk bądź ich przedstawicieli oczekuję list pracowników, którzy nie stawiają się do pracy, bym mógł powziąć odpowiednie środki do utrzymania pokoju w mieście [...].

Eugenio de Gaminde kapitan generalny księstwa Katalonii

Barcelona, 7 kwietnia 1870 roku

Bam!

Dzień był mglisty, ale przynajmniej przestał padać deszcz. Pierwsze smugi światła przebijały się przez mrok.

Francisco Derch uważnie obserwował przeciwników po drugiej stronie barykady. Jeszcze było ciemno, ale kule już wbijały się w drewno i ściany. Rozejrzał się. Podczas swojego codziennego patrolu doliczył się stu mężczyzn, co oznaczało, że są gotowi.

– Powstańcy, zbliża się najważniejsza chwila. Wojsko szykuje się do natarcia. Nie możemy się teraz zawahać! Musimy udowodnić naszą odwagę i to, że nasz cel jest słuszny. Nie ugniemy się przed nikim!

Mężczyźni unieśli broń, a ich wiwaty słychać było na barykadach, ulicy Cervantesa i jeszcze dalej.

Francisco Derch zadzierał brodę.

– Jedna grupa za mną! Zaskoczmy ich, zanim przejdą do ataku. Lepiej zrobić to poza naszym terenem.

Jonàs, Miquelet de Can Trilla, Xicarró i trzech innych mężczyzn podeszli do niego pewnym krokiem. Magí patrzył uważnie na brata i w końcu stanął za nim, choć bez przekonania.

Bam!

Wyprostowany Francisco Derch prowadził ich do jednej z bram, w której się ukrywali.

– Doskonale. Teraz posłuchajcie! Wojsko jest coraz bliżej. Jeden oddział schronił się za rezydencją rodziny Vilaró. Chcą odwrócić naszą uwagę i stłumić powstanie, wysyłając jedną kompanię od ulicy Tuset, a drugą aleją Sant Miquel. Musimy ich powstrzymać. My zaczekamy tutaj, a waszym zadaniem jest zaatakować ich od frontu, zanim sami odważą się to zrobić.

Jonàs przytakiwał z entuzjazmem.

Francisco Derch zwrócił się do niego.

– To ty jesteś tym odważnym chłopakiem, prawda? Jonàsem, synem mistrza Fabry. Mianuję cię przywódcą tej wyprawy.

Jonàs wyprostował się i odwrócił w stronę pozostałych mężczyzn.

– Słyszeliście! Chodźmy! Nie traćmy czasu. Za mną! A ty Magí trzymaj się blisko mnie.

Magí potaknął i spoconymi dłońmi ścisnął mocniej garłacz.

Bam!

Fèlix wszedł do Casa Lledó, zataczając się. Marçal siedział na dolnych stopniach schodów wciąż odświętnie ubrany, ze starannie uczesanymi blond włosami z przedziałkiem, i na niego czekał.

– Nie zasługujesz na nią.

Fèlix zdjął kapelusz i odgarnął kręcone włosy. Próbował włożyć laskę do pojemnika z brązu, ale nie mógł trafić.

– Marçalu! Czekałeś na mnie? To miło z twojej strony. Jak było w teatrze?

– Gdzie byłeś?

– Nie twój interes.

– Może nie mój, ale Marianny. Widziałem was tamtego dnia w ogrodzie.

– Nikt ci jeszcze nie powiedział, żebyś przestał się wtrącać w cudze życie?

Marçal westchnął.

– Może tobie jest wszystko jedno, ale krążą plotki, które mogą zaszkodzić Mariannie... Tobie też. Dzisiaj w Liceu nie mówiło się o niczym innym, tylko o waszych tańcach na balu.

– Przestań się wreszcie o nią martwić. Wkrótce to całe gadanie się skończy.

– Oczywiście, że się skończy, kiedy się z nią ożenię!

Fèlix wybuchnął śmiechem, zdjął płaszcz i próbował bezskutecznie powiesić go na wieszaku. Nawet nie zauważył, że płaszcz upadł na podłogę.

– Ty? Nie rozśmieszaj mnie.

– W końcu zobaczę, jak opuszczasz ten dom.

– Nic z tego! To ja zamierzam się ożenić z Marianną! – Fèlix nie pozwolił, żeby brat odszedł usatysfakcjonowany.

Marçal rzucił się na niego i chwycił go za szyję.

Fèlix nie miał siły się bronić, więc tylko bełkotał:

– Zostaw mnie, zostaw mnie, draniu!

Marçal popchnął go na schody.

– Spójrz na siebie! Jesteś żalony.

Fèlix oparł się o barierkę, wstał, otrzepał spodnie i spojrzał bardziej przytomnym wzrokiem. Ruszył do pokoju muzycznego, w którym wciąż paliły się świece, i otworzył barek.

Marçal poszedł za nim.

– Dotarły mnie słuchy, że grywasz u Massensów, i jeśli się nie mylę, twój dług osiągnął już ponad tysiąc pięćset realów, nie licząc dzisiejszej przegranej!

– Widzę, że jesteś dobrze poinformowany.

– A ja widzę, że jesteś pijany.

Fèlix uśmiechnął się ironicznie, nalał do szklanki koniaku i opadł na aksamitną kanapę. Zauważył stojący przy fortepianie stolik do gry. Był nakryty zielonym sukniem, a pośrodku leżała talia kart. W kominku wciąż tlił się żar.

– Nie tylko ja grałem tej nocy w karty...

Marçal zbliżył się do niego i cmoknął z przekąsem.

– Nie mogłem przekonać Marianny, żeby poszła spać, a ja na ciebie czekałem, więc rozegraliśmy kilka partyjek. Martwiła się o ciebie.

Fèlix patrzył na szklankę, obracając ją w dłoni.

Marçal usiadł na krześle twarzą do brata.

– Uspokoilem ją i zapewniłem, że zachowałeś zdrowy rozsądek, chociaż na to nie wygląda.

Fèlix nadal obracał szklankę.

– Nie potrzebuję twojej pomocy.

Zakastał, jakby się zakrztusił, po czym opróżnił jednym haustem szklankę. Wstał, zachwiał się i potknął o stolik do gry.

– Nie trać na mnie czasu. Masz już fabrykę, dom, ziemię. Dziadek nic mi nie zostawi. Nawet nie usłyszę słowa pożegnania.

Marçal wziął talię kart.

– To nieprawda. Wprawdzie jestem dziedzicem i należy mi się większa część majątku, ale dziadek na pewno weźmie cię pod uwagę.

Fèlix usiadł przy stoliku naprzeciwko Marçala.

– Weźmie mnie pod uwagę? Najwyżej pozostawi mi dwa i pół tysiąca rocznej pensji. Nic więcej!

– To całkiem przyzwoite pieniądze, jeśli byś ich nie przepił i nie przegrał w karty! Ile dzisiaj straciłeś?

– A co cię to obchodzi?!

– Jestem twoim bratem, dlatego mnie obchodzi.

Fèlix obserwował go, jak tasował karty grubymi palcami. Nie pamiętał dnia, w którym zaczęli się nienawidzić.

– Straciłem więcej, niż mam w tej chwili.

Marçal położył karty na stole i dał mu znak, żeby przełożył.

– I co zrobisz?

– Spłacę dług. A co innego miałbym zrobić?

– Ale z czego?

Fèlix założył nogę na nogę, wyjął papierośnicę i poczęstował brata cygarem, ale Marçal odmówił, kręcąc głową.

– Przypuszczam, że Vilaniu mi pożyczy.

– Wiesz, że ostatnim razem poprosił o poręczenie dziadka.

– Niech cię szlag trafi, Marçalu! Zawsze cieszysz się z mojego nieszczęścia i nie przepuścisz okazji, żeby mnie jeszcze bardziej upokorzyć!

Marçal położył karty na środku stolika.

– Mówię tylko prawdę, ale jak się okazuje, tego też nie mogę! Mimo że trudno ci w to uwierzyć, nie chcę patrzeć na to, jak cierpisz. Jesteś moim bratem, dlatego chcę ci pomóc.

Fèlix przełożył talię.

– Ach, teraz chcesz mi pomóc?

– Może nie w każdej sprawie się ze sobą zgadzamy, ale zawsze chciałem ci pomóc!

Fèlix zapalił cygaro.

– Doskonale. W takim razie daj mi pieniądze.

Marçal opuścił wzrok i ponownie wziął karty.

– Nie mogę dać ci pieniędzy. Jutro byś je wydał.

– Widzisz? Zawsze to samo! Wiesz, co ci powiem? Zapomnij o mnie!

Odsunął krzesło i wstał.

– I co teraz zrobisz?

– Do czorta, już ci powiedziałem! Zapłacę i już.

Marçal wstrzymał oddech.

– Miałem na myśli Mariannę.

Fèlix zatrzymał się.

– Co jej obiecałeś tamtego dnia w ogrodzie? Nie wspomniałeś jej o swoich długach, prawda? Ona nie ma pojęcia, co ją czeka.

Fèlix odwrócił się i rzucił na brata.

– Jesteś łajdakiem bez serca! Oszustem! Udajesz dobrego, a wbijasz mi nóż w plecy! Jesteś nikim!

– Puść mnie! No puszczaj! – Marçal odepchnął go gwałtownie, po czym chusteczką z rodzowym monogramem otarł z twarzy ślinę, którą go opluł Fèlix.

– Co się z tobą dzieje, do diabła? Dlaczego tak się wściekasz? Nie rozumiem, co ona w tobie widzi!

Fèlix znów do niego doskoczył, złapał go za marynarkę i podniósł z krzesła.

– Widzi to, czego tobie brakuje! Tego nie da się kupić za żadne pieniądze dziadka!

Tym razem Marçal odepchnął go mocniej i ponownie usiadł.

Spocony Fèlix przeczesał ręką włosy.

– Dlaczego tak się nienawidzimy, Marçalu?

Marçal westchnął.

– Ponieważ ja mam to, co ty chciałbyś mieć, a ty masz to, czego ja pragnę.

Fèlix opadł ciężko na krzesło i pomyślał, że życie jest niesprawiedliwe.

Marçal rozdał karty.

– Chcę się ożenić z Marianną. Kocham ją. Gdybyś i ty ją kochał, dałbyś jej spokój. Doskonale wiesz, że nie będziesz mógł jej dać tego, na co zasługuje.

Fèlix uniósł wzrok.

– Przykro mi, Marçalu, ale prędzej bym cię zabił, niż dał jej spokój.

Fèlix wypowiedział te słowa bez wahania.

Bam!

Kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde zsiadł z konia. Siedziba gazety wydała mu się kryjówką brudnych i oślizłych szczurów. Podszedł do jednego z oficerów.

– Ilu ich tam jest?

– Dyrektor, zarządca, kierownik drukarni, dwóch pracowników i jeden sprzedawca. Sześciu, panie kapitanie.

Kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde pokiwał głową. Rozejrzał się wokół. Na ulicy nie było nikogo. Był zadowolony, bo wyglądało na to, że wreszcie jego słowa przyniosły efekt i lud zrozumiał, kto tu rządzi.

– Chcę, żeby nie została tam ani jedna cała szafa, biurko czy kartka. Zniszczcie matryce drukarskie i przyprowadźcie do mnie dyrektora. Pamiętajcie, że to manipulanci i podstępni ludzie. Nie słuchajcie ich. Mam do pana zaufanie.

Oficer energicznie zasalutował i wydał rozkaz dwóm plutonom żołnierzy:

– Do ataku i żadnej litości! Dalej, dalej, dalej!

Dwunastu mężczyzn uzbrojonych w karabiny weszło do budynku. Z wnętrza na ulicę dotarły odgłosy tłuczonego szkła, strzałów i krzyków.



Kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde uśmiechnął się: „Tylko w taki sposób można zaprowadzić porządek”. Wyjął z kieszeni munduru cygaro, którym przed kilkoma dniami poczęstował go pan Lledó. Powąchał je i pomyślał, że nie wszyscy mają tyle odwagi, żeby splamić ręce w obronie swoich interesów. Inaczej jego działanie nie miałoby sensu. Wyprostował się. „Niech jednak Bóg ma niebo i tę przeklętą ziemię w swojej opiece i niech każdy otrzyma to, na co zasługuje. Dzielnym ludzi należy nagradzać”.

Zapalił cygaro i pozwolił, żeby jego drewniany posmak zaczął drapać go w gardle. Hałasy ucichły, więc zdecydował się wejść do budynku.

W niezbyt dużym pomieszczeniu na podłodze stały otwarte skrzynie, wszędzie poniewierały się książki i litery drukarskie. W powietrzu unosił się jakiś papier i spadł u stóp kapitana, który opuścił głowę i mu się przyjrzał: to była jedna z kartek dziennika.

Trzej żołnierze wycelowali do sześciu mężczyzn stojących z rękami założonymi za głowę i wzrokiem wbitym w podłogę. Oficer przytrzymał jednego za ramię.

– Melduję, panie kapitanie, że siedziba gazety została zajęta! To jej dyrektor, Patxot.

Oficer uderzył mężczyznę kolbą karabinu, chcąc go zmusić, żeby się pochylił.

Kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde podniósł z podłogi stronę gazety.

– Czy to pan jest dyrektorem tego czasopisma szerzącego zdradzieckie idee republikańskie, które nazywają „La... Chitón”?

Patxot wydał z siebie jęk. Miał ranę na czole. Nie ośmielił się podnieść wzroku.

– To jest dziennik, kapitanie. Ja jestem za niego odpowiedzialny.

Kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde podszedł do niego z kartką w ręku.

– Umie pan czytać, panie literacie?

Patxot przyłożył rękę do zakrwawionego czoła.

– Oczywiście.

– Doskonale. O czym według pana mówi artykuł trzeci obwieszczenia z poniedziałku czwartego kwietnia?

Patxot milczał. Czasami lepiej nie odpowiadać na prowokacyjne pytania.

Kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde zaczął czytać:

– Artykuł trzeci. Działania prasy uważane są za bunt, jeśli mają na celu zakłócenie porządku publicznego. – Zgniół stronę dziennika, którą miał w ręku, rzucił mężczyźnie pod nogi i przydeptał. – Daliśmy wam ostrzeżenie, zamykając kłamliwą „La Razón”, a wy następnego dnia macie czelność otworzyć „La Chitón”? Za kogo pan mnie ma, Patxot?

Oficer znów kolbą karabinu zdzielił mężczyznę, który tym razem uderzył głową o podłogę. Po chwili podniósł się na łokciach i wypłuł trochę krwi i kawałek złamanego zęba.

– Szukamy tylko sposobu, żeby wcielić w życie nasz największy skarb, którym jest wolność.

Kapitanowi generalnemu księstwa Katalonii Eugeniowi de Gaminde pulsowały żyły na skroniach. Rzucił cygaro na podłogę z nadzieją, że może zajmie się od niego jakiś papier i wszystko spłonie.

– Wolność! Czy pan wie, czym jest wolność? Nie ma pan o niej pojęcia! Wolnością nie jest bombardowanie ludu słowami, które nawołują do rewolucji. Nie, proszę pana! Wolność to postęp, zapewnienie obywatelom bezpieczeństwa, żeby mogli żyć spokojnie, zgodnie ze swoimi możliwościami i nie musieli prosić o więcej. To jest prawdziwa wolność!

Patxot chciał odpowiedzieć, że wolność jest wówczas, gdy w odpowiedzi na głos ludu nie zrzuca się bomb, ale milczał. Wiedział, że kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde woli słuchać samego siebie niż ślepo wymierzać kary, więc pokornie zwiesił głowę.

– Co pan robi, kiedy pracownicy nie są panu posłuszni? Sam już nie wiem, co z panem począć. Właściwie to wiem, ale zapewniam pana, że jestem człowiekiem spokojnym i z bólem serca podejmuję tego rodzaju decyzje. A teraz muszę zdecydować, czy pana rozstrzelać, czy wysłać na okręt „Europa”. Być może tam pan zrozumie, co to jest wolność.

Patxot stracił nadzieję, że cało wyjdzie z tej sytuacji, i powiedział do siebie, że skoro i tak ma wszystko stracić, to lepiej z dumnie uniesioną głową.

– Gdybym mógł wybrać, wolałbym „Europę”, czyli tam gdzie nas posyłano, kiedy walczyliśmy, żeby ludzie tacy jak pan mogli dojść do władzy. Brak mi słów. Będzie mnie pan miał na sumieniu do końca życia! Ponieważ jestem pewien, że nikt się na to nie odważy, powiem panu jeszcze jedno, kapitanie. Sumienie ma się tylko jedno.

Kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde położył rękę na zimnej rękojeści szabli, którą nosił u pasa, wyciągnął ją z pochwy jednym ruchem i ze świstem przeciął nią powietrze. Podszedł do Patxota i czubkiem broni przesunął mu po gardle.

– Mógłbym w tej chwili pozbawić pana głowy – pozwolił, żeby cisza przekuła odwagę Patxota – ale się powstrzymam. Nie chcę plamić sobie szabli pańską skażoną krwią! Oficerze, proszę zabrać tego mężczyznę i dopilnować, żeby daleko nie zaszedł. Swoim jadem mógłby zarazić jeszcze więcej ludzi.

Żołnierze wyprowadzili pracowników drukarni. Kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde został sam. Czuł swąd palącego się papieru. Opuścił wzrok na podłogę: zapaliła się kartka z gazety. Schował szablę i z uśmiechem przesunął nogą więcej papierów do ognia.

Bam!

Fèlix się nie pojawił. Zgodnie z jego poleceniem Marianna spakowała do torby podróźnej zaledwie kilka rzeczy: biżuterię, ubranie na zmianę i płaszcz. Czekala na niego przy ostatnim eukaliptusie na drodze prowadzącej do Casa Lledó aż do chwili, gdy świergot ptaków zapowiedział świt.

Drżąc, wróciła do domu i zapukała do drzwi pokoju Fèliksa. Nikt nie odpowiedział. Zapukała ponownie, po czym weszła do środka. Drzwi szafy były otwarte, a kilka koszul leżało na niepościelonym łóżku. Marianna cofnęła się o krok, potknęła o jakąś książkę i upadła.

Nikt nie wiedział, ile godzin leżała nieprzytomna na podłodze w pokoju Fèliksa, zanim ją tam znaleźli. Chciała przesiąknąć jego zapachem i sprawdzić, które ubrania wybrał, uciekając bez niej.

Wstając z pomocą Àgaty, Marianna podniosła z podłogi książkę, o którą się potknęła: Hrabia Monte Christo.

Przez pierwsze dni po zniknięciu Fèliksa Marianna czuła się tak, jakby ktoś połamał jej żebra, wydarł serce z piersi i pozostawił w jego miejscu krwawą otchłań. Po kilku miesiącach ogarnęła ją pusta rozpacz.

Fèlix nie zostawił jej nawet odrobiny nadziei, jakiejś odpowiedzi, której mogłaby się chwycić.

Przestała jeść, zmizerniała i zbladła.

Marçal też zeszczupłał, a jego błękitne niegdyś oczy były teraz podkrążone i pociemniałe. Kiedy Marianna nie miała siły wstawać, Marçal przez cały czas czuwał przy niej w pokoju, siedząc w fotelu obok łóżka. Kiedy dziewczyna zasnęła, on wstał, ujął jej rękę, uklęknął i się pomodlił: „Boże mój, oddam ci całe moje szczęście, cały majątek, moje życie, tylko jej do siebie nie zabieraj”.

Początkowo Marçal tłumaczył sobie, że stan Marianny to naturalny skutek rozczarowania, które przeżyła, ale teraz zdał sobie sprawę, że jej życiu groziło niebezpieczeństwo. „Boże mój, pozwól mi uczynić ją szczęśliwą, pokaż mi, że się nie myliłem i nie zaryzykowałem zbyt wiele”.

Pewnego dnia Marçal postanowił wypełnić pustkę Marianny wszystkim tym, co emanuje życiem.

Rankiem, podczas gdy Ermínia namawiała Mariannę do zjedzenia śniadania, Marçal usiadł na fotelu i postanowił jej poczytać. Jako pierwszą książkę wybrał nowo wydaną Barcelonę i jej tajemnice autorstwa Antonia Altadilla. Sprzedawca z księgarni Popular Econòmica zapewnił go, że z pewnością spodoba się jego żonie.

Kiedy doszedł do drugiego rozdziału, w którym była mowa o szkodliwości nieszczerego wyznania miłości, Marçal zauważył, że Marianna słuchała go z uwagą, lekko rozchylając usta, co natychmiast wykorzystwała Ermínia, wkładając w nie kawałek chleba posmarowanego marmoladą brzoskwiniową. Wprawdzie to był jedyny posiłek Marianny tego dnia, ale na początek dobre i to.

Podczas dnia Marçal doglądał swojej fabryki, ale przed wyjściem poprosił Ermínię, żeby pod jego nieobecność natarła Mariannę jej ulubionym olejkiem lawendowym. Ermínia wypełniła jego polecenie, mimo że wciąż myślała o obietnicy, którą złożyła swojej matce na łożu śmierci. Wydawało jej się jednak, że po tylu nieszczęściach, które wydarzyły się w tym domu, uratowanie życia Mariannie jest równoznaczne z uratowaniem dusz pozostałych

domowników.

Wieczorem Ermínia przygotowała Mariannę do kolacji. Dziewczyna była tak osłabiona, że nie mogła sama zejść po schodach, więc Marçal wziął ją na ręce. Codziennie czekał na tę chwilę, kiedy Marianna obejmowała go bezsilnymi ramionami, a jej zapach przenikał jego ubranie.

Kiedy dotarli do jadalni, posadził ją w obitym aksamitem fotelu, obłożył poduszkami i przysunął do stołu, po czym wymuszał ożywioną rozmowę z panem Pacià, który gościł coraz bardziej z każdym dniem. Rozmowy przy stole nie wzbudzały zainteresowania Marianny, ożywiała się tylko wtedy, gdy słyszała przypadkowo wypowiedziane imię Fèliksa. Marçal wiedział, że Marianna wciąż kochała jego brata, jednak wierzył, że teraz gdy zniknął bez śladu, może jemu uda się ją zdobyć.

Po kolacji znów wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Później sam położył się spać w koszuli, żeby czuć jej zapach i przypominać sobie delikatny uścisk jej ramion owiniętych wokół jego szyi.

Czytanie, słuchanie muzyki, wspólnie spędzany czas każdego dnia powoli zaczynały przynosić efekty. Pewnego razu Marianna przemówiła, a swoje pierwsze słowa skierowała do Marçala.

– Dlaczego robisz to wszystko?

Mężczyzna z wrażenia przerwał czytanie i poszukał wzrokiem jej pochmurnego spojrzenia.

– Chcę, żebyś przestała cierpieć.

– Nie. Chcesz tylko ukoić swój ból.

Marçal westchnął.

– Marianno, gdybyś mogła ujrzeć siebie moimi oczami...

Wstał, odłożył książkę na fotel i podszedł do niej. Klęknął przy łóżku, ujął jej rękę i delikatnie pocałował.

– Jesteś jak kwiat, o który trzeba dbać i go chronić.

Teraz Marianna westchnęła.

– Nie, jestem nikim.

Mężczyzna znów pocałował grzbiet jej dłoni.

– Dla mnie jesteś najwspanialsza. – Powoli przysunął rękę do jej twarzy i pogłaskał ją po policzku. – Nie musisz dalej cierpieć, Marianno. Ja się tobą zaopiekuję. Wyjdź za mnie.

Marianna bezsilnie pokiwała głową i po raz pierwszy od odejścia Fèliksa poczuła w ustach słony smak łez.

Marçal przeżegnał się i zaczął dziękować Bogu. Jednak nie rozumiał, że cierpienia się nie wybiera, podobnie jak nie wybiera się tego, kogo się kocha.

Bam!

Rezydencja rodziny Vilaró wznosząca się po drugiej stronie barykady na ulicy Bonavista wydawała się łatwym celem. Byli już blisko, ale wyjście z ukrycia mogło być niebezpieczne. Magí zdawał sobie z tego sprawę i nieustannie próbował rozproszyc swoje obawy.

Jonàs prowadził ich w kierunku ulicy Torrent de l'Olla, na której mieli większą szansę się ukryć. Po kolei przechodzili przez barykadę i szli dalej gęsiego, chowając się za drzewami. Tutaj obstrzał był mniej intensywny niż na ulicy Major. Mimo to Magí słyszał świst kul niczym natrętne bzyczenie komarów. Przemknęli ulicą Còrsega, idąc blisko ścian budynków. Jonàs szedł przed Magím i wydawał rozkazy.

– Jesteśmy prawie na miejscu! Chodźcie!

Magíemu wydawało się, że przez całe życie szedł za bratem, znał na pamięć wszystkie dziury w jego spodniach i potrafiłby rozpoznać jego kark tak samo jak twarz.

Nagle poczuł, że kula rozerwała mu rękaw koszuli. Zaskoczony kucnął w bramie najbliższego budynku.

Jonàs odwrócił się i zobaczył chowającego się brata. Z dezaprobatą pokręcił głową i poszedł dalej, prowadząc pozostałych mężczyzn.

Magí przyjął tę milczącą naganę jak postrzał, tym razem celny. Obserwował, jak brat i pozostali mężczyźni się oddalają i ukrywają naprzeciwko rezydencji rodziny Vilaró, w bezpiecznej odległości od dział i pistoletów żołnierzy, którzy pozostali ulicę dalej. Wstał i wyszedł z bramy. Z jednego z balkonów budynku przyglądał mu się żołnierz i mierzył w niego z błyszczącego karabinu.

Chłopak wrócił szybko do bramy. Poczuł, że się dusi. Usiadł na ziemi i objął kolana. Był w pułapce. Postanowił przeczekać, aż o nim zapomną. Nagle usłyszał w pobliżu krzyk i huk strzałów.

Żołnierz, który w niego celował, patrzył w dół. Na balkonie poniżej szamotało się dwóch mężczyzn. Magí wyteżył wzrok i rozpoznał niebieską koszulę Jonàsa. Wychylił się z kryjówki i zobaczył pozostałych kompanów przy wejściu do budynku. Żołnierz wycelował w Jonàsa i strzelił. Nie trafił jednak ani w Jonàsa, ani w jego przeciwnika, którzy wciąż okładali się pięściami, ale w ramię mężczyzny stojącego na dole, który z jękiem upadł na ziemię. Magíemu wydawało się, że to Boi. Ścisnął w rękach garłacz i wybiegł z ukrycia. Żołnierz z balkonu znów celował w Jonàsa. Magí nie miał chwili do stracenia. Zatrzymał się i strzelił. Żołnierz martwy wypadł przez balkon i spadł przed bramą. Na chwilę czas stanął w miejscu. Magí patrzył, jak błoto wokół trupa zabarwiło się na czerwono. Jonàs wykorzystał ten moment, żeby wyciągnąć zza pazuchy nóż, i ugodził nim przeciwnika, a potem jednym ruchem wypchnął jego ciało przez barierkę balkonu.

Z bramy budynku wybiegło dwóch żołnierzy, krzycząc:

– Wycofujemy się!

Magí zabrał martwemu żołnierzowi pistolet, po czym z rykiem uniósł garłacz i strzelił. Jeden z żołnierzy upadł podziurawiony, tymczasem drugi uciekał, ile sił w nogach.

Jonàs wyszedł z budynku.

– Uciekli! Nikogo już nie ma!

Mężczyźni zebrali się wokół Boiego, który leżał na ziemi i jęczał. Miquelet

kucnął i wziął go za rękę.

– Nie możemy go tutaj zostawić. Trzeba go zabrać!

Razem zaczęli go nieść w stronę barykady. Kiedy do niej dotarli, Francisco Derch czekał już na nich.

– Trzeba go opatrzeć! Zanieście go do ratusza!

Nagle po drugiej stronie szanca rozległa się trąbka sygnalizująca wstrzymanie ognia.

Ktoś krzyknął z balkonu:

– Wstrzymać ogień! Wstrzymać ogień! Wciągnięto białe flagi!

Powstańców na barykadach ogarnęło wzruszenie.

– Udało nam się! W końcu zrozumieli, z kim mają do czynienia! Poddają się!

Jonàs odwrócił się do brata i położył rękę na jego ramieniu.

– Dzisiaj uratowałeś mi życie. Zachowałeś się jak bohater. Ojciec byłby z ciebie bardzo dumny!

Magí odetchnął głęboko i na chwilę zapomniał o zakrwawionym błocie, które rozdeptał butami.

Bam!

Po oknie spływał deszcz. Krople pukały w szybę, jakby przypadkiem w rytm melodii odległej piosenki. Marianna siedziała oparta o parapet i przesuwała palcem po zimnym szkłe w ślad za kroplami deszczu. Za oknem widziała ciemny ogród, marmurowe schody, staw i echo obietnic pod lipą: „Zawsze będę się o ciebie troszczył, Marianno. Jeśli kiedyś nie będzie mnie przy tobie, a zatęsknisz za mną, przyjdiesz tutaj, dotkniesz palcami drzewa i będziesz wiedziała, że gdziekolwiek jestem, należę do ciebie”.

Ermínia właśnie wlała ostatnie wiadro ciepłej wody do wanny i otarła fartuchem pot z czoła.

– Kąpiel jest już gotowa, panienko.

Marianna weszła do garderoby, odwróciła się plecami do pokojówki i pozwoliła jej pomóc zdjąć z siebie jedwabny szlafrok i halkę.

– Czy jesteś przesądna, Ermínio?

– Nie wiem, co panience odpowiedzieć!

– Ja jestem i wydaje mi się, że deszcz w takim dniu jak dzisiaj nie jest dobrym znakiem.

– Niech panienka nie opowiada takich rzeczy. Na pewno zaraz się rozchmurzy. Jest jeszcze wcześniej.

Marianna stopą sprawdziła wodę: nie była ani zbyt zimna, ani zbyt gorąca.

– Ty jesteś sierotą jak ja, prawda?

– Tak, panienko.

– Myślisz o swojej matce?

Służącej z drżących rąk wyleciała buteleczka z olejkiem rozmarynowo-cynamonowym. Złapała ją w ostatniej chwili. W odpowiedzi tylko pokiwała głową.

– Ja też. Ach, Ermínio, jak potoczyłoby się moje życie, gdyby nie umarła?

– Na pewno wspaniale. – Ermínia ukryła pod czepkiem niesforny kosmyk i wymamrotała: – Państwo Lledó traktowali panienkę jak córkę. Wiele osób byłoby na miejscu panienki szczęśliwych i wdzięcznych.

– Tak, tak, pewnie masz rację.

Marianna zerknęła na swoje ciało zniekształcone pod wodą: drobne, blade, odległe, jakby nie było jej ciałem.

Ermínia ukucnęła przy wannie, zamoczyła gąbkę w wodzie i dodała odrobinę olejku. Ujęła ramię Marianny i zaczęła ją myć. Wydawało jej się, że zna jej ciało jak własne.

Marianna przyjrzała się Ermínii. Miała szeroką twarz, dołek w brodzie, małe usta, smutne oczy i krytyczne spojrzenie.

– Czy kiedyś złożyłaś komuś jakąś obietnicę, Ermíniu?

Służąca zanurzyła gąbkę w wodzie, a potem wymasowała nią drugie ramię dziewczyny, piersi, brzuch i plecy.

– Co za pytanie, panienko?!

Kiedy skończyła, wykręciła gąbkę, wstała i zaczęła się krzątać wokół wanny. Postawiła buteleczkę z olejkiem na komódce, przyniosła do alkowy kufer z suknią ślubną i delikatnie rozłożyła ją na łóżku. Z nieśmiałością dotknęła złotych haftów.

Marianna wstała powoli, ociekając wodą, a Ermínia podeszła, żeby okryć ją ręcznikiem, a potem pomogła jej założyć z powrotem jedwabny szlafrok.

– Uważasz, że pewnego dnia obejrzymy się za siebie i będziemy żałować naszych decyzji?

Ermínia przyjrzała się Mariannie: jej oczom bladoniebieskim jak deszcz, który pada od rana, twarzy poblądłej od kilkumiesięcznej niedyspozycji, wąskiej talii, i usłyszała głos swojej matki: „Ta przybłęda jest nikim, Ermíniu Perfecto Collado. Ty natomiast jesteś córką markiza! Nie zapomnij o tym!”.

– Mam nadzieję, że nie, panienko. Żal jest początkiem śmierci.

Marianna przesunęła ręką po perełkach, którymi obszyty był dekolt sukni, i złotych haftach na gorsecie. Krawcowa szyła tę suknię przez trzy miesiące, a Marianna nie mogła się zdecydować przez rok. Trudno jej będzie w niej oddychać.

Może jednak popełniła błąd. Wciąż nie wiedziała, dlaczego została opuszczona. Nie miała też siły, żeby tkwić pogrążona w próżni.

Ermínia poprosiła Mariannę, żeby usiadła na krześle przy toalecie, a sama wzięła srebrną szczotkę do włosów.

– Niech panienka tyle nie rozmyśla. Zobaczy panienka, że przed ołtarzem wszystkie zmartwienia pójdą w niepamięć.

Deszcz jednak padał cały dzień.

Bam!

– Kapitan generalny daje nam szansę poddania się, panowie.

Francisco Derch wszedł do sali spotkań w ratuszu i rzucił na stół list podpisany przez kapitana generalnego księstwa Katalonii Eugenia de

Gaminde. Uniósł wzrok i policzył zebranych.

– Jest nas tylko trzech? Gdzie się podzieli pozostali? Soler? Mas?

Masseguer i Rigau pokręcili głowami.

Francisco Derch odwrócił się do drzwi, próbując ukryć złość.

– Sytuacja wygląda źle, drogi przyjacielu.

– Źle? Mamy ponad stu mężczyzn i kolejnych dwustu między Sant Martí a Sant Andreu gotowych do walki pod naszymi rozkazami. Dzisiaj zmusiliśmy jeden oddział wojska do wycofania się, a ten dokument oznacza, że władze się nas boją! Nie możemy teraz stchórzyć!

Rigau rozłożył kartkę, zatknął na nosie okulary, które nosił na łańcuszku przypiętym do kamizelki, i z uwagą zaczął czytać.

– Moim zdaniem, drogi panie Derch, z tego dokumentu wynika, że jeśli się natychmiast nie poddamy, zaatakują nas jeszcze dzisiejszej nocy.

– A może jutro... – wtrącił się pan Masseguer.

Francisco Derch zacisnął mocno pięści, zrobił kilka kroków w stronę drzwi, a potem wrócił do swojego miejsca przy stole.

– Co w takim razie mamy powiedzieć powstańcom? Że się poddajemy? Że to już koniec? Że wszystko poszło na marne?

Rigau rozsiadł się wygodnie na krześle, a Masseguer głąskał się po brodzie.

– Ja ująłbym to trochę inaczej...

– To znaczy? Co powiedziałby pan matkom, które straciły już swoich synów albo tym wszystkim mężczyznom, którzy ryzykowali życie, walcząc w słusznej sprawie!

Masseguer uniósł palec.

– Co do tego nikt nie ma wątpliwości! Sprawa jest słuszna, a nawet powiedziałbym, że chwalebna!

– Myślę, że pan Masseguer chce powiedzieć, iż mimo niezaprzeczalnego i ważnego celu czasami należy być ostrożnym – wyjaśnił Rigau.

– Właśnie to miałem na myśli. Dziękuję, Rigau. Musimy być ostrożni i uważać, żeby nie poróżniła nas pojedyncza sprzeczka, która nie pozwoli zrealizować naszych celów...

Francisco Derch pochylił się do Masseguera i Rigau. Wydawało mu się, że coś przed nim ukrywają.

– O jakich celach pan mówi, drogi Massaguerze?

– Cóż, ja... – Mężczyzna chrząknął. – Sugeruję zwołanie członków komitetu! Powinniśmy kontynuować naszą pracę, ale nieco inaczej, powiedzmy, że z większą dyskrecją.

Nagle ktoś zapukał do drzwi. W progu stanęła Marianna.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale muszę z panem porozmawiać, panie Derch.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Zaraz wyjdę. Teraz omawiamy bardzo ważne sprawy...

Marianna otworzyła drzwi szerzej i weszła do sali.



– Ważne sprawy? Czy ważniejsze od rannych umierających przy drzwiach wejściowych do ratusza? Czy ważniejsze od dzieci, których nie mogę uspokoić i nie wiem, skąd wziąć dla nich jedzenie?

Masseguer wstał z triumfalną miną i podszedł do niej.

– Droga pani, właśnie rozmawiamy o tym z naczelnikiem komitetu powstańczego i wyrażaliśmy nasze ubolewanie w związku z tak wieloma nieszczęściami.

Rigau wstał, żeby poprzeć przyjaciela.

– Zgadza się, wyjął mi to pan z ust. Nie mam wątpliwości, że obecna tutaj dama, którą niepokoi los ludu, zrozumie naszą decyzję.

Mariannie nie podobały się dumne uśmiechy tych mężczyzn, więc spojrzała na milczącego Francisco Dercha.

– Jaką decyzję?

– Tak się składa, że kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde był łaskaw przesłać nam wiadomość, w której uznał nasze racje i prosił, żebyśmy spokojnie wrócili do naszych domów.

– Co? Chce, żebyśmy się poddali?

Masseguer podszedł do Marianny tak blisko, że kobieta cofnęła się o kilka kroków.

– Nie, kobieto. Twierdzimy tylko, że w interesie wszystkich nie ma sensu dłużej ponosić ofiary. Jesteśmy przekonani, że spór można rozwiązać poprzez późniejszy dialog polityczny.

– Dialog polityczny? Kim panowie jesteście? Za kogo nas bierzecie? Myślicie, że to wszystko było tylko zabawą?

Marianna zmierzyła wzrokiem Francisco Dercha, który zacisnął zęby.

– Pan popiera tę decyzję? Pozwoli pan, żeby wszystko, co dotychczas osiągnęliśmy, poszło na marne?

– Cóż, ja...

Francisco Derch się zawahał.

Marianna podeszła do niego z groźną miną.

– Pan wie lepiej niż ktokolwiek, że kiedy żołnierze tutaj wejdą, zaczną wyciągać nas z domów, jedno po drugim, i wówczas najlepszą karą będzie śmierć. Musimy dalej walczyć o sprawiedliwość, ponieważ jeśli teraz odpuścimy, zginiemy. I wiedząc o tym wszystkim, chce pan nas opuścić? – Marianna wymierzyła w niego palec. – Panie Derch, nie spodziewałam się, że mnie pan tak rozczaruje. Mógł się pan pomylić w doborze ludzi, strategii czy przeprowadzeniu jednej z operacji, ale nie sądziłam, że potraktuje nas pan tak samo jak oni. Ostrzegam, że jeśli podejmą panowie tę haniebną decyzję, lepiej niech uciekają, ponieważ nie mam zamiaru chronić panów przed wściekłością ludu. Pamiętajcie też, że pewnego dnia wojna się skończy, a o panach pamięć nie przeminie. Zdecydujecie sami, jak chcecie zostać zapamiętani.

Marianna odepchnęła Masseguera i Rigau, którzy w osłupieniu nie potrafili wykrztusić z siebie ani słowa, i odwróciła się w drzwiach.

– A przy okazji, kiedy skończą panowie omawiać te głupoty, potrzebowałabym żywności i pozwolenia na przeprowadzenie dzieci do Vallcarki. Jesteśmy gotowi poświęcić wszystko, co nam pozostało. Będziemy chronić lud.

Bam!

Nie wiedziała, czy powinna czekać na niego naga, czy ubrana w halkę. Drugie wyjście wydało się jej bezpieczniejsze.

Padał deszcz. Przez cały dzień lało jak z cebra.

Pan Pacià pozwolił im urządzić sypialnię małżeńską w dawnym pokoju pani Consol, ale mimo zmiany wystroju Marianna nie mogła przestać myśleć o niej i jej ostrzeżeniu: „Nie da się poznać wszystkich tajemnic jednej rodziny, Marianno, i nie warto”.

Usiadła przy toaletce, przesunęła na bok świecznik i patrzyła w swoje odbicie w lustrze. Wybuchnęła płaczem, który udało się jej powstrzymać podczas ceremonii ślubnej. Po chwili miała zapuchnięte i zaczerwienione oczy, ale pomyślała, że tak będzie lepiej. „Niech mnie zobaczy taką brzydką, to może się zrazi...”.

W swoim siedemnastoletnim życiu tylko raz widziała nagiego mężczyznę. Tego dnia, w którym schowani pod biurkiem w gabinecie pana Pacià razem z Fèliksem odkryli tajną szufladę.

W środku znajdowały się stary psalterz i jakieś pożółkłe obrazki. Książkę odłożyli na miejsce. Bardziej zainteresowały ich fotografie. Zaczęli je oglądać. Na każdej ozdobnym czarnym drukiem wypisana była nazwa miesiąca. Październik przedstawiał leżącą na sofie uśmiechniętą dziewczynę z zaplecionymi blond warkoczami, dużymi piersiami i czarnym owłosieniem łonowym. W czerwcu pozowały dwie uśmiechnięte brunetki w przezroczystych szalach trzymające się za ręce. Maj przedstawiał nagiego mężczyznę i odwróconą do niego plecami kobietę. Ona też się uśmiechała. Fèlix przez chwilę kpił sobie z dziadka, że miał takie fotografie.

– Wiesz, co oni robią, Marianno? Chyba mi nie powiesz, że nie słyszałaś, o czym służące opowiadają w kuchni!

Dziewczynka pokręciła głową, a on dumnie się wyprostował.

– Carmeta i Remei powiedziały mi, że kiedy urosnę, to zawrócę w głowie wszystkim dziewczętom. I wiesz, co jeszcze mi powiedziały?

Siedząc wciąż pod biurkiem, Marianna patrzyła na Fèliksa z szeroko otwartymi ustami. Chłopiec pochylił się do niej i szeptał jej do ucha, osłaniając usta, jakby to była wielka tajemnica:

– Że kiedy mężczyzna i kobieta się lubią, on wsadza jej do środka siurka!

Marianna siedziała przed lustrem i zastanawiała się, dlaczego wciąż tak mało wiedziała o tych sprawach.

Nagle usłyszała jakiś hałas i wstała z krzesła. Otworzyła drzwi sypialni. Na korytarzu panował mrok. Paliły się tylko świece na kryształowym żyrandolu w holu. Słysząc było jakieś krzyki. Uniosła tren sukni i bezszelestnie podeszła

do schodów. Z gabinetu pana Pacià docierał podniesiony głos Marçala.

– Nie ma mowy! Niech dziadek na mnie nie liczy.

Nagle drzwi się otworzyły.

Marianna natychmiast wróciła do pokoju, słysząc z dołu groźny głos pana Pacià:

– To twój obowiązek wobec tej rodziny, Marçalu! Nie piśniesz nikomu ani słowa! Słyszysz? Ani słowa!

Marianna usłyszała odgłos głośnych kroków Marçala wchodzącego po schodach. Usiadła na łóżku, po chwili się położyła i znów usiadła. Przeciągnęła się. W końcu ułożyła się na boku, skuliła i zamknęła oczy.

Marçal zatrzymał się przed drzwiami sypialni. Zapadła cisza. Marianna najchętniej zakopałaby się w pościeli. Wyobrażała sobie również, że jakaś nadprzyrodzona siła wciągnęła ją do lochów pod domem, wypełniając klątwę ciężącą na tej rodzinie.

Marçal otworzył drzwi i wszedł do sypialni. Płomienie świec na świeczniku stojącym na toalecie zadrżały.

Po chwili Marianna poczuła, jak Marçal opadł ciężko na łóżko, wyciągnął się i przytulił brzuchem do jej pleców. Bił od niego ostry zapach potu. Przysunął się jeszcze bliżej, obejmując ją w talii, i pocałował w szyję.

– Marianno...

Zaczął wyjmować z jej włosów spinki, jedną po drugiej. Chociaż nie sprawiał jej bólu, za każdym razem, gdy kolejna wsuwka upadała z brzęknięciem na stolik nocny, Marianna czuła przeszywający ją dreszcz. Marçal rozpuścił jej włosy i ukrył w nich twarz.

– Marianno...

Wdychał głęboko powietrze, chcąc zamknąć jej zapach w jakimś sekretnym miejscu wewnątrz siebie, aby móc go przywoływać w razie potrzeby. Był lawendowy, słodki, świeży, a zarazem ostry.

Położył rękę na jej brzuchu, przesunął na piersi, jakby jej nie dotykał, ale muskał złoty haft na ślubnej sukni. Znów ją objął i mocniej do siebie przytulił. Marianna wyczuła przez halki jego nabrzmiały członek i z całej siły zacisnęła powieki. Pani Cosnol powtarzała, że czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.

Marçal powoli rozpiął śliskie guziki sukni ślubnej, a potem głaskał brzuch Marianny, oswobodzony z gorsetu i jedwabnej halki. Dziewczyna czuła zimno i miała spocone dłonie.

Marçal odwrócił ją do siebie, pogłaskał po policzkach i pocałował w ucho.

– Wiem, że nie śpisz, Marianno. – Jego szept dotarł do niej jak echo odbijające się od ściany jaskini. – Wiem, że się boisz i mnie nie kochasz. Ale od tej chwili będę się tobą opiekował. Nie musisz nic robić, ja będę robił wszystko za nas oboje. Będę również kochał za nas oboje.

Po tych słowach mężczyzna, jakby budząc się ze snu, wsunął rękę pod suknię. Marianna zacisnęła usta, żeby powstrzymać krzyk i chęć ucieczki. Im Marçal dokładniej poznawał jej ciało, tym Marianna mocniej zaciskała powieki, żeby

nie wybuchnąć płaczem. Mężczyzna całował ją w zamknięte oczy i zlizywał z nich łzy. Rozpiął suknię do końca i ściągnął z ramion żony rękawy, jakby rozbierał bezwładną lalkę. Rozwiązał wstążki gorsetu, krynoliny i uwolnił spod nich jedwabną halkę, która przywarła do ciała Marianny niczym druga skóra. Położył Mariannę delikatnie na łóżku, pochylił się nad nią i pocałował ją najpierw w czoło, a potem w nos i usta. Jego pocałunki były czułe, ale puste. Była w nich ta sama pustka, która zatruwała Mariannę od czasu ucieczki Fèliksa.

Marçal jednym ruchem ściągnął jej przez głowę jedwabną halkę i rzucił na podłogę. Patrzył na ciało Marianny, kładąc ciepłe dłonie na jej piersiach. Najpierw masował je delikatnie, a potem ugniatał i złapał jedną mocniej.

– Jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie, Marianno.

Wstrzymała oddech i w myślach powtarzała niczym słowa psalmu: „Gdzie jesteś, Fèliksie? Gdzie jesteś? Jeśli mnie słyszysz... wróć”.

Marçal usiadł na niej okrakiem i ujął w swoje duże, silne, ciepłe dłonie jej twarz.

– Spójrz na mnie, proszę.

Marianna zacisnęła powieki, usta i pięści.

– Spójrz na mnie, moja piękna. Nie skrzywdzę cię. Nigdy nie zrobię niczego, co mogłoby cię zranić.

Jeszcze bardziej się rozpadało. Krople deszczu z hałasem uderzały o kamienne płyty w ogrodzie, wodę stawu i dach rezydencji rodziny Lledó. Rozbrzmiewały przez ściany, jakby chcąc zagłuszyć tę chwilę, uciszyć grzech.

Marianna otworzyła oczy, bo poczuła, że Marçal przestał ją dotykać, ale za to próbował w nią wejść, początkowo nieśmiało, a potem z większą siłą i ciężko sapiąc.

Kiedy upadł na nią wyczerpany, Marianna przypomniała sobie sekretne fotografie dziadka i zastanawiała się, dlaczego kobiety na nich się uśmiechały.

Bam!

Po wyjściu z sali spotkań Marianna na korytarzu spotkała Amàlię, która stała oparta o ścianę i zdrową ręką podtrzymywała zranione ramię.

– Słyszałam wszystko, co powiedziałaś.

Marianna przeszła obok niej, nie zatrzymując się.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Bam!

Amàlia schowała swoją dumę do kieszeni.

– Wszystko, co powiedziałaś o nas.

– Raczej o was.

– Nie, o nas wszystkich. O tobie też.

Bam!

Marianna zatrzymała się na chwilę, westchnęła i podeszła do łóżka Angeliny, która spała i już nie gorączkowała.

– Powiedziałam tylko to, co myślę.

Amàlia pokiwała głową.

– Wiem. I dlatego to doceniam.

Marianna uniosła wzrok.

Amàlia usiadła na jednym z krzeseł obok łóżka.

– Najwyższy czas, żebym już stąd poszła, Marianno. Jestem tylko ciężarem, a ty mnie godnie zastąpisz. Poprowadzę dzieci do Vallcarki z pomocą kilku mężczyzn. To nie jest miejsce dla nich. Bombardowania nie ustają, a żądanie kapitana generalnego, żebyśmy się poddali, świadczy tylko o tym, że wojsko wejdzie tu lada moment. A ja z rannym ramieniem nie mogę chwycić za broń.

Marianna usiadła na łóżku, starając się nie obudzić Angeliny.

– Ależ, Amàlio...

Kobieta uciszyła ją ruchem ręki.

– Mam tylko nadzieję, że nie uważasz mnie za tchórze. Zostało mi niewiele życia. Spójrz na mnie! Stara ze mnie kobieta, wdowa, a moi synowie są już na tyle dorośli, że dadzą sobie radę sami. Niedługo stanę się dla nich ciężarem. Jeśli mogłabym wybrać, wołałabym zostać tutaj i umrzeć z wami, ale to byłby tylko akt egoistycznego i bezużytecznego heroizmu.

– Nigdy nie wątpiłam w twoją odwagę, Amàlio.

– Wiem o tym. Wybacz, że ja wątpiłam w twoją.

Marianna miała wrażenie, że na chwilę zamilkły dzwony, a echo słów przeprosin odbiło się wewnątrz niej.

Bam!

– Dobrze, przygotuję dzieci do wymarszu dzisiaj wieczorem. Pozwól mi jednak opatrzyć jeszcze raz twoją ranę.

Amàlia posłusznie wyciągnęła ramię.

– Kiedy zjawiał się u nas... Wiesz, życie z pięciorgiem dzieci jest trudne... Fabryka, hałas i przede wszystkim brak wolności. Każdy dzień podobny do poprzedniego. Poza tym moja siostra zmarła po wypadku przy maszynie należącej do rodziny Lledó.

Marianna odkryła opatrunek. Amàlia przytrzymała ramię i wydała z siebie jęk. W ranę wdało się zakażenie.

– Chcę tylko, żebyś wiedziała, iż nie mam nic przeciwko tobie. Trudno mi było zrozumieć, dlaczego porzuciłaś tak łatwe życie i przyszłaś skomplikować nasze.

Marianna nabrała wody z wiadra stojącego przy łóżku małej Angeliny i obmyła krwawiącą ranę. Pani Consol zawsze powtarzała, że więzy krwi są zdradliwe i czynią nas swoimi zakładnikami.

– Nie miałam innego wyjścia.

Marianna znieruchomiała na chwilę i przypomniała sobie głos mistrza Fabry, kiedy zapukała do drzwi jego domu: „Kto to może być o tej porze?”.

– Jestem bardzo wdzięczna za wszystko, co wtedy dla mnie zrobiliście, Amàlio.

Kobieta wzięła ją za rękę.

– Mój mąż bardzo cię kochał. Wiesz o tym, prawda?

Marianna uśmiechnęła się.

– Był dla mnie jak ojciec. Jedyny, którego znałam.

Przełknęła ślinę i ośmieliła się zadać pytanie, którego do tej pory nie miała odwagi wypowiedzieć:

– Żałowałaś kiedyś, że pozwoliłaś mu odejść?

Amàlia zmrużyła oczy.

– Przeklinam niesprawiedliwość, która mi go zabrała. Nie powinnam jednak żałować. Nie mogłam mu zabronić podjęcia próby polepszenia świata dla naszych dzieci. To byłaby zdrada.

Marianna ścisnęła jej dłoń i wbiła w kobietę modre spojrzenie.

– Nie wiem, czy wygramy, Amàlio, ale cokolwiek się stanie, obiecuję, że przejdziemy do historii. Nie damy się wiecznie uciszać!

Bam!

# Dzień szósty

Piątek, 8 kwietnia 1870 roku

Niewielu ludzi pragnie wolności.

Większość woli mieć sprawiedliwych panów.

Gaius Sallustius Crispus

EL TELÉGRAFO

Dzisiejszego ranka o godzinie szóstej ponownie rozpoczęto zbrojny atak na Gràcię. Trzy wojskowe baterie otworzyły ogień przeciwko powstańcom. Użyto broni o kalibrze trzydzieści sześć i według naszych obserwacji kule wyrządziły duże szkody w budynkach głównie na ulicy Major. Domy po prawej stronie wjazdu do miejscowości legły w gruzach. Na jednej z bocznych ulic można zobaczyć trzy budynki, z których uchowały się tylko fasady.

Chmurę czerwonego pyłu, która unosiła się podczas celnej i długotrwałej kanonady, można było dostrzec z Barcelony.

Wczoraj wieczorem wyruszyła z Gràcii grupa osób – głównie kobiet – i udała się w stronę gór.

Zostaliśmy poinformowani, że przedwczoraj zrzucono na miasteczko tysiąc pocisków, kul i granatów.

„El Telégrafo”

Barcelona, 8 kwietnia 1870 roku, wydanie popołudniowe

Bam!

Poranna mgła osłoniła ich przed wojskowymi działami na ulicy Provença, które oczekiwały w uspieniu na nastanie świtu.

Magí i Miquelet ogrzewali dłonie przy małym ognisku za barykadą. Xicarró stał na warcie wyprostowany, z garłaczem przewieszonym przez plecy, obserwując opustoszałą ulicę.

Bam!

Kilkunastu ludzi leżało na ziemi, wykorzystując na drzemkę pierwszą chwilę spokoju od czterech dni.

Unoszący się w powietrzu zapach spalonego drewna spowodował, że poranek wydał się nieco cieplejszy i pogodniejszy. Chociaż wciąż uparcie bijący dzwon przypominał powstańcom o poległych i ostrzegał, że tego dnia mogą do nich dołączyć.

Bam!

– Ach, nie masz pojęcia, Magí, jakie piękne jest ciało kobiety! – Miquelet nakreślił w powietrzu kobiece kształty.

– Chętnie bym je obejrzał, ale dziewczyny nie zwracają na mnie uwagi.

Chłopak uśmiechnął się zawstydzony i podciągnął spodnie, które zsunęły mu się z bioder.

Xicarró żuł tytoń, wpatrując się w dal i przysłuchując rozmowie.

– Ciesz się z tego, Magí! Oszczędzisz sobie wielu problemów. Kobiety są skomplikowane!

Miquelet machnął ręką na słowa Xicarró i podszedł do chłopaka.

– Wystarczy mieć dobrą gadkę, a nie będzie się mógł od nich opędzić. Posłuchaj, kiedy poznałem Martonę... Oj! Wszyscy mówili, że jej do siebie nie przekonam... A jednak się udało!

Xicarró wybuchnął śmiechem.

– Musiałeś się za nią uganiać przez rok!

– To tylko pozory. W rzeczywistości była we mnie zakochana.

Xicarró nagle wycelował z garłacza.

– Cicho! Ktoś idzie!

Bam!

To tylko wiatr zawodził wśród gruzów. I bicie dzwonu.

– Nie martwcie się. Kapitan generalny chce nas wziąć na przetrzymanie. Żołnierze tu nie wejdą, przynajmniej na razie – odezwał się Jonàs, który wstał, ziewnął i otrzepał ziemię ze spodni.

Magí westchnął i opuścił broń. Miquelet oparł garłacz o worek z kamieniami i wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Zapalił jednego i poczęstował innych.

– Wytłumacz bratu, jak wyglądają nogi kobiety, Jonàsie! Ale nie jakiejś tam kobiety, tylko prawdziwej!

Jonàs splunął na ziemię i wziął papierosa od Miqueleta.

– Nie słuchaj tego nudziarza! Kobiety są jak konfitury: słodkie, ale jeśli zjesz ich za dużo, rozboli cię brzuch.

Miquelet pokręcił głową i położył Magíemu rękę na plecach, jakby chciał wyjawić mu tajemnicę.

– Jeśli wyjdziemy z tego cało, obiecuję ci, że zabiorę cię do Palauet! Jakem Miquel Fenosa Trilla.

Xicarró zapomniał o mgle i o tym, co się w niej kryło.

– Jasne! A skąd weźmiesz na to pieniądze?

– Przecież musi się przespać z jakąś dziewczyną! Inaczej stanie się pośmiewiskiem!

Magí chrząknął, żeby zagłuszyć ten komentarz.

– Podobno w Palauet niektóre kobiety tylko ustami doprowadzają mężczyzn do szaleństwa!

Xicarró i Miquelet spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem. Tymczasem Jonàs z poważną miną w skupieniu robił kółka z dymu.

– Nie spiesz się, bracie. Masz przed sobą całe życie! Poza tym za takie rzeczy wcale nie trzeba płacić.

– Jeśli Magí nie chce, zabierz mnie, Miquelecie!

– Daj spokój, Xicarró, wystarczy ci twoja Ramona!



Nagle usłyszeli jakiś hałas. Chwycili za broń i schowali się za barykadę.

– Ktoś nadchodzi – wyszeptał Xicarró.

Słysząc było odgłos wielu kroków.

– Kto idzie?! – zawołał Jonàs. – Stój albo strzelam!

– Nie, czekajcie! Jesteśmy z Sant Andreu! Chcemy się do was przyłączyć.

– Posiłki! Już dotarli! – krzyknął Magí i się poderwał.

– Czekaj! – Jonàs powstrzymał go ręką i zwrócił się do człowieka po drugiej stronie barykady: – Hasło?

– Dzwony w Gràcii! – odpowiedział mężczyzna.

– Spodziewaliśmy się was wczoraj po południu – stwierdził Jonàs. – Ilu was jest?

Miquelet i Xicarró odsunęli kilka desek i wóz, żeby przepuścić przybysza. Mężczyzna był wzrostu Jonàsa, ale o wiele od niego szczuplejszy, miał zapuchnięte oczy i orli nos.

– Przyszedłem pierwszy, ale za mną idzie więcej ludzi.

– To są Magí, Miquelet i Xicarró. Ja jestem Jonàs, przywódca.

– Toni z Can Comas. Jak wygląda sytuacja?

– Nie jest źle, ale z dnia na dzień jesteśmy coraz bardziej zmęczeni, a żołnierzy przybywa. Ilu was jest? Macie broń?

– Około stu dwudziestu mężczyzn. Przychodzimy ze wszystkim, co udało nam się zebrać.

Mężczyzna odchylił połą kurtki, ukazując pistolet i nóż.

Magí i Miquelet wydali z siebie okrzyk.

– Nie wiem, czy wystarczy, ale lepsze to niż nic – przyznał Jonàs. – Ogrzej się. Chcesz papierosa?

– Nie, dziękuję.

Stłoczyli się wokół ognia.

– Myśleliśmy, że się wycofaliście – poskarżył się Xicarró.

– Wycofaliśmy się? Ależ skąd! Mieliśmy dotrzeć...

Płomienie ogniska oświetliły zmęczone twarze mężczyzn. Jonàs przyglądał się przybyszowi i mógłby przysiąc, że skądś go zna.

Z zamyślenia wyrwał go głos dochodzący z ulicy. To Ermínia z koszem w rękach.

– Który ma ochotę na coś do przegryzienia i łyk wina?

– Nie krzycz, kobieto, niech chociaż trochę odpoczna! – zawołał Miquelet, pokazując na śpiących kolegów.

– Ja już pójdę. – Mężczyzna potarł rękami i kilka razy klasnął w dłonie. – Powinienem stawić się przed Francisco Derchem i oddać się pod jego rozkazy.

Nie czekając na pozwolenie, mężczyzna ruszył ulicą Culebra.

Magí wpatrywał się w kosz, który przyniosła Ermínia.

– Do diaska! Jestem taki głodny, że zjadłbym konia z kopytami!

– Przykro mi, Magí, nie przyniosłam konia, ale macie tu chleb, wino, ser i po jednym śledziu na głowę.

Ermínia przyglądała się oddalającemu się mężczyźnie. Jonàs odgadł jej myśli.

– Przybyły posiłki z Sant Andreu! W końcu!

Ermínia pokiwała głową i zaczęła wyjmować z kosza wiktuały. Nagle jednak zastygła w bezruchu, jakby coś sobie przypomniała.

– Przecież to Calabuig, zbir Fèliksa Lledó – wybełkotała.

Jonàs poczerwieniał.

– Biegnijcie! Ermínio, obudź ludzi! Niech zajmą swoje pozycje. Wy chodźcie za mną. To szpieg!

Fèlix nie mógł się przyzwyczaić do życia w Londynie. A może do rozłąki? Chwyił za pióro, usiadł wygodnie na krześle i doszedł do wniosku, że trudniej jest zacząć pisać niż skończyć. Ale uciec było łatwo.

Przez ponad pół roku jakoś sobie radził dzięki pieniądzom, które przed ucieczką zabrał z sejfu dziadka, zapewniając siebie, że oczywiście je odda. Resztę pieniędzy pożyczył. Rozpuścił plotkę, że pochodzi z wpływowej rodziny, dzięki czemu udało mu się zrobić kilka całkiem intratnych interesów. Ale żaden alkohol nie był w stanie ugasić jego pragnienia. Tym bardziej tego wieczoru.

Ścisnął w dłoni wymiętą kartkę z gazety, którą nagle energicznie rozłożył. Najchętniej by ją spalił, podarł, ale jednocześnie czuł, że mimo wszystko powinien ją zachować, ponieważ widniał na niej jedyny portret Marianny, jaki miał.

Wiedział, że sam był temu winny. Ale człowiek z natury żywi się nadzieją i Fèlix przez ten cały czas oczekiwał, że Marianna odmówi. Tego popołudnia stracił wszelką wiarę, a świat wydał mu się okrutny. Najwięcej bólu sprawiła mu myśl, że dziadek miał rację z tym, że w życiu jak w grze, są zwycięzcy i przegrani. „Ty należysz do tych drugich, Fèliksie”, usłyszał od niego.

Wyciągnął korek z butelki brandy i wziął duży łyk. Nie mógł się przyzwyczaić także do jej smaku, chociaż czuł, że w pewnym stopniu alkohol zabijał w nim wszystko, również uczucia.

Odłożył pióro. Co wieczór siadał przed tą samą białą kartką, żeby napisać list, który powinien wręczyć Mariannie przed ucieczką. I każdego wieczoru odkładał pióro i tracił kolejny dzień.

Westchnął, wstał, założył płaszcz i kapelusz. Zgasił lampę gazową i wyszedł z pokoju. Tej nocy miał ochotę ściągnąć na siebie kłopoty.

W tawernie panował zgiełk. Do miasta dotarła nowa dostawa bawełny, więc interesy kwitły. Fèlix usiadł przy tym samym stoliku co zazwyczaj, w najciemniejszym kącie. I jak każdej nocy przyszedł po niego. Podążał za wysokim mężczyzną o orlim nosie przez noc i zimną mgłę labiryntem wiktoriańskich ulic. Skręcili w wąską uliczkę w prawo, a potem jeszcze raz w prawo, weszli skrzypiącymi schodami na pierwsze piętro, na którym sączyło się przez belki słabe światło. Mężczyzna o orlim nosie otworzył drzwi przed Fèliksiem i się uklonił. Fèlix dał mu pensa napiwku i wszedł do pomieszczenia.

Mister Hope – jak kazał się nazywać gospodarz wieczorów – powitał go serdecznie, siedząc na kanapie w towarzystwie dwóch Azjatek z dekoltami

odkrywającymi piersi i uśmiechami pozostawiającymi niewiele miejsca wyobraźni.

– Dear signore!

Fèlix oddał swój płaszcz i kapelusz służącemu ubranemu w tunikę. W powietrzu unosił się gęsty dym. W pomieszczeniu było dużo osób.

– Drogi mister Hope, czy przygotował pan dla nas dzisiaj coś specjalnego?

– Czy kiedykolwiek pana zawiodłem, signore? – Mister Hope, z podkreślonym rudym wąsem i równie rudymi włosami, wstał z kanapy i strząsnął popiół z cygara. – Proszę za mną, drogi signore! Czy miał pan już przyjemność spotkać nasze dwa najnowsze nabytki? Dwie piękności podchodzące z kraju jedwabiu!

Fèlix nie odpowiedział.

Mister Hope zmrużył oczy i wziął go pod ramię.

– Widzę, że jest z panem coraz gorzej, drogi przyjacielu.

– Nie jestem dzisiaj w najlepszej kondycji.

– Nie wpadłbym na to! W takim razie może nie jest to najlepszy dzień na niespodziankę, jaką dla pana przygotowałem...

Mister Hope zatrzymał się pośrodku ciemnego korytarza i patrzył na Fèliksa z miną ojca martwiącego się o syna. Fèliks wytrzymał jego spojrzenie, zastanawiając się, czy ten mężczyzna handlujący tak różnorodnym towarem, ma serce.

– Niech pan się nie martwi, mister Hope. Czy kiedykolwiek pańskie niespodzianki mnie nie zadowolily?

Twarz Hope'a rozjaśniła się ponownie. Nie lubił mieć kłopotów z klientami, a po tym człowieku można się było ich spodziewać.

Weszli po trzech stopniach, po czym Hope rozsunął grube kotary z czarnego aksamitu.

Fèlix jeszcze nie był w tej części domu. Wszedł do dużej sali pełnej luster. Pośrodku znajdowała się scena otoczona żelaznymi kratami, wokół której rozmieszczono drewniane ławy. Pomieszczenie wyglądało jak teatr.

Z boku stała mała klatka z psem. Co chwila jakiś mężczyzna kłął go laską.

Mister Hope tłumaczył:

– Foksterier z lepszym rodowodem od nas obu razem wziętych.

– Nietrudno mieć lepszy od pańskiego!

Mister Hope wybuchnął gromkim śmiechem.

Sala była już do połowy zapełniona i rozpoczynały się zakłady.

Fèlix zwrócił się do gospodarza:

– Przypuszczam, że nie chodzi o typowe polowanie na szczury, ponieważ nie chciałbym się rozczarować, mister Hope!

– Och, nie! Oczywiście mamy szczury. Kto ich w Londynie teraz nie ma? Ale służą tylko jako rozgrzewka. Danie główne podamy później.

Mister Hope dał znak mężczyźnie, który przyjmował zakłady. Ten zamknął notes, włożył go do kieszeni spodni i wyszedł do pomieszczenia obok. Po chwili

wrócił z mężczyzną o orlim nosie, który co wieczór prowadził Fèliksa krętymi uliczkami miasta. Wnieśli klatkę z małpą i postawili ją obok tej z psem, który natychmiast zaczął szczekać, warczeć i obnażać kły. Małpa skakała w klatce jak szalona i wydawała głośne piski.

– Walka zwierząt, mister Hope? Myślałem, że już kilka lat temu została zabroniona.

– Zgadza się, signore! Zgadza się!

– Pan już zrobił zakład?

– Ja? God bless me! Pozostawiam to panom. – Mężczyzna podszedł do Fèliksa i wyszeptał: – Ten, kto bierze udział w zakładzie, signore, musi się liczyć z przegraną.

Po kilku minutach sala wypełniła się ludźmi, dymem i okrzykami. Najpierw na wybieg wypuścili sto szczurów. Po chwili słychać było dźwięk dzwonka i otworzyła się klatka z psem. Foksterier łapał szczury silną szczęką i uderzał gryzoniami o ziemię albo kraty. Mężczyzna nadzorujący widowisko wykrzykiwał liczbę zabitych szczurów i odmierzał czas. Dwie, cztery, pięć minut. W sześć minut i dwadzieścia sekund pies zabił sto szczurów, które teraz leżały na ziemi w niewielkiej kałuży krwi. Widzowie entuzjastycznie bili brawo.

Mister Hope wspiął się na jedną z ławek i uklonił.

– Panie i panowie, to było tylko na zaostrenie apetytu. Teraz nadszedł czas na mój dzisiejszy prezent dla państwa: siła mięśni psa przeciwko inteligencji małpy. Jeśli pan Darwin się nie pomylił, ujrzemy bestię walczącą z człowiekiem. Zakład wynosi trzy do jednego na korzyść psa. Kto da więcej?

Fèlix postawił na małpę.

Po kilku minutach zakłady zostały zamknięte.

Na znak Hope'a mężczyzna o orlim nosie wyszedł na środek wybiegu, otworzył klatkę z małpą i podał jej kij. Po drugiej stronie stał pies z pyskiem umazanym szczurzą krwią. Wyglądał, jakby jeszcze nie miał dość.

Ponownie rozległ się dzwonek. Publiczność pokrzykiwała na zwierzęta, zachęcając je do walki. Kiedy uniosła się krata w klatce psa, ten podbiegł do małpy, nie dając jej czasu na zrozumienie, co się dzieje wokół niej. Małpa podskoczyła i chwyciła się kraty w rogu wybiegu. Uniosła kij i uderzyła nim próbującego ją zaatakować psa. Foksterier zaskowyczał i uciekł w drugą stronę.

Małpa nie miała odwagi zejść na ziemię. Jedną łapą trzymała się kraty, a drugą wymachiwała kijem. W pewnej chwili straciła równowagę i spadła. Pies rzucił się na nią, wgryzł się w jej łapę i już nie wypuścił z uścisku. Małpa wrzeszczała i uderzała go po głowie, na której tworzyły się krwawe rany. W końcu pies puścił małpę, a ta, kulejąc, uciekła w kąt wybiegu. Wydawało się jednak, że im foksterier czuł więcej krwi, tym bardziej był jej spragniony. Nie dał czasu małpie na odzyskanie sił i znów się na nią rzucił. Tym razem udało mu się wbić zęby w jej brzuch. Małpa piszczała i w końcu upuściła kij. Pies szarpnął ją z taką wściekłością, że wyrwał jej jelita, a krew obryzgała cały wybieg. Publiczność siedziała w milczeniu. Małpa przestała piszczeć, ale

foksterier nadal szarpał jej wnętrzności, jakby chciał się upewnić, że wyrwał z niej nawet najmniejszy ślad życia.

Nagle publiczność zerwała się z ław, klaszcząc i gwizdząc z zachwytem.

– Co pan o tym sądzi, signore? My, Anglicy, wiemy, jak się bawić, prawda?

– Szczerze mówiąc, to było do przewidzenia. Chyba żadne zwierzę nie mogłoby pokonać tak wściekłego psa.

Mister Hope odwrócił się powoli do Fèliksa.

– Może człowiek?

– Może...

Powietrze unoszące się między nimi nagle znieruchomiało.

Mister Hope ponownie wszedł na ławkę i zaklaskał.

– Ladies and gentlemen, dzisiejszy wieczór przejdzie do historii. Jest wśród nas bardzo odważny mężczyzna, który zamierza wejść na wybieg. Il signore! Proszę o oklaski!

Fèlix opuścił wzrok i ruszył w stronę wybiegu. Mężczyzna o orlim nosie pomógł mu zdjąć surdut. Kiedy Fèlix się odwrócił, mężczyzna przyglądał mu się uważnie.

– Coś panu doradzę...

Mówił płynnie po katalońsku. Fèlix uniósł brwi, a mężczyzna pokiwał głową.

– Tak, urodziłem się w Barcelonie. Niech mnie pan posłucha, jest tylko jeden sposób, żeby wygrał pan tę walkę. Niech pan atakuje jego lewy bok. Pies ma złamane żebro i to go osłabi.

Fèlix zastanawiał się, dlaczego ten człowiek daje mu rady sprzeczne z interesami szefa, ale pokiwał głową i stanął przed wejściem na wybieg.

Sprzątnięto już martwą małą. Pies warczał i szczekał z wściekłością uwięzionego lwa. Fèlix pomyślał, że dla niego każda śmierć byłaby dobra.

Rozległ się dźwięk dzwonka i wszedł na wybieg. Pies natychmiast rzucił się na niego i ugryzł go w nogę. „To samo zrobił w walce z małą”, pomyślał Fèlix. Uderzył nogą o kraty, żeby pozbyć się psa, który jednak nadal wbijał zęby w jego łydkę. Fèlix chwycił go za jedną łapę i pociągnął z całych sił, niemal ją wyrrywając. Potem uderzył psem o ziemię, kraty i jeszcze raz o ziemię. Pies wił się wściekły, próbując chwycić go zębami za rękę. Fèlix przytrzymał go stopą, ale foksterier wyslizgnął się i skoczył na niego, tym razem wgrzając mu się w ramię. Fèlix kręcił się wokół siebie, ale pies nie puszczał, więc rzucił się na ziemię, żeby przygnieść go ciężarem swojego ciała. Za pierwszym razem kły wbiły się jeszcze głębiej w jego ramię, ale za drugim razem pies go puścił. Fèlix odsunął się, ale foksterier nie pozwolił mu zebrać sił i rzucił mu się do brzucha. Psie kły niczym noże wbiły się we wnętrzności Fèliksa. Krwawił. Nagle przypomniał sobie o złamanym żebrowie psa. Złapał go za brzuch i mocno trzymał, ale zwierzę nie złagodziło uścisku szczęk i wciąż szarpało, powiększając jego ranę. Fèlix w desperacji – nie spodziewał się, że śmierć może być tak bolesna – położył się na brzuchu i przydusił psa z całych sił. Mocniej nacisnął jego lewy bok. Wtedy pies wydał z siebie skowyt. W końcu rozluźnił

szczęki i wycofał się w kąt wybiegu. Kiedy jednak Fèlix podszedł do niego, foksterier znów się rzucił, tym razem na jego twarz. Oślepiiony upadł na ziemię pokrytą suchym pyłem.

Z oddali słyszał krzyki, dźwięk dzwonka i słowa:

– Nie dotykajcie go. Zostawcie go. Nie ruszajcie.

Po dwóch dniach obudził się w małym pokoju w zajeździe.

– Niech się pan nie rusza, bo rana znów zacznie krwawić.

Przy łóżku stał mężczyzna o orlim nosie.

Fèlix zamrugał.

– Co tutaj robisz?

– Stracił pan przytomność, a ponieważ nie chciałem zostawiać pana na ulicy, dowiedziałem się, gdzie pan mieszka, przyniosłem pana tutaj i wezwałem doktora.

Po drugiej stronie łóżka stał drugi mężczyzna, ubrany w ciemny, dobrze skrojony surdut, ze wzrokiem wbitym w buteleczki, które otwierał, wachał i wkładał do torby.

– Ten człowiek uratował panu życie i mnie wezwał. Jestem doktor Butler. Rany nie są głębokie i jakimś cudem nie wdała się infekcja. Jeśli mogę wyrazić swoje zdanie, to następnym razem niech pan nie szuka tak bolesnej śmierci. Gdyby pies ugryzł pana dwa centymetry niżej, już byśmy nie rozmawiali.

Fèlix zamknął oczy.

– Cóż, teraz niech pan odpoczywa i zachowuje się odpowiednio. Jutro znów pana odwiedzę.

Doktor nie czekał na odpowiedź, bo uważał, że ludzie walczący ze zwierzętami są nieludscy i szkoda na nich marnować czasu. Ukłonił się, założył kapelusz, złapał za torbę i wyszedł z pokoju.

Mężczyzna o orlim nosie podał Fèliksowi kubek z wodą.

– Niech się pan napije. Dobrze to panu robi.

Fèlix wziął mały łyk, ponieważ bandaż na twarzy nie pozwalał mu otworzyć szerzej ust. Miał obolałe całe ciało, ale nagle przypomniał sobie, co go najbardziej boli.

– Miałem w kieszeni kawałek gazety... Moje spodnie... One są...

– Zostały z nich strzępy. Tam leżą. Jeśli ma pan na myśli kartkę z artykułem o ślubie, to leży na stole.

Calabuig mu ją podał.

Fèlix spojrział na zdjęcie. „Już nic nie da się zrobić”, pomyślał rozgoryczony.

– Śniły się panu koszmary i krzyczał pan wciąż jedno imię.

– Moje krzyki to nie pańska sprawa – wymruczał pod nosem.

Mężczyzna o orlim nosie opuścił głowę, wstał i chwycił marynarkę oraz kapelusz.

– Cóż, widzę, że już lepiej pan się czuje. Zostawiam pana samego.

Fèlix poczuł na sobie nagły ciężar. „Sam? Zostanę sam?”

– Nie, niech pan nie odchodzi. Proszę jeszcze trochę ze mną posiedzieć.

Mężczyzna się odwrócił, wbił wzrok w szare oczy Fèliksa i czując dziwne ukłucie w piersi, pomyślał, że lepiej odejść teraz niż wtedy, gdy będzie za późno. Włożył rękę do kieszeni i z całych sił ścisnął pensa, którego dostał od Fèliksa przed kilkoma dniami.

– Bardzo pana proszę – nalegał Fèlix.

Mężczyzna o orlim nosie ponownie usiadł i Fèlix po raz pierwszy mu się przyjrzał.

– Komu zatem zawdzięczam życie?

– Calabuig, Silveri Calabuig, do pana usług.

Bam!

Miquelet, Xicarró i Magí oddali jedzenie Ermínii, chwycili za broń i rzucili się w ślad za Calabuigiem, który oddalał się wielkimi krokami.

– Rozdzielmy się. Magí, ze mną! Miquelet i Xicarró na drugą stronę. Złapiemy go na Travessera!

Magí biegł zaraz za Jonàsem, ale cień Calabuiga zniknął szybciej niż odgłos jego kroków.

– Uważaj, Magí, nie wychylaj się!

Chłopak przywarł plecami do ściany. Jonàs wyjął pistolet i strzelił. Odgłos wystrzału odbił się echem. Słyszać było jęk. Po chwili kula przecięła powietrze blisko nich. Szli dalej, trzymając się blisko budynków. Jonàs usłyszał zbliżającego się Calabuiga. Kulał.

– Już po tobie, draniu! Poddaj się!

Ciszę przerwał śmiech.

Magí z trudem dostrzegł w mroku i mgle niebieską koszulę brata. Nie lubił poruszać się na oślep. Jedną ręką dotknął ściany, próbując się uspokoić.

Odgłos kroków ucichł. Jonàs odwrócił się do brata i położył palec na ustach.

– Nie ukryjesz się przed nami, tchórze! Gràcia jest naszym domem. Wszędzie cię znajdziemy.

Jonàs ruszył ostrożnie dalej. Magí szedł za nim, czując, że serce podeszło mu do gardła. Słyszał nieopodal czyjś głęboki oddech, jakby charczenie. Jonàs pokonał kilka kolejnych metrów.

Magí stracił z oczu jego koszulę i zawahał się, czy iść dalej. Zrobił do przodu jeden krok, dwa. Nagle z bramy ktoś wysunął rękę i go chwycił.

– Odejdź albo go zabiję. Przysięgam, że go zabiję!

Jonàs zatrzymał się i odwrócił zaskoczony.

Calabuig przyłożył Magíemu nóż do szyi.

– Spokojnie, tylko spokojnie!

Jonàs uniósł ręce, ale nie ruszył się z miejsca.

Calabuig miał zranioną nogę i wściekłe spojrzenie.

– Powiedziałem, że masz odejść, do diaska! I wyrzuć pistolet, daleko!

Magí się pocił i oddychał z trudem. Czuł, że ostrze noża zaczyna mu się wbijać w gardło.

Jonàs cofnął się, położył broń na ziemi i odepchnął ją nogą.

- Masz mnie! Jego zostaw!
- Ciebie? Nie bądź głupi! I co miałbym z tobą zrobić?
- Czego chcesz? Pieniędzy?

Jonàs przeszukał kieszenie. Wyjął jedyne trzy monety i rzucił je na ziemię z nadzieją, że wydadzą z siebie wystarczająco głośny dźwięk, żeby zaalarmować Xicarró i Miqueleta.

Calabuig zaśmiał się złośliwie.

Jonàs po raz pierwszy w życiu poczuł się nikim. Zwątpił w swoją siłę, w słowa, które przed chwilą wypowiedział, i w tę wojnę. Modlił się o powiew wiatru, o to, żeby Miquelet i Xicarró ich usłyszeli, o litość albo żeby czas się cofnął. „Zaklinam cię na wszystkie świętości, jeśli istnieje, Boże. Nigdy cię o nic nie prosiłem. Niech mnie zabije, ale uratuj mojego brata”, prosił w duchu.

– Wszyscy jesteście tacy sami. Nie potraficie żyć. Po co wam ta walka? Nikt wam za nią nie podziękuje. – Calabuig zamilkł na chwilę, a Magí poczuł, że zelżał ucisk noża na szyi. – Nikt niczego nie docenia. Lepiej odejść, bo nie warto ginąć. Pozwólcie mi skończyć to, po co tu przyszedłem, a obiecuję, że jemu nic się nie stanie.

Magí trząsał się, ale wiedział, że to była jedyna szansa. Wbił wzrok w brata, jakby chciał mu dać znać. Odwrócił się gwałtownie i złapał Calabuiga za rękę. Zaczęli się szamotać.

Jonàs rzucił się na ziemię, żeby wziąć swój pistolet.

– Odsuń się, Magí! Odsuń się!

Chłopak wykręcił ręce Calabuiga, próbując zabrać mu nóż.

– Mam go, Jonàsie. Już go...

Calabuig rozluźnił uścisk, opuścił rękę i szybkim ruchem uciął ostatnie słowa Magiego, który upadł na ziemię, trzymając się za brzuch. Nie dając Jonàsowi czasu na reakcję, Calabuig rzucił się na jego brata i rozpruł go jak prosiaka.

– Nie! – krzyknął Jonàs i chwycił za pistolet.

Calabuig spojrzał na niego z uśmiechem na twarzy. Wystarczył jeden celny strzał w głowę. Calabuig upadł.

Jonàs klęknął przy Magím, zaczął uciskać jego brzuch, próbując zatamować krew. Zatrzymać duszę.

– Magí!

Miał blade usta.

– Przykro mi...

Jonàs pokręcił głową i go objął.

– Nic nie mów, Magí.

Kołysał go i przytulał jego trzęsące się ciało. Obaj drżeli.

– Boję się, Jonàsie.

Mężczyzna zdusił w sobie krzyk rozpacz.

– Posłuchaj mnie, wyjdiesz z tego. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze!

– Będę czekał na ciebie, Jonàsie.

Jonàs otworzył trochę ramiona, żeby móc lepiej widzieć brata. Magí patrzył



na niego zamglonym wzrokiem, a z jego ust wypłynęła strużka krwi. Pozostali objęci, aż Magí – z sinymi ustami i pustym spojrzeniem – wydał z siebie ostatnie tchnienie.

Jonàs pozwolił mu odejść. Wstał z wysiłkiem, z oczami wypełnionymi łzami. Wziął zakrwawiony nóż, mocno ścisnął go w dłoni i pochylił się nad sztywnym ciałem Calabuiga, na którego twarzy zastygł uśmiech. Z nienawiścią zadawał ciosy w jego brzuch. A kiedy nie miał już siły, a gęsty zapach ciepłej krwi zaczynał go mdlić, usłyszał wołanie Miqueleta i Xicarró. Wtedy świat pogrążył się w żałobie, a Jonàs osunął się ciężko na ziemię i wydał z siebie przeciągły ryk.

Bam!

Ojciec Espina był rubasznym mężczyzną o mięsistych ustach, małych oczkach i drażniącym śmiechu. Marianna nigdy go nie lubiła, a z upływem lat stawał się coraz bardziej grubiański.

– Kobieta będzie wierna mężowi...

– Rozmawialiśmy już o tym wielokrotnie, ojcie Espino.

– Jeśli pani pozwoli, chciałbym nawiązać jeszcze raz do tej kwestii, pani Lledó.

Matka Boska z piety znajdującej się w kaplicy Casa Lledó trzymała w ramionach swojego syna. Marianna pierwszy raz zdała sobie sprawę, że ta kobieta jest kimś o wiele więcej niż symbolem odkupienia dla ludzi, jak tłumaczył jej ojciec Espina. W jej geście było widać nieukoiony ból.

Czasami Marianna obawiała się, że jeśli pozwoli, żeby dzień mijał za dniem, jeśli zapomni o obietnicach wyciętych na pniu lipy i przestanie zadawać sobie pytania, stanie się niemową albo zmieni się w marmurową rzeźbę jak ta pieta. Nikt by tego nawet nie zauważył. Marianna czuła, że była tylko jedną z ozdób tego wspaniałego domu pełnego obrazów, lamp i pięknych kwiatów.

Ojciec Espina chrząknął.

– Czy pani mnie słucha?

– Tak, oczywiście. Zawsze ojca słucham.

Duchowny odkaszlnął, chcąc zagłuszyć sarkastyczną odpowiedź Marianny.

– Jak już wspomniałem, żona ma również obowiązek dbać o męża pod każdym względem, którego będzie się od pani wymagać.

– Co dokładnie ma ojciec na myśli?

Ojciec Espina zwilżył swoje mięsiste wargi.

– Cóż, Jezus bardzo jasno pokazuje w swoich czynach i słowach, jak ważne jest życie, i w wielu fragmentach ewangelii możemy znaleźć wzmianki, nie, raczej nakaz prokreacji. Pobożny człowiek posłuszny jest boskim nakazom. Żona, która mniej rozumie te sprawy, powinna być posłuszna mężowi.

– A kto opiekuje się żoną, ojciec Espino?

– Oczywiście jej mąż. Chroni ją i stara się, żeby niczego jej nie brakowało. To jego obowiązek, a pani jest tego świadoma dzięki swojemu pobożnemu mężowi.

Marianna pokiwała głową i spojrzała na ręce, które złączyła na sukni z błyszczącego jedwabiu.

– A co Biblia mówi o miłości?

– Miłości? – Ojciec Espina się zawahał. – Miłość pojawia się z czasem. Bóg dba o ludzi, którzy są wytrwali i przestrzegają jego przykazań.

Marianna zebrała suknię i uklękła.

– Przepraszam, ojcze, ale chciałabym oddać się modlitwom, żeby przemyśleć to, o czym w swojej dalekowzroczności mi ojciec przypomniał.

Ojciec Espina uśmiechnął się z satysfakcją i pomyślał: „Będę mógł dzisiaj powiedzieć panu Marçalowi o poczynionych postępach”. Prężnym krokiem wyszedł z kaplicy.

Marianna złożyła ręce na piersi i przed Matką Boską o spojrzeniu pełnym nieukojonego bólu modliła się: „Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą. Pobłogosław też mnie. Błagam, Matko Boska, i daj mi krótkie życie. Amen”.

Tymczasem Bóg lub Matka Boska przeznaczyli dla niej inne rzeczy. Między innymi powrót Fèliksa.

Bam!

Lina dzwonu, którą przeciągnięto aż na taras na dachu budynku sąsiadującego z wieżą zegarową, pękła. Został tylko krótki, poszarpany kawałek. Marianna zastąpiła go innym sznurem, cieńszym, ale mocniejszym. Zawiązała supeł i zrzuciła sznur przez dziurę w podłodze, jego koniec sięgał ziemi. Byle nie poruszać dzwonem z dzwonnicy, która chwiała się i była ruiną.

Marianna patrzyła w dal. Armaty wciąż milczały, a mgła snuła się po ulicach. Na placu przed ratuszem leżał gruz i widoczne były ślady po bombach. W całości zachowały się tylko niskie budynki znajdujące się trochę dalej. Marianna rozpoznała w oddali fabrykę Lledó. Nie widać było na niej nawet jednego draśnięcia. „Kapitan generalny doskonale wiedział, co robi”, pomyślała i głęboko westchnęła. W dzwonnicy na wieży czuć było zapach spalonego prochu.

Nagle do Marianny dotarły jakieś krzyki.

Do wieży wpadła Ermínia z rozwianymi włosami.

– Marianno! Magí... Jonàs...

Marianna zbiegła po schodach i wpadła na nią.

– Co się dzieje, Ermínio? Mów, mów!

Kobieta zacisnęła usta i padła na kolana.

– Magí nie żyje.

Marianna potrząsnęła nią.

– To niemożliwe, Ermínio! Jest ranny?

Ermínia pokręciła głową.

Marianna wciąż nią potrząsała.

– To niemożliwe.

Ermínia uwolniła się z jej uścisku jednym szarpnięciem.

– Mówięci przecież, że nie żyje! Calabuig przedostał się na naszą stronę, ja

go rozpoznałam, a Jonàs, Magí i pozostali ruszyli za nim. Zabił go, Marianno! Calabuig go zabił!

Marianna cofnęła się kilka kroków, jakby to ją postrzelono. Uderzyła plecami o ścianę i osunęła się na ziemię. Nie mogła złapać powietrza, ale nie była pewna, czy chce oddychać. Dzwon, bomby, które znów spadały, wojna i wszystko inne przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Bam!

Marçal rzadko kochał się z kobietą. Zazwyczaj wybierał się w tym celu do Palauet. Ale nie... tego, co robił z Julieta, nie można nazwać kochaniem.

Odkąd pan Pacià oświadczył, że pokaże mu, jak funkcjonuje świat, długo tu nie przychodził.

Tego popołudnia, kiedy Marçal zasugerował Mariannie, że cielesne zbliżenie również należy do małżeńskich obowiązków, ta zamknęła się w pokoju, trzaskając drzwiami. Nie miał odwagi wejść do sypialni. Założył kapelusz, płaszcz i wyszedł z domu, pozdrowiwszy skinieniem głowy Àgatę, która wszystkiego się domyśliła.

Wściekłość zaprowadziła go aż do Rambli. Tam Marçal wsiadł do powozu w obawie, że ktoś mógłby go rozpoznać, wałęsającego się o tej porze.

– Do Palauet, proszę – rzucił do woźnicy.

Nie musiał nic dodawać. Wszyscy w Barcelonie wiedzieli, co to za miejsce. Marçala jednak nie pchały tam ani ciekawość, ani wspomnienia.

Kiedy drzwi otworzyła mu Julieta, poczuł, że przeszywa go dreszcz.

Od tego wieczoru chadzał tam raz w tygodniu.

W każdą środę po zjedzeniu kolacji z mistrzem Fabrą i omówieniu z nim wszystkich spraw dotyczących funkcjonowania fabryki Marçal szedł piechotą do pasażu Camps Elisis, a tam wsiadał do pierwszego lepszego powozu. Nie miał odwagi prosić o odwiezienie Ramóna, swojego woźnicę. Nie był pewien, czy było mu wstyd przed Marianną, czy przed samym sobą. W każdym razie środy były dla niego równie wyczekiwane, co irytujące.

Julieta nie należała do najładniejszych dziewczyn w Palauet. Miała skórę pokrytą piegami, zbyt duże oczy i mało kształtne usta. Ale pozwalała robić ze sobą wszystko. Idąc, poruszała zmysłowo biodrami, jakby pod halkami skrywała najcenniejsze skarby. Nosiła rozpuszczone kasztanowe włosy – lekko zmierzwiłone jak u niegrzecznej dziewczynki – i zamiast ubierać się w suknie w krzykliwych kolorach, przechadzała się po Palauet w prostej tunice z lnu bądź jedwabiu w kolorze białym, kości słoniowej lub malwowym. Nie potrafiła jednak odmówić sobie noszenia pierścionków; uwielbiała je we wszystkich kolorach i kształtach, pod warunkiem że były srebrne lub złote i ze szlachetnymi kamieniami. To były jej trofea za dobrze wykonaną pracę.

Po spędzonej z nią całej nocy Marçal podarował jej pierścień z topazem w kształcie łzy, kazał jej skropić się lawendową wodą jego żony i szeptać, że go kocha, dopóki nie usnął przytulony. To wydarzyło się tylko raz. Pozostałe ich spotkania były krótkie i intensywne.

Za każdym razem wszystko odbywało się według określonych zasad. Zawsze to Julieta otwierała mu drzwi, bo Marçal tak sobie zażyczył. Szli prosto do pokoju w głębi korytarza, ze ścianami pokrytymi czerwoną tapetą w czarne liście. Pomieszczenie nie było zbyt przestronne ani luksusowe, ale znajdowało się w najbardziej odosobnionym miejscu. Dziewczyna przed każdą jego wizytą musiała się perfumować lawendową wodą kolońską, nie mogła patrzeć prosto w oczy i pozwalała mu się bić. Nie za mocno, tylko trochę. A co najważniejsze, musiała błagać o przebaczenie i mówić, że go kocha.

W pozostałych kwestiach Marçal był taki jak pozostali klienci Palauet, chociaż na pewno bardziej hojny. Zawsze zostawiał jej duże napiwki, a oprócz pierścionka, w dniu, w którym złapał ją za szyję i niemal udusił, podarował jej złoty wisiołek ze szmaragdem.

Natomiast Julecie najbardziej podobało się w Marçalu to, że kochał swoją żonę.

Bam!

Znów lało jak z cebra, ale nie powstrzymało to wojska od ataku. Bomby spadały jedna za drugą.

Francisco Derch chronił się za barykadą u wylotu ulicy Major i cały czas zapewniał sam siebie, że to już nie potrwa długo. „Ci ludzie są głodni zwycięstwa!”. Obserwował powstańców. Stracił ponad dwudziestu i chociaż wciąż mieli w sobie tę samą wolę walki, zdawał sobie sprawę, że boją się śmierci. Ale Francisco Derch znał ich już wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że woleliby śmierć niż kapitulację.

Bam!

Zbliżył się do nich starzec z barretiną na siwych włosach.

– Jeden oddział żołnierzy kieruje się w stronę ulicy Tuset, za aleją Sant Miquel.

Francisco Derch wyprostował się i spojrzał w prawo. Przesłonił ręką oczy, ale w deszczu trudno było coś widzieć dalej niż do fontanny.

– Ilu naliczyłeś ludzi?

– Wydaje mi się, że dziesięciu lub dwunastu, może więcej. Nie potrafię powiedzieć dokładnie. Są dobrze uzbrojeni.

Francisco Derch pokiwał głową.

– Należysz do grupy pilnującej barykad po prawej stronie ulicy, prawda?

Mężczyzna wypiął dumnie pierś.

– Tak, proszę pana. Nazywam się Serafí i stoję na barykadzie od pierwszego dnia!

– Udało ci się odpocząć?

Mężczyzna opuścił ramiona.

– Kilka godzin.

– Iloma mężczyznami dowodzisz?

– Nie zostawiając barykady bez obrony, mógłbym mieć czterech lub pięciu.

Francisco Derch pokiwał głową.

– Dobrze. Potrzebowałbym dodatkowo dwóch.

Odwrócił się, słysząc krzyki dochodzące od ulicy Bonavista.

– Dranie! Komu z was przyłożyć? Nie powstrzymuj mnie, Miquelet! Niech się dowiedzą, kto umarł! Mój brat umarł! Przekłeta wojna, przekłete życie, przekłeta śmierć!

Bomba spadła blisko miejsca, z którego dochodził hałas. Uderzyła w budynek. Powstało zamieszanie. Krzyki jeszcze bardziej się nasiliły.

– Czego od nas chcecie? Tutaj jestem! Już idę! Zabijcie mnie!

Słychać było, że ktoś biegnie w stronę szanca.

Jonàs wrywał się Miqueletowi i Xicarrówi, którzy próbowali go powstrzymać, i rzucił się na barykadę. Chciał przez nią przejść, drogę ale drogę zagroziła mu grupa mężczyzn i kobiet.

Francisco Derch ruszył w ich stronę, a za nim podążył Serafí.

– Co pan rozkaże, bo jesteśmy pod ostrzałem i nie możemy tracić czasu? – zapytał.

Jonàs szamotał się, a wszyscy wokół starali się go zatrzymać.

– Zostawcie mnie, zostawcie mnie! Nie rozumiecie? Jesteście ślepi? Chcą nas wykończyć, wykrwawić, żebyśmy zapomnieli, kim jesteśmy!

Miquelet położył rękę na jego ramieniu.

– Proszę, Jonàsie... To nie był żołnierz...

Jonàs odwrócił się do niego z wściekłością.

– Nie, to nie był żołnierz, tylko płatny zabójca wynajęty przez tych, którzy mają nas za niewolników, ale chowają się za kapitanem generalnym. To był najemnik tych, którzy zakładają nam pętlę na szyję, udając pobożnych chrześcijan, wykupują swoich synów z losowania i nigdy nie dotknęli broni. Śmieją się pod nosem z naszego buntu. Kogo obchodzą mężczyźni, skoro kobiety są tańszymi robotnicami? Ten człowiek nie był żołnierzem, tylko wysłannikiem śmierci, który udowodnił nam wszystkim, że jesteśmy nikiem! – Wyciągnął rękę, jakby dzierżył w niej pistolet, i wycelował w Miqueleta. – Bum! I już cię nie ma. I kto o tobie będzie pamiętał? I kto teraz wspomina biednego Magiego, który jeszcze tam leży? Idźcie go opłakiwać. Psiakrew! Opłakujcie go, opłakujcie mojego brata!

Xicarró położył rękę na jego ramieniu.

– Wszyscy go opłakujemy, Jonàsie...

Jonàs zgarbił ramiona, a Xicarró objął go i uwolnił z uścisku. Jonàs zamknął oczy i osunął się na ziemię.

Bam!

Francisco Derch podszedł do nich.

– Drogi przyjacielu, zwycięstwo nie jest jeszcze przesądzone...

Jonàs wydawał się jak obudzony z letargu.

– Może dla pana, ponieważ nie ma pan pewności, czy ktoś zechce pana na burmistrza, kiedy to wszystko się skończy. Jednak zapewniam, że dla mnie jest bardziej niż przesądzone.

Francisco Derch powiedział ciszej:

– Przykro mi z powodu twojej straty. Zaraz pošę kilku męczyzn, żeby zanieśli ciało twojego brata do ratusza, aby się nad nim pomodlono.

Jonàs opuścił wzrok. Deszcz się wzmagał, a strugi chłostały ich po twarzy z siłą, z jaką Jonàs chciałby okładać pięściami cały świat. Wiatr gwizdał między barykadami a zrujnowanymi budynkami. Jonàs przypomniał sobie ostatnie słowa brata: „Będę czekał na ciebie, Jonàsie...”.

Serafí chrząknął, żeby o sobie przypomnieć.

– Przepraszam, ale czekam na pańskie rozkazy. Jak już mówiłem, grupa żołnierzy podąża w kierunku ulicy Tuset i nie możemy ryzykować, że zaatakują nas od strony Travessery.

Francisco Derch westchnął głęboko.

– Tak, potrzebujemy więcej ludzi z doświadczeniem.

Wyprostował się, położył rękę na ramieniu Jonàsa i przemilczał wszystkie słowa, których nie potrafił wypowiedzieć w tej chwili, ponieważ byłyby bezużyteczne i nie przyniosłyby ulgi, a potem odszedł.

Jonàs podniósł wzrok, czując, jakby to Magí położył rękę na jego ramieniu.

– Potrzebujecie więcej ludzi?! – zapytał.

Francisco Derch odwrócił się.

Jonàs wstał.

– Ludzi gotowych na wszystko?

Przywódca powstańców przyglądał się jego niespokojnym oczom.

– Nie. Potrzebuję ludzi, którzy nie szukają śmierci.

Jonàs opuścił głowę i pomyślał, że już ją poznał, więc nie musi jej szukać.

– Proszę.

– Jesteś tego pewien?

Jonàs pokiwał głową.

– Nie będę szukał śmierci, jeśli mogę się do czegoś przydać.

Francisco Derch odwrócił się do Serafiego.

– Grupie będzie przewodził Jonàs. Ty i twoi ludzie będziecie pod jego rozkazami.

Serafí schował dumę do kieszeni. W obliczu śmierci nie warto było dyskutować. Ukłonił się i pobiegł po swoich ludzi.

Xicarró podszedł do Jonàsa.

– Ja też idę.

– I ja – stwierdził Miquelet.

Jonàs wziął głęboki oddech, otarł deszcz z twarzy i poczuł, że Magí też jest z nimi.

Bam!

Marianna jakby usłyszała jego głos. Ten sam, który ją kiedyś prosił: „Ucieknij ze mną”. A później ją opuścił. Minęły trzy lata, dwa miesiące i cztery dni. Liczyła każdy dzień od rozstania.

Nagle wyraźniej usłyszała jego głos i Àgatę:

– Pan jest w fabryce, a pani w pokoju muzycznym.

Marianna zerwała się i pobiegła na paluszkach do drzwi służby, zza których znów dotarł do niej głos gospodyni.

– Przepraszam, sądziłam, że jest tutaj. Może poszła się przebrać przed kolacją.

Znowu usłyszała jego głos. Nie miała już wątpliwości.

– W takim razie idę do pokoju na piętrze.

– Poproszę, żeby zanesiono tam pana bagaże.

Marianna wstrzymała oddech. Trzęsły się jej ręce. Starła się uspokoić i powstrzymać drżenie.

Nieco później do jadalni weszła Ermínia i zwróciła się do Marçala i Fèliksa, którzy czekali na kolację:

– Pani prosiła, żebym przeprosiła w jej imieniu, ale nie czuje się dobrze i nie zejdzie na kolację.

Spojrzenie Fèliksa, którego oczy przez lata z szarych zmieniły się w ołowiane, spochmurniało. Marçal, przyglądając się bratu ukradkiem, uśmiechnął się triumfalnie, ponieważ wiedział, że wygrał.

– Co się z tobą działo przez te lata, Fèliksie? Gdzie byłeś?

– Trochę tu, trochę tam.

Marçal spróbował rosółu i chociaż nie za bardzo mu smakował, zjadł całą porcję.

– Przez ten czas nie mieliśmy od ciebie żadnych wiadomości. Kiedy zmarł dziadek, nie wiedziałem, dokąd posłać powiadomienie.

Fèlix wziął mały łyk wina.

– Pewnie szukałeś mnie po całym świecie. Na szczęście przeczytałem nekrolog w gazecie. – Dał znak służącemu, żeby dolał mu wina. – Widzę, że nieźle ci się powodzi...

Marçal wypiął pierś.

– Nie narzekam. Powiększamy fabrykę, kupiliśmy tereny nad rzeką Ter. Energia jest dla nas kluczową sprawą i wydaje się, że woda może z powodzeniem zastąpić węgiel. Towar będziemy rozwozić koleją.

– Rozumiem... Świetnie dajesz sobie radę.

– Cóż, pomaga mi w tym mistrz Fabra, a do niedawna robił to dziadek.

Podano drugie danie – tournedos z polędwicy wołowej i pieczone ziemniaki. Fèlix cmoknął z przekąsem.

– Tak, śmierć dziadka jest wielką stratą. Szkoda, że nie mogłem uczestniczyć w jego pogrzebie i ominął mnie ten cały cyrk.

Marçal odłożył sztućce.

– Proszę cię o okazanie odrobiny szacunku przy tym stole.

Fèlix wbił w brata wzrok. Przeszywające spojrzenie odziedziczył po pani Consol. Marçal opuścił głowę ukłuty poczuciem winy, a może nie mogąc wytrzymać nienawiści bijącej z oczu Fèliksa.

Mijały dni, a Marianna nie opuściła swojej sypialni. Każdego wieczoru

Ermínia przekazywała od niej przeprosiny. Po dwóch tygodniach Fèlix nie wytrzymał i postanowił pójść do niej.

– Ani się waż. To mój dom, a Marianna jest moją żoną! – zawołał Marçal, stojąc u podnóża schodów.

Fèlix zatrzymał się w połowie drogi.

– Może to jest twój dom i może się ożeniłeś, ale zapewniam cię, że Marianna nigdy nie będzie twoja.

Marçal przeskoczył dwa stopnie.

– Ona już jest moja. Posiadłem ją i mam zamiar robić to dalej – wypowiedział wyraźnie każde słowo, żeby brat zrozumiał ich znaczenie. – Jeśli nie chcesz opuścić tego domu na zawsze, wróćmy do stołu i zjedźmy kolację, jakby nic się nie stało.

Kupując w Londynie bilet do Barcelony, Fèlix postanowił, że już nigdy nie opuści rodzinnego domu.

Zszedł ze schodów i poszedł za Marçałem, który z wysoko uniesioną głową, chociaż z zaciśniętymi pięściami, wrócił na swoje miejsce u szczytu stołu.

Marianna obiecała sobie, że nikt już nie pograży jej w rozpacz. Teraz zdawało jej się, że traci grunt pod nogami, a ściany pokoju za chwilę runą. Wahala się i zastanawiała, co zrobić. Wstydziła się swojej słabości, ale nie była w stanie pokonać pragnienia, żeby go zobaczyć.

Pewnego dnia zdecydowała, że zejdzie do jadalni, postara się na niego nie patrzeć i nie rozmawiać z nim. Kolacja minęła w całkowitym milczeniu. Marianna nie miała odwagi niczego mu wypominać, bo bała się usłyszeć odpowiedzi.

Takie milczenie trwało miesiącami. Do wiosny.

Nie pamiętała od lat tak intensywnego zapachu lipy. Podeszła do okna wychodzącego na ogród i je otworzyła. Przez chwilę słodka woń przeniosła ją myślami do pewnego leniwego popołudnia przed wieloma laty, jakby nic się nie wydarzyło, jakby wciąż potrafiła marzyć i wpatrywać się w chmury.

Odwróciła się do Fèliksa, który siedział z poważną miną na kanapie i przeglądał gazetę.

Marianna westchnęła głęboko, opuściła wzrok i wróciła do haftowania poduszki.

– Nie wiem, o której godzinie dzisiaj zjemy kolację. Z powodu protestów w fabryce Marçal wraca później niż zwykle.

– Tak, to trudna sprawa.

Położyła tamborek na spódnicy.

– W tym domu nigdy nic się nie dzieje. Nie ma ani łatwych, ani trudnych spraw.

Rozmawiali ze sobą po raz pierwszy od powrotu Fèliksa.

Mężczyzna opuścił gazetę.

– Dlaczego tak rzadko się pokazujesz?

– A gdzie mam wyjść?



– Poznawać świat...

Marianna wybuchnęła śmiechem.

– Według ojca Espiny kawiarnie nie są odpowiednim miejscem dla pobożnej damy. Ani kawiarnie, ani sklepy. Jedynie pozwala mi wyjść na drobne zakupy, a krawcową muszę sprowadzać do domu. Według niego świat pełen jest zdeprawowanych ludzi.

Fèlix wstał, kilkakrotnie obszedł pokój i ośmielił się usiąść na drugim krańcu kanapy, na której siedziała Marianna. Kobieta znów skoncentrowała się na haftowaniu, które w rzeczywistości w ogóle jej nie obchodziło.

– Dlaczego nie porozmawiasz o tym z Marçalem?

– Ach, z Marçalem! Nie bądź naiwny, Fèliksie. Sądzisz, że te wszystkie ograniczenia są tylko wymysłem ojca Espiny? – Zamilkła i przełknęła ślinę. – W każdym razie nie powinnam była ci o tym mówić. Zapomnij, proszę...

– Pamiętasz tamto popołudnie pod lipą?

Marianna nie miała odwagi na niego spojrzeć.

Fèlix usiadł bliżej niej.

– Pamiętasz, co nam mówił profesor?

Spoglądali na siebie przez chwilę, bez żalu, bez strachu, jakby cofnęli się w czasie. Marianna uśmiechnęła się. Od dawna tego nie robiła. Fèlix przysunął się jeszcze bliżej.

– Dzięki marzeniom moglibyśmy mieć wszystko, czego chcieliśmy.

– Byłoby cudownie, gdyby marzenia się spełniły... Może nigdy nie chcieliśmy niczego wystarczająco mocno.

Fèlix się zamyślił.

– Nie wydaje mi się, Marianno.

Kobieta opuściła wzrok i oblała się rumieńcem. Owinęła wokół palca i rozwinęła nić do haftowania, jakby rozplątywała wątki z przeszłości.

– Uważasz, że można zmienić myśli? Życie? – zapytała szeptem.

Fèlix skierował wzrok w stronę okna. Czerwone światło zachodzącego słońca barwiło pokój na różowo, a powietrze wydawało się wypełnione ich wspomnieniami, uczuciami i myślami.

– Nie wiem. Być może. – Odwrócił się do niej i patrzył na nią znów takimi samymi szarymi oczami jak przed laty. – Marianno, jeśli nie byłoby Marçala... Gdybyśmy byli sami...

Nagle otworzyły się drzwi, a w nich stanął Marçal i oparł się o framugę. W ich szepcie wyczuł uczucie, którego on nigdy nie doświadczył.

– Widzę, że świetnie się bawicie! Nie obchodzą was nawet protesty w fabryce!

Wszedł do pokoju pewnym krokiem i stanął przed Marianną. Pochylił się nad nią i patrząc na Fèliksa, pocałował ją w czoło.

– Kochanie, zdaje mi się, że ojciec Espina chciałby zamienić z tobą kilka słów.

Marianna zamknęła oczy.

Fèlix wykonał taki gest, jakby chciał postawić się bratu, ale ona powstrzymała go wzrokiem, westchnęła, odłożyła tamborek i wstała.

– Może pewnego dnia, mój drogi, zdobędziesz się na odwagę, żeby sam mi powiedzieć to, co ojciec Espina próbuje mi przekazać.

Marçal nie zdążył odpowiedzieć, tylko spojrzął za odchodzącą żoną i kipiał z wściekłości. „Przeklęty Fèlix! To wszystko jego wina!”, pomyślał.

– Powinniśmy porozmawiać jak bracia.

– Jak zawsze pozostaję do twojej dyspozycji, Marçalu.

– Dobrze wiesz, że sprawy w fabryce zaczynają się komplikować. Robotnicy są niezadowoleni, a to hamuje rozwój.

– Tak, coś o tym słyszałem.

Marçal założył ręce do tyłu i zaczął krążyć po pokoju.

– Pomyślałem, że skoro dobrze znasz Anglię, mógłbyś tam wrócić i podpatrzeć nowe metody organizacji w tamtejszych fabrykach.

Zapadła cisza.

– Słucham?

– Anglicy są bardziej postępowi w każdej dziedzinie. Obecnie rozwijają model fabryk, w których zapewniają mieszkania, a nawet edukację dla dzieci robotników. Ktoś powinien tam się udać i zbadać ten temat. Sam rozumiesz, że ja nie mogę tego zrobić, ponieważ muszę pilnować fabryki tutaj. Ty mógłbyś pojechać i przynajmniej w ten sposób wnieść wkład w luksusowe życie, które ci zapewniam.

Fèlix wstał i zbliżył się do brata na odległość pięści, tak jak robiła to pani Consol, kiedy musiała się postawić panu Pacià.

– Jeśli masz problemy z żoną, to tylko dlatego, że wsadziłeś nos w nie swoje sprawy, Marçalu. Nie jesteś jednak dziadkiem i nie uda ci się mnie pozbyć.

Marçal uśmiechnął się krzywo.

– Uspokój się! Zawsze prosiłeś dziadka o jakieś zajęcie w fabryce. Teraz ja ci je proponuję. Dobrze ci się żyje w tym domu, prawda? Wszyscy musimy pracować na sukces rodziny.

– Tak, mieszkam tutaj, ponieważ należę do tej rodziny. – Fèlix wbił wzrok w Marçala. – Poza tym z tego, co mi wiadomo, do tej pory nie udało ci się spłodzić potomka. Lepiej więc zacznij się przejmować dobrym imieniem rodziny i przedłużaniem rodu, ponieważ bardzo prawdopodobne, że kiedy umrzesz, wszystko przejdzie w moje ręce.

Marçal nie mógł dłużej powstrzymać słów, które cisnęły mu się na usta.

– Kiedy umrę? Tego właśnie chcesz? Żeby umarł i zszedł wam z drogi? – Po raz pierwszy w życiu poczuł w sobie taką wściekłość, że chyba byłby zdolny zabić. – Pamiętaj tylko, że jeśli umrę przed tobą, do końca życia będę się pojawiał w twoich snach.

Fèlix wziął gazetę i spokojnie ruszył w stronę drzwi.

– Przypuszczam, że gdybyś umarł, miałbym tyle rzeczy do uczczenia, że nie znalazłbym czasu, żeby o tobie myśleć – rzucił na odchodnym.

Marçal opadł ciężko na kanapę, zaciskając pięści. Różowy zachód słońca powoli zmieniał się w mrok. Mężczyzna wstał i zamknął okno. Nienawidził tego słodkiego zapachu lipy.

Bam!

Fèlix podskoczył na krześle, kiedy nagle rozległo się pukanie do drzwi. Na kartkę spadła kropla atramentu. Będzie musiał zacząć pisać list od nowa.

– Otwarte! – zawołał z niechęcią.

– Przepraszam, panie Lledó.

– Jeśli dobrze pamiętam, powiedziałem, żeby nikt mi nie przeszkadzał, Àgato.

Gospodyni zawahała się, rozglądając się niepewnie po pokoju.

– Proszę o wybaczenie, ale przyniesiono dla pana pilną wiadomość od kapitana generalnego księstwa Katalonii i pomyślałam, że...

– Ach, tak, tak. W takim wypadku wejdź, proszę, i zostaw mi ją na barku. Zaraz ją przeczytam.

Àgata położyła list obok karafek.

Fèlix wstał.

– Czy masz może jakieś wieści od Calabuiga? Przysłał jakąś wiadomość?

– Nie, proszę pana.

Fèlix pokiwał głową. Àgata wciąż stała, ściskając za plecami ręce. A on patrzył na nią rozdrażniony.

– Coś jeszcze?

Àgata schowała ręce pod fartuch.

– Tak, zastanawiałam się... Nie chciałabym się wtrącać, ale czy przypadkiem wie pan coś o pani Mariannie?

Fèlix uniósł wzrok. Gospodyni wytrzymała jego spojrzenie.

– Wiesz o wszystkim, prawda?

Àgata stała nieruchomo.

Fèlix cmoknął.

– Wiem tylko, że żyje.

Àgata odetchnęła z ulgą.

– Dziękuję, proszę pana.

Gospodyni ukłoniła się nieznacznie i wyszła, modląc się: „Boże mój, miej ją pod swoją opieką”.

Kiedy kroki służącej ucichły, Fèlix podszedł do barku, odkorkował karafkę i nalał koniaku do szklanki. Ujął kopertę i ją otworzył. Światło stojącej na biurku lampy naftowej łagodziło ogromne cienie, które rzucały na ściany płomienie z kominka.

Z przyjemnością informuję pana, że w dniu jutrzejszym, czyli w sobotę 9 kwietnia o godzinie 5 rano, po kilku dniach chwalebного oporu, jaki wojsko stawiało powstańcom Gràcii, rozpoczniemy atak.

Pański troskliwy przyjaciel

Eugenio de Gaminde

kapitan generalny księstwa Katalonii

Fèlix zgniótł list i wrzucił go z wściekłością do ognia. Kopnął niezadowolony w barek. Kryształowa karafka spadła i rozbiła się na drobne kawałki. Fèlix zobaczył swoje odbicie w każdym z nich. Wydawało mu się, że słyszy ostrzegawczy głos: „Jeśli jej nie uratujesz, stracisz ją na zawsze”.

Bam!

Ermínia weszła do biblioteki i zamknęła za sobą drzwi.

– Myślę, że coś dla mnie masz – odezwał się Fèlix i zbliżył się, nie odrywając od niej swojego ołowianego wzroku. Uśmiechnął się.

Ermínia poczuła zimny dreszcz na plecach. Mężczyzna poruszał się z elegancją, uważając na każdy kolejny krok, jakby w bibliotece za regałami uginającymi się od książek, których prawie nikt nie czytał, siedzieli widzowie obserwujący spektakl. Ermínia patrzyła na niego z podziwem.

– Na co ci to? – zapytała chłodno. W zależności od uzyskanej odpowiedzi cena zmalałaby lub wzrosła.

Fèlix cmoknął.

– Nie twoja sprawa.

– Moja, jeśli chcesz, żebym ci to dała.

Kobieta usłyszała głos matki: „Nie zakochuj się, Ermínio, bo stracisz siłę, a pewnego dnia musisz stać się silna. Ermínio Perfecto Collado, musisz się zemścić za to, co nam zrobili. Obiecuj mi to!”.

Fèlix był tak blisko niej, że Ermínia poczuła na ustach jego ciepły oddech. Zapach cedrowych perfum i dymu drogich cygar ją onieśmielił. Cofnęła się o krok. Pierwszy raz pan wezwał ją do biblioteki przed trzema miesiącami pewnej ciepłej letniej nocy.

Podczas kolacji Fèlix i Marçal się kłócili. Fèlix rzucił kieliszkiem o podłogę, a Marçal wygrażał mu pięścią. Marianna uciekła do swojego pokoju. Marçal ruszył w ślad za nią i po chwili wymuszone skrzypienie małżeńskiego łóża rozbrzmiewało po całym Casa Lledó.

Fèlix zadzwonił po Ermínię i poprosił o coś na ukojenie cierpienia.

– Najmocniejszy trunek, jaki znajdziesz.

– Mamy brandy.

Fèlix się uśmiechnął.

– Doskonale. Brandy wiąże się ze wspaniałymi wspomnieniami.

Wbił w nią błyszczące oczy.

Tej nocy Fèlix zatopił się w nią, jakby tylko oni dwoje pozostali na świecie. Ale na sam koniec, kiedy poczuł rozkosz, z uśmiechem wypowiedział imię innej kobiety.

Potem ich nocne spotkania powtarzały się coraz częściej. Podczas jednego z nich Fèlix poprosił ją o ryzykowną przysługę, a ona się zgodziła, bo miała nadzieję, że może wtedy ją pokocha.

Fèlix stał przed nią, pieścąc jej usta oddechem.

– Nie igraj ze mną, Ermínio. Wiesz, że tego nie lubię.

Pocałował ją w policzek, a potem w kącik ust.

Ermínia poczuła w piersi drżenie, ale stała nieruchomo z zaciśniętymi pięściami, słysząc w głowie nieznośny szept matki: „Ermínio Perfecto Collado, obiecałaś mi!”.

Fèlix dalej ją całował i odgarniał kosmyki, które wysunęły się spod jej czepka. Chwycił ją w talii, a potem przesunął rękę na pośladek i ścisnął go mocno.

Ermínia odsunęła się od niego, aż plecami dotknęła drzwi.

– Nie, Fèliksie, zostaw mnie.

On jednak oparł się o nią całym ciężarem, położył jej jedną rękę na policzku, a drugą chwycił za szyję. Potem rozluźnił uścisk i przesunął dłoń na dekol. Przez materiał fartuszka pieścił jej okrągłe, obfite piersi. Ermínia starała się powstrzymać jęk rozkoszy. Drżały jej kolana. Wciąż zaciskała pięści i myślała: „Wiem, matko, wiem!”.

– Nie, Fèliksie, nie tym razem!

Mężczyzna znów zaczął ją całować i się uśmiechać.

Ermínia pokręciła głową.

– Wszystko ma swoją cenę i wiesz o tym.

Fèlix podniósł jej spódnice.

– Cenę? Co dokładnie masz na myśli?

– To, czego chcesz.

– Przecież już to dostałem i nigdy nie protestowałaś.

Nie odsunął się od niej nawet na centymetr. Powoli się pochylił, wciąż wpatrując się w jej oczy. Służąca odwróciła twarz od niego i próbowała zagłuszyć słowa matki, które słyszała w swojej głowie: „Nie, Ermínio, w ten sposób niczego nie osiągniesz!”.

Fèlix włożył rękę między uda Ermínii, ściągnął jej bieliznę i wcisnął palec głęboko w jej wnętrze. Kobieta oparła się o drzwi i schowała dłonie w jego kręconych włosach. Widmo matki powoli rozpląnęło się w powietrzu.

Fèlix się wyprostował, wyczuwając, że Ermínia stała się wilgotna, rozpiął spodnie, poprowadził jej rękę do rozporoka i znów ścisnął ją za pośladki.

– Czy coś mówiłaś, Ermínio? O jakiej cenie wspomniałaś? – szeptał, liżąc wewnętrzną część jej ucha i jęcząc.

Złapał ją za pośladki i w nią wszedł. Na korytarzu rozbrzmiewały uderzenia w drzwi, jednak poza Àgatą nikt nie zwracał na to uwagi.

Po wszystkim Fèlix wytarł się chusteczką, podciągnął spodnie i włożył w nie białą koszulę.

Ermínia – poplamiona spermą, ponieważ Fèlix zawsze pod koniec z niej wychodził – podciągnęła pończochy, poprawiła gorset i spódnice. Znów usłyszała głos matki: „Nie rozumiesz, że tak nigdy go nie zdobędziesz?”.

Fèlix odgarnął włosy z czoła, odsunął się od niej i wyjął z kieszeni papierośnicę.

– Gdzie to masz?

Ermínia włożyła rękę do kieszeni i wyjęła z niej skórzaną sakiewkę przewiazaną sznurkiem. W głowie huczał jej głos: „Nie dawaj mu tego, Ermínio, nie dawaj mu tego”. Ale matka przecież nie żyła od wielu lat.

Fèlix usiadł w jednym z foteli i zapalił.

Ermínia przybliżyła się do niego.

– Starucha zapewniła, że w mniejszej dawce jest mniej skuteczny, ale jedna duża dawka działa natychmiastowo. Do czego ci to potrzebne, Fèliksie?

– Sama powiedziałaś, że do miasta przybyła kobieta, która twierdzi, że jest w stanie zaczarować serca i usunąć duchy. Tego właśnie chcę. – Fèlix wyrwał jej sakiewkę. – Usunąć duchy – powtórzył. Schował woreczek do kieszeni surduta i wręczył Ermínii trzy monety. – Masz, kup sobie ładną sukienkę i coś, co ci sprawi przyjemność.

Kobieta poczuła w palcach zimny dotyk złota. Zamknęła dłoń, ukrywając w kieszeni monety i chęć, żeby rzucić mu je w twarz. Ostatecznie schowała je do fartucha i odwróciła się, żeby odejść.

Fèlix wypuścił wąski kłęb dymu.

– Tak przy okazji, od dzisiaj zwracaj się do mnie per pan Lledó.

Ermínia wyszła, zatraskując za sobą drzwi.

Bam!

Zapadła noc. Bombardowanie ustało, ustępując miejsca niepokojącej ciszy i pustce zwiastującej koniec.

Francisco Derch myślał o kobiecie o modrym spojrzeniu. Nie mógł o niej zapomnieć.

– Nie ma już bandaży, spirytusu ani czystej wody – powiedziała. – Bez nich nie pomogę rannym. Bicie w dzwon jest jedyną rzeczą, która może opóźnić wejście wojska i dać czas ludziom na ucieczkę.

Bam!

Marianna miała rację. Tylko dzwon nie przestawał bić, niestrudzenie jak serce, które mimo nieszczęść pompowało krew, dając życie. Wiedząc jednak, że to Marianna pociągała za sznur, wystawiając się na niebezpieczeństwo, Francisco Derch wolałby, żeby dzwon zamilkł.

Bam!

Ale absolutna cisza oznaczałaby, że wszystko się skończyło. Nie byłoby już nadziei nawet na ostateczny strzał łaski.

Mężczyzna wychylił się zza barykady i patrzył w stronę alei Sant Miquel. Brakowało tam ludzi do obrony. Dał im kilka godzin na odpoczynek, ale wielu już nie wróciło. Zastanawiał się, co się stało z grupą mężczyzn, która ruszyła w kierunku ulicy Tuset. Może wykorzystali sytuację i zbiegli do Sarrià?

Bam!

Francisco Derch usłyszał odgłos zbliżających się kroków. Odwrócił się. Ulicą Major szło czterech mężczyzn. Pierwszy, sapiąc, podbiegł do niego Jonàs.

– Udało nam się zmusić ich do odwrotu! Ale wróć!

Francisco Derch doskonale rozumiał znaczenie tych słów. To już koniec.

– Jakież straty?

– W ludziach. Dwóch martwych i trzech rannych.

Francisco Derch patrzył przed siebie, westchnął, po czym odwrócił się do Jonàsa, Miqueleta, Xicarró i ocierającego pot z czoła mężczyzny, który również wyszedł cało z potyczki.

– Gratuluję wam, panowie! Świetna robota. Możecie odejść i odpocząć.

Jonàs zrobił krok do przodu.

– Co pan powiedział?

Francisco Derch pokiwał głową.

– Idźcie do domu. Zasługujecie na odpoczynek.

– Nie po to patrzyłem, jak mój brat umiera, żeby teraz tak po prostu wrócić do domu.

– Wiem. Przykro mi, że nie mogę zrobić nic więcej.

– To znaczy, że się poddajemy?

– Nie, ale koniec jest bliski i powinniście o tym wiedzieć. Ratujcie się.

Jonàs spojrzał na Miqueleta i Xicarró.

– Wiemy o tym od pierwszego dnia powstania. Nigdy nie twierdziliśmy, że wygramy, walcząc przeciwko całej armii. Chcieliśmy tylko, żeby rządzący nas wysłuchali.

Francisco Derch opuścił głowę.

– Byłem bardziej naiwny. Miałem nadzieję na wygraną.

Jonàs wypiął pierś.

– Pewnie tej wojny nie wygramy, ale zyskaliśmy coś ważniejszego: wiemy, że możemy zmienić świat i że mamy władzę.

Francisco Derch przypomniał sobie, jak Jonàs wołał: „Psiakrew, opłakujcie go, opłakujcie mojego brata!”.

– Czy było warto?

Jonàs wzniósł oczy do nieba.

– Pewnych rzeczy nie robi się dlatego, że są tego warte, ale dlatego, że inaczej rozsada człowieka od wewnątrz.

Francisco Derch przełknął ślinę.

– Idźcie odpocząć albo uciekajcie, jeśli chcecie.

Jonàs pokręcił głową.

– Nie, żaden z nas nie ma gdzie się ukryć. Niech pan wyda odpowiednie rozkazy. My będziemy pana osłaniać i bronić sprawiedliwości, dopóki starczy nam sił. To da wam czas.

Francisco Derch wiedział, że żadne łyzy nie zmyją tak wielkiego cierpienia.

Bam!

# Dzień siódmy

Sobota, 9 kwietnia 1870 roku

I to, że z tobą i ze mną nie jest tak źle,  
jakby mogło być, jest w połowie zasługą tych,  
którzy wiernie przeżyli swoje życie w cieniu  
i spoczywają w nieodwiedzanych grobach.

George Eliot<sup>5</sup>

DIARIO DE BARCELONA

Około szóstej trzydzieści rano rozpoczął się ostrzał armatni powstańców w Gràcii. Działa ustawiono przy fontannie w pasażu Camps Elisis oraz na wysokości klasztoru Małych Sióstr Ubogich. O dziewiątej batalion przy fontannie wstrzymał atak, który kontynuowano w innych miejscach, i do walki przystąpili strzelcy rozmieszczeni w budynku rodziny Salamanca, wznoszącym się po lewej stronie ulicy, i z domu rodziny Vilaró, mieszczącego się po prawej.

Na odcinku od alei Gràcia do ulicy Bonavista powstańcy od czasu do czasu odpowiadali wojsku ogniem [...]. Może to świadczyć o tym, że w budynkach na ulicy Major pozostało mało ludzi, schowali się lub oszczędzają amunicję, której najwyraźniej zaczyna brakować powstańcom, biorąc pod uwagę, że pociski, które udało się zebrać, okazały się odkształconymi kawałkami żelaza bądź ołowiu. Dzwon wciąż bije na alarm, chociaż bez wątplenia wczoraj dosięgła go kula, ponieważ jego dźwięk stał się matowy. Na podstawie naszych obserwacji domyślamy się, że powstańcy stawiają słaby opór, kiedy dojdzie do ostatecznego ataku. Oby Bóg nas wysłuchał i nie doszło do przelania krwi, aby położyć kres temu niefortunnemu konfliktowi!

„Diario de Barcelona”

Barcelona, 8 kwietnia 1870 roku, wydanie popołudniowe

Bam!

Ermínia zasnęła kilka godzin temu. Jeśli w ogóle można było brać pod uwagę czas. Marianna liczyła tylko uderzenia dzwonu. Od kiedy Ermínia usnęła, było ich sto siedemdziesiąt sześć. Od wybuchu ostatniej bomby – dwieście sześćdziesiąt cztery. Od kiedy dowiedziała się o śmierci Magiego – tysiąc osiemdziesiąt trzy.

Przez cały dzień pociągała za sznur, który zaczął się wycierać i ranił skórę na jej dłoniach.

Uderzenia dzwonu odbijały się echem od murów popękanych od bomb. Podłoga w wieży zegarowej była wilgotna. Ermínia leżała w kącie z głową ukrytą w ramionach. Nalegała, że powinna zmienić Mariannę, ale ta nie



chciała o tym słyszeć. Nie dlatego, że była odważna, ale raczej ze strachu. Kiedy człowiek ma coś do zrobienia, nie czuje lęku, wspomnień czy ciężaru życia. „Jestem mężatką, Fèliksie. Nie zapominaj o tym”.

Bam!

Marianna usłyszała odgłos kroków, krzyki i rozkazy. Wychyliła się, żeby zobaczyć, co się dzieje. Z ratusza ewakuowali rannych i kładli ich na wóz ciągnięty przez starą mulicę. Marianna rozpoznała: syna piekarza, wciąż poważnie chorą Angelinę, Elviretę, Ricarda, Dolores i Martonę, Remei Mas i Roberta z Cal Barber. Poza nimi byli jeszcze trzej nieznani jej mężczyźni. To zaledwie garstka osób. Pozostali ranni byli zdani na los jak inni powstańcy. „Na śmierć. Z Magím. Z nami”, pomyślała Marianna.

Schowała się w wieży. Coraz bardziej ciążył jej ten sznur, którym obwiązała się w pasie, i coraz bardziej przeszkadzał okaleczony matowy dźwięk dzwonu, który wprowadził w drżenie powietrze. Usiadła na wilgotnej podłodze.

Nagle usłyszała odgłos pospiesznych kroków. Ponownie wstała. Do wieży wszedł Francisco Derch, bez surduta i z rozwiązanym fularzem zwisającym na koszuli poplamionej krwią.

– Szukałem pani.

– Mnie? Co się dzieje?

Francisco Derch rozejrzał się i zauważył śpiącą Ermínię. Podeszedł zdecydowanym krokiem do Marianny.

– Powinnyście stąd uciec...

– Uciec? Dlaczego? Poddaliście się?

Francisco Derch cmoknął.

– Dziwi mnie, że ma pani jeszcze siłę żartować. Zostało niewiele czasu. Wiem, że nie zechce mnie pani posłuchać, ale muszę chociaż spróbować panią przekonać. Żołnierze wejdą tu za dwie godziny. Musicie uciekać przez Vallcarcę, bo w tej chwili to jedyna droga.

Marianna się uśmiechnęła.

– Uciekać? Już raz uciekłam i obiecałam sobie, że nigdy ponownie tego nie zrobię. – Pociągnęła za sznur.

Bam!

Francisco Derch zakrył uszy. Kiedy dzwon nieco ucichł, zabrał Mariannie sznur.

– Nie potrzeba już bić na alarm. Nikt więcej nie przyjdzie.

Marianna patrzyła na niego modrymi oczami.

– Pan też ucieka?

Francisco Derch opuścił wzrok zawstydzony.

– Tak, poprowadzę grupę mężczyzn do Vallcarki.

– A więc pan ucieka.

Mężczyzna przytaknął.

Westchnęła i przygnębiona wpatrywała się w uszkodzony dzwon.

– Wierzy pan, że ten bunt miał sens?

Francisco Derch chrząknął.

– Cóż, za wcześnie na wydawanie osądów, ale może po jego zakończeniu ludzie będący u władzy w obawie przed kolejnym powstaniem podejmą odpowiednie działania, żeby...

Marianna pokręciła głową.

– Odpowiednie działania? Wie pan, co ja o tym myślę? Że wszystko nie ma już znaczenia: werbunek przez losowanie, rządzący, a nawet nasze życie. Istnieje cienka, bardzo cienka granica i kiedy się ją przekroczy, wszystko traci sens i człowiek zapomina, po co walczy. Stara się tylko przeżyć. Ponieważ sprawy zachodzą za daleko. W tym momencie wszystko traci na znaczeniu.

Francisco Derch usiadł przygnębiony obok niej.

– Gdyby jednak nie było odważnych ludzi chętnych do walki, świat byłby jeszcze bardziej niesprawiedliwy.

– Nawet jeśli ceną za tę walkę jest życie? Nawet kiedy trzeba umrzeć albo, co gorsza, zabijać?

Francisco Derch wpatrywał się w swoje dłonie.

– Nawet kosztem życia naszego lub innych ludzi.

Marianna położyła rękę na jego ramieniu.

– Dlatego musimy stoczyć tylko jedną walkę, która zakończy wszystkie konflikty.

Spojrzał na nią z sympatią.

– Nie ma takiej walki, która zakończyłaby inne. Trudno pokonać władzę. Oczywiście możemy spróbować ponownie. Tyle razy, ile będzie trzeba.

Zamilkli. Usłyszeli odgłosy szybkich kroków uciekających ludzi, stłumione krzyki i deszcz.

Marianna zaczęła bić w dzwon ze wzmożoną siłą.

Bam!

Kiedy dźwięk ucichł, wyprostowała się.

– Niech pan idzie i pomoże uratować możliwie jak najwięcej ludzi. Ja zostanę tutaj. Bicie dzwonu opóźnia atak wojska, a kiedy już tu wejdą, najpierw przyjdą po mnie. Dzięki temu zyskacie czas, żeby się uratować.

Francisco Derch obserwował ją i szukał iskry, która rozpałała w niej ten ogień.

– Niech pani ucieka z nami. Nie musi pani tak bardzo ryzykować.

– Niczego nie ryzykuję. Proszę się nie martwić, nie mam już nic do stracenia. W Gracii zrozumiałam, kim jestem naprawdę, i nie mogę o tym zapominać. Nie mogę uciec, ale może pan będzie mógł znów spróbować. Jak pan sam mówi, trudno pokonać władzę.

Francisco Derch wstał, wyjął zza pazuchy pistolet i wręczył go Mariannie.

– Niech go pani schowa. Może się przyda.

Odsunęła od siebie broń.

– Wolę dać się zabić niż strzelać do drugiego człowieka.

Mężczyzna westchnął, schował pistolet i wyjął z kieszeni nóż.

– Dobrze, w takim razie proszę wziąć to. Niech pani zrobi to dla mnie.

Spojrzała na nóż z rękojeścią z masy perłowej i w końcu go wzięła. Francisco Derch pokiwał głową i uniósł wzrok ku dzwonnicy.

– Nie wiem, z jakich powodów walczy pani w tym powstaniu, ale... dziękuję.

Kobieta wpatrywała się w jego twarz, dostrzegając surowy wzrok, cienkie wąsy i krzywo przyciętą brodę.

– To ja jestem panu wdzięczna. Wiem, że dał pan z siebie wszystko.

Mrugnął, żeby powstrzymać smutek po stracie, i zawahał się.

– W każdym razie to nie wystarczyło.

– Może nie wystarczyło, żeby pokonać całą armię, ale zwróciło nam godność.

Przywódca powstańców utopił spojrzenie w jej modrych oczach i poczuł w nich paraliżujący ciężar.

– Proszę na siebie uważać.

Marianna pokiwała głową.

– Niech pan idzie i nie martwi się o mnie. Nie obawiam się śmierci.

Francisco Derch odwrócił się i niechętnie odszedł.

Marianna pociągnęła za sznur.

Bam!

Kiedy Marçal otworzył oczy, dostrzegł migoczący płomień dogasającej lampy naftowej. Marianna leżała w fotelu stojącym przy łóżku, opatulona kocem. Spokojna, z uśpionymi pretensjami, przypominała mu dziewicę Maryję z fresku w kaplicy przedstawiającego zwiastowanie: biała skóra, usta namalowane czerwonymi pociągnięciami pędzla i ciemne włosy okalające twarz. Kiedy tak na nią patrzył, czas nie miał żadnego znaczenia.

Świszczący wiatr wślizgiwał się w szpary w oknach. Marçal skulił się pod kocem i przypomniał sobie, że Marianna nie lubiła wiatru. Ani wiatru, ani orzechów laskowych, ani rożków z kremem cytrynowym Carmety, ani szelestu jedwabnego trenu ciągnącego się po podłodze, ponieważ przywodziły jej na myśl babkę Consol. Natomiast uwielbiała truskawki, pieczoną kaczkę ze śliwkami i z sosem migdałowym, szczygli śpiew o poranku, utwory Schuberta, lawendę i spędzanie czasu pod lipą. No i oczywiście Fèliksa.

Marianna jeszcze bardziej skuliła się w fotelu. Noc była chłodna i Marçal chciałby wstać, żeby ją przykryć, ale nie miał siły. Przez cały tydzień dręczyła go gorączka, ale kiedy doktor oznajmił mu, że wkrótce wyzdrowieje, coś nadal trzymało go w łóżku w stanie przygnębienia. Oblizwał usta.

Wolałby nie wiedzieć, co Marianna widzi w Fèliksie. Zdawał sobie jednak sprawę, że najpierw oczarowały ją oczy brata – szare i czyste jak powierzchnia lustra, a innym razem w kolorze ołowiu, przenikliwe i zimne. Czasami Marçal zastanawiał się, czy Marianna byłaby inna, gdyby nie знаła Fèliksa, i czy on wówczas kochałby ją tak samo. Podejrzewał, że brak potomstwa w ich małżeństwie był karą za to, że ich rozdzielił. Pan Pacià często mu jednak powtarzał, że „właściwe decyzje nie zawsze czynią nas bardziej szczęśliwymi”.

Zamknął oczy i próbował zachować właśnie taki obraz Marianny: spokojnej,

podczas snu. Obawiał się, że niedługo będzie patrzyła na niego z niechęcią albo w ogóle go ignorowała.

Marianna obudziła się nagle wystraszona trzaśnięciem okiennicy.

– Obudziłeś się? – zapytała szeptem.

– Tak.

Wstała i zaciągnęła zasłony.

– Co za wiatr!

Marzał się uśmiechnął.

Marianna podeszła do łóżka i położyła rękę na jego czole.

– Jak się czujesz?

– Jestem zmęczony.

Otuliła go kocem.

Marzał nie spuszczał z niej wzroku.

– Na co patrzysz?

Złapał ją za rękę.

– Marianno...

Delikatnie odsunęła swoją dłoń.

– Masz zapuchnięte oczy i jesteś blady. Chcesz, żebym wezwała doktora?

Pokręcił głową.

Podeszła do komody i podkręciła knot w lampie.

– Podejdź do mnie, proszę.

Marianna westchnęła i zbliżyła się do łóżka.

– Zaśnij, Marzału, odpocznij. Medyk powiedział, że przyjdzie jutro rano.

Chcesz się napić naparu?

– Szkoda, że opiekujesz się mną z małżeńskiego obowiązku, a nie z miłości.

Zakryła się szalem, bo przeszedł ją dreszcz.

– Co to za różnica?

– Ogromna.

Kobieta znów usiadła w fotelu. Pomyślała, że zawsze czuła się wobec niego winna, cokolwiek robiła.

– Kiedy się pobieraliśmy, wiedziałeś, że mogę dać ci wiele oprócz jednego.

Marzał odkaszlnął.

– Pamiętam. Nawet nie masz pojęcia, jak trudno mi o tym zapomnieć.

Znów wstała i pomogła mężowi podnieść się na poduszkach, żeby mógł łatwiej oddychać.

– To jednak nie znaczy, że nie jesteś dla mnie ważny. Chcę, żebyś poczuł się lepiej i wyzdrowiał. – Pocałowała go w czoło. – Pójdę przygotować dla ciebie napar. Spróbuj jeszcze pospać.

Znów trzasnęła okiennica.

Przestraszona Marianna wyszeptała z niechęcią:

– Wiatr zawsze przynosi złe wieści! – Podeszła do okna i porządnie zamknęła okiennice.

Marzał przyjrzał się jej cichym i delikatnym ruchom.

– Gdybyś nie kochała Fèliksa, czy mogłabyś mnie pokochać?

Stała odwrócona do niego tyłem, wpatrując się w ciemność zamkniętego okna.

– Co ty opowiadasz? Skąd ci przyszło do głowy, że kogokolwiek Kocham?

– Wiem o tym.

– Przestań. – Ruszyła w stronę drzwi. – Widzę, że czujesz się lepiej, i cieszy mnie to.

– Marianno...

Kobieta położyła rękę na zimnej klamce drzwi, zamierzając uciec od palącego ją spojrzenia i słów.

Marçal westchnął.

– A jeśli ci udowodnię, że on cię nie Kocha?

Nacisnęła klamkę i wyszła z pokoju.

„Jeśli to moja jedyna szansa, udowodnię ci to, Marianno, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, którą zrobię w życiu”, pomyślał Marçal.

Marianna schodziła po schodach i na chwilę oparła się o drewnianą poręcz. Wzrok Marçala szukał w jej sercu uczucia, którego dla niego nie miała. Przynajmniej dla niego.

W kuchni panowały ciemność i cisza. Tylko palenisko pieca wciąż utrzymywało ciepło. Dopiero za cztery godziny będzie można poczuć zapach świeżego chleba i usłyszeć Carmetę wykrzykującą polecenia.

Marianna postawiła świecę na stole i udała się do spiżarni. Ostrożnie przechodziła między workami a dzbankami. Doszła do trzech dużych glinianych słoików pomalowanych w niebieskie liście i żółte kwiaty. W pierwszym znajdowały się zioła przydatne do gotowania: liście laurowe, rozmaryn, tymianek, szałwia i oregano, w drugim przyprawy: goździki, gałka muszkatołowa, szafran, a w ostatnim zioła, z których można było przygotować napar: liście herbaty, wilcza jagoda, melisa i rumianek. W małym dzbanuszkach była mieszanka, którą dał jej doktor dla Marçala.

Kiedy po raz pierwszy weszła do kuchni, żeby sama przygotować napar, spotkała się z niechętnymi spojrzeniami służby, ale się uparła. Wiedziała, że w ten sposób może się opiekować Marçalem, nie okłamując go. Przede wszystkim kuchnia była jedyną przestrzenią, w której czuła się wolna i mogła tam zrobić coś dla siebie.

Wlała wodę do garnka i postawiła go na palenisku.

„Pani domu nie powinna wchodzić do kuchni, chyba że chce wydać polecenia – wyszeptwała niedawno Remei do Carmety. – Pani Consol nie zachowywałaby się w ten sposób. Ona tak robi, bo nie jest z rodziny Lledó”.

W garnku woda już bulgotała. Marianna wyjęła z kredensu filiżankę i spodek, a z szuflady łyżeczkę. Wrzuciła do garnka garść ziół, odstawiła go na kilka minut, po czym przelała napar do filiżanki. Podniosła ją ostrożnie, żeby nic się nie wylało, i wyszła z kuchni.

Dom pogrążony był w ciemnościach. Tej nocy nie było widać księżyca.

Marianna przechodziła korytarzem dla służby, minęła pokój muzyczny i dotarła do głównego holu. Zauważyła Fèliksa siedzącego u stóp schodów i ulewającego kilka kropli naparu z filiżanki.

– Co tutaj robisz, Fèliksie?

– Nie mogłem spać. Czekałem na ciebie.

Przeszła obok niego, nie zatrzymując się.

– Więc już mnie widzisz. A teraz wracaj do łóżka.

Fèlix wstał i ruszył za nią.

– Wiem, że mnie kochasz, Marianno... Chciałbym ci zadać jedno pytanie.

Zatrzymała się i stanęła przed nim.

– Nie zadawałam pytań, kiedy wróciłeś, prawda? Dlatego nie zazdrość teraz tego, co sam porzuciłeś!

Chwycił ją za ramię. Znow wylało się kilka kropli naparu. Spojrzał z wahaniem na filiżankę.

– Marianno, zapomnijmy o tym, co się stało. Jeśli mogłabyś się pozbyć Marçala ze swojego życia, to czy byś to zrobiła?

Uwolniła się z jego uścisku, odwróciła się i zaczęła wchodzić po schodach. Filiżanka drżała jej w rękach.

– Nie igraj ze mną, Fèliksie.

Wyprzedził ją i zagroził jej drogę.

– Odpowiedz mi.

Spojrzała na filiżankę.

– Jeśli ci to posłuży za odpowiedź: tak, gdybym mogła cofnąć czas, moje życie wyglądałoby inaczej.

Uśmiechnął się, ujął w dłonie jej twarz i zbliżył się do niej tak samo jak tamtej nocy podczas koncertu pod lampionami.

– To wszystko się skończy, Marianno. Będziemy mogli być razem. Obiecuję ci to.

Zobaczyła swoje odbicie w jego szarych oczach i powstrzymała jęk. Pokręciła głową, odsunęła się od niego i oburącz chwyciła filiżankę.

– Jestem mężatką, Fèliksie. Nie zapominaj o tym.

Został na schodach, wyobrażając sobie w milczeniu, jak Marianna wchodzi do sypialni Marçala z filiżanką z naparem ziołowym.

Bam!

Zegar w gabinecie wybijał kolejne godziny. Nie odliczał obaw ani myśli. Druga nad ranem. Wpół do trzeciej. Trzecia.

Calabuig nie dawał znaku życia, a do wkroczenia wojska do Gràcii pozostało niewiele czasu.

Bam!

Odległe i nieprzerwane bicie dzwonu ścisnęło Fèliksowi duszę i raniło tych kilka miejsc w jego ciele, w których jeszcze tliło się życie.

Podszedł do drzwi i zadzwonił po służbę. Wkrótce pojawiła się Àgata.

– Pan mnie wzywał?

– Tak. Powiedz stajennemu, żeby przygotował powóz i obudził woźnicę.

Gospodyni pokiwała głową i wyszła.

Uniósł wzrok.

– Czy masz jakieś robocze ubranie, które pasowałoby na mnie? Może jakąś starą marynarkę?

Àgata wbiła w niego swój świdrujący wzrok.

– Coś może znajdę.

– Zrób to.

Gospodyni wyszła i po jakimś czasie wróciła z kompletnym i złożonym ubraniem służącego.

– Pewnie ma jakieś dziury albo jest pocerowane, ale to chyba panu nie przeszkadza.

Obejrzał ubranie.

– Bardzo dziękuję, Àgato. Możesz już odejść. Odpocznij trochę.

Kobieta ukloniła się i ścisnęła nerwowo rękę.

– Nie sądzę, żeby udało mi się zasnąć. Domyślam się, co chce pan zrobić, i będę się za pana modlić.

Fèlix patrzył na gosposię, jakby widział ją po raz pierwszy.

– Pracujesz w tym domu od wielu lat...

– Byłam tu, zanim zjawiała się mała Marianna.

Fèlix odwrócił się do kominka i spojrzał na wiszący nad nim swój portret. W myślach widział na tym samym miejscu portret swojego dziadka, pana Paciá.

– Znasz wszystkie tajemnice tego domu.

Gospodyni wzięła głęboki oddech.

– Pani Consol powiedziałaaby, że nie da się poznać wszystkich sekretów jednej rodziny, panie Lledó.

Oparł się o cokół wygaszonego kominka, który zionął mrokiem i chłodem.

Àgata zbliżyła się do mężczyzny.

– Jeśli jednak mogę coś powiedzieć, to niech pan nie traci życia na ich odkrywanie. Zawsze jest czas na odkupienie swoich win.

Fèlix odwrócił się do niej, ale kobieta już odeszła. Słyszał tylko kroki na korytarzu. Ponownie spojrzał na swój portret, który zastąpił obraz pana Paciá kontrolującego do niedawna życie całej rodziny. Przyjrzał się sobie na portrecie: był szczuplejszy od dziadka, ale miał na twarzy ten sam zgorzkniały grymas.

Bam!

Tego piątku, jak co tydzień, Higini Portes, notariusz, syn Higinia Portesa, notariusza, wnuk Higinia Portesa, notariusza, prawnuk Higinia Portesa, notariusza, przekręcił dwa razy klucz w drzwiach wejściowych swojej kancelarii, położył płaszcz na biurku, otworzył zamaskowane drzwiczki i wyjął kasetkę.

Każdego piątku po południu Higinia Portes lekko poluzowywał fular

i poprawiał okulary przed lustrem. Miał takie same małe i świdrujące oczka i identycznie szczupłą twarz jak ojciec. Jeśli ktoś mógłby to sprawdzić, odkryłby, że kasetka ważyła prawie tyle co Higini Portes. Nikt nie mógł się jednak o tym przekonać, ponieważ do tej części kancelarii mieli wstęp tylko wyjątkowi klienci. Pozostałe sprawy załatwiano się w sali spotkań lub w pokoju.

Notariusz postawił kasetkę na biurku na tyle delikatnie, na ile pozwolił mu na to jej ciężar. Usiadł, podnosząc poły surduta, i przesunął palcami po wypolerowanej mahoniowej pokrywie. Zdjął z szyi łańcuszek, na którym wisiał klucz, i włożył go do zamka. Przekręcił raz, a kiedy zrobił to drugi raz, rozbrzmiał dzwonek. Higini Portes był zaniepokojony. „Kto o tej porze przychodzi do notariusza?”, pomyślał zdziwiony. Zerwał się z krzesła, przekręcił z powrotem klucz w mahoniowej kasetce i schował ją do skrytki. Zawiesił łańcuszek na szyi i poprawił surdut.

Aplikant zapukał do drzwi.

– Panie Portes? Pan Lledó przyszedł z wizytą. Mówi, że to pilne. Zaprowadziłem go do poczekalni.

– Pan Lledó? Dobrze. Już idę. – Bez wątpienia to był wyjątkowy klient. Notariusz przygładził przerzedzone włosy, zawiązał fular i wyszedł z gabinetu.

Marçal Lledó czekał na niego na stojąco, opierając się na lasce ze złotą rączką w kształcie lwiej głowy, należącej kiedyś do pana Pacià. Wyglądał mizernie. Krążyły plotki o jego delikatnym zdrowiu.

– Wiem, że przychodzę nie w porę, panie Portes, i bez wcześniejszego umówienia, ale jakiś czas temu zostawiliśmy kilka niewyjaśnionych kwestii, które chciałbym dzisiaj rozwiązać.

– Panie Lledó, jak zwykle jestem do pana całkowitej dyspozycji. Przejdźmy do mojego gabinetu, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać o tym, w czym mogę panu pomóc.

Higini Portes zaprowadził Marçala do pokoju.

– Słyszałem, że ostatnio pan niedomagał, ale widzę, że jest pan już zdrowy jak ryba.

– Cóż, może nie aż tak. Wciąż źle się czuję, co mnie niepokoi, ale staram się dbać o siebie.

– Jak się mają sprawy w fabryce?

– Jak zwykle dużo pracy i szukamy możliwości rozwoju.

Weszli do gabinetu. Higini Portes nie miał odwagi siadać za swoim biurkiem w obecności Marçala Lledó, więc w dowód szacunku zawsze pozwalał gościowi wybrać miejsce. Na szczęście Marçal Lledó był dżentelmenem, dlatego wybrał krzesło dla gościa.

– Co mogę dla pana zrobić?

– Jeśli pan sobie przypomina, pozostało do wyjaśnienia kilka kwestii w moim testamencie. Powziąłem kilka decyzji i chciałbym, żeby zostały spisane.



- Dobrze. Pozwoli pan, że wyjmę teczkę z notatkami.
- Ma pan teczkę z notatkami?
- Tak, osobną dla każdego klienta.
- Ufam, że nie jestem dla pana tylko jednym klientem więcej.

Notariusz się zarumienił.

- Oczywiście, że nie, ale moja zła pamięć zmusza mnie do zbierania i archiwizowania informacji.

- Jeśli nie jest pan w stanie zapamiętać tego, co mówię, być może powinienem poszukać innego notariusza.

Portes zaczął machać rękami, jakby chciał wymazać ostatnie słowa.

- Proszę się nie denerwować. Oczywiście, że wszystko pamiętam, ale nie chciałbym pominąć żadnego szczegółu. W każdym razie po spotkaniu, jeśli takie jest pańskie życzenie, schowam dokumentację do mojego prywatnego sejf, do którego nikt poza mną nie ma dostępu.

Higini Portes przełknął ślinę. Nigdy nie widział Marçala Lledó tak spiętego.

Marçal przytknął rękę do czoła, jakby zakręciło mu się w głowie. Notariusz zerwał się i podszedł do niego.

- Dobrze się pan czuje, panie Lledó? Może napije się pan wody? A może koniaku?

Marçal poczuł się lepiej i pokręcił głową.

- Nic mi nie jest, nic mi nie jest. Dobrze, proszę tak zrobić. Najważniejsze, żeby trzymał pan pod kluczem i w tajemnicy wszystko, o czym dzisiaj powiem.

Higini Portes wyprostował się, podszedł do drzwi, przekręcił klucz w zamku dwa razy i wrócił na swoje miejsce.

- Teraz nikt nam nie będzie przeszkadzać.

Marçal rozpiął marynarkę i z wewnętrznej kieszeni wyjął dwie koperty z niebieskim zdobieniem i monogramem rodziny Lledó.

- Powiedział pan, że mój dziadek nie chciał słyszeć o pozostawieniu rodzinnego majątku obcej osobie. Teraz chciałbym podyktować moją ostatnią wolę.

Marçal chrząknął i czekał, aż Higini Portes przysunie kałamarz i wyjmie z niego pióro.

- Ja, Marçal Lledó, moim jedynym spadkobiercą ustanawiam mojego brata Fèliksa Lledó. W tym miejscu proszę wpisać pełną listę posiadłości i aktywów. Ma zawierać wszystko: rodzinną rezydencję, budynki w Barcelonie i Gràcii, ziemię w Sarrià, nową działkę na alei Gràcia i wszystkie udziały w firmach, jak również wszystkie akcje spółki Lledó, warsztaty, fabrykę i związane z nią nieruchomości. Pieniądze w banku również mają przejść na niego. Zapisał pan wszystko?

Pióro Higini Portesa biegało po papierze.

- Domy w Vallgorguinie, ziemię w Manlleu i Vic oraz...

- Zgadza się, ma pan kompletną listę. Pozostawiam wszystko mojemu bratu.

- A żonie?

Marçal zakasłał. Czuł się wyczerpany, a ta rozmowa osłabiła go jeszcze bardziej.

– W przypadku gdy moja żona i ja będziemy mieć potomka, wszystko, co panu przed chwilą wyliczyłem, bez wyjątku, przejdzie na nią, a później na moje dzieci. Chciałbym, żeby pan zapisał, iż poświadczam i całkowicie wierzę w umiejętności mojej żony do prowadzenia interesów i zarządzania rodzinnym majątkiem. Chcę również jasno podkreślić, że mój brat Fèlix zostanie jedynym moim spadkobiercą tylko dlatego, że nie istnieje inna osoba, którą łączyłyby więzy krwi z rodziną Lledó. Gdyby okazało się, że jednak taki człowiek istnieje, to on odziedziczy wszystko, a mój brat zostanie wyłączony z testamentu.

– Ale jeśli pan sam wskazuje, że nie ma takiej osoby, czy uważa pan za konieczne...?

– Uważam taki zapis za niezbędny i chcę, żeby został odczytany w chwili otwarcia mojego testamentu, panie Portes.

Notariusz zawahał się, bo sytuacja wydawała mu się nietypowa.

– Dobrze, dobrze. Nie chce pan zostawić swojej żonie dożywotniej renty? Albo domu do użytkowania?

– To pozostawiam do dyspozycji mojemu bratu, który, jak mniemam, otoczy ją opieką.

Higini Portes patrzył na Marçala szeroko otwartymi oczami. Nic z tego nie rozumiał. Nie tylko wiedział o jawnej nienawiści między braćmi Lledó, ale także o tym, że Marçal Lledó do szaleństwa kochał swoją żonę. Tymczasem na mocy tego testamentu pozostawiał ją bez żadnej ochrony, na łasce Fèliksa Lledó, którego chciał uczynić bardzo bogatym człowiekiem. Notariusz zmusił się do uśmiechu.

– W każdym razie miejmy nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie. Będą państwo szczęśliwie żyć razem i doczeka pan zdrowego potomstwa.

– Jeszcze nie skończyłem.

Marçal znów zakasłał. Wyjął chusteczkę z kieszeni marynarki i zakrył nią usta. Kiedy atak kaszlu minął, z zaczerwienioną twarzą złożył chusteczkę.

– W chwili otwarcia testamentu chcę, żeby wręczył pan mojemu bratu tę kopertę.

Marçal podał mu jedną z dwóch kopert z monogramem i zapieczętowaną woskiem. Notariusz ją wziął.

– Czy mogę wiedzieć, co zawiera? – zapytał.

– To nie pańska sprawa. To dotyczy mnie i brata. Musi mu pan ją wręczyć w dniu odczytania testamentu i w obecności mojej żony.

– Tak zrobię, panie Lledó. Oczywiście, jeśli nadejdzie ta przykra chwila...

Higini Portes, który miał już ochotę zakończyć spisywanie tego dziwnego testamentu, odłożył pióro do kałamarza i wyrównał plik kartek.

– Doskonale, wszystko jest w jak najlepszym porządku, proszę pana.

Marçal pokiwał głową i pochylił się do notariusza.

– Więc teraz proszę posłuchać mnie uważnie, bo powiem panu

o najważniejszym. Dokładnie po upływie roku od mojej śmierci, co jest wystarczająco długim okresem na odkrywanie tajemnic i przemyślenia – Marçal otarł chusteczką pot z czoła – chcę, żeby pan dostarczył ten list Mariannie Lledó, mojej żonie.

Higini Portes wziął od niego drugą kopertę, która ważyła o wiele więcej niż pierwsza. Tak naprawdę była niewielką paczuszką. Uniósł brwi i spojrzał na Marçala.

– W tej kopercie znajduje się ten sam dokument co w pierwszej, a oprócz niego są także list i książka. Ta koperta przeznaczona jest dla mojej żony, ale ma ją dostać dopiero po roku od mojej śmierci.

– Po roku? Ależ, proszę pana, w ciągu jednego roku może się wiele wydarzyć.

– Czasami potrzeba czasu, żeby zrozumieć pewne rzeczy. Możliwe, że kiedy doręczy jej pan tę kopertę, Marianna będzie już wiedziała, co zawiera. W odwrotnej sytuacji z pewnością będzie potrzebowała czasu, żeby zrozumieć.

Notariusz sam już nie wiedział, co ma notować. Ważył w dłoni kopertę z monogramem adresowaną do Marianny Lledó i patrzył na drugą, cieńszą, dla pana Fèliksa Lledó. Obie koperty były zaadresowane pięknym, chociaż nieco drżącym pismem Marçala Lledó.

Tymczasem ten wydawał dalsze instrukcje:

– Ważne, żeby ta koperta dotarła po roku do mojej żony bez względu na miejsce, w którym będzie się znajdowała. Słyszysz mnie pan?

– Ależ panie Lledó, przecież pan wie, że czasami osoby w trudnej sytuacji życiowej, jaką bez wątpienia byłaby pańska śmierć, wyjeżdżają, zmieniają miejsce pobytu albo rozpoczynają nowe życie.

Marçal uniósł palec.

– To, o co pana proszę, jest tak ważne, że wydałem w banku zlecenie, żeby została panu wypłacona ta oto kwota, kiedy tylko wręczy pan kopertę mojej żonie i dostanie od niej pokwitowanie odbioru. Tutaj jest wszystko wyjaśnione.

Marçal podał notariuszowi list ze stemplem Banc de Barcelona zaadresowany do Higini Portesa. Mężczyzna otworzył go zaintrygowany: „W tym momencie zostaje oddane do pana dyspozycji konto z...”. Kiedy notariusz przeczytał zapisaną kwotę, wziął głęboki oddech, żeby nie zemdleć.

Marçal powstrzymał uśmiech.

– Wiem, że jest pan skromnym człowiekiem i spodziewa się pan ode mnie jedynie swojego honorarium. W związku z tym proszę to potraktować jako niewielką rekompensatę za zaangażowanie i utrzymanie w tajemnicy szczegółów naszej rozmowy, jak również za przeprowadzenie wszystkich działań, o które pana proszę. Najważniejsze, żeby po roku od mojej śmierci odnalazł pan moją żonę nawet na końcu świata, wszystko mi jedno, i doręczył jej ten list. – Marçal wymierzył palec w notariusza, który ze strachem odłożył dokument bankowy i znów wziął pióro. – I jeszcze jedno, panie Portes: jeśli po upływie dziesięciu lat od mojej śmierci nikt nie upomni się o spadek, testament nieodwołalnie pozostanie w wersji pierwotnej.

Higini Portes wyjął białą chusteczkę z rękawa i otarł pot z czoła.

– Panie Lledó, przepraszam, że się wtrącam, ale czy ma pan świadomość, że pozostawia pan żonę na łasce swojego brata?

– Tak, wiem o tym. Są sytuacje, w których człowiek nie może walczyć przeciwko jakiejś sile, więc lepiej jej się poddać i pozwolić się pochłonać.

Portes nie zrozumiał znaczenia tych słów, ale je zapisał: „Lepiej się jej poddać i pozwolić się pochłonać”. Nigdy nie widział pana Lledó tak przytomnego i przejętego.

– Przygotuję wszystkie dokumenty i dostarczę je panu do domu, żeby przed podpisaniem mógł pan je przejrzeć.

Marçal pokręcił głową i wstał z krzesła.

– Właśnie oddałem swój los w pana ręce. Nie zamierzam ryzykować, że wypadek albo Bóg go zmieni. Zaczekam w poczekalni, aż skończy pan redagowanie testamentu, i podpiszę go dzisiaj.

– Ależ, panie Lledó...

– A tak przy okazji miałem pana zapytać... Nie był pan nigdy w Palauet, prawda?

Chociaż obaj doskonale widzieli, że notariusz, jak każdy żądny atrakcji i zamożny barcelończyk, chadzał tam, odpowiedź na to pytanie musiała być negatywna. Higini Portes chrząknął.

– Nie, nie mam zwyczaju bywania w takich lokalach.

– Będzie miał pan teraz dobrą wymówkę. W razie mojej śmierci proszę dostarczyć tę paczuszkę Julicie, jednej z pracujących tam dziewcząt.

Portes obejrzał paczkę. „Zapewne jakiś klejnot”, pomyślał.

– Mówi pan tak, jakby...

– Jakbym widział zbliżającą się śmierć? Nie wiem, jak to panu wytłumaczyć, ale nie sądzę, żebyśmy spotkali się jako starcy.

Marçal usiadł w jednym z foteli w poczekalni, kaszląc i ocierając pot z czoła. „Może w tym życiu pokonałeś mnie, Fèliksie, ale z góry będę się z ciebie śmiać, a ty będziesz wiedział, że to ja”.

Kilka godzin później Higini Portes przeprosił Marçala, że tak długo musiał czekać, i poprowadził go do swojego gabinetu. Przeczytał mu wszystkie postanowienia, a ten podpisał dokumenty, wyszedł z kancelarii i wsiadł do powozu.

Higini Portes zęgnął go w drzwiach z dziwnym przeświadczeniem, że już go więcej nie zobaczy. Doszedł do wniosku, że choć pieniądze to nie wszystko, a śmierć jest bolesna, to on na tym skorzysta.

Bam!

Fèlix przebrany za robotnika wysiadł z niewielkiego powozu przy skrzyżowaniu ulicy Provença z aleją Diagonal. Żołnierze odpoczywali. Niektórzy czyścili broń, inni drzemali na skrzyniach z amunicją. Zauważył dwa wierzchowce, które zbliżały się spokojnym krokiem. Na jednym z nich zobaczył kapitana generalnego księstwa Katalonii w wojskowej czapce.

– Ledwo pana rozpoznałem w tym przebraniu biedaka. Czyżby pan postanowił dołączyć do republikanów, panie Lledó?

Fèlix uśmiechnął się z przekąsem.

– Żarty się pana trzymają, drogi kapitanie. Ubrałem się tak, ponieważ chcę przejść na drugą stronę barykad i wejść na teren moich budynków.

– Niech pan zaczeka. Za kilka godzin zgromimy powstanie. – Kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde zsiadł z konia i wypiął pierś, wyobrażając sobie, jakie czekają go zaszczyty.

Fèlix zatrzymał się przy nim.

– To znaczy, że obiecano panu społeczny awans?

Kapitan odwrócił się gwałtownie.

– Nie przestaje mnie pan zaskakiwać. Jak zwykle jest pan doskonale poinformowany.

– W obecnych czasach lepiej jest być dobrze poinformowanym niż mieć arystokratyczne tytuły.

Wojskowy zmarszczył czoło i spojrzał na niego z pogardą.

– W obecnych czasach, panie Lledó, najlepiej jest mieć żołnierzy gotowych na wszystko.

Fèlix przełknął ślinę.

– Kiedy zamierzacie wejść?

– Przed wschodem słońca, mniej więcej za godzinę.

– Potrzebuję trochę więcej czasu.

– Słucham? Chce pan, żebym powstrzymał atak, ponieważ pan chce popracować w swojej fabryce?

– Potrzebuję trochę więcej czasu – powtórzył.

Kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde poczuł sympatię do tego tajemniczego i aroganckiego mężczyzny. Położył rękę na jego ramieniu.

– Coś mi się wydaje, że napięta atmosfera panująca przez ostatnie dni nie wyszła panu na dobre. Czy jest pan pewien, że nie chce pan wrócić do domu? Jestem przekonany, że ma pan odpowiednich ludzi do tego rodzaju zadań. Poza tym wkrótce zrobi się tutaj niemiło. Jak Bóg da, wygramy tę wojnę!

Fèlix chwycił za ramię kapitana, który nagle stał się czujny.

– Tylko ja mogę to zrobić i muszę się tam przedostać za wszelką cenę – stwierdził Fèlix i wskazał na żołnierzy. – Jeśli mnie pamięć nie myli, stoi pan na czele wojska gotowego na wszystko dzięki mojemu wstawiennictwu. Nie chciałbym teraz tego żałować.

Kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde nie lubił, kiedy ktoś wydawał mu rozkazy. Fèlix zauważył, że stary lis miał ochotę go zaatakować, więc szybko dodał:

– Tytułów nie rozdaje się lekką ręką, drogi kapitanie. Wie pan doskonale, że potrzebne są rekomendacje i poparcie wpływowych osób.

– Ile czasu pan potrzebuje?

– Dwie godziny.

– Ma pan półtorej.

Fèlix pokiwał głową, ukłonił się z wdzięcznością i ruszył w stronę linii frontu. Wojskowy rozejrzał się w prawo i lewo, a potem wyciągnął broń.

– Panie Lledó!

Fèlix się odwrócił.

Kapitan podszedł do niego.

– Proszę wziąć ten pistolet. Ja znajdę sobie inny. A jeśli chce pan się przedostać przez barykady, najlepiej zrobić to od strony alei Sant Miquel.

Fèlix chwycił pistolet i uniósł brwi. Kapitan uśmiechnął się do niego.

– Chyba nie myśli pan, że wystawię na niebezpieczeństwo mojego wpływowego przyjaciela?

Stał jeszcze chwilę, obserwując, jak lis oddala się dumnie wyprostowany, z przekonaniem, że wygra wojnę.

Bam!

Notariusz Higini Portes siedział w swoim gabinecie, wpatrując się w kobietę świdrującymi oczami, i mówił:

– Zgodnie z wolą pani męża informuję panią, że był przekonany o pani predyspozycji do zarządzania rodzinną firmą i majątkiem, lecz nie mógł zostawić pani nic w spadku z tej prostej przyczyny, że nie łączą pani więzy krwi z rodziną Lledó.

Marianna wstrzymała oddech. Ogarnęło ją poczucie wstydu, ogromnego wstydu, który ma się w krwi i którego nie da się pozbyć ani wymazać. „Nie jesteś jedną z Lledó i nigdy nią nie będziesz”, często słyszała swój wewnętrzny głos.

Marçal zmarł bez oczywistej przyczyny. Gasł powoli jak lampa pozbawiona tlenu. Marianna czuwała przy nim przez cały czas, rozmawiała z nim, poprawiała pościel, zmuszała do jedzenia i przygotowywała napary. Ostatniej nocy przed jego śmiercią, kiedy wyszeptał: „Wybacz mi”, ukucnęła przy łóżku i go pocałowała. To był szczery pocałunek.

Po śmierci męża nie spodziewała się odziedziczyć żadnych pieniędzy, gruntów ani domów. Ale jego ostatnia wola okazała się zniewagą, włóczęgią wbity w jej serce. Wiedział, że to ją bardzo zaboli.

Fèlix z zaskoczeniem przyjął wiadomość, że został spadkobiercą rodzinnej fortuny, i odebrał z rąk notariusza kopertę podpisaną przez Marçala.

Po powrocie do Casa Lledó Marianna wbiegła na piętro.

Fèlix oddał laskę i kapelusz służącej, po czym podążył za szwagierką.

– Marianno...

– Zostaw mnie!

Weszła do sypialni, którą jeszcze niedawno dzieliła z Marçalem.

Fèlix zapukał do drzwi.

– Marianno, proszę... Można było się spodziewać, że Marçal nie zostawi ci niczego. Nie kochał cię i doskonale o tym wiesz. Chciał tylko trzymać cię z dala

ode mnie. Z czystej zazdrości.

Krążyła po pokoju. Zdjęła płaszcz i żakiet. Zacisnęła pięści i kopnęła w nogę łóżka.

Fèlix wciąż stał pod drzwiami.

– Dla mnie zawsze należałaś do naszej rodziny. – Przyłożył ucho do drzwi. – Marianno, proszę...

Cisza. Kobieta usiadła na łóżku i ze wszystkich sił stłumiła w sobie krzyk, w którym zawierało się całe jej życie.

Fèlix chodził po korytarzu tam i z powrotem. Znów przyłożył ucho do drzwi. Cisza. Odwrócił się i osunął na podłogę, opierając się plecami o ścianę. Patrzył na swoje dłonie. Przez chwilę wydawały mu się szorstkie i brzydkie. Włożył je do kieszeni i wyczuł kopertę z rodzinnym monogramem i woskową pieczęcią. Zaczął ją oglądać: rozciągnięte litery napisane drżącą ręką układały się w jego imię. Poczuł ukłucie dumy. „Gdziekolwiek jesteś, Marçalu, na pewno już wiesz, że wygrałem”, pomyślał. Otworzył kopertę, zastanawiając się, co takiego chciał mu przekazać brat, zanim umarł. Umarł z jego rąk. W kopercie znajdowała się pożółkła kartka zapisana drobnym pismem i opatrzona pieczęcią. Zaczął czytać: „Zaświadcza się, że w dniu dzisiejszym, 13 maja 1841 roku zostało ochrzczone dziecko płci żeńskiej urodzone przez Helenę Lledó, córkę Consol Doliu i Pacià Lledó, której nadano imię Marianna, a nazwisko Lledó. Niniejszy dokument stanowi oficjalne potwierdzenie jej tożsamości...”

Marianna, zmęczona przeklinaniem Marçala, wstała i podeszła do drzwi.

– Fèliksie?

Mężczyźnie odebrało głos.

– Fèliksie, jesteś tam?

Otworzyła drzwi. Zaskoczony złożył pospiesznie dokument i schował go do kieszeni, a potem zerwał się z podłogi.

Marianna zmrużyła oczy.

– Może masz rację. Marçal mnie nie kochał.

– Marianno, ja...

– Wiem, ty nigdy nie wypominałeś mi mojego pochodzenia.

– Nie, chcę tylko powiedzieć, że Marçal... Koperta, którą dał mi dzisiaj notariusz...

Fèlix włożył rękę do kieszeni, ale Marianna chwyciła go za ramię i pokręciła głową.

– Nie, zapomnijmy o Marçalu, notariuszu i tych wszystkich latach. – Przygryzła dolną wargę i przypomniała sobie słowa Marçala: „Będę kochał za nas oboje. Nigdy nie zrobię niczego, co mogłoby cię zranić”. – Nie powinnam była wychodzić za mąż. Ale nie byłam w stanie...

Fèlix położył jej palec na ustach i odsunął kosmyk, który opadł na jej twarz.

– To już się skończyło. Nie myśl o tym więcej. Teraz ja się tobą zaopiekuję.

Przytuliła się do niego i go pocałowała. Pocałunek był tak długi i namiętny, że Ermínia, która podglądała ich zza drzwi dla służby, poczuła, że narasta

w niej wściekłość, a w jej głowie rozbrzmiał głos Sibilli: „Nie pozwól się zdeptać, Ermínio! Pamiętaj, kim jesteś”.

Fèlix nie widział świata poza Marianną. Wziął ją na ręce, wniósł do pokoju i zamknął drzwi. Potem objął ją z całych sił, położył na łóżku, odsunął z twarzy potargane włosy i namiętnie całował.

Śmiały jej się oczy, ale jednocześnie kręciła głową.

– Ależ, Fèliksie, nie jesteśmy małżeństwem.

– Nie jesteśmy małżeństwem? Tego właśnie chcesz? Więc pobierzmy się! Pobierzmy się natychmiast!

Kobieta wybuchnęła śmiechem.

– Jesteś szalony!

– Och, tak, oszalałem na twoim punkcie!

Fèlix rozpiął jej koszulę, a Marianna rozwiązała mu fular.

– Chcę, żebyś o czymś wiedziała.

Kobieta wbiła w niego swoje modre oczy.

– Już dawno powinienem ci to powiedzieć: kocham cię. Życie ma dla mnie sens tylko wtedy, gdy jestem z tobą.

Położyli się na łóżku.

– Och, Fèliksie!

Pocałował ją w policzek, a potem w szyję, piersi i brzuch. Rozpiął jej spódnicę, guzik po guziku. Robił to z tak dużą wprawą, że Marianna poczuła się niezręcznie. Fèlix wyczuł jej nagły dystans.

– Czy coś się stało?

– Nie, nic, tylko Marçal...

Usiadł na łóżku i z nagle pociemniałym ze złości wzrokiem powiedział głośniej, niż zamierzał:

– Marçala nie ma i już nigdy nie stanie między nami! Odszedł na zawsze!

Wpatrywała się w niego przerażona.

– Nie masz pojęcia, ile łez wypłakałem przez te lata, jak cierpiałem każdej nocy, wiedząc, że byłaś w jego ramionach...

Marianna zamknęła mu usta pocałunkiem.

– Ja też cię kocham, Fèliksie.

Mężczyzna westchnął i z uśmiechem podniósł jej halki jednym ruchem ręki.

– Teraz doświadczysz czegoś, czego nigdy wcześniej nie czułaś! Tego Marçal nie był w stanie w tobie rozbudzić!

Marianna oblała się rumieńcem, ale nie protestowała. Fèlix pochylił się poniżej jej brzucha i zsunął jej bieliznę. Kobieta poczuła jego delikatne, drobne i wilgotne pocałunki, aż nagle jego język zagłębił się w jej wnętrze i Mariannę zalała ciepła fala miłości, której nigdy wcześniej nie doznała. Przez jej ciało przeszedł dziwny dreszcz. Poczuła wstyd, chociaż tym razem wstydziła się przyjemności i pomyślała, co by powiedział ojciec Espina, gdyby ich teraz zobaczył. Fèlix trzymał ją swoimi silnymi rękami i nie pozwolił jej uciec. Jego język badał każdy centymetr dolnej części jej brzucha. Mężczyzna złapał ją za



pośladki i przycisnął do siebie. Marianna poczuła się pożądana. Fèlix coraz szybciej poruszał językiem. Nagle odsunął się i włożył w nią palec tak głęboko, że Marianna odgięła się w łuk. Z rozkoszy zadrżały jej kolana i myślała, że wybuchnie. Wydała z siebie krzyk, bo poczuła coś, czego nigdy do tej pory nie doznała.

Fèlix przesunął się do góry. Marianna leżała z zamkniętymi oczami. Objął ją i wyszeptał jej do ucha:

– Kocham cię, najdroższa.

Pocałował ją w policzek. Marianna mocno się w niego wtuliła. Wciąż smakując w ustach jej smak, rozebrał się do naga. Marianna nie czuła wstydu, patrząc na niego, i pozwoliła, żeby krople miłości spłynęły strużką między jej udami. Fèlix położył się na niej, a kiedy wszedł w nią z czułością, Marianna miała wrażenie, jakby to już kiedyś robili. Gdy już był w środku niej, chciała poczuć go jeszcze głębiej, pragnęła, żeby ją objął jeszcze mocniej. Fèlix jęczał z rozkoszy i nieustannie przyspieszał. Marianna szeptała:

– Ja też cię kocham, najdroższy.

Poczuł, jakby na chwilę stali się jednością, odkrywając przed sobą wszystkie swoje uczucia. A kiedy ich ruchy stały się spokojniejsze, wsłuchiwali się w harmonijne uderzenia swoich serc.

Bam!

Marianna obudziła Ermínię. To, że chciała zostać sama, nie powinno oznaczać, że narazi innych na śmierć.

– Obudź się, Ermínio!

– Co się dzieje? Już są?

– Nie, ale musisz uciekać.

– Co?

– Wojsko może wejść w każdej chwili. Wszyscy uciekają do Vallcarki.

Ermínia przetarła oczy i wyostrzyła spojrzenie.

– A barykady?

– Kilku mężczyzn zostanie, żeby ich bronić i dać innym czas na ucieczkę.

– To samobójstwo!

– Ktoś musi się poświęcić albo wszyscy zginą.

Ermínia zamknęła oczy i wstała.

– Idę do pracowni. Zabiorę kilka rzeczy i ruszymy w drogę.

– Ja zostaję. Dopóki bije dzwon, żołnierze boją się zaatakować, ale kiedy przejdą przez barykady, najpierw zaatakują wieżę. To da ludziom czas, żeby uciec stąd jak najdalej.

Ermínia złapała się za głowę.

– Słucham? Nie, Marianno, ty już zrobiłaś wystarczająco dużo. Obie zrobiłyśmy wiele! Trzeba umieć powiedzieć dość! Śmierć jednej osoby więcej niczego nie zmieni!

– Masz rację, Ermínio, ale warto ponieść taką ofiarę, jeśli dzięki temu uratują się ludzie.

Kobieta zacisnęła usta i ponownie usiadła.

– Dobrze, w takim razie zostaję z tobą.

Marianna wiedziała, że nie przekona jej do zmiany zdania. Pociągnęła za sznur dzwonu.

Bam!

– Zgoda. Idź do pracowni. Zabierz najpotrzebniejsze rzeczy, a potem uciekniemy.

Ermínia uniosła na nią wzrok.

– Uciekniesz ze mną?

Marianna nie odpowiedziała. Ermínia westchnęła.

– Już raz uratowałaś mi życie. Musisz zrozumieć, że nie mogę cię teraz opuścić.

Marianna wbiła w nią przenikliwy wzrok.

– Nie chcę stracić kolejnej ukochanej osoby.

Ermínia poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Wstała i ruszyła w stronę drzwi. Na plac nie spadały bomby, ucichły krzyki i świst kul. Słysząc było tylko odgłos pospiesznych kroków. Marianna znów pociągnęła za sznur.

Bam!

– Nic mi się nie stanie. Nie będę stawiać oporu. Zabiorą mnie tylko do więzienia.

– Do więzienia? Zwariowałaś? Nie masz pojęcia, o czym mówisz!

– Mylisz się, Ermínio. Doskonale wiem, co to znaczy być zamkniętą w więzieniu bardzo długo, zbyt długo.

– To nie to samo...

Marianna naciągnęła rękawy, żeby nie ranić dłoni sznurem.

Bam!

Ermínia zamilkła, zastanawiając się, jak ją przekonać.

– W takim razie zostanemy tu, dopóki nie wejdzie wojsko, a potem ucieknijmy ulicą Torrent de les Flors. Dotrzemy do Ca n'Alegre. Tam dadzą nam schronienie i ukryją w tajnym pokoju, który mają pod spizarnią. Ramona powiedziała mi o nim w sekrecie.

Marianna spojrzała na nią uważnie.

– Dlaczego nie uciekniesz sama, Ermínio? Ja mam wiele długów do spłacenia i chętnie spłacę je śmiercią.

– Mam ich więcej od ciebie.

Kobieta usiadła przy niej.

– Mistrz Fabra powiedziałby, że zrobiłaś już wystarczająco dużo i powinnaś odejść.

– Nie. Powiedziałby mi, żebym była odważna i nie uciekała.

– Odwaga oznacza również przyznanie się do porażki albo rozczarowania.

Marianna pochyliła głowę i pociągnęła za sznur.

Bam!

– Nie zmienisz zdania, prawda?

Ermínia pokręciła głową.

– Nie mogę cię tutaj zostawić.

Marianna głęboko westchnęła.

– Dobrze. Spakuj wszystko, co może nam się przydać, i kiedy usłyszymy nacierające wojsko, uciekniemy.

Ermínia pokiwała głową i z triumfalnym uśmiechem na twarzy pobiegła do wyjścia.

– Zaraz wracam.

Marianna patrzyła, jak kobieta się oddala, i uśmiechnęła się, przypominając sobie słowa swojej jedynej przyjaciółki: „Nie mogę cię tu zostawić”.

Jej lewa dłoń krwawiła. Z trudem chwyciła sznur i znów za niego pociągnęła.

Bam!

Ermínia weszła do Casa Lledó, czując na sobie oskarżycielski wzrok Àgaty.

– Pan czeka na ciebie.

Kobieta pokiwała głową, nie patrząc na gospodynię, żeby nie musieć się usprawiedliwiać ani jej okłamywać.

Zdjęła chustę i pelerynę, powiesiła je przy wejściu i przeszła przez hol pod trzystoma pięćdziesięcioma czterema kryształkami żyrandola, które tym razem ani drgnęły, jakby w milczeniu ją ostrzegały: „Dzisiaj lepiej być cicho”.

Ermínia poszła za Àgatą do gabinetu.

– Wejść.

Na dźwięk głosu Fèliksa przeszły ją ciarki. Wygładziła sukienkę, uszczypnęła się lekko w policzki i weszła.

Fèlix uniósł wzrok znad listu, który właśnie pisał. We wpadającym przez okno popołudniowym świetle wyglądał jak duch.

– Już myślałem, że mnie zdradziłaś!

Ermínia dygnęła posłusznie.

– Przepraszam, ale musiałam poczekać na odpowiednią chwilę, żeby się wymknąć, nie ściągając na siebie podejrzeń. Mistrz Fabra pilnuje mnie dniem i nocą. Chyba coś podejrzewa.

Fèlix wstał.

– Jestem pewien, że wiesz, jak oszukać tego biedaka...

Ermínia opuściła wściekły wzrok. Nie chciała pozwolić na znieważanie tego człowieka. W odróżnieniu od niej mistrz zachował swój honor.

Fèlix uśmiechnął się i zbliżył.

– Powiedz mi lepiej, co porabia Marianna.

– Ma się dobrze. Jak zawsze – odpowiedziała.

Fèlix zacisnął pięści ze złości.

– To mógłby mi powiedzieć Calabuig! Nie płacę ci za to, żebyś mówiła mi tylko, że ma się dobrze. Opowiedz, co robi.

– Pracuje w pracowni krawieckiej. Wszywa kołnierze i mankiety.

Fèlix przyjrzał się jej uważnie.

– Dobrze, jest krawcową. Dowiedziałaś się jeszcze czegoś?

Ermínia opuściła wzrok, zacisnęła ręce na znoszonej spódnicy i pokręciła głową. Nie była pewna, czy może powiedzieć jeszcze o czymś, bo wydało jej się to zbyt osobiste.

– Moim zdaniem byłoby najprościej, gdyby sam pan do niej poszedł i załatwił swoje sprawy. Albo dał sobie spokój i o niej zapomniał – ośmieliła się zasugerować.

– Dać sobie spokój? Zapomnieć o niej?

Fèlix przewiercał ją swoim ołowianym wzrokiem. Ermínia po raz pierwszy poczuła przed nim strach.

– Pewnych spraw nie można tak po prostu zostawić, droga Ermínio.

W pokoju dało się wyczuć mieszaną cedrowych perfum i dymu z cygar. Fèlix wymawiał każde słowo dobitnie i ostro.

– Nie dajesz znaku życia przez dwa miesiące, a teraz zjawiasz się i masz mi do powiedzenia tylko tyle, że Marianna szyje w jakiejś pracowni krawieckiej?

Spojrzał na jej drżące usta. Matka Ermínii, nieżyjąca od tylu lat, ostrzegła: „Nie pozwól wykorzystywać się mężczyźnie. Wykorzystają cię, a potem porzucą jak brudną szmatę, tak jak zrobili to ze mną”.

Domyślił się, że dziewczyna coś przed nim ukrywa.

– Sądziłem, że masz do mnie zaufanie i wiesz, jakie to dla mnie ważne.

Zawahała się. Fèlix to zauważył. Zaczął ją głaskać po włosach i policzku. Kobieta poddała się jego pieścizom, a w jej głowie matka grzmiała: „Nie po to cię urodziłam, Ermínio Perfecto Collado, żebyś upadła tak nisko!”.

Przesunął kciukiem po jej ustach.

– Droga Ermínio, powiedz mi o tym, z czym tu przyszłaś. Wiem, że tego chcesz.

Kobieta rozpływała się pod wpływem przyjemnego łaskotania, które czuła na wargach. „Może jednak nic się nie stanie, jeśli mu o tym powiem. I tak prędzej czy później się o tym dowie. Może, jeśli usłyszy to z moich ust, popatrzy na nią inaczej i o niej zapomni. Może nawet mnie pokocha”. Tak myślała, zanim do niego przyszła. Właściwie dlatego postanowiła przyjść. Ale słysząc głos matki i widząc oskarżycielskie spojrzenie Ágaty, ciągle się wahała.

– Dobrze ci płacę, ale możesz mnie poprosić o wszystko – szeptał Fèlix.

Pokręciła głową.

– Nie potrzebuję pieniędzy.

Fèlix pocałował ją z uśmiechem.

– W takim razie, czego chcesz?

Odsunęła od niego twarz, a on spojrzał na nią i cofnął się o krok.

– Dobrze, twoja sprawa. Możesz odejść.

Poczuła ukłucie w żołądku.

– Słucham?

Fèlix wrócił do biurka i usiadł na krześle.

– Jeśli nie chcesz pieniędzy, możesz odejść. No dalej. Mam dzisiaj ciężki dzień

i nie chcę tracić czasu.

Zwilżyła językiem usta, ale nie ruszyła się z miejsca.

Fèlix ujął pióro i wrócił do pisania listu.

– Kiedy wyjdiesz, zamknij za sobą drzwi.

Ermínia zagryzła wargi i wzięła głęboki oddech.

– Jest w ciąży...

Nagle uniósł wzrok i ścisnął pióro.

– Mniej więcej od trzech miesięcy, ale nie jestem pewna.

Atrament skapywał z pióra na papier.

Ermínia westchnęła. „Już po wszystkim, wyrzuciłam to z siebie. Nie mogę cofnąć czasu”. Odwróciła się, żeby uciec od napiętej atmosfery, poczucia winy i głosu matki, która ostrzegała ją w myślach, że zanim znów się upokorzy, niech ucieka.

Fèlix jednak oprzytomniał i ją zatrzymał.

– Trzy miesiące, czyli jeszcze przed śmiercią Marçala.

Kobieta bez przekonania pokiwała głową. Była pewna, że powinna już odejść. Dygnęła, spoconymi dłońmi złapała za klamkę i otworzyła drzwi.

Siedział nieruchomo za biurkiem jeszcze długo po wyjściu Ermínii.

Calabuig stał w cieniu u podnóża schodów. Strzelił na nią palcami.

– Za kogo ty się uważasz?

Ermínia starała się ukryć zaskoczenie.

– Myślałam, że odzywasz się tylko wtedy, gdy pan ci na to pozwoli, Calabuigu!

Mężczyzna mruknął pod nosem: „Ta kobieta jest jak toczeń: zdradliwa i dyskretna”, wyprostował się i podszedł do niej pewnym krokiem.

– Widzę, że doskonale przystosowałaś się do życia w Gràcii.

Ermínia nie chciała unieść wzroku. Ten orli nos i zapadnięte oczy przyprawiły ją o mdłości. Serce biło jej jak szalone. Podeszła do wieszaka i zdjęła z niego pelerynę i chustę. Pomyślała, że jeśli chce trwać u boku Fèliksa, musi się pozbyć jego sępów.

– Wykonuję tylko polecenia.

– Mam taką nadzieję, chociaż nie wydaje mi się, żeby w ich zakres wchodziło opłacanie z własnej kieszeni doktora dla swojej pani. Jeśli jednak tak twierdzisz, pomyślę, że w ten sposób chcesz sobie zaskarbić jej zaufanie.

Ermínia była teraz pewna, że ją śledził. To oznaczało, że Fèlix jej nie ufał.

– To nie twoja sprawa. Tylko pan Fèlix może oceniać moje działania.

– Tak też robi, a kiedy twoje oszustwa wyjdą na jaw, zrozumie, kim naprawdę jesteś.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Obserwuję cię od dłuższego czasu i wiem, co kombinujesz. Myślisz, że dzięki twoim truciznom pan padnie u twoich stóp. Szkoda mi ciebie!

Ermínia zacisnęła zęby.

Calabuig zastąpił jej drogę.

– Wiesz, co się robi w Anglii z nieposłusznymi owcami? Ukręca się im łby.

Patrzyła na niego z pogardą.

– Nie wszyscy jesteśmy tacy jak ty. Nawet dla pana władza i przemoc nie są wszystkim.

Najemnik złapał ją za ramię i przytrzymał.

– Mylisz się. Wszyscy jesteście tacy jak ja! A ty najbardziej.

Ermínia wyrwała mu się z obrzydzeniem.

– Mdli mnie na twój widok, Calabuigu! Może masz rację. Nie jestem niewiniątkiem! Pozwól jednak, że ci coś wyjaśnię. Kiedy umrę pewnego dnia, na mój pogrzeb przyjdą ludzie, którzy będą o mnie pamiętać. Tymczasem ciebie po śmierci wrzucą do wspólnego grobu na pożarcie szczurom.

Rozległ się dzwonek na służbę.

Ermínia się uśmiechnęła.

– Pan cię woła.

Calabuig wbił jej paznokcie w ramię i wysyczał, wymawiając powoli każde słowo:

– Zapłacisz mi za to, wiedźmo!

Kobieta odsunęła go łokciem, otworzyła drzwi i wyszła.

Zapadł grudniowy zmierzch, a na dworze panował mróz. Zeszła po pięciu marmurowych stopniach i ruszyła pospiesznie ścieżką obrośniętą eukaliptusami.

Bam!

Padał deszcz. Znów zalewał plac przed ratuszem, martwych i cierpienie, którego był świadkiem.

Ermínia przeszła przez plac i skręciła w ulicę Diluvi. Usłyszała za sobą kroki, ale je zignorowała. Nie powinna tracić czasu, bo wreszcie Marianna zgodziła się na ucieczkę. Nie mogła pozwolić, żeby zmieniła zdanie.

Dotarła do budynku, w którym mieściła się pracownia. Przetrwiała, mimo że w dom stojący obok uderzyła bomba, zmieniając w gruzy część jego elewacji. Kobieta przesunęła kamień spod wejścia i otworzyła drzwi. Weszła wąskimi schodami na trzecie piętro do mieszkanek na poddaszu, które dzieliła z Marianną przez osiem ostatnich lat. Ukrywały się tam przed światem, w zamknięciu, ale czuły się bardziej wolne niż kiedykolwiek.

Ostatnio była tu przed kilkoma dniami, wychodząc po ostatnie prześcieradła, z których mogłyby zrobić szarpie. Stół był nakryty, a na kuchni stał garnek z zupą, która zamieniła się w śmierdzącą breję. Przez okno sączyły się pierwsze promienie słońca.

Ermínia weszła do sypialni, wyjęła torbę podróżną i wrzuciła do niej swoje dwie sukienki, dwie należące do Marianny i dwa szale. Spod obluźowanej deski w podłodze wyciągnęła sakiewkę z kilkoma złotymi monetami, które udało im się zaoszczędzić przez kilka ostatnich lat.

Zastygła w bezruchu, słysząc jakiś hałas, jakby odgłos kroków.

Wróciła do salonu. W progu stał Fèlix w ubraniu robotnika i na nią patrzył.

Ermínia wypuściła z rąk torbę i się cofnęła.

– Co tutaj robisz?

– Nie martw się, nie ciebie szukam. Gdzie jest Marianna?

Ermínia zastanawiała się, jak go wyminąć, ale nie odważyła się spróbować.

– Uciekła.

Ruszył w jej stronę.

– Nie oszukuj mnie.

Kobieta milczała.

– Jak na martwą całkiem dobrze wyglądasz, Ermínio! Dlaczego się ukrywałaś? Powinnaś była przyjść do mnie.

Wybuchnęła śmiechem.

– Do ciebie? Już zapomniałeś, że ty i twój zbir próbowaliście nas zabić?

Fèlix zbliżył się do niej.

– Pożar wzniecił Calabuig. Ja nie miałem z tym nic wspólnego.

– Nie dam się już omamić twoimi kłamstwami.

Fèlix pokręcił głową.

– Powiedz mi, gdzie jest Marianna.

Ermínia od dawna nie słyszała w głowie silnego głosu swojej matki, ale teraz nie tylko ją słyszała, ale także widziała przed sobą.

– Nie powiem ci i nie zmusisz mnie do tego. Już się ciebie nie boję, Fèliksie.

– Naprawdę?

Kobieta przytaknęła.

– Wykorzystałeś mnie. Od początku nie miałeś zamiaru ani być ze mną, ani się ożenić.

Fèlix uniósł brwi.

– Ożenić się? Z tobą?

Ermínia przełknęła ślinę, a Sibilla przypomniała jej, że Ermínia Perfecta Collado nie może dać się poniżyć.

– Nie rozumiesz, dlaczego zrobiłam to wszystko? Zdobyłam zioła, śledziłam Mariannę, oddałam się tobie?

Fèlix był zdezorientowany.

– Przecież tylko dobrze się bawiliśmy...

– Ty się dobrze bawiłeś. Dla mnie to było coś więcej.

Fèlix odwrócił się, nie chcąc tracić czasu.

– W jaki sposób mam ci to wynagrodzić?

– Och, nic nie rozumiesz, prawda? Pewnych rzeczy nie można ani kupić, ani sprzedać. Ja nigdy nie chciałam twoich pieniędzy.

– Przecież właśnie mi powiedziałaś...

– Pragnęłam tylko twojej miłości. Chciałam, żebyś mnie pokochał.

Fèlix zatrzymał się przy stole.

– Spójrz na siebie. Jak mogłaś myśleć, że się z tobą ożenię? Jesteś pokojówką Marianny. Zwykłą służącą! Przestań wygadywać bzdury i powiedz mi, gdzie jest Marianna!

Ermínia położyła rękę na rozpalonym czole, podeszła do okna i wpatrywała się w dal.

– Marianna, Marianna, zawsze Marianna...

Bam!

Marianna zakryła usta ręką, żeby nie krzyczeć i nie udusić się czarnym dymem wypełniającym pokój. Płomienie sięgały sufitu, osmalając belki. Fotel mistrza Fabry płonął i widać było już tylko jego szkielet.

Marianna zrobiła kilka kroków do tyłu. Filiżanka, którą zamierzała odnieść do kuchni, wypadła jej z rąk i rozbiła się w drobne kawałki. Kilka kropli płynu poplamiło jej koszulę nocną. Nie było czasu na gaszenie pożaru. Kaszłąc, oparła się o ścianę, której chłód przenikał ją aż do kręgosłupa. Marianna oprzytomniała i odwróciła się do przestraszonej Ermínii. Podbiegła do niej i złapała ją pewnie za ramię.

– Szybko! Dzieci! Musimy się stąd wydostać! Zajmij się Magím i Tomeu. Ja pójdę po dziewczynki.

Przebiegły niewielką odległość dzielącą je od drugiego krańca domu. Marianna wpadła do pokoju dziewczynek, obudziła je pospiesznie, wzięła Finetę na ręce, a za sobą ciągnęła Rossendę.

– Posłuchajcie mnie. Musicie być dzielne. Nie patrzcie na ogień, tylko na drzwi.

Zanim dotarły do salonu, zatrzymał je głośny huk: przewrócił się kredens, a odświeżona zastawa i sztucce wypadły z szafek i szuflad. Marianna przytuliła główkę Finety do piersi i ścisnęła mocno rękę Rossendy. Dobiegła do drzwi wejściowych i otworzyła je mocnym pchnięciem. Zbiegły po trzech stopniach, które dzieliły dom mistrza Fabry od ulicy, i otuliła je nocna cisza panująca w Gràcii.

Tylko jakiś sąsiad, zaalarmowany hałasem, wychylił głowę przez okno. Marianna postawiła Finetę na ziemi. Dziewczynka była blada i płakała. Rossenda opadła ciężko na ostatni stopień schodów, ale Marianna podbiegła do niej i pospiesznie odsunęła ją od wejścia i pożogi, która zaczynała pochłaniać okiennice. Kiedy zamierzała powiedzieć dziewczynkom, że są bezpieczne, nagle usłyszała pokasływanie. W progu domu ukazali się Tomeu i Magí, cali i zdrowi. Tomeu rzucił się jej w objęcia, Magí zgiął się wpół i złapał poręcz, zanosząc się silnym kaszlem. Próbował się wyprostować i coś powiedzieć, ale dym zdusił jego słowa.

– Ermínia! – wyrzucił w końcu z siebie. – Ermínia jest w środku. Sama.

Marianna odsunęła dzieci od wejścia.

– Zostańcie tutaj, nie ruszajcie się. Zaraz wrócę. Idę jej poszukać.

Z daleka usłyszała, że wołały:

– Nie, nie zostawiaj nas!

Wróciła biegiem do domu, nie zwracając uwagi na płomienie, które sięgały już dachu.

– Ermínio! Ermínio! – wołała.



Korytarz pogrążony był w szarym dymie, który palił w oczy.

– Ermínio! Boże mój, gdzie jesteś?

Słysząc było tylko skwierczenie palącego się drewna.

Marianna z trudem łapała oddech, zanosząc się kaszlem. Dotarła do pokoju Tomeu i Magiego i zajrzała do środka. Na podłodze, między ścianą a łóżkiem, zauważyła skrecone ciało. Potrząsnęła nim z całych sił.

– Ermínio, Ermínio! Otwórz oczy!

Pod zamkniętymi powiekami źrenice Ermínii poruszały się leniwie. Marianna nie miała czasu czekać, aż się ocknie. Podniosła ją i oparła na swoim ramieniu. Ermínia sporo ważyła.

– Kilka kroków. Jeszcze kilka kroków i będziemy na zewnątrz.

Potyając się, przeszły przez korytarz. Kiedy minęły salon, Marianna zobaczyła, że Ermínia odzyskała przytomność.

– Dalej pójde sama, proszę pani – wyszeptała.

Kobieta wyprostowała się i rzuciła przez wąską sień ku świeżemu powietrzu.

Marianna stała nieruchomo. Po chwili zaczęła się rozglądać. Poczowała zawroty głowy, a odgłos pożaru zagłuszał jej myśli. Kropla potu spłynęła jej po czole. Chwyciła jedną ręką dół koszuli nocnej, drugą położyła na brzuchu w opiekuńczym geście i pomyślała: „Będę o ciebie dbać, dziecko”. Ruszyła w stronę drzwi. W tej samej chwili głośny trzask zmroził jej krew w żyłach. Zdążyła unieść wzrok ku sufitowi i zobaczyć, że spada na nią spróchniała ze starości i strawiona ogniem belka.

Trzy dni po pożarze Marianna wciąż walczyła o życie. Trzy dni, które Ermínia spędziła przy niej, błagając Boga, żeby nie obarczał jej kolejnym ciężarem, ale uratował Mariannę albo ją zabrał.

Świtało. Kilka godzin wcześniej doktor stwierdził, że jeśli ranna wkrótce się nie obudzi, nic więcej nie będzie w stanie dla niej zrobić.

Ermínia wpatrywała się w delikatną twarz swojej pani, w jej usta, oparzony lewy policzek, oczy nerwowo poruszające się pod zamkniętymi powiekami, zimne dłonie i zroszone potem czoło. Przecierała je wilgotną szmatką i zwilżała wargi. Pragnęła też, żeby jak najszybciej zagoiła się rana przypominająca służącej o jej zdradzie.

Kiedy medyk powiedział, że Marianna straciła dziecko, Ermínia przyjęła jego słowa jak śmiertelną truciznę.

Rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł mistrz Fabra i nie patrząc na służącą, zbliżył się do Marianny. Ermínia chciałaby, żeby na nią też ktoś spojrział z taką czułością, jednak wiedziała, że na to nie zasługuje. Straciła już wszelką szansę, żeby ktoś ją pokochał.

– Wciąż jest nieprzytomna, mistrzu.

Mistrz Fabra odwrócił się do niej.

– Nie martw się. To silna kobieta. Obudzi się, ale będziecie musiały się ukryć.

Ermínia spojrzała na niego zaskoczona.

– Gdzie?

– Dzisiaj poinformowałem Fèliksa o waszej śmierci. Wyglądał na zdenerwowanego. Nie będzie żadnego nekrologu ani pogrzebu. Tak jak przypuszczaliśmy, woli utrzymać to w tajemnicy. Musicie jednak znaleźć dobrą kryjówkę i zniknąć. Przynajmniej przez jakiś czas. Znalazłem idealne miejsce na pustym poddaszu.

Ermínia spojrzała na Mariannę.

– Najpierw niech się obudzi.

Mistrz Fabra położył rękę na ramieniu służącej i uśmiechnął się do niej.

– Czasami uczucia zaślepiają, Ermíniu, ale twoje życie nie było łatwe. Dopóki jednak tu jesteś, nie trać czasu na rozmyślanie o winie. Marianna cię potrzebuje. – Podeszedł do drzwi i zatrzymał się w progu. – Ja w ciebie wierzę.

Ermínia przełknęła ślinę i odwróciła się w stronę Marianny, która znów miała spocone czoło. Wytarła je szmatką i poprosiła w duchu: „Boże, dopomóż jej, a mnie pomóż ją ochronić i zdobyć jej przebaczenie”.

Bam!

– Tak, Marianna. Gdzie ona jest?

Fèlix zaczął się denerwować, a Ermínia poczuła, że po raz pierwszy ma nad nim przewagę.

– Jeśli tak ją kochasz, dlaczego kazałeś ją zabić? Sprawić, że obie zginęłybyśmy w pożarze?

Mężczyzna podeszedł do niej.

– Już ci mówiłem, że to była inicjatywa Calabuiga. To pomyłka!

– Pomyłka? Gdyby nie Marianna, ten błąd przypłaciłabym życiem. Ale ciebie oczywiście to nie obchodzi.

– Ermíniu, proszę, nie zostało dużo czasu. Uciekaj, jeśli chcesz, ale najpierw powiedz, gdzie jest Marianna. Muszę ją odnaleźć!

– Musisz ją odnaleźć? Po co? Żeby dokończyć to, czego nie udało się płomieniom, a potem upozorować jej śmierć?

– Nie! Oczywiście, że nie!

Ermínia patrzyła na niego wściekłym wzrokiem, czując obecność swojej matki.

– Nigdy więcej już nie dotkniesz Marianny! Słyszysz?!

Fèlix zrobił krok do tyłu.

– Grozisz mi?

Podeszła do paleniska, złapała nóż i wymierzyła w Fèliksa.

– Zrobię wszystko, abyś jej nie odnalazł!

Pokręcił głową.

– Pytam cię po raz ostatni, gdzie ona jest?

– Zaraz ci pokażę! Jest na czubku mojego noża!

Ermínia rzuciła się na Fèliksa, który zrobił unik i popchnął ją na stół. Upadła na podłogę. Mężczyzna spojrzał na nią z pogardą, pokręcił głową i ruszył do wyjścia.

– Oszalałaś!

Ermínia wstała i ściskając w rękę nóż, zachęcana w myślach przez matkę: „Odwagi! Zemścij się za mnie, obiecaj mi to”, znowu rzuciła się na Fèliksa.

Wbiła mu nóż w ramię. Mężczyzna odskoczył z krzykiem i szeroko otwartymi oczami, dobył pistolet, który dał mu kapitan generalny księstwa Katalonii Eugenio de Gaminde, i strzelił.

W geście zwycięstwa podniosła rękę do piersi i upadła.

Fèlix pochylił się nad nią.

– Ermínio...

Ona uśmiechnęła się i wyszeptwała:

– Być może byłam tylko służącą, ale wiem, co znaczy kochać.

Słysząc było jej przyspieszony oddech. Nagle jej wzrok znieruchomiał.

Fèlix nic już nie mógł zrobić. Westchnął i wyszedł ciężkim krokiem.

Ermínia słyszała, jak się oddala, i najchętniej opuściłaby swoje ciało, popłynęła w stronę światła, które wypełniało pokój i zamazywało cienie. Nie czuła bólu, tylko rozchodzące się ciepło. Teraz zrozumiała, że to wszystko nie miało sensu, ale może przynajmniej Bóg istnieje. Ogarnął ją sen o przebaczeniu. Zamknęła oczy i czekała na nie.

Bam!

Natychmiast po wypadku przenieśli Sibillę do domu mistrza Fabry. Amàlia zawodziła, że jeśli ma umrzeć, to tylko w domu. Położyli ranną w pokoju dzieci, czyli najmniejszym i ciemnym, ale też najcichszym. Przez cały wieczór płakała i wyła z bólu, aż nagle zamilkła. Słysząc było tylko jej powolny i ciężki oddech.

Ermínia modliła się: „Boże, wylecz ją! Jeśli mnie widzisz, jeśli istniejesz, nie zabieraj mi też matki”.

Po południu Amàlia pozwoliła dziewczynce zobaczyć Sibillę. Ermínia weszła w lepką ciemność pokoju, w którym wyczuwało się zapach zgęstniałej krwi i zgnilizny. Wyteżyła wzrok i zobaczyła leżące na łóżku omdlałe ciało. Maszyna poharatała Sibilli brzuch, więc nie była w stanie iść o własnych siłach. Kiedy niesiono ją do pokoju, strużka krwi ciągnęła się za nią po podłodze.

– Matko...

Oddech kobiety ucichł na chwilę i Sibilla niemal niezauważalnie przymknęła usta. Ermínia patrzyła na jej opuchnięte i posiniaczone ręce i chwyciła je z rozpaczą.

– Matko...

Klatka piersiowa kobiety wznosiła się i opadała powoli, bez siły, jakby była przytłoczona jakimś ciężarem. Ermínia uniosła wzrok i napotkała wpatrujące się w nią oczy matki.

– Ermínio Perfecto Collado Companys – wyszeptwała Sibilla konającym głosem.

Dziewczynka ścisnęła jej rękę i pocałowała.

– Matko!

Sibilla z trudem nabrała powietrza i odezwała się charczącym głosem:

– Nie rozczaruj mnie. Spójrz na mnie, córko. Obiecuj, że mnie pomścisz!

Ermínia pozwoliła, żeby matka przeszła ją wzrokiem i słowami odebrała jej wolę i duszę. Sibilla znów oddychała z trudem i krzyczała z bólu. „Ojciec nasz, który jesteś w niebie, wylecz ją, Boże, wylecz ją”, myślała dziewczynka.

Kiedy po czterech dniach męczarni kobieta umarła, Ermínia doszła do wniosku, że nie może istnieć Bóg, który pozwala na takie cierpienie. I przez kolejne dni i lata swojego życia w głowie wciąż słyszała słowa matki: „Spójrz na mnie, córko. Obiecuj, że mnie pomścisz!”. Chociaż trudno o odwet, jeśli nie zna się zabójcy.

Bam!

Fèlix zatrzymał się na schodach i dotknął prawą ręką noża, który wciąż tkwił w jego ramieniu. Wyrwał go z rany razem ze skórą i z poczuciem winy. Potem upadł i zsunął się kilka stopni w dół. Pojedyncza łza spłynęła mu po górnej wardze, ale zaraz otarł ją ręką pachnącą krwią. Zaniósł się szlochem i na chwilę wspomnienia, które chował w najdalszych zakątkach duszy, zaczęły powracać, jedno po drugim, mieszając się z krwią, łzami i jękiem rozpacz.

Zobaczył Mariannę, która krzyczała do niego: „Nie, Fèliksie, ty nie kochasz nikogo oprócz siebie”, „Jak mogłeś? To był twój brat, rodzony brat!”. Przypomniał sobie, jak Marçal powiedział mu: „Nie zasługujesz na nią”, a także listy, trujące zioła, a potem znów Mariannę w swoich ramionach. Wtedy czuł, jakby na chwilę byli jednością, odkrywając przed sobą wszystkie swoje uczucia. A kiedy ich ruchy stały się spokojniejsze, wsłuchiwali się w harmonijne uderzenia swoich serc.

Bam!

Dźwięk dzwonu wyrwał go z zamyślenia. Wyprostował się i wydał z siebie zbolący jęk, ponieważ rana zaczęła się otwierać. Z trudem wstał i zszedł po schodach. Wypadł na ulicę i ruszył w stronę placu. Musiał odnaleźć Mariannę, ale nie wiedział, gdzie jej szukać.

Bam!

Jakaś kobieta z zawiniątkiem na plecach wyszła szybkim krokiem z budynku ratusza. Fèlix podszedł do niej.

– Nie zna pani przypadkiem kobiety o imieniu Marianna? Może ją gdzieś pani widziała?

– Kogo?

– Mariannę. Ma bardzo ciemne włosy i modre oczy jak krople deszczu.

– Ach, zielarka! To ona tak bije w dzwon. Tam, na wieży zegarowej. – Kobieta wskazała palcem dzwonnice i odeszła. – Niech pan uważa, bo za chwilę wkroczy tutaj wojsko.

Fèlix pokiwał głową i rzucił się w stronę wieży.

Dotarł na środek placu i wbiegł do wieży. Marianna siedziała oparta o ścianę, z rękami na sznurze od dzwonu i ze spuszczoną głową. Uniosła wzrok. Fèlix spoglądał na nią.

– Marianno, przyszedłem po ciebie!

Bam!

Leżeli objęci, wtuleni w siebie, a ich serca biły w jednym rytmie. Fèlix szeptał jej czułe słowa. Opowiadał o tym, jak tęsknił za nią w Londynie, o gazecie z jej portretem, walce z psem, powrocie z Calabuigiem, który chciał mu służyć, i o nocach, podczas których z wściekłością słuchał skrzypiącego łóżka w jej sypialni. Przypomniał Mariannie jej słowa: „Jeśli ci to posłuży za odpowiedź, tak, gdybym mogła cofnąć czas, moje życie wyglądałoby inaczej”. W końcu wyznał jej przyczynę śmierci Marçala i to, jak bardzo jest szczęśliwy, że w końcu mogą być razem.

Marianna nagle usiadła.

– Co powiedziałaś?

Fèlix uśmiechnął się nieznacznie.

– Nie udawaj teraz głupiej.

Podniosła halkę, która leżała u stóp łóżka, żeby się okryć, jakby w ten sposób chciała cofnąć czas i jego wyznanie.

Wyciągnął do niej rękę.

– Och, moja najdroższa, chodź tutaj. Zapomnij o tym, co ci powiedziałem. To już się stało. Cieszymy się, że jesteśmy razem.

Kobieta wstała z łóżka.

– Słucham? Mamy się cieszyć, że jesteśmy razem? Teraz wszystko rozumiem... Doskonale to zaplanowałaś! Pozbyłeś się Marçala, żeby fabryka i majątek przeszły w twoje ręce. Tak samo jak ja!

Fèlix westchnął i otworzył ramiona, chcąc ją objąć. Marianna zebrała rozrzucone po pokoju części swojej garderoby i pospiesznie zaczęła się ubierać.

– Jesteś szalony!

Usiadł na łóżku.

– Marianno, proszę...

– Nie zdajesz sobie sprawy z tego, co zrobiłeś. Nie rozumiesz, że jeśli ktoś się dowie...

Fèlix zerwał się i krzyknął:

– Nikt nie musi się o tym dowiedzieć!

Patrzyła na niego w osłupieniu.

– Oczywiście, że się dowie. Takich spraw nie da się ukryć. Zawsze wychodzą na jaw!

Fèlix wziął głęboki oddech. Marianna była tak zdenerwowana, że nie była w stanie zapiąć guzików w spódnicy. Fèlix odwrócił się i do niej podszedł.

– Posłuchaj, kochanie, usiądź tutaj przy mnie... – Ujął jej drżące ręce i poprowadził ją do łóżka. Posadził obok siebie, spojrzał swoimi szarymi oczami i pogłaskał ją po włosach. – Najukochańsza, nie masz pojęcia, co zrobił Marçal, żeby nas rozdzielić. Traktował źle nas oboje. Zapomnijmy o tym. Nie wracajmy do tego nigdy więcej.

– Jak możesz tak mówić?

– Był chory. Tak czy inaczej by umarł. Nie powinienem był ci o tym

wspominać.

– Jak możesz tak mówić?! Nie rozumiem cię. Nie mogę w to uwierzyć!

Fèlix zastygł w bezruchu.

– Tu nie ma nic do rozumienia.

Marianna wpatrywała się w niego.

– Jak mogłeś? To był twój brat, rodzony brat!

Wstrzymała oddech, wstała i dokończyła ubieranie się.

– Gdzie idziesz? – zapytał.

– Na policję.

Fèlix zerwał się i złapał ją za ramię, ale Marianna wyszarpnęła się z płaczem.

– Zostaw mnie! Nie poznaję cię! Co się stało z mężczyzną, którego kochałam?

Oddaj mi go!

– To ja, najdroższa. To ja. Chodź do mnie.

Próbował ją objąć, ale ona się odsunęła.

– Nie, już nim nie jesteś, Fèliksie. Już nie.

Chwycił ją mocniej i przytrzymał. Marianna się szamotała i uderzała pięściami w jego pierś.

– Jak mogłeś?! Jak mogłeś?!

Trzymał ją mocno, podczas gdy Marianna wyładowywała na nim swoją złość. Po pewnym czasie się uspokoiła. Fèlix zmusił ją, żeby na niego spojrzała.

– Już lepiej?

Znów próbowała mu się wyszarpnąć.

– Kim ty jesteś?

– Mężczyzną, który cię kocha.

Ona pokręciła głową.

– Nie, ty kochasz tylko siebie. Byłam dla ciebie zabawką, niczym więcej.

Fèlix nagle spoważniał.

– Nie mów tak. Nie pozwalam ci tak mówić! Jesteś i zawsze byłeś dla mnie najważniejsza. Nigdy nie przestałem cię kochać i w każdej minucie życia walczyłem, żebyśmy byli razem.

Wziął ją za rękę. Marianna zrobiła krok do tyłu.

– Zostaw mnie!

Jej rozżalenie zniszczyło wszystkie argumenty Fèliksa, czuł wzbierającą w nim złość, która podchodziła do gardła.

– Teraz mnie nie kochasz? Po tylu poświęceniach dla ciebie? Teraz mnie nie chcesz?

– Poświęceniach? A co powiesz o mnie? Kto uciekł i pchnął mnie w ramiona Marçala? Kto wrócił i starał się mnie odzyskać, kiedy nic już nie można było zrobić? – Marianna zamilkła na chwilę. – Dlaczego, Fèliksie? Ty mnie nie kochasz i nigdy mnie nie kochałeś.

Ukląkł przed nią.

– Jesteś dla mnie wszystkim!

– Jeśli to prawda, chodź ze mną na policję i przyznaj się do tego, co zrobiłeś

bratu – rzuciła.

Fèlix wstał.

– Chcesz znów nas rozdzielić?

– Chcę, żebyś wyznał prawdę i odpokutował swoje grzechy.

– Dobrze, w takim razie zrobimy to razem. Ty też ponosisz winę.

Marianna patrzyła na niego zdziwiona.

– Co masz na myśli?

Objął ją w talii i przycisnął do siebie.

– To był akt miłości i sprawiedliwości. Zrobiliśmy to razem tak, jak należało.

Marianna cofnęła się i potknęła o łóżko.

– Nie rozumiem...

Nagle przed oczami przeleciały jej obrazy z całego okresu choroby Marçala: co robiła albo przestała robić, rozmowy z Fèliksem, Marçal z dnia na dzień słabnący i coraz bardziej odległy, a także to, kiedy Fèlix zagroził jej drogę, gdy szła po schodach, niosąc filiżankę z ziołowym naparem.

Opadła na łóżko, a on się uśmiechnął z satysfakcją.

– Tak, napar, który co wieczór podawałaś Marçalowi, nie miał w składzie tylko ziół przepisanych przez doktora.

Marianna poczuła, że podłoga w Casa Lledó się rozstępuje, a ona spada w dół, niżej i niżej, dając się pochłonąć głębi tajemnic tego domu, który od lat był przeklęty.

Kucnął obok niej i ją pogłaskał.

– Zapomnijmy o tym, Marianno. To było konieczne. Teraz możemy żyć spokojnie. Razem.

Kobieta już go nie słyszała. Fèlix wstał, wziął ją w ramiona i rzucił na łóżko jak lalkę. Przykrył ją kołdrą. Patrzyła mu w oczy niewidzącym wzrokiem, a on głaskał ją po włosach i szeptał:

– Wszystko minie. Zobaczysz, kochanie.

Ona wiedziała, że prędzej umrze, niż zapomni.

Bam!

Marianna znów biła w dzwon. Jakby tym dźwiękiem mogła odstraszyć duchy, Fèliksa i całą ciemność.

Fèlix jednak stał dalej nieruchomo.

Wiedziała, że nie ma możliwości ucieczki. „Uciekaj, Ermínio, nie szukaj mnie, ratuj się”, prosiła ją w myślach. Pamiętała, że w kieszeni spódnicy ma nóż, który dał jej Francisco Derch.

Zaczął do niej podchodzić.

Marianna się cofnęła. Spojrzała w górę dzwonnicy, puściła sznur i rzuciła się w stronę schodów.

Zaskoczony Fèlix ruszył za nią, wchodząc po stopniach, trzymał się blisko ściany.

– Nie chcę zrobić ci krzywdy. Chodź ze mną, Marianno! Uciekajmy stąd!

Kobieta usłyszała jego słowa odbijające się od murów wieży jak bicie

dzwonu. Cały czas wchodziła wyżej.

Fèlix co chwila się zatrzymywał, bo z trudem łapał oddech.

– Marianno, nie mamy czasu do stracenia!

Kobieta dotarła na dzwonnice i wyszła na balkon przed dzwonem, który teraz milczał. Zaskoczył ją deszcz, a nagły powiew wiatru rozwiął jej włosy. Złapała się poręczy. Nie lubiła wiatru. Wychyliła się ostrożnie, żeby zobaczyć słońce wschodzące od strony morza. Vallcarca jeszcze tkwiła w mroku.

Usłyszała kroki Fèliksa i przywarła do ściany. „Mogłabym się rzucić w dół”, pomyślała, ale Fèlix przytrzymał ją za ramię.

– Marianno. – Szarpnął ją zdecydowanie i przyciągnął do siebie.

– Zostaw mnie. Czego ode mnie chcesz?

– Niczego! Tylko cię uratować. Chodź ze mną.

Pokręciła głową, a krople deszczu spadły na nią jak łzy.

– Zabrałeś mi wszystko: miłość, nadzieję, nazwisko i godność, a teraz chcesz, żebym z tobą poszła? Chciałeś mnie zabić. Została mi po tym pamiątka – wskazała na usta – ale w sercu mam ich więcej. Czego jeszcze chcesz?

– Marianno... – Fèlix puścił ją i pierwszy raz poczuł, że jego miłość nie ma sensu. Cofnął się. – Wybacz mi, ale nie mogłem cię znów stracić...

Patrzył na nią, nie błagając już o nic, i odwrócił się w stronę schodów.

Marianna zauważyła powiększającą się plamę krwi na jego koszuli na wysokości ramienia.

– Jesteś ranny!

Fèlix odwrócił od niej wzrok, który mówił wszystko.

– Gdzie jest Ermínia?

Długo nie mogła uwierzyć, że jest córką Heleny Lledó, a tym samym rodzoną wnuczką państwa Lledó. Po wizycie notariusza Marianna potrzebowała kilku dni, żeby połączyć fakty i poskładać swój życiorys w całość.

Notariusz Higini Portes zdążył się postarzeć. Przygarbił się, powłóczył nogami, jakby były skute kajdanami, a swoje świdrujące oczka chował za znoszonymi okularami.

– Śledziłem pani losy przez prawie dziesięć lat. Na początku nie było to trudne, ale po pożarze ślad po pani zaginał. Zapewniano mnie, że pani umarła, ale jak pani sama rozumie, nie byłem w stanie pojąć, że w przypadku śmierci kobiety z pani pozycją rodzina nie wspomniałaby o tym w prasie.

Higini Portes usiadł na twardym drewnianym krześle, które wskazała mu Ermínia. Marianna cmoknęła z przekąsem.

– Nie wiem, o jakiej rodzinie pan mówi. Jestem sierotą. A nawet gdybym miała rodzinę, starałabym się trzymać od niej z daleka. Jak mawiają: z rodziną najlepiej wychodzi się na fotografii.

– Cóż, to nie moja sprawa. Ma pani zapewne powody, aby zaprzeczać sprawdzonym faktom. Z jednym tylko nie mogę się zgodzić: owszem, ma pani rodzinę.

Marianna nerwowo krążyła po pokoju.



Ermínia stała przy drzwiach za plecami notariusza i kiwała głową.

W końcu Marianna usiadła.

Ermínia podeszła do pana Higinia.

– Może napije się pan wina albo wody?

– Nie, dziękuję. Długo u pań nie zabawię. – Spojrzał z uśmiechem na Mariannę. – Zazwyczaj pamięć mnie zawodzi, ale nie mógłbym nigdy zapomnieć tych oczu. Przyszedłem tutaj, żeby wręczyć pani tę oto kopertę i oddać się do pani dyspozycji w tej chwili i w przyszłości. Pozwolę sobie też zostawić pani moją wizytówkę.

Notariusz podał jej paczuszkę i kartonik ze swoim nazwiskiem i z adresem. Kobieta przesunęła palcami po kopercie z niebieskim ornamentem i monogramem rodziny Lledó. Papier pożółkł przez lata. Na odwrocie widniało słowo: Marianna. Kobieta poznała wydłużone, choć drżące pismo Marçala. Paczuszka sporo ważyła.

Higini Portes westchnął, jakby zrzucił z siebie jakiś ciężar, i poprawił na nosie okulary.

– Mój ojciec był notariuszem pani dziadków, a wcześniej mój pradziadek służył czcigodnym państwu Doliu i Cirera, rodzinie pani świętej pamięci babki. Jak zapewne pani pamięta, ja byłem notariuszem pani świętej pamięci męża, pana Marçala Lledó. Dokładnie dzień przed swoją śmiercią odwiedził mnie z nietypowym żądaniem. Poprosił mnie o całkowitą zmianę testamentu.

– Testamentu?

Higini Portes pokiwał głową.

– Czy pani się domyśla, skąd wiedział o swojej śmierci? Czy doktor powiadomił was o jakimś nieodwracalnym nieszczęściu?

Marianna pokręciła głową, przełknęła ślinę i odgoniła od siebie wyrzuty sumienia.

Notariusz mówił dalej:

– Sprawiał wrażenie osłabionego i niespokojnego.

Pokiwała głową i wspomniała głęboki głos męża: „Marianno, gdybyś nie kochała Fèliksa, czy mogłabyś pokochać mnie?”.

– Czy dokonał w testamencie jakichś istotnych zmian?

– Tak, zmienił wszystko, i proszę sobie wyobrazić, że było to dla niego tak ważne, że postanowił poczekać, aż zredaguję dokument, żeby podpisać go tego samego dnia, przed powrotem do domu.

Marianna wstała. Jej ręce drżały jak tamtej nocy, kiedy niosła filizankę z naparem.

Higini Portes uniósł brwi.

– Dobrze się pani czuje?

Zacisnęła zęby.

– Proszę mówić dalej.

Notariusz potakiwał.

– Pani mąż zapisał wszystko swojemu bratu jako jednemu członkowi

rodziny Lledó.

– Tak, wiem o tym. Osobiście odczytał pan te postanowienia w dniu otwarcia testamentu.

W głowie Marianny rozbrzmiały słowa: „Z prostej przyczyny, że nie jest prawdziwą Lledó”.

– Jednak nie wie pani, że tamtego dnia wręczył mi również tę kopertę, którą dzisiaj pani przyniosłem. Powinna była pani ją dostać dokładnie rok po jego śmierci. Natomiast panu Fèliksowi Lledó wręczyłem podobną kopertę w dniu odczytania testamentu.

– Tak, pamiętam, że wręczył pan mu ją tego dnia.

Podeszła do stołu, wzięła paczuszkę i przekładała ją z ręki do ręki. „Ach, Marçalu, Marçalu, wciąż przypominasz mi o swojej śmierci!”. Otworzyła kopertę. W środku znalazła jakiś dokument zapisany drobnym pismem i opatrzony pieczęcią.

– Co to jest?

Notariusz założył okulary, wziął od niej kartkę i przeczytał:

„Zaświadcza się, że w dniu dzisiejszym, 13 maja 1841 roku, zostało ochrzczone dziecko płci żeńskiej urodzone przez Helenę Lledó, córkę Consol Doliu i Pacià Lledó, której nadano imię Marianna, a nazwisko Lledó. Niniejszy dokument stanowi oficjalne potwierdzenie jej tożsamości”.

Higini Portes uniósł wzrok.

– To jest akt chrztu, który ze wszystkimi konsekwencjami informuje o pani pochodzeniu.

Marianna wyrwała mu dokument.

„...urodzone przez Helenę Lledó, córkę Consol Doliu i Pacià Lledó, której nadano imię Marianna, a nazwisko Lledó...”.

Znów opadła ciężko na ławę i przycisnęła kartkę do piersi.

Higini Portes lubił szczęśliwe zakończenia, szczególnie wówczas, gdy zasilały jego portfel.

– Jak pani wie i jak zaznaczył w testamencie pani świętej pamięci mąż, w przypadku gdy oprócz pani kuzyna Fèliksa Lledó pojawi się osoba, którą z rodziną Lledó łączą więzy krwi, ona dostanie cały spadek.

Kobieta wpatrywała się w notariusza.

– Chce pan powiedzieć, że Casa Lledó, fabryka i pozostały majątek należą do mnie?

– Tak, proszę pani. Wszystkie grunty, fabryka i pozostałe spółki.

– Ale Fèlix mógł przecież przepisać wszystko na siebie przez te lata.

– Nie, pan Fèlix Lledó może nabyć spadek dopiero po dziesięciu latach od śmierci brata. Pan Marçal Lledó zobowiązał mnie, hojnie mi za to płacąc, żebym odnalazł panią po roku. Na szczęście pozostawił margines dziesięciu lat na przejęcie testamentu. W innym wypadku straciłaby pani wszystko!

Znów spojrzała z niedowierzaniem na swój akt chrztu.

– Proszę mi wybaczyć, ale czy dobrze zrozumiałam, że koperta, którą dostał

Fèlix, była taka sama jak moja? Obie zawierały to samo?

– Cóż, nie wiem tego z całkowitą pewnością, ponieważ ich nie otwierałem, ale według słów pani męża zawierały ten sam oficjalny dokument. A dla pani dodatkowo pozostawił książkę i list.

Marianna wzięła ze stołu Księgę Psalmów i list, a potem zaczęła śledzić wzrokiem podłużne litery napisane ręką Marçala:

Droga Marianno, kiedy będziesz czytać ten list, ja już będę martwy, a ty od dawna nie będziesz o mnie pamiętała. Dzięki temu emocje opadną i sprawa będzie łatwiejsza.

Marianno, może nie okazałem się taki, jakim mnie sobie wyobrażałaś, z tej prostej przyczyny, że nie byłem tym, kogo kochałaś. Przypuszczam, że serca nie da się oszukać, podobnie jak nie można zawrócić z kursu jaskółki. Mimo to proszę, żebyś mi wybaczyła moją śmiałość i ostatnią próbę sprawienia, żebyś mnie pokochała. Teraz, kiedy nic Ci już więcej nie mogę zaoferować, chciałbym oddać Ci to, co do Ciebie należy i o czym powinienem był Ci powiedzieć w naszą noc poślubną zaraz po tym, jak dziadek powierzył mi tę tajemnicę. Kolejny raz stchórzyłem. W tej samej kopercie, z której wyjmiesz ten list, znajdziesz również dokument potwierdzający, że jesteś córką Heleny Lledó i wnuczką pana Pacià i pani Consol. Możesz w to wierzyć, bo to prawda. Nie mogę podać Ci więcej szczegółów, gdyż ich nie znam. Wiem tylko tyle, że Helena Lledó, twoja matka, uciekła z domu z miłości do pewnego malarza i umarła w szpitalu dla ubogich po urodzeniu córki. Ciebie. Mimo że oficjalnie Cię nie uznano, dziadkowie Cię przygarnęli. Jediną rzeczą, która pozostała po Twojej matce, jedyną, którą pani Consol, a potem pan Pacià przechowali, jest jej psalterz. Wiem, że możesz dowiedzieć się o tym za późno. Wybacz mi. Jeśli ten list Cię nie zaskoczy, to oznacza, że przegrałem, że Fèlix okazał swój honor i wyjawiał Ci prawdę o Twoim pochodzeniu oraz kocha Cię na tyle mocno, żeby oddać w Twoje ręce całą fortunę rodziny Lledó. Jeśli jednak tak nie jest, pozwól mi łudzić się tą nadzieją, że wygrałem i być może twoje serce zabije trochę mocniej i tak jak wiatr wpływa na kierunek lotu jaskółki, skieruje Twoje myśli na wspomnienie o mnie.

Twój mąż

Marçal Lledó

Marianna chwyciła Księgę Psalmów i dotknęła wytartych złotych liter łączących się w słowa Psalterz Hiszpański. Otworzyła go i powąchała kartki. Na pierwszej stronie widniało kilka zdań napisanych zupełnie innym charakterem pisma niż Marçala. Litery były bardziej okrągłe i eleganckie:

Do dziecka, które ma się narodzić: Nie poznam Cię, ale jeśli któregoś dnia dostaniesz tę książeczkę, wiedz, że Ty właśnie nim jesteś i że Cię kochałam.

Helena Lledó

Nie mogła powstrzymać szloch. Wstała i ruszyła do drzwi. Najchętniej wybiegłaby z krzykiem. Przycisnęła do piersi Księgę Psalmów. Wróciła do stołu i włożyła do psalterza swój akt chrztu i list od Marçala. Podeszła energicznym

krokiem do notariusza, ujęła jego rękę i ją pocałowała.

– Nie ma pan pojęcia, jak wiele dla mnie znaczy wiadomość, którą mi pan dzisiaj przyniósł.

Higini Portes wypiął pierś i poprawił fular.

– Cóż, tak naprawdę to pan Marçal Lledó dopilnował każdego szczegółu swojego planu. Włożył wiele wysiłku i zainwestował niemałą fortunę, żebym na pewno dostarczył pani ten dokument bez względu na okoliczności. – Notariusz otarł z czoła kroplę potu, przekonując siebie, że gdyby nie pieniądze i ciekawość, nigdy nie siedziałby na tym ubogim poddaszu. – Pozwolę sobie dodać, że przez te wszystkie lata wiele się zastanawiałem i próbowałem zrozumieć decyzję pani męża. Czy wie pani może, co mogło wpłynąć na zmianę jego decyzji?

Wbiła w niego swoje modre oczy, ale nie była w stanie odpowiedzieć na to pytanie. Portes doszedł do wniosku, że powinien powściągnąć swoje wścibstwo, aby nie popsuć sobie relacji z nową panią Lledó.

– Proszę wybaczyć mi moją niedyskrecję. Było mi niezmiernie miło znów panią spotkać. Proszę pamiętać, że ma pani tylko dwa miesiące na uporządkowanie wszystkich spraw. Kiedy przyjdzie pani podpisać przyjęcie spadku, co, mam nadzieję, wkrótce nastąpi, będę również potrzebował pani podpisu na pokwitowaniu potwierdzającym, że dostarczyłem pani tę kopertę.

Marianna stała w bezruchu i milczała. Zastanawiała się, jaką podjąć decyzję. Pozwoliła, żeby notariusz pocałował ją w rękę i wyszedł.

Zataczając się, wróciła do stołu i usiadła na prostej drewnianej ławie, której daleko było do kanap obitych aksamitem i poduszek z jedwabiu w Casa Lledó. W domu, który do niej należał i który jej ukradziono. Domu, który skradł jej miłość.

– Wybacz mi, ale nie mogłem cię znów stracić...

Patrzył na nią, nie błagając o nic, i odwrócił się w stronę schodów.

Marianna zauważyła powiększającą się plamę krwi na jego koszuli na wysokości ramienia.

– Jesteś ranny!

Fèlix odwrócił od niej wzrok, który mówił wszystko.

– Gdzie jest Ermínia?

Opuścił głowę.

– Zaatakowała mnie, a ja...

Rzuciła się na niego.

– Ty draniu!

Mężczyzna nie stawiał oporu.

Uniosła swoje modre oczy pełne łez, które otarła rękawem.

– Jesteś synem szatana! Nie wiem, jak mogłam tak bardzo cię kochać!

Fèlix zmrużył oczy i czuł się tak, jakby sztylet wbijał mu się głęboko w serce.

– Ja zawsze cię kochałem, Marianno.

Kobieta wybuchnęła przenikliwym śmiechem.

– Ty nie wiesz, co to znaczy kochać. – Odsunęła się od niego i zmierzyła go wzrokiem. – Jak śmiesz tak mówić?! Ty kochasz tylko siebie i spełniasz tylko swoje zachcianki. Reszta nie ma dla ciebie znaczenia!

– Nie, to nieprawda. Chciałem cię jedynie uszczęśliwić.

– Uszczęśliwić mnie? Kiedy? Kiedy kazałeś Calabuigowi wzniecić pożar?

– Niczego mu nie kazałem! To była jego sprawka. Ja... Kiedy dowiedziałem się, że jesteś w ciąży, pomyślałem, że wrócisz i zażadasz majątku. Przestraszyłem się i byłem wściekły! Nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo! Ale nigdy nie kazałem...

– Byłam w ciąży! Owszem, byłam. Z tobą.

Patrzył na nią zaskoczony.

– Co?

Marianna pokiwała głową i powstrzymywała się, żeby nie rzucić mu się do gardła i go nie udusić.

– Pamiętasz tamtą noc? Jedyłą, podczas której byliśmy razem.

– Ale przecież...

– Tak, to tylko jedna noc. Ja nie byłam z Marçalem od miesięcy. Jesteś odpowiedzialny za śmierć własnego dziecka! Calabuig nie zrobiłby nic bez twojej zgody! Wiesz o tym doskonale!

Fèlix zatoczył się. Miał wrażenie, że wieża się rozpada. Zakręciło mu się w głowie i upadł.

Patrzyła w niebo. Deszcz spływał po jej twarzy.

– Zabiłeś własne dziecko, Fèliksie! I niemal udało ci się zabić mnie! A teraz śmiesz mi mówić, że mnie kochasz?

Leżąc bezbrinnie w zakrwawionej koszuli i z pobladłą twarzą, uniósł wzrok, który stracił blask.

– Wybacz mi...

Marianna nie wierzyła w szczerść jego słów.

– Lepiej proś o wybaczenie swojego świętej pamięci brata! Ermínię. Twoje dziecko. Mnie! Wiele osób musi ci wybaczyć!

Mężczyzna podniósł się resztkami sił.

– Ja... Nie potrafiłem postąpić inaczej. Pozwól mi i to naprawić. Przyszedłem po ciebie. Nie chcę, żebyś dłużej cierpiała. Możemy zacząć żyć od nowa.

Marianna pokręciła głową.

– Nie możemy. Zbyt wiele się wydarzyło. Niesiemy na naszych barkach zbyt dużo ciężarów. Był na to czas wiele lat temu, kiedy zamierzaliśmy uciec, ale teraz jest za późno.

Marçal opuścił wzrok i ponownie wziął karty.

– Nie mogę dać ci pieniędzy. Jutro byś je wydał.

– Widzisz? Zawsze to samo! Wiesz, co ci powiem? Zapomnij o mnie! – Odsunął krzesło i wstał.

– I co teraz zrobisz?

– Do czorta, już ci powiedziałem! Zapłacę i już. – Zbliżył się do drzwi.

Marçal wstrzymał oddech.

– Miałem na myśli Mariannę...

Fèlix zatrzymał się.

– Co jej obiecałeś tamtego dnia w ogrodzie? Nie wspomniałeś jej o swoich długach, prawda? Ona nie ma pojęcia, co ją czeka, gdy się z tobą zwiąże.

Fèlix odwrócił się gwałtownie i rzucił na brata.

– Jesteś łajdakiem bez serca! Oszustem! Udajesz dobrego, a w plecy wbijas nóż! Jesteś nikim!

– Puść mnie, puszczaj! – Marçal odepchnął go, po czym haftowaną chusteczką z rodowym monogramem otarł z twarzy ślinę, którą opluł go Fèlix.  
– Co się, do diabła, z tobą dzieje? Dlaczego tak się wściekasz? Nie rozumiem, co ona w tobie widzi!

Fèlix znów do niego doskoczył, złapał go za marynarkę i podniósł z krzesła.

– Widzi to, czego brakuje tobie! Tego nie da się kupić za żadne pieniądze!

Tym razem Marçal odepchnął go mocniej niż poprzednio i ponownie usiadł.

Spocony Fèlix przeczesał ręką włosy.

– Dlaczego tak się nienawidzimy, Marçalu?

Marçal westchnął głęboko.

– Ponieważ ja mam to, co ty chciałbyś mieć, a ty masz to, czego ja pragnę.

Fèlix opadł na krzesło.

Marçal rozdał karty.

– Chcę się ożenić z Marianną. Kocham ją. Gdybyś i ty ją kochał, dałbyś jej spokój. Doskonale wiesz, że nie będziesz mógł jej dać tego, na co zasługuje.

Fèlix uniósł wzrok.

– Przykro mi, ale prędzej bym cię zabił, niż dał jej spokój.

Odwrócił się i ruszył do drzwi, ale nagle zmienił zdanie. Podeszedł do barku i nalał do szklanki koniaku. Poczował ciężar w nogach i zdrętwiałe ręce.

Tymczasem Marçal rozłożył na stoliku karty do pasjansa.

– Nie jestem pewien, czy powinieneś teraz pić.

Fèlix naśladował złośliwie jego gesty, aż w końcu odpowiedział:

– Zaschło mi w gardle! – Zamknął barek i patrzył w stronę wyjścia.

Marçal mu się przyglądał.

– Chyba nie zamierzasz iść do sypialni w takim stanie?

Położył kartę pod damą kier.

– Siadaj. Zagramy jedną partyjkę, żebyś trochę wytrzeźwiał.

Fèlix zerknął na drzwi, ale w końcu podeszedł do stołu i usiadł naprzeciwko brata.

– Przyznaj, że mnie nienawidzisz, Marçalu.

Jego brat westchnął i wbił wzrok w karty.

– Masz rację. Nienawidzę cię za to, że masz Mariannę. A ja muszę zadowolić się majątkiem Lledó, fabryką, tym domem i całym spadkiem. Na szczęście ani ciebie, ani Marianny nie interesują te sprawy.

Fèlix uderzył pięścią w stół. Zachlapał koniakiem koszulę.

Marçal patrzył na niego z pogardą.

– Masz długi. Straciłeś już roczną rentę, a jeszcze nie jesteśmy w połowie roku. Nie będziesz w stanie zapewnić jej życia na takim poziomie, do jakiego jest przyzwyczajona. Chcesz, żeby przez ciebie żyła w ubóstwie? Fèlix wziął łyk koniaku, który został w szklance.

– Pieniądze nie są ważne. Kochamy się. Ty nie masz pojęcia, co znaczy miłość.

– Pieniądze są najważniejsze. Nawet miłość można za nie kupić.

Fèlix się zaśmiał.

– Och, Marçalu, za dużo czasu spędzasz z dziadkiem i przez to nabierasz złych nawyków.

Nagle Marçal wstał.

– To ty masz złe nawyki. Spójrz na siebie!

– Nie przesadzaj! Sporadyczny hazard nikomu nie zaszkodził.

– Obiecuj mi, że z niej zrezygnujesz!

– Co? Nie! Oczywiście, że nie.

Marçal usiadł i wyjął list, ale nie wiedział, gdzie go położyć.

– Ja tylko martwię się o nią. W końcu jest naszą kuzynką.

– Nie opowiadaj mi rodzinnych historyjek, Marçalu. Zawsze się w niej kochałeś i teraz nie możesz znieść myśli, że to mnie wybrała.

– Nie wiesz, kogo wybrała. Nie rozumiesz, że to jeszcze dziecko.

– Woli mnie. Kocha mnie. Kochamy się.

Marçal położył list na talii kart i wszystko razem przesunął do Fèliksa. Wstał i podszedł do barku. Wiedział, że brat już połknął haczyk. Nalał sobie trochę wina i mówił dalej, delektując się każdym słowem:

– Pójdźmy na układ. Ty chcesz pieniędzy, a ja Mariannę. – Wrócił do stolika pewnym krokiem i wbił wzrok w Fèliksa. – To bardzo proste: jeśli wygrasz, ja wyniosę się z domu i cały spadek Lledó będzie twój. Zostaniesz z Marianną, ale przynajmniej dasz jej godne życie, na które zasłużyła.

Fèlix uśmiechnął się. Postawił szklankę na blacie i wziął talię kart.

– A jeśli ty wygrasz?

Marçal usiadł naprzeciwko niego.

– Marianna będzie moja. Nie uciekniesz z nią, ale znikniesz z tego domu.

Fèlix poczuł pieczenie w gardle. Marçal był zdecydowanie lepszym graczem niż on. Wiedział, że go ogra.

W domu panowała cisza, a noc wkradała się do środka oknem od strony dziedzińca. Na dworze pohukiwała sowa, która siedziała na najwyższej gałęzi topoli rosnącej w głębi ogrodu, za stawem.

– I co ty na to, Fèliksie?

W odpowiedzi usłyszał pohukiwanie sowy.

Marianna pokręciła głową.

– Nie, Fèliksie, nie możemy zacząć od nowa. Zbyt wiele się wydarzyło. Niesiemy na naszych barkach zbyt dużo ciężarów. Był na to czas wiele lat

temu, kiedy zamierzaliśmy uciec, ale teraz jest za późno.

Fèlix zacisnął zęby i wyprostował piekące go ramię.

– Marianno, tamtej nocy nie przyszedłem nie dlatego, że nie chciałem, tylko dlatego, że się bałem. Obawiałem się konsekwencji. Nie miałem pieniędzy, popadłem w długi, a Marçal powiedział, że...

Otarła z twarzy krople deszczu.

– Co ci powiedział Marçal?

Fèlix nie miał już siły, by cokolwiek ukrywać.

– Że nie byłoby mnie stać na zapewnienie ci wygodnego życia i przeze mnie musiałabyś żyć w nędzy. Zaproponował mi pewien układ. Mogłem wygrać cały majątek Lledó.

Marianna podeszła do niego i go szturchnęła.

– W zamian za co?

On westchnął. Cały drżał.

– W zamian za ciebie.

Wymierzyła mu policzek.

– A więc byłem jedynie kartą przetargową?

– Chciałem tylko zapewnić ci...

– Ja chciałam tylko ciebie! A ty potraktowałeś mnie jak towar! – Marianna popchnęła Fèliksa, który uderzył o poręcz wieży zegarowej. Przechylił się do tyłu, ale odzyskał równowagę. Stała przed nim z zaciętym wzrokiem. – A kiedy Marçal zachorował, posłużyłeś się mną, żeby go zabić! Wtedy miałeś już wszystko, prawda? I chociaż wiedziałeś, jak ważne to było dla mnie, nie pokazałeś mi aktu chrztu ani listu, który zdradzał moje pochodzenie i moje nazwisko. Zataiłeś to przede mną. Osaczyłeś mnie swoim milczeniem i poczuciem winy. – Marianna patrzyła w stronę Vallcarki, której mrok powoli rozpraszało światło dnia. Odwróciła się do Fèliksa, który nawet nie miał odwagi na nią spojrzeć. Prychnęła. – Dziadek miał rację. Jesteś nikiem!

Poczuł, że fala wściekłości przepłynęła przez jego ciało, i podniósł na nią rękę.

Zasłoniła twarz i uciekła pod ścianę. Wyjęła z kieszeni nóż.

– Nie dotykaj mnie! Ani kroku dalej! Już nigdy więcej mnie nie skrzywdzisz. Odejdź! Otocz się bogactwem. Korzystaj z tego! Daję ci wszystko!

Fèlix opuścił rękę i otarł łzę. Patrzył na przemokniętą do suchej nitki Mariannę. Wiedział, że nie znajdzie na świecie miejsca, w którym mógłby żyć, zapominając o jej spojrzeniu.

Nagle rzucił się na nią, a ona odruchowo wbiła w niego nóż.

– Fèliksie! – krzyknęła.

Objął ją, a ona go podtrzymała. Osunęli się na ziemię. Marianna zauważyła, że nóż utknął w jego boku.

– Co zrobiłeś, Fèliksie!

On się uśmiechał.

– Sam nie miałem odwagi tego zrobić. Wiesz przecież, że jestem tchórzem.



Zmrużyła oczy i go objęła.

Fèlix przytulił się do jej policzka, wciągając jej zapach. Poczuł, że wraz z pchnięciem noża uszedł z niego cały ból, który nosił w sobie. Wybuchnął płaczem.

Marianna otarła mu łzy.

– Dlaczego to zrobiłeś? – Dopiero teraz dotarło do niej, że nie jest pewna, czy będzie mogła żyć bez niego. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że są ze sobą tak mocno związani, że jedno bez drugiego nie istnieje. Serce zabiło jej gwałtownie. – Wszystko będzie dobrze. Słyszysz mnie?

Pokręcił głową.

– Nie, Marianno. Jestem zmęczony i nie mogę żyć dalej z tym ciężarem. Odejdź!

– Nie mogę cię zostawić.

– Nie zostawiasz mnie. Zawsze będę z tobą.

Mężczyzna się uśmiechnął i położył rękę na trzonku noża. Wyciągnął go i rzucił na ziemię. Z rany trysnęła krew, plamiąc wszystko wokół. Fèlix zemdlał.

Przeraźliwy krzyk Marianny zagłuszył atak wojska, które przeszło przez barykady i z każdym krokiem niosło śmierć.

Fèlix się ocknął i wyszeptał:

– Marianno, chcę umrzeć szybko. Pozwól, żebym zasłużył na zbawienie. Wybacz mi.

Objęła go i po cichu płakała.

– Nie wiem, czy zasługujemy na przebaczenie, Fèliksie.

Mężczyzna uniósł wzrok.

– Czy kiedykolwiek zasłużyłem na twoją miłość?

Marianna odgarnęła mu kosmyki z twarzy.

– Nie wiem, czy zasłużyłeś, ale mimo wszystko zawsze cię kochałam.

Fèlix przełknął ślinę i z trudem mówił:

– Gdybym miał wybór, zachowałbym na zawsze ten pierwszy pocałunek, który skradłem ci nad stawem.

Zamknęła oczy.

– Ja wolałabym się nie urodzić. W ten sposób nie doszłoby do wielu nieszczęść.

– Bez ciebie moje życie nie miałoby sensu, Marianno.

– A ze mną miało sens?

Fèlix skrzywił się z bólu.

– Chwile spędzone z tobą były jedyną dobrą rzeczą w moim życiu.

Zapadło milczenie. Z oddali dochodziły krzyki i strzały.

Marianna objęła go mocniej i poplamiała się jego krwią.

– Wojsko już weszło.

Fèlix patrzył na nią i wziął ostatni oddech.

– Wspaniale byłoby mieć jeszcze jedno życie, nową szansę, żeby pewne

rzeczy zrobić lepiej.

Pokiwała głową. Powinna powiedzieć, że mu wybacza, że wszyscy zasługują na wybaczenie i jeszcze wiele innych rzeczy, ale on już nie słuchał. Umarł. A ona razem z nim.

Położyła go delikatnie, zamknęła mu powieki, pocałowała w czoło i wstała.

Na placu pod wieżą rozległ się odgłos kroków. Wychyliła się i zobaczyła grupę mężczyzn idących do ratusza. „Potem przyjdą tutaj”, pomyślała. Wyjęła Księgę Psalmów. „Do dziecka, które ma się narodzić: Nie poznam Cię, ale jeśli któregoś dnia dostaniesz tę książeczkę, wiedz, że Ty właśnie nim jesteś i że Cię kochałam”. Pocałowała ją i schowała na piersi.

Oddychała głęboko. Patrzyła w dal, w stronę Casa Lledó i morza. Deszcz ustał. Tylko łagodna bryza pieściła jej włosy. Marianna złapała za poręcz, przełożyła przez nią jedną nogę, a potem drugą. I wreszcie poczuła się wolna.

– Dlaczego te ryby się nie ruszają, Fèliksie? Czy one umarły?

– Nie ruszają się, bo śpią.

– Jak mogą spać o tej porze?

Biel bosych dziecięcych stóp kontrastowała z zielonoburą wodą sadzawki przy Casa Lledó. Na środku stawu stała marmurowa nimfa, która wylewała wodę z dzbana, a rybki migają wśród nenufarów jak czerwone podłużne plamki.

Marianna niechętnie zamoczyła rąbek komunijnej sukienki i obawiając się gniewu Sibilli, trochę ją podwinęła i odsłoniła pończochy.

Nagle Fèlix jednym susem wskoczył do stawu. Woda sięgała mu prawie do pasa, a jego krótkie spodnie wydymały się jak napompowane.

– Jeśli chcesz, zerwę dla ciebie lilie!

– Nie, Fèliksie, twoja mama będzie się na ciebie gniewała!

Spojrzał na dziewczynkę, marszcząc nos.

– Zawsze przejmujesz się dorosłymi!

– Nie, to nieprawda!

– Ależ tak! – Wskazał palcem rybę. – Spójrz! Ta ci się podoba? Zobacz, jaka duża!

Ryba mierzyła ponad dziesięć centymetrów. Fèlix pochylił się, żeby lepiej jej się przyjrzeć.

– Wokół oczu ma żółte otoczki! Poczekaj. Zaraz ci pokażę...

Podciągnął rękawy białej lnianej koszuli i odgarnął z czoła kręcone kosmyki. Niczym przyczajony dziki kot powoli przysunął ręce do wody. Marianna wstrzymała oddech. Miała wrażenie, że nawet pszczoły przestały na chwilę brzęczeć nad lipą. Fèlix zrobił szybki ruch prawą ręką, a lewą złapał rybę.

– Mam ją! Mam ją! Złowiłem ją dla ciebie, Marianno!

Najchętniej wskoczyłaby do sadzawki, żeby obejrzeć rybę, ale w końcu się powstrzymała, żeby bardziej nie zmoczyć sukienki.

– Mogę jej dotknąć?

Fèlix pokiwał głową.

Marianna przesunęła ręką po łuskach.

– Jaka delikatna!

Ryba, poruszając skrzelami, oddychała z coraz większym trudem.

– Biedna, chyba cierpi. Wypuść ją, Fèliksie!

– Już? Dopiero ją złowiłem!

– Nie widzisz, że się dusi? No dalej, wypuść ją...

Fèlix obserwował Mariannę wpatrzoną w cierpiącą rybę, która przestała ruszać ogonem i coraz wolniej oddychała.

Kiedy dziewczynka intensywnie się w niego wpatrywała, chłopak poczuł się zakłopotany, a jednocześnie wyprostował się, żeby wyglądać jak prawdziwy mężczyzna.

– Puszczę ją, jeśli mnie pocałujesz!

Marianna spojrzała na niego zdziwiona.

Fèlix, który do tej pory stał w wodzie z rybą w dłoniach, odwrócił się i usiadł w mokrych spodniach na kamiennej barierce obok dziewczynki.

Plusk wody wylewającej się z dzbana nimfy tłumił ich zawstydzenie. Blask słońca odbijał się w wodzie i rozbłyskiwał w oczach Marianny. Dziewczynka zamknęła je i wstrzymała oddech.

Fèlix zbliżył się do niej i dotknął wargami jej ust.

Tym pocałunkiem powiedzieli sobie ciche i słodkie słowa, które na chwilę zatrzymały czas, wodę i pszczoły. Przeniknęły przez ich usta, spłynęły do piersi i zakamarków serc, żeby schować się przed życiem, które ich czekało.

Odzyskali oddech i spojrzeli na siebie.

Fèlix wrzucił rybę do stawu.

EL TELÉGRAFO

W ostatniej chwili dowiedzieliśmy się, że szturm na Gràcię doprowadził do licznych nieszczęść. Opór stawiały raczej pojedyncze osoby niż grupy powstańców. Mówi się o kilkunastu rannych, którzy w swojej bucie strzelali jeszcze do żołnierzy, kiedy ci przejmowali kontrolę nad miasteczkiem. W domach, w których wojsko napotkało opór, nikt nie przeżył. Nie możemy podać więcej szczegółów, gdyż nie udało nam się przedostać na miejsce walk, ponieważ przejście do Gràcii od placu Catalunya zostało zablokowane.

„El Telégrafo”

Barcelona, 9 kwietnia 1870 roku, wydanie popołudniowe

ŻOŁNIERZE

W ciągu ostatnich dwóch lat odnieśliście dwa zwycięstwa, najpierw nad karlistami, a następnie nad republikanami. Wykazaliście się odwagą i dyscypliną, którymi od zawsze charakteryzowało się hiszpańskie wojsko. Od pierwszych chwil zapanowaliście nad obłudnie sprzymierzonymi rebeliantami oraz innym elementem, wrogami wolności, społeczeństwa i integralności narodowej, którzy pod pretekstem buntu przeciwko werbunkowi poprzez losowanie i ufni w naszą niską liczebność posunęli się nawet do zabójstwa. Ramie w ramie z waszymi odważnymi towarzyszami z Walencji i Aragonu

zwyciężyliście ich i unicestwiliście w ciągu kilku godzin. O waszych wysiłkach i heroizmie został dzisiaj poinformowany Jego Wysokość regent królestwa. Wasz kapitan generalny z dumą przyjmuje nadany mu tytuł.

Eugenio de Gaminde

kapitan generalny księstwa Katalonii

Barcelona, 9 kwietnia 1870 roku

Podobno w 1870 roku, kiedy w Barcelonie wybuchł bunt przeciwko werbunkowi przez losowanie, pewna biedna kobieta, symbolizująca Lud pisany wielką literą, przez cały dzień ciągnęła za sznur dzwonu w Gràcii, bijąc na alarm.

Wojsko [...] nie miało odwagi wejść do miasteczka z obawy przed wielkim powstaniem zwiastowanym przez uderzenia dzwonu.

Nawet kiedy powstańcy dawno uciekli i ukryli się w górach, wciąż rozbrzmiewały uderzenia dzwonu z Gràcii.

„La Campana de Gràcia”

24 grudnia 1932 roku

artykuł autorstwa Antoniego Esclasansa

Bunt przeciwko werbunkowi przez losowanie w 1870 roku nie był ani pierwszą, ani ostatnią wojną, podczas której lud powstawał przeciwko rządowi i przepisom prawa chroniącym interesy i dążenia ekonomiczne tylko wybranych, a utrudniającym życie pozostałym obywatelom.

W tym przypadku powstanie wybuchło spontanicznie w kilku hiszpańskich miastach: Maladze, Béjar czy Salamance. W Katalonii bunt przybrał znacznie większe rozmiary i był krwawy.

Opisując wydarzenia przedstawione w niniejszej książce, korzystałam z informacji zawartych w książkach, dzienniku, w którym Francisco Derch opisał przebieg buntu, oraz artykułach ukazujących się w tamtych czasach w głównych katalońskich i ogólnohiszpańskich dziennikach, między innymi: „Diario de Barcelona”, „El Telégrafo”, „La Razón”, „Crónica de Cataluña”, „La Igualdad”, „Estado Catalán”, „La Correspondencia de España”, „La Gaceta de Madrid”, „Altar y Trono”.

Jednak niektóre wspomniane miejsca i postacie, takie jak Marianna, Fèlix, Marçal, Ermínia, Jonàs czy Magí, zaistniały w mojej wyobraźni. A raczej są tymi, którzy mogliby żyć w tamtych czasach, a dzisiaj spoczywać w grobach, których nikt nie odwiedza.

# Podziękowania

Trudno mi wyróżnić i wymienić wszystkie osoby, które w ciągu tych lat pomogły mi w tworzeniu niniejszej książki. Niektóre służyły komentarzami, podsuwając odpowiednie lektury czy wycinki z gazet. Inne uczyły mnie sztuki pisania, krytycznym okiem patrząc na rękopis czy uczestnicząc w procesie wydawniczym. Najbliżsi wspierali mnie czułością i miłymi słowami. Wszystkim Wam dziękuję.

Niektórych osób nie chcę i nie mogę pominąć. Niech moje podziękowania przyjmą: Piluca Vega, Teresa Muñoz, Victòria Sanjuán i Fernando Riquelme, Laura Álvarez, Eva, Rosa, Gemma, Irene i cały zespół wydawnictwa Penguin Random House, Manel de la Rosa, Eduard Márquez, Ricard Ruíz, Jaume Cabré, Pau Pérez, Jordi Muñoz, Maria Barbal, Biel Barnils, Adrià Bas, Ester Romero, Florenci Crivillé, Xavier Sala, Lluç Sala i Laia, Carles Sudrià, moi dziadkowie ze strony ojca, wykładowcy i koledzy z warsztatów pisarstwa w Ateneu Barcelonès, ekipa z warsztatów na temat historii Gràcii, pracownicy biblioteki Jaume Fuster, biblioteki dzielnicowej w Gràcii, Ateneu Barcelonès, barcelońskiego archiwum historycznego, Muzeum Przemysłu w Ter i Muzeum Etnograficznego w Ripoll oraz wszyscy pracownicy Cenrum Studiów Społecznych i Gospodarczych; Ignasi Ferreres, Anna Boza, Paco Solé Perallada, Ceci, Manel, Anna, Santi, Laia, Joan de l'Antic i jego rodzinie, Gavi Tarragona, Francisco Gutiérrez, José Luis Bravo i jego rodzina, Pere Esteve i Maria Vaquero, pracownicy radia, szczególnie Maria Sierra, Jordi Carretero, Blanca Aranyó, Mercè Raga, Sara Cruz, Ignasi Miranda, Carme Munté, Xavi Aguilar, Mario Ramírez, Toni Huguet, Cristina Malet, Joaquim Planasdemunt, Jordi Fernández, Joan Ramon Rovira, Magda Marcé i Centre d'Escolta w Vic, Lola Farré, Gene, Albert Altisent wraz z rodziną, w szczególności: Fina, Mur, Óscar Pascual, Roger Macias, i taksówkarz.

Dziękuję też mojej rodzinie, która wspierała mnie z miłością i wyrozumiałością, dzięki której uwierzyłam w siebie i swoje przeznaczenie. Dziękuję: Arturowi i Núrii Boledom, Annie, Laurze i Raimonowi, Carlesowi i Pilar, Laii i Pauli, Glòrii, Mònice, Joanie, Mili i Juanjowi, Núrii i Carlesowi, Bercie i Polowi, dziadkom, babciom i moi przodkom. Amor. Esteve i Núrii, Mayrze i Manelowi. Maite. Tacie. Mamie. I Albertowi, z którym stworzyłam moją nową rodzinę.

---

<sup>1</sup> Dzieła dramatyczne Williama Shakespeare'a (Szekspira) w dwunastu tomach, *Burza*, tom I, s. 23, przeł. L. Ulrich, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1964.

<sup>2</sup> Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu. Biblia Tysiąclecia, przeł. ks. Władysław Borowski CRL Pallottinum 2007.

<sup>3</sup> Wiktor Hugo, *Nędznicy*, przeł. Maciej Żurowski, tom II, część V, rozdział 5, Tower Press 2011.

<sup>4</sup> Aleksander Dumas, *Hrabia Monte Christo*, przeł. Klemens Łukaszewicz, tom II, rozdział 11, s. 446, wyd. Zielona Sowa 2003.

<sup>5</sup> George Eliot, *Miasteczko Middlemarch*, przeł. Anna Przedpełska-Trzeciakowska, s. 1076, wyd. Prószyński i S-ka 2005.

Przekład: Karolina Jaszecka

Redakcja: Anita Rejch

Korekta: Katarzyna Skwark, Bogusława Jędrasik

Projekt okładki: Penguin Random House Grupo Editorial/Gemma Martínez

Zdjęcie wykorzystane na I stronie okładki: Cortesia de l'Arxiu Municipal del  
Districte de Gràcia I D'Àngela Majó I Rais

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-372 Warszawa, ul. Foksal 17

tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)

[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-2363-5

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp.  
z o.o.](#)

i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

**virtualo**



# Spis treści

- [Dedykacja](#)
- [Motto](#)
- [\\*\\*\\*](#)
- [Dzień pierwszy](#)
- [Dzień drugi](#)
- [Dzień trzeci](#)
- [Dzień czwarty](#)
- [Dzień piąty](#)
- [Dzień szósty](#)
- [Dzień siódmy](#)
- [Epilog](#)
- [Podziękowania](#)
- [Przypisy](#)